

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

KŁAMSTWA, WSZĘDZIE KŁAMSTWA

*Sekrety obracające się w kłamstwa, psychodeliczny nastrój
i napięcie wzrastające z każdą kolejną stroną. Adele Parks stworzyła
hipnotyzującą historię, od której nie sposób się oderwać.*

ALICJA SINICKA



ADELE PARKS



ADELE PARKS

**KŁAMSTWA,
WSZĘDZIE
KŁAMSTWA**

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO
Urszula Gardner



*Dla moich drogich przyjaciółek,
Margueritte Weatherseed i Louise Gibbons,
dwu najmiłszych osób, jakie miałam przyjemność poznać.*

Obydwie jesteście przekochane.

PROLOG

MAJ 1976

Simon miał sześć lat, gdy skosztował piwa po raz pierwszy. Był już po kąpieli i szykował się właśnie do snu, ubrany w miękką piżamę, mimo że na zewnątrz wciąż panowała jasność; inne dzieci bawiły się nadal na ulicy, jeździły na rowerkach i kopały piłkę. Słyszał je przez otwarte okno, nic jednak nie widział, ponieważ rolety były opuszczone. Tata nie lubił, jak światło padało na grający telewizor; mama nie lubiła wścibskich sąsiadek. Stało na tym, że mimo wczesnej pory siedzieli po ciemku.

Mama nie lubiła wielu innych rzeczy: marnotrawstwa, nieporządku, zbyt szybkiej jazdy samochodem, scen urządzanych przez siostrę Simona. Miała swoje standardy, cokolwiek to znaczyło. Jego drużyna zuchów miała swój sztandar, którym raz nawet wymachiwał, idąc na czele z okazji parady, ale nie zauważył, żeby mama miała jakąś flagę, było to więc dla niego niejasne. Jasność miał co do jednego: mama nie lubiła, kiedy był poza domem po osiemnastej. Uważała, że rodzice dzieci bawiących się na ulicy o tej porze są niewyrafinowani. Simon nie tylko nie umiał poprawnie wypowiedzieć ostatniego słowa, ale też nie znał jego znaczenia.

Przypuszczał jednak, że musi chodzić o zabawę. Mama kąpała go zaraz po kolacji i kazała mu włożyć piżamę, aby nie mógł się już wymknąć na dwór.

Simon nie wiedział, czego jeszcze nie lubi tata. Wiedział za to bardzo dobrze, co lubi. Tata zawsze czuł pragnienie i lubił się napić. Gdy chciało mu się pić, chodził cały zmierzły, a gdy sobie wypił, dużo się śmiał. Tata był księgowym i lubił liczyć na różne sposoby. „Na jedną nogę”, „na drugą nogę”, „no to ostatniego, strzemiennego”... Czasami Simon myślał, że tata kłamie, kiedy mówi, że jest księgowym; już prędzej chyba był piratem albo czarodziejem. Mawiał do ludzi: „Czym się dzisiaj trujemy?”, co było raczej w stylu pirata, a w sobotnie i niedzielne ranki „wybijał klin klinem”, co brzmiało całkiem jak zaklęcie. Gdy Simon raz zapytał o to mamę, kazała mu przestać gadać głupoty i zażądała, aby nigdy nie mówił tak poza domem.

Ostatnio bawił się głównie znikopisem, który miał tylko dwa miesiące, a był prezentem urodzinowym. Zobaczył jego reklamę w telewizji i wyprosił go u rodziców, ale koniec końców się rozczarował. Dwie głupie gałki, które rysowały kreski z góry na dół i z boku na bok. Co za nuda. Simon się nudził. Wszystkie meble w salonie ustawiono tak, aby były zwrócone do telewizora, który grał na cały regulator, ale nie pokazywał nic ciekawego. Wiadomości. Rodzice Simona lubili oglądać wiadomości, lecz jego to nie interesowało. Tata trzymał zawsze w ręku puszkę napoju niedozwolonego dla chłopca. Napój miał wyjątkowy zapach, był jakby owocowy, ciemny i kuszący.

– Mogę spróbować? – zapytał Simon.

– Nie bądź niemądry – ofuknęła go mama. – Jesteś na to za mały. Piwo jest dla ojców.

Wydawało mu się, że powiedziała „ojców”, choć może w rzeczywistości było to „bojców”.

Tata przyłożył puszkę do ust, zmiądzzył mamę spojrzeniem. Jego mina mówiła: „Przymknij się, kobieto. To męska sprawa”. Mama się zaczerwieniła, odwróciła wzrok, jakby nie mogła patrzeć, ale ugryzła się w język. Może miała nadzieję, że goryczka nie przypadnie mu do gustu, że go zniechęci. Gorzki smak nie spodobał się Simonowi, ale podobało mu się działać w zмовie. Oczywiście nie znał wtedy jeszcze tego słowa, instynktownie jednak rozumiał dreszczyk podniecenia. Tata i on piją razem niedozwolony napój! Tata wyglądał na zadowolonego, widząc, jak Simon po pierwszym hańcie domaga się następnego. Wydawał się wręcz dumny. Simon posmakował aluminiowej puszki, szczypiących w język gorzkich bąbelków i wpadł na dobre.

Po tamtym razie czasami wstawał wcześniej, wcześniej niż mama i tata, i młodsza siostra, i zabierał się do porządków przed wyjściem do szkoły. Odsuwał zasłony, opróżniał popielniczki, wynosił puste puszki. Mama zawsze kładła się spać przed tatą. Może nie chciała się przyglądać, jak jej mąż upija się w trupa co wieczór; może miała nadzieję, że brak publiczności zepsuje mu zabawę, zmniejszy jego pragnienie... Odtąd nigdy nie widziała, w jakim stanie tata zostawiał salon, idąc na górę się położyć. Simon zdawał sobie sprawę, jak ważne jest to, aby mamę omijał widok tego szczególnego chaosu.

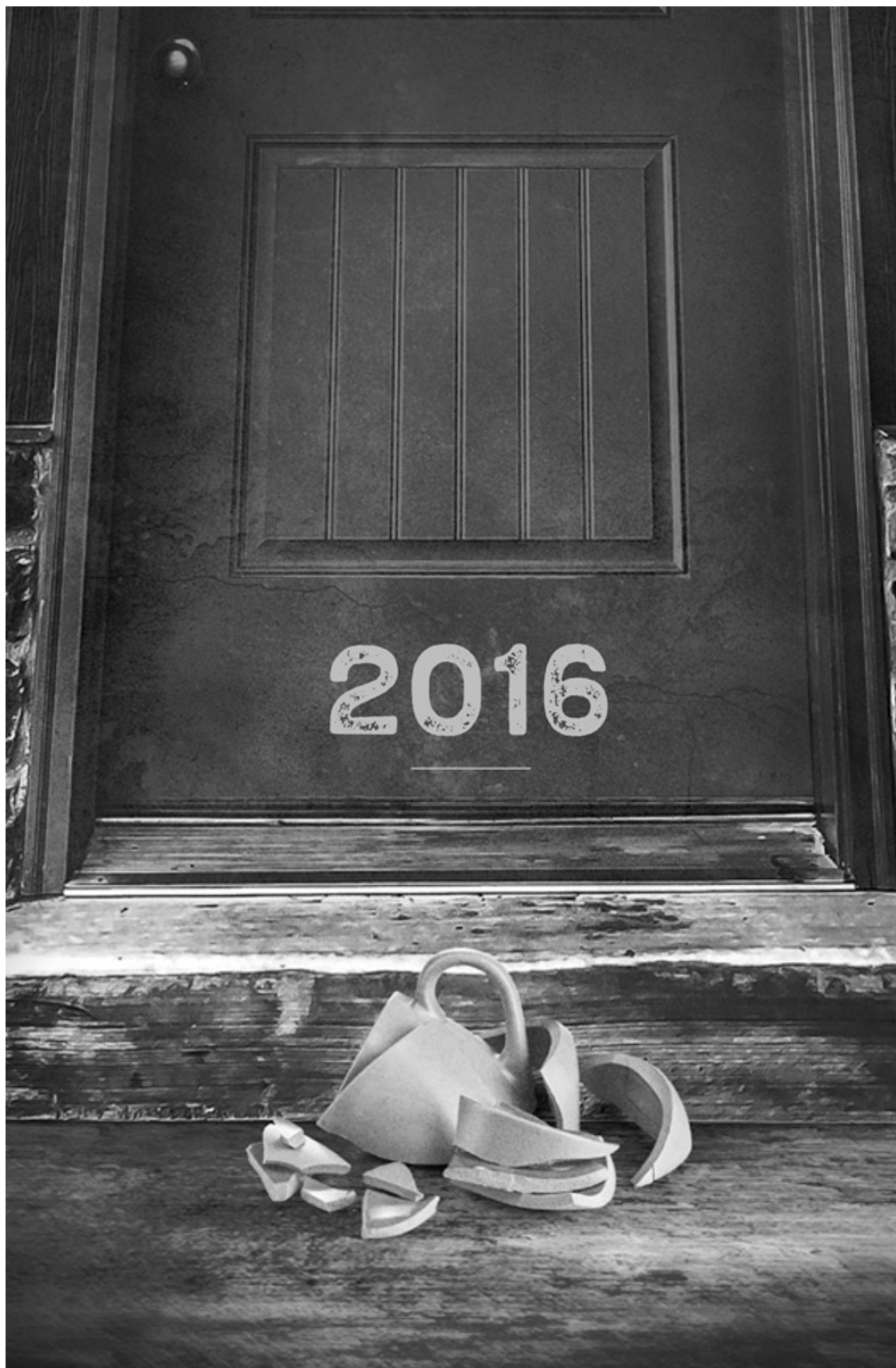
Zdarzało się, że w jednej z puszek chlupotała na dnie resztką piwa. Simon wysiorbywał ją ochoczo. Stwierdził, że lubi ten zwietrzały zakazany smak nie mniej od świeżego, uderzającego w nos bąbelkami. Otwierał okno na oścież, aby dym papierosowy i sekrety mogły ulecieć. Gdy na dole zjawiała się mama, uśmiechała się do niego i dziękowała mu za zrobienie porządku.

– Dobry z ciebie chłopiec, Simon – mówiła z ulgą. Nie mając o niczym pojęcia.

Kiedy nie było żadnych resztek do wypicia, Simon czasami otwierał nową puszkę. Wlewał w siebie połowę zawartości jeszcze przed śniadaniem. Tata, choć był księgowym, nie prowadził buchalterii.

Jedni mówią, że ich ulubionym zapachem jest woń świeżo upieczonego chleba, drudzy że kawy, jeszcze inni że ogniska. Simon od najmłodszych lat upodobał sobie zapach piwa.

Nic tak nie pobudzało jego zakończeń nerwowych.



1

DAISY

CZWARTEK, 9 CZERWCA 2016

Myślę, że przyprowadzenie Millie do kliniki to zły pomysł. Powiedziałam to Simonowi co najmniej pięć razy. Nie dość, że opuści zajęcia baletu i wynudzi się za wszystkie czasy, to jeszcze niedobrze wpłynie na pozostałe pacjentki. Trzeba mieć odrobinę wyczucia. Błędem bowiem jest zakładanie, że każda kobieta, która stara się o dziecko, musi koniecznie uwielbiać wszystkie dzieci, jakie napotka. Nieczęsto tak bywa; znacznie częściej takie kobiety patrzą na obce dzieci z niechęcią, i to nawet w przypadku, gdy dziecko jest tak urocze jak Millie. To dla nich zbyt bolesne. Dźwięczna paplanina Millie rozchodząca się echem w poczekalni będzie raczej powodem irytacji i zdenerwowania. Może trochę przesadzam, ale trzeba pamiętać, że niepłodność to bardzo bolesna sprawa. Zresztą nie wiem, co zrobimy z Millie, gdy przyjdzie nasza kolej na zasięgnięcie opinii lekarza za drzwiami jego gabinetu. To będzie rozmowa; na tyle tylko się zgodziłam. W każdym razie nie mogę pozwolić, aby Millie była obecna, kiedy będziemy rozmawiali o nasieniu i owulacji, o szansie (bo nie możliwości) na to, że na świecie pojawi się jej brat lub siostra. Podobnie nie

uśmiecha mi się myśl o zostawieniu jej pod opieką recepcjonistki; Millie ma zaledwie sześć lat.

Pierwotnie zamierzaliśmy ją zostawić pod opieką babysitterki, lecz plany te spaliły na panewce, jak to często bywa, gdy człowiek pokłada ufność w nastoletniej opiekunce. Stanęliśmy przed faktem dokonanym. Ja wolałabym przesunąć wizytę. Najlepiej na święty nigdy, ale Simon, który koniecznie chciał przedyskutować dostępne opcje, powiedział, że odroczenie terminu nie wchodzi w grę i że Millie może iść z nami.

– Im szybciej się dowiemy, co jest nie tak, tym szybciej będziemy mogli to naprawić – oznajmił optymistycznie z przepełnionym nadzieją szerokim uśmiechem.

– Wszystko z nami w porządku. Po prostu przekroczyliśmy pewien wiek – zauważyłam.

– Wiek? Jesteśmy tylko trochę starsi, nie starzy! A już na pewno nie za starzy. Mnóstwo kobiet rodzi dzieci, mając czterdzieści pięć lat – upierał się. – Niektóre z nich to nawet pierworódki. To, że urodziłaś już Millie, przemawia tylko na twoją korzyść.

Jestem zdania, iż to, że urodziłam Millie, przemawia za tym, że powinniśmy dać sobie spokój. Czerpać zadowolenie z bycia rodzicami jedynaczki. Uważam, że „zadowolenie” jest bardzo niedocenianym stanem w życiu. Simon nie chce słyszeć o zadowoleniu. Odnajduje się w skrajnościach. Pragnie być szaleńczo szczęśliwy lub bardzo, bardzo nieszczęśliwy. Oczywiście głośno by tego nie przyznał, ale jesteśmy małżeństwem od siedemnastu lat; znam go lepiej, niż on zna siebie. I wydaje mi się, że zbyt wiele czasu z tych spędzonych razem lat przesiedzieliśmy w klinikach takich jak ta. W miejscach o beżowych ścianach i rozdmuchanych oczekiwaniach, miejscach, które przyjmują twoją gotówkę, ale niczego nie gwarantują w zamian. Gdy urodziła się

Millie – nasz cud! – myślałam, że wszystkie te przykrości, frustracja i rozgoryczenie są za nami. Już na dobre. Jedno dziecko w zupełności mi wystarcza. Myślałam – miałam nadzieję – że Simonowi również.

Millie jest doskonała pod każdym względem.

Nie powinniśmy kusić losu. Odkąd pamiętam, byłam wdzięczna za to, co mam. Niepotrzebne mi bogactwo i wiążące się z nim złe fluidy; wolę się borykać z codziennymi trudnościami, nie wystawiając się na wzrok zawistników. W tym zakresie Simon i ja bardzo się różnimy. To znaczy mój mąż zgadza się ze mną co do doskonałości Millie – tyle że właśnie dlatego chce mieć więcej dzieci.

Od kilku lat, mniej więcej od czasu, gdy Millie zaczęła chodzić do przedszkola, Simon powtarza, że powinniśmy spróbować jeszcze raz. W odpowiedzi kiwałam głową, uśmiechałam się i przyjmowałam do wiadomości jego sugestię, nie wdając się nigdy w prawdziwą dyskusję. Z mojego punktu widzenia próbujemy regularnie czy też raczej nie blokujemy takiej możliwości – antykoncepcja poszła w odstawkę. Oczywiście w naszym wieku, z naszym bagażem doświadczeń, takie starania to za mało. Jeśli chcemy mieć drugie dziecko, musimy się zwrócić o pomoc. Rozumiem to. Ale ostatnio Simon zaczął na mnie bardziej naciskać. Nie potrafi się cieszyć tym, co mamy.

Ferie są dobrym przykładem. Wynajęliśmy domek w hrabstwie Devon, ponieważ Anglicy robią to od pokoleń, a nam najwyraźniej brakuje wyobraźni, aby przełamać ten trend. W tym roku zaszaleliśmy o tyle, że zdecydowaliśmy się na inną część Devonu, w której jeszcze nigdy nas nie było. Domek okazał się zmurszały, ale czysty w środku, a choć ciśnienie wody czyniło branie prysznica działaniem daremnym, mieliśmy do swojej dyspozycji otwarty kominek, zabytkową, ale sprawną kuchenkę gazową oraz całą masę gier planszowych i puzzli, dzięki którym miejsce to

wydawało się idealne. Z ogródka wiodła ścieżka prosto na plażę. Jak zawsze byłam zdumiona widokiem morskiego brzegu. Angielskie plaże nie sprzyjają kontemplacji; są to głośnie miejsca, gdzie fale rozbijają się o piasek z hukiem, mewy piszczą świdrująco, wiatr szumi, a dzieci wrzeszczą, płaczą i śmieją się. Pozostaje tylko się z tym pogodzić. Robimy co w naszej mocy, aby Millie mogła przeżywać przygody opisane w powieściach Enid Blyton, dlatego nawet w nie najlepszą pogodę urządzaliśmy sobie długie spacery i organizowaliśmy pikniki. Łapaliśmy kraby i obserwowaliśmy baseny pływowe z ich żyjątkami, których widok tak radował Millie. W zasięgu krótkiej jazdy samochodem mieliśmy minizoo i wioskę z pomalowanymi na pastelowe kolory domami, gdzie co drugi lokal sprzedawał rybę z frytkami. Było idealnie.

Trudno jednak powiedzieć, że znaleźliśmy ustronie. Okolica była zbyt piękna, aby nikt jej nie znał. W gruncie rzeczy odkryliśmy ją dzięki reklamie zamieszczonej w kolorowym dodatku do niedzielnego wydania gazety. Lecz mimo mnóstwa rodzin jak z żurnala, z dziećmi uganiającymi się z wiaderkami i łopatkami w rączkach, zdołaliśmy się trzymać na uboczu. Ignorowaliśmy ciżbę i kolejki, kreśląc wokół siebie wyimaginowany magiczny okrąg, który oddzielał nas od reszty ludzi. Co oczywiste, Millie zaprzyjaźniła się z innymi dziećmi na plaży. Nasza córka jest pewna siebie, otwarta i ładniutka – to taka dziewczynka, z jaką dzieci chcą się zaprzyjaźnić. Ale gdy ich rodzice zapraszali nas na herbatę w kawiarni czy grilla u siebie, odmawialiśmy. Czyniliśmy wymówki, opowiadaliśmy kłamstewka na temat planów i zobowiązań. Nie jestem taka jak Millie, brak mi pewności siebie i nigdy nie zawierałam łatwo przyjaźni. Nigdy też nie byłam uważana za ładne dziecko. Naturalnie to nie koniec świata, choć niektórzy zdają się tak właśnie sądzić. W dzieciństwie starałam się być miła i zabawna, a przy tym dobrze poinformowana; zależało mi, aby

inni uważali mnie za bystrą. To mi wystarczało. Jakoś sobie radziłam. Obecnie mam wspaniałych przyjaciół, ale nie jestem zwolenniczką zawierania przelotnych wakacyjnych znajomości. Po co się trudzić? Zresztą było nam tak błogo we trójkę, że nie chcieliśmy ani nie potrzebowaliśmy nikogo innego. Trójka to liczba idealna. Pitagorejczycy uważali ją za pierwszą prawdziwą liczbę. Dopiero trzy odcinki połączone końcami tworzą figurę geometryczną – trójkąt. Trójka bywa uznawana za liczbę harmonii, mądrości i zrozumienia. Osobiście uważam trójkę za najbardziej znaczącą ze wszystkich cyfr, ponieważ tak ściśle jest powiązana z czasem: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość; początek, środek, koniec; narodziny, życie, śmierć.

Wzdycham, rozglądając się po poczekalni kliniki leczenia niepłodności. Naprawdę nie sędzę, że powinniśmy tu być, starać się o kolejne dziecko. Moim zdaniem to przeciąganie struny. Pazerność. Proszenie się o kłopoty. Dobrze nam tak, jak jest.

Simon ściska moją rękę. Wspominam ostatnią noc ferii. Millie była wykończona siedmioma dniami długich spacerów na świeżym powietrzu; praktycznie zasnęła przy stole podczas kolacji. Położyliśmy ją do łóżka przed dziewiętnastą, pewni, że będzie spała jak kamień. Simon zaproponował, żebyśmy wypili po kieliszku wina w ogrodzie i nacieszyli się sobą, korzystając z intymności, jaką zapewniał nasz domek. Mieliśmy nawet ogrzewanie gazowe, które jest szkodliwe dla środowiska, miałam więc opory, ale Simon je przełamał, mówiąc: „Tylko ten jeden raz”.

Powiem tylko, że wino (bynajmniej nie kieliszek na głowę, a cała butelka) i odgłosy morza uderzającego o brzeg, świeżość uczucia, że jesteśmy sami – bez innych ludzi i bez Netflixa – zrobiły swoje. Kochaliśmy się pod gwiazdami i pod kocem. Było to ekscytujące, śmiałe. Ostatnio zachowywaliśmy się tak sama nie wiem kiedy. Na pewno dawno,

całe lata temu. Po wszystkim leżeliśmy wtuleni w siebie pod nieco kłującym kocem piknikowym, szukając bliskości, ciepła i poczucia istnienia. Odprężeni, zaspokojeni. Mający wszystko. Pełnia szczęścia. Do chwili, w której Simon pocałował mnie w czubek głowy i powiedział:

– Wiesz, co uczyniłoby ten moment jeszcze wspanialszym?

– Papieros? – zażartowałam. Nigdy nie paliłam, a Simon rzucił nałóg na początku naszej znajomości. Wiem, że w głębi ducha tęsknił za kopem, jaki daje nikotyna. Jak mówiłam, napędzają go skrajności. Lubi żyć w uniesieniu. Ale to nie dla mnie. Ja przedkładałam zdrowie nad uniesienia.

– Byłoby miło, nie o tym jednak myślałem. Myślałem o małym dziecku w pokoju obok.

– Mamy małe dziecko w pokoju obok.

– Mamy sześciolatkę – poprawił mnie łagodnie.

– Cóż, dzieci mają to do siebie, że rosną.

– Nie w tym rzecz.

Choć czułam jego ciało tuż przy swoim, zadrżałam.

– Mówisz poważnie?

– Uwielbiam Millie. I ciebie – dodał szybko. – Ale doskwiera mi myśl, że nie dajemy jej wszystkiego.

– Dajemy jej wszystko, co możemy – odparłam.

– Oprócz rodzeństwa.

– To nie tak, że odmówiliśmy jej rodzeństwa. Po prostu tak wyszło. I raczej trudno mieć nadzieję, że to się nagle zmieni, zważywszy na nasz wiek. – Oraz na fakt, że zapłodnienie to nie nasza specjalność. Oczywiście nie powiedziałam tego głośno. Nigdy nie rozmawiamy o koszmarze, który przeszliśmy, starając się o Millie. Potoczne powiedzenie głosi, że cierpienie związane z porodem ulega zapomnieniu, ledwie weźmie się noworodka na

ręce. W moim przypadku było to także cierpienie związane z wieloma latami starań o dziecko.

– Powinniśmy jednak spróbować. Millie jest taka towarzyska i przepełniona miłością. Trudno mi się pogodzić, że omija ją szczęście bycia siostrą.

– Posiadanie rodzeństwa to nie zawsze dobra rzecz – skontrowałam. – Ty i twoja siostra wcale nie jesteście ze sobą blisko.

– Prawda, ale ty i Rose szalejecie za sobą. Chciałbym, żeby Millie zaznała tego uczucia.

Gdy na mnie spojrzał, dostrzegłam ogień w jego oczach. Powinnam była już wtedy zrozumieć, że Simon nie odpuści. Potrafi być bardzo zdeterminowany, kiedy mu na czymś zależy.

Moja mama mówi o nim, że jest uparty jak osioł.

2

SIMON

Wpoczekalni było chłodno. Klimatyzacja okazała się nieco nadgorliwa. Ponieważ na zewnątrz świeciło słońce, wiele osób przyszło w T-shirtach i letnich sukienkach, z wyjątkiem Daisy oczywiście, której zawsze jest zimno. Także tym razem zabrała ze sobą lekką kurteczkę. Wyglądała, jakby w każdej chwili miała się rzucić do drzwi wyjściowych. Jakby ubrała się tak w ramach protestu. Simon wiedział, że jego żona wolałaby być gdzie indziej. Rozumiał to. Sam też pamiętał ból wiążący się z miejscami takimi jak to. Do tego Daisy miała rację: było im dobrze tylko we trójkę. On jednak był zdania, że może im być jeszcze lepiej. Bo dlaczego nie? Po co osiadać na laurach?

Ilekcóż ogarniała go nuda albo nerwy czy stres, miał w zwyczaju stukać piętą o podłogę. To sprawiało, że cała jego noga podrygiwała bez końca i gwałtownie. Nie był nawet świadom tego, co robi, dopóki Daisy nie położyła mu ręki na udzie uspokajającym gestem, prosząc, aby przestał. To samo uczyniła w tej chwili. Przestał podrygiwać, sięgnął po gazetę i przejrzał ją pobieżnie. Nic nie przykuło jego uwagi na dłużej. Same wiadomości o kryzysach finansowych i politykach złapanych z opuszczonymi spodniami – słowem: nic nowego. Odłożył gazetę i zaczął pogwizdywać. Tego również nie był świadomy, dopóki Millie się nie rozchichotała i nie zaczęła tańczyć do melodii, czym zapewne oszczędziła

mu ostrej reprimendy z ust żony. Daisy przebaczała mu, jeśli jego dziwactwa rozśmieszały Millie. Mimo mocno podkreślonej klimatyzacji Simon się pocił. Czuł, jak strużki spływają mu spod pach. Boże, ależ mu się chciało pić!

To on namówił Daisy na wizytę tutaj – pod pretekstem, że skończy się tylko na rozmowie z doktorem Martellem, najlepszym specjalistą od niepłodności w kraju czy też endokrynologiem rozrodczości, jak teraz się mówiło. Zamierzali wyłącznie porozmawiać, rozeznąć się w dostępnych możliwościach. To znaczy tak myślała Daisy. Ponieważ Simon ją okłamał. Zdążył przed dziesięcioma dniami odwiedzić doktora Martella sam w celu ogólnej oceny zdrowia, jak również oceny jakości nasienia. Chciał ruszyć z tym koksem. Wiele lat temu usłyszał, że jego plemniki są mało ruchliwe, lecz koniec końców się okazało, że to żaden problem. Typowy przypadek żółwia i zająca, czego Millie była dowodem. Aczkolwiek Daisy miała rację, był siedem lat starszy niż w chwili poczęcia ich córki; tak samo zresztą jak jego żona. Co jednak nie wykluczało ich z gry, prawda? Simon chciał wiedzieć, czy medycyna poszła do przodu od tamtego czasu, czy jest jakiś sposób, aby popędzić jego chłopaków albo przynajmniej wyrównać ich szanse. Zaczytywał się tekstami o kobietach w średnim wieku, które zachodziły w ciążę i rodziły dzieci. Uznał, że przejmując inicjatywę i przechodząc badania pierwszy, zachęci Daisy. Zdawał sobie sprawę, że prosi o wiele. Zarówno wstępne badania, jak i dalsze procedury obciążą Daisy bardziej niż cokolwiek, co on będzie musiał zrobić. Pierwsze zapłodnienie pozaustrojowe było istną harówką, wartą jednak zachodu.

Choć przestał gwizdać, Millie dalej tańczyła. Żyła we własnym świecie, a teraz najwyraźniej muzyka rozbrzmiewała w jej głowie. Może nawet jego córka słuchała całej orkiestry. Może występowała na scenie paryskiej opery przed publicznością. Była niesamowita! Miała niebywały, wyjątkowy

talent. Tańczyła przepięknie. Była jedną z tych dziewczynek, które w zupełnie naturalny sposób odrywają się od ziemi i szybują w powietrzu, czyniąc ewolucje. Daisy często mówiła, że podziwia Millie, nikt bowiem nigdy nie sugerował jej samej, aby brała lekcje tańca, co więcej, nadane jej przez rodzinę przezwisko brzmiało: Słoniczka. Jeśli już, człapała i gramoliła się dość nieporadnie. Simon w dzieciństwie też nie chodził na rytmikę ani na balet – jego rodzina była na to zbyt tradycyjna – jednak lubił myśleć, że wycina na parkiecie niezłe figury (jak to ujmował autoironicznie); z całą pewnością był wysportowany. Uważał więc, że Millie odziedziczyła talent taneczny po mieczu – jego siostra była niezłą gimnastyczką, a w dzieciństwie także stepowała. Bez wątpienia jest bardzo ruchliwa, pomyślał z westchnieniem. Ogłosiła, że przenosi się do Kanady miesiąc po tym, jak u ich matki zdiagnozowano alzheimera. Simon powtarzał sobie, że to czysty zbieg okoliczności, nie był jednak przekonany. Nie ukrywał, że dla niego to wielka niedogodność.

Millie przepadała za wszystkim, co falbaniaste i plisowane, uwielbiała kręcić się jak bączek i popisywać. Daisy zapisała ją do szkoły tańca dla dzieci, kiedy dziewczynka miała niecałe trzy latka. Nie była jedną z tych superambitnych matek, chodziło jej raczej o to, aby skanalizować energię, która przepełniała jej córkę, tę chęć ciągłego wirowania i pląsania. Okazało się, że Millie jest na swój sposób wybitna. Instruktorka tańca powiedziała, że w całej dziewiętnastoletniej karierze nie spotkała jeszcze dziecka równie utalentowanego, które z takim zapałem i skupieniem oddawałoby się pracy mimo młodego wieku. Daisy była nauczycielką – nie tańca, uczyła w szóstej klasie podstawówki – rozumiała więc dobrze wagę takiej oceny. Z ekscytacją opowiadała Simonowi, że każdy nauczyciel musi bardzo uważać, co mówi rodzicom, gdyż ci często dają się ponieść marzeniom.

Wszyscy ludzie wierzą, że wyprodukowali geniusza, choć w rzeczywistości większość dzieci mieści się w stanach średnich.

Nie Millie jednak – ona naprawdę była małym cudem.

Simon śledził ją teraz wzrokiem, gdy na paluszkach biegła w podskokach z wysoko uniesionymi rączkami i głową wygiętą pod szlachetnym kątem. Uroczy przykład dziecięcego zapamiętania się w zabawie i szczerzej koncentracji. Obecne w poczekalni kobiety przyglądały się Millie z natężeniem nie mniejszym niż u niego. Uczucia, które jej widok wyzwalał w pacjentkach, zahaczały o rozbawienie, zachwyt, tęsknotę. Daisy natomiast wydawała się rozdarta pomiędzy triumfem i zażenowaniem. Już wcześniej stwierdziła, że przyprowadzenie dziecka do kliniki leczenia niepłodności jest nietaktowne i może zostać uznane za chwalipięctwo. „Nie powinniśmy kłuć w oczy innych pacjentek”, powiedziała. Simon pomyślał wtedy, że dobór jej słów jest osobliwy, acz zabawny. Wychodził z założenia, że obecność Millie w poczekalni będzie inspiracją dla potencjalnych rodziców. Bo Millie była przecież wyjątkowa, czyż nie? Zdecydowanie powinni sobie sprawić drugie dziecko. Millie zostanie primabaleriną w Baletcie Królewskim, a kolejny syn czy córka – kto wie – astronautą, następnym Steve'em Jobsem, człowiekiem, który odkryje lek na raka. Albo przynajmniej będzie miłą osobą: lubianą przez sąsiadów, wierną partnerowi, dobrą dla własnych potomków. Nowe życie! Nie można było tracić z oczu tego, co najważniejsze. Człowiek miał obowiązek próbować. I nic go z niego nie zwalniało.

Millie ćwiczyła taniec codziennie. Stawała się marudna, gdy ominęła ją lekcja; nawet w czasie wakacji znajdowała każdego dnia parę godzin na wygibasy. Choć miała tylko sześć lat, była bardzo oddana swojej pasji. Jej życie wypełniał różowy tiul, na nic innego nie było w nim miejsca. Gdy zaczęła chodzić do szkoły, z początku co rano zanosila się płaczem. Simon

i Daisy byli w kropce. „Masz koleżanki?” – pytali. „Czy pani jest dla ciebie miła?”, „Obiady są smaczne?”, „Nie masz kłopotu ze znalezieniem płaszcza w szatni?”. Wyteżali umysł, aby znaleźć możliwą przyczynę. Millie potakiwała zapłakana. „W takim razie o co chodzi?” – zapytał w końcu z napięciem Simon. Był podenerwowany; wziął parę godzin wolnego, aby wraz z Daisy namówić córkę, by weszła do klasy. „Fartuszek jest ohydny! – zawyła Millie. – Zielony, a ja chcę, żeby był różowy!” Ta odpowiedź, pomieszana ze szlochem, przyprawiła Simona o śmiech. Daisy poradziła sobie z problemem, podszywając fartuszek Millie różową tasiemką, co Simon uznał za przejaw czystego geniuszu i miłości macierzyńskiej.

– Uważam, że źle robimy, zabierając Millie do gabinetu lekarskiego – szepnęła Daisy do Simona. – Zrozumie wystarczająco dużo, aby się zaciekawić. Nie chcę robić jej nadziei, że braciszek czy siostrzyczka jest już w drodze.

Ponieważ Simon właśnie myślał o różowej tasiemce i przepełniały go ciepłe uczucia wobec Daisy, był skłonny jej ulec.

– No dobrze. Zróbmy tak... Najpierw ja wejdę i wysłucham, co doktor ma do powiedzenia, a potem ty.

– Ale to zabierze dwa razy więcej czasu. – Daisy rozejrzała się wokół niespokojnie. W poczekalni siedziały jeszcze dwie pary. Ludzie ci mogli, choć nie musieli, być zapisani do doktora Martella. – Nie chciałabym, żeby ktoś musiał przez nas czekać dłużej niż to konieczne.

– Płacimy, więc nie musimy się martwić takimi rzeczami.

– Tylko że to nieuprzejme. – Daisy ceniła uprzejmość ponad wszystko inne. Simon czasami uważał, że to rozczulające, kiedy indziej znów czuł się sfrustrowany.

– Co w takim razie proponujesz? – zapytał. – Rezygnacja z wizyty też byłaby nieuprzejmością.

Daisy skinęła głową.

– Chyba tak.

W tej właśnie chwili w korytarzu pojawiła się elegancko ubrana pielęgniarka. W ręku miała podkładkę z dokumentacją, a w głosie stal. Emanował z niej profesjonalizm.

– Państwo Barnes?

Simon wstał i pocałował Daisy w czubek głowy.

– Przestań się zamartwiać, to początek wspaniałej przygody – powiedział. – Kocham cię.

3

DAISY

Ledwie Simon zwolni krzesło, Millie na nie wskakuje, co nie oznacza jednak, że odtąd będzie siedziała spokojnie. Zamiast odpocząć, wyciąga nóżki przed siebie, prostuje paluszki stóp, tak że celują prosto w sufit, po czym je naciąga. I tak na przemian. Jestem pełna podziwu dla jej energii. Millie jest zarazem delikatna i silna, co stanowi doskonałe połączenie. Osobiście byłam krzepkim dzieckiem, masywnym. W wieku czternastu lat mierzyłam metr siedemdziesiąt sześć, tyle że nie przypominałam żadnej z tych zwiewnych tyczkowatych modelek. Jeśli już, byłam niezgrabną tyką. Ramiona miałam szerokie jak talia innych dziewcząt, a piersi spoczywały mi na brzuchu niczym u staruszki. Mam szczerą nadzieję, że okres dojrzewania okaże się dla Millie łaskawszy. Boję się tylko, że odziedziczyła po mnie wzrost. Nie byłoby to idealne w przypadku baleriny, chyba że chciałaby tańczyć w rosyjskim balecie – tam lubią tancerki wysmukłe i wiotkie jak trzcina. Nawiasem mówiąc, nie chcę, by wyjechała do Rosji. Martwię się też, że zapoznając córkę z tańcem w tak młodym wieku, narażam ją na dysmorfie. Millie jednak różni się ode mnie, i to znacznie. Jako nastolatka nosiłam okulary i miałam pryszczki, rude włosy i piegi, a ubrania nigdy na mnie nie pasowały. A nawet jeśli pasowały, to i tak wyglądały źle. Niektórzy ludzie już tak mają. Cóż, nie wszyscy rodzimy się piękni.

Cieszę się, że jestem w pół drogi między czterdziestką i pięćdziesiątką; nareszcie mogę przestać się przejmować swoim wyglądem. Nauczyłam się akceptować swoje ciało i z nim żyć – to jedyna metoda dla kobiet takich jak ja. Nie zmienia to faktu, że moja córka mnie zachwyca. Jest taka słodka, a zarazem przekonana o swojej wartości. Patrząc na nią, wiem, że choć to jedno udało mi się w życiu. Pomimo wszystko.

Zanim pojawiła się Millie, przez dziesięć lat staraliśmy się o dziecko. Większość młodych szczęśliwych par odkłada w czasie myśl o rodzicielstwie o ładnych parę lat, ja jednak wystartowałam w tym wyścigu wcześniej. Jeszcze przed tym, nim poznałam Simona, moja siostra Rose urodziła bliźnięta – dwóch przeuroczych chłopców! Uznałam, że jeśli mam zadowolić swoich rodziców w roli dziadków, muszę zabrać się z miejsca do rzeczy i urodzić dziewczynkę. Żartuję oczywiście, moja potrzeba prokreacji bynajmniej nie wynikała ze zwykłej siostrzanej rywalizacji, tylko z tego, że przepadałam za dziećmi i chciałam zostać matką. W dzieciństwie bawiłam się wyłącznie lalkami, nie interesowała mnie plastelina, kolorowanki ani klocki; liczyło się tylko udawanie, że jestem mamusią. Zaczęłam się opiekować młodszym kuzynostwem, gdy miałam dwanaście lat, a przed piętnastym rokiem życia zajmowałam się już dziećmi sąsiadów. Uczę w szkole podstawowej. Uwielbiam dzieci: te bezczelne, niesforne i szelmowskie, jak również te nieśmiałe, skupione na nauce i przytulaśne. Wszystkie dzieci są moje.

Wyrzuciłam zaczęte opakowanie z tabletkami antykoncepcyjnymi rankiem w dniu naszego ślubu. Była to najbardziej ekscytująca rzecz, jaka się wydarzyła w ciągu następnych parunastu godzin. Przez pierwsze kilka miesięcy nie pozwalałam sobie na smutek, gdy dostawałam okres. Absorbowało mnie urządzenie wspólnego domu. Kupiliśmy dwupokojowe mieszkanie w Londynie, miałam więc gdzie wieszać obrazy, do czego

zamawiać meble i nadzorować montowanie pralki przez hydraulika. Wszystko było takie nowe i ekscytujące. W tamtym czasie każde nudne domowe zajęcie wydawało mi się czymś wspaniałym. Dorosłe życie było wspaniałe. Zachwycało mnie, że mogę się snuć po mieszkaniu w samej piżamie przez całą deszczową niedzielę, cieszyło wypowiedanie słów „mój mąż” oraz wyskakiwanie do supermarketu o dziewiątej wieczorem po kubek lodów, jeśli naszła nas na nie ochota. Czas i pieniądze należały do nas; byliśmy małżeństwem. Ta nagła wolność była bardzo podniecająca. Zwyczajnie więc czekaliśmy, aż pojawi się dziecko.

W pierwszą rocznicę ślubu ogarnął mnie niepokój. Żywiłam skrytą nadzieję, że właśnie tego dnia obwieszczę, iż jestem w ciąży. Do moich trzydziestych pierwszych urodzin brakowało miesiąca, Simon miał trzydzieści dwa lata. Byliśmy młodzi, ale to najwyraźniej nie wystarczyło. Umówiliśmy się na wizytę u lekarza rodzinnego. Doktor nas wyśmiał, powiedział, że mamy jeszcze mnóstwo czasu, i kazał przestać się przejmować. Gdy przycisnęłam go, pytając, czy jest coś, co mogłabym zrobić, upewnił się, że nie palę, poradził mi ograniczyć alkohol i dodał: „Jeśli pani chce, może pani zacząć przygotowywać swoje ciało. Nie oznacza to jednak konieczności odmawiania sobie czegokolwiek. Proszę zachować umiar, żyć zdrowo. Lubi pani ćwiczenia fizyczne? Joga byłaby w sam raz. Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani. Absolutnie nie ma powodu do zmartwienia”.

Ja jednak pragnęłam przyśpieszyć sprawy. Zaczęłam zażywać kwas foliowy i oddawałam się medytacji. Całkowicie odstawiłam alkohol. Simon tylko na tym skorzystał. Zamiast rozpić butelkę wina do posiłku razem, całą miał dla siebie. Nie przeszkadzało mi to. Gdy się napił, był bardziej rozluźniony i zabawny. Nie twierdzę, że bez alkoholu zachowywał się

sztywno, ale pod wieloma względami trzymał dystans. Najlepiej się czuł w towarzystwie tylko jednej osoby.

W drugą rocznicę ślubu zasugerowałam, aby on też odstawił alkohol. Że może powinniśmy wrócić do lekarza i poddać się jakimś testom. Simon zgodził się na badania.

Najpierw przyjrano się mojej płodności. Nie mam pojęcia dlaczego – być może to kobiety częściej mają problemy, być może był to zwykły przejaw seksizmu. W każdym razie nie byłam zdziwiona, gdy po wszystkim usłyszałam, że wina istotnie leży po mojej stronie. Miałam mięśniaki macicy: niezłośliwe, hormonozależne guzy, które wywołują ból podbrzusza i obfite miesiączki, a czasami także niepłodność. Zalecono mi miomektomię w celu pozbycia się ich. Przeszłam zabieg, minęły dwa kolejne lata, w dalszym ciągu nie mieliśmy dziecka, przyszła więc pora na zmianę lekarza. Specjalistka od problemów z płodnością zaproponowała, aby i Simon poddał się badaniom. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom, gdy się okazało, że mój mąż również ma problemy – jego plemniki nie były ani tak liczne, ani tak ruchliwe, jak trzeba. Wina najwyraźniej leżała po stronie nas obojga.

To był dla nas trudny okres. Chyba spojrzeliśmy na siebie wzajemnie w nieco innym świetle. Choć odsuwałam od siebie takie myśli, postrzegałam Simona jako mniej doskonałego, nie tak idealnego; miałam świadomość, że on musiał o mnie myśleć to samo już od jakiegoś czasu.

Moja historia – nasza historia – nie jest w żaden sposób wyjątkowa ani szczególna. Prawie każdy zna kogoś, kto zetknął się z problemem niepłodności. Tragedią jest powtarzalność. Rozpoczęliśmy procedurę in vitro tuż po piątej rocznicy ślubu. Coś takiego stanowi duże obciążenie, myślę, że zgodzi się z tym każdy, kto przeszedł to co my. Starając się o dziecko metodą naturalną, mieliśmy przy tym choć trochę zabawy;

próbowaliśmy różnych pozycji, często uprawialiśmy seks. Procedura in vitro nie ma nic wspólnego z zabawą. Nie wiąże się z seksem – jeśli nie liczyć tego, co Simon musiał zrobić na osobności z pomocą świerszczyka i kubeczka. Choć myślę, że masturbację za seks może wziąć tylko czternastolatek.

Źle się czuję w tym pomieszczeniu. To prawda, że przyszliśmy do doktora Martella po raz pierwszy, ale wystarczająco się nachodziliśmy po podobnych klinikach, abym czuła wyłącznie zmęczenie i smutek. Sięgam dłonią do twarzy Millie i odgarniam jej włosy z oczu. Mam ochotę się w nią wtulić, zasypać ją całusami, powstrzymuję się jednak. Muszę bardzo się pilnować, aby nie tłamsić jej swoją miłością. Co za dużo, to niezdrowo. Millie czuje się tutaj pewnie, zadowolona, że może ćwiczyć mięśnie łydek. Nie będę jej przeszkadzać.

Podczas procedury in vitro zaczęłam traktować swoje ciało jak wroga. Wspomniałam już, że nigdy nie napawało mnie dumą, ale przynajmniej do niedawna dobrze mi służyło. Rzadko choruję, nigdy niczego sobie nie złamałam, aż tu nagle jak grom z jasnego nieba spadła na mnie niepłodność. Cztery razy próbowaliśmy zapłodnienia pozaustrojowego – i cztery razy się nie udało, co obciążało nas mocno tyleż finansowo co emocjonalnie.

Ludzie mówili mi, że powinnam przestać o tym myśleć, że ciąża przyjdzie w najmniej spodziewanym momencie. „Zobaczysz, jeszcze będziesz miała dziecko”, zapewniła mnie wesoło moja przyjaciółka Connie. I opowiedziała mi historię swojej wieloletniej znajomej, która w końcu porzuciła starania – i właśnie wtedy stwierdziła, że jest w ciąży! Mama powtarzała mi, żebym znalazła sobie jakieś hobby i zapomniała o całej sprawie przynajmniej na trochę. A Rose doradzała urlop i wypoczynek.

Wszystkie miały dobre intencje.

Simon i ja uśmiechaliśmy się, potakiwaliśmy i kiwaliśmy głowami. Nie informowaliśmy, że nie mamy pieniędzy na urlop, gdyż kolejne próby in vitro pochłonęły wszystkie nasze oszczędności. Zamiast szukać nowych hobby, porzucaliśmy stare. Simon coraz rzadziej grał w golfa, aż w końcu wypisał się z klubu, bo opłaty okazały się za wysokie. Obiecywał, że wróci do gry, lecz nigdy to nie nastąpiło. Wiele innych rzeczy też uległo zawieszeniu. Znaleźliśmy się w czymś na kształt czyścica. Mogliśmy tylko czekać. Wszelkie rady wydawały się płytkie, irytowały nas. Sam na sam nawet nie udawaliśmy, że w nie wierzymy. Simon poznał mój cykl nie gorzej ode mnie. W dni, w które spodziewałam się miesiączki, w domu panowała atmosfera wyczekiwania i strachu. Gdy okres się pojawiał – a czynił to z okrutną regularnością – rzucałam tylko „Nie tym razem”. Simon odpowiadał: „Następnym razem na pewno się uda”. Żadne z nas w to nie wierzyło.

Osiągnęliśmy etap, gdy byliśmy bliscy kapitulacji – chcieliśmy zrezygnować nie tylko z dalszych prób, ale chyba też z naszego małżeństwa. Tak silne pragnienie czegoś działa na człowieka destrukcyjnie. Ze smutku łatwo popaść w rozpacz. Nie wiedziałam już, co robić. A zrobiłabym wszystko.

Sytuacja zmieniła się nieoczekiwanie. Zaszłam w ciążę, wyczerpawszy pokłady nadziei. Stał się cud. Poczęliśmy Millie w sposób naturalny, bez żadnego wspomagania.

Nasza córka nas uratowała.

4

SIMON

Siłą nawyku Simon rozejrzał się po gabinecie, oceniając detale okiem projektanta wnętrz. Od razu zrozumiał, na co idzie większość wygórowanych honorariów. Doktor Martell siedział za gigantycznym mahoniowym biurkiem, które pokrywała elegancka patyna czasu. Mimo że Simon nie specjalizował się w antykach, oszacował wiek mebla na końcówkę dziewiętnastego wieku. Miejsce pochodzenia: Francja. Szykowna sylwetka, mosiężna intarsja, mosiężne okucia, niskie nogi toczone. Trzy tysiące funtów, lekko licząc. Ścianę za lekarzem przesłaniały równie kosztowne regały, mieszczące rząd za rzędem opasłych, oprawnych w skórę tomiszczy medycznych. Simon gotów był się założyć, że przynajmniej niektóre pochodzą z pierwszego wydania. Na wypolerowanym na wysoki połysk parkiecie leżał puszysty wełniany dywan perski, który musiał być nadzwyczajnej jakości, ponieważ wszystkie kolory zachowały naturalną żywość; do tego dochodził gruby miękki włos, dzięki któremu człowiek miał wrażenie, że stąpa po aksamicie. W placówkach państwowej służby zdrowia raczej nie chodziło się po dywanach klasy Ferahan Saruk.

Doktor Martell podniósł się z fotela, wymienił z Simonem uścisk dłoni, po czym wskazał jedno z dwóch ustawionych obok siebie krzeseł naprzeciwko biurka.

– Czy pańska żona do nas dołączy? – zapytał głosem dźwięcznym, sugerującym pobieranie wykształcenia najpierw w Westminsterze, a potem w Cambridge.

– Została w poczekalni z naszą córką. Nie chcieliśmy tu wprowadzać Millie.

Doktor Martell skinął głową, raz, zdecydowanie; w lot zrozumiał, o co może chodzić, i nie zamierzał poświęcać tej sprawie ani trochę czasu więcej. Otworzył leżący przed nim skoroszyt i zaczął mówić.

Simon był zaznajomiony z większością słów. Palily go w uszy nawet po tylu latach. Nawet po Millie. Asthenozoospermia, obniżona ruchliwość, osłona przejrzysta. Mimo jednak że w szkole był dobry z biologii, szybko się pogubił. Starał się zachować skupienie, lecz wbrew sobie co rusz tracił koncentrację; słyszał, co lekarz do niego mówi, ale mało co rozumiał. Zdania rozpadały się na poszczególne wyrazy jak koraliki z rozerwanego naszyjnika. Nie potrafił ich nanizać z powrotem. Coś takiego przytrafiało mu się od czasu do czasu – na spotkaniach z klientami, po kłótni przy lunchu albo wtedy, gdy Daisy zaczynała coś mówić o jego matce. Bynajmniej nie chciał gubić wątku. Tak po prostu się działo. Koncentracja plemników, prędkość poruszania się, ruch niepostępowy. Chciał, aby wreszcie przeszli do pytań. Miał ich mnóstwo. A właściwie tylko jedno: czy zdarzy się kolejny cud? Wyłącznie to się liczyło, nie te wszystkie mądre słowa i procenty...

Zaraz, chwila, ruch niepostępowy? Nie brzmiało to dobrze... Doktor Martell dalej perorował, a Simon – przypomniawszy sobie, ile kosztuje ta wizyta, podwoił wysiłki, aby coś z tego wynieść.

– Przyjmuje się, że u jednego na dwudziestu mężczyzn występuje zbyt mała całkowita liczba plemników w ejakulacie, skąd biorą się problemy z płodnością. Z kolei u zaledwie jednego mężczyzny na stu ejakulat

w ogóle nie zawiera plemników. – Lekarz używał tych wszystkich słów bez cienia wstydu, co zrozumiałe. Simon w podobny sposób mówił o palecie kolorów, fakturze tkanin i ścianach dekoracyjnych. – U pana stwierdzono ruch niepostępowy, co jak już mówiłem, oznacza prędkość mniejszą niż pięć mikrometrów na sekundę. Obawiam się, że to... w połączeniu z małą liczbą plemników w nasieniu... stwarza pewne problemy.

– W jakim stopniu moje plemniki są ruchliwe? – zapytał Simon.

– Zero koma pięć procent przy normie zaczynającej się od trzydziestu ośmiu procent.

Auć. Niedobrze.

– A ta druga liczba? Liczba plemników ogółem? Ile wynosi norma?

– Według Światowej Organizacji Zdrowia od piętnastu do dwustu trzynastu milionów w jednym mililitrze.

Simon skinął głową, choć nic mu to nie powiedziało. Od piętnastu do dwustu trzynastu milionów – to ci dopiero widełki.

– W moim wypadku jest to...? – zawiesił głos.

– Dwa miliony.

Doktor Martell miał na tyle przyzwoitości, że nie uciekł spojrzeniem. Dwa miliony. Nie najlepiej, ale też nie fatalnie. W końcu do zapłodnienia potrzebny jest tylko jeden, nie? Czym w ogóle różni się nasienie od spermy? Simon nie wiedział. Chciał o to zapytać, ale lekarz miał marsa na czole. Próżno było na jego twarzy szukać optymizmu czy pociechy, kiedy podjął:

– Panie Barnes, domyślam się, że nie przekazałem panu nowin. Wyniki naszych badań potwierdziły to, czego się pan dowiedział przed około dziesięcioma laty. Jedyne różnica jest taka, że dziś umiemy podać dokładniejsze liczby, a co za tym idzie, postawić precyzyjniejszą diagnozę.

– Ale można coś na to poradzić? Medycyna czyni postępy. Chłodzenie jąder, oddzielenie złych chłopaków od dobrych. Czytałem o tym.

– W wielu przypadkach można coś zrobić. Obawiam się jednak, że pańskie wyniki nie pozwalają przypisać pana do tej kategorii.

– Jakie są moje szanse? Procentowo? Śmiało, doktorze, nie będę pana trzymał za słowo. Potraktujmy to jak zwykłą wymianę zdań, nie twierdzenie prawnie wiążące. – Simon wybuchnął śmiechem, jakby coś takiego nie przyszło mu nawet do głowy. Wiedział, że musi lekarza rozluźnić. Dziwiło go, że Martell zachowuje aż taką ostrożność. Poprzedni lekarze łapali się brzytwy, jeśli tylko widzieli cień nadziei. Owszem, robili smętne miny i roztaczali czarne scenariusze, ale i tak wyciągali ręce po pieniądze. – No więc? O czym mówimy? Cztery procent szans? Dwa? Jeden? – Simon widział, że doktor Martell czuje się coraz bardziej niezręcznie. Spuścił wzrok, postukał palcami o przypatynowany mahoniowy blat. Bez oporów cały dzień opowiadał o ejakulatach, ale nie mógł z siebie wydusić konkretnej liczby. – Mamy pieniądze – dodał Simon. Jeszcze ich nie mieli, ale znajdą je, już to postanowił.

Doktor Martell westchnął cicho i pochylił się nad biurkiem.

– Panie Barnes, nie jest pan w stanie zapłodnić swojej żony. Cierpi pan na bezpłodność.

Ostatnie słowo raziło Simona niczym broń. Nie mógł mieć kolejnego dziecka. Ta myśl eksplodowała mu w głowie. Dlaczego? Co takiego się stało? Czyżby liczba jego plemników, ich jakość, ruchliwość aż tak się pogorszyły?

Nim zdążył wyartykułować pytanie, doktor Martell odezwał się różnym tonem:

– Oczywiście są pewne możliwości. Jeśli zależy panu na powiększeniu rodziny, doradzałbym skorzystanie z dawcy nasienia, jak poprzednio. Bo to

zadziałało świetnie, zgodzi się pan ze mną?

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

Lekarz sięgnął po skoroszyt.

– Mam tu napisane, że czterokrotnie przeszli państwo procedurę in vitro. Założyłem więc, że Millie została poczęta w wyniku sztucznego zapłodnienia, przy udziale dawcy nasienia.

– Nie. – Simon poweselał, uświadomiwszy sobie, że doktorowi Martellowi umknęła najważniejsza informacja. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Millie została poczęta metodą naturalną. Zaraz jednak ogarnęła go irytacja; płacił chyba wystarczająco dużo, aby móc oczekiwać od lekarza, że przynajmniej nie pomiesza faktów. Siłąc się na spokój, wyjaśnił: – Tu się pan myli. Moja córka została poczęta w sposób naturalny. Wbrew prawdopodobieństwu. Co dowodzi, że jednak jestem zdolny do zapłodnienia swojej żony, ona zaś do donoszenia ciąży. To prawda, że czterokrotnie przeszliśmy procedurę in vitro, ale... – Simon zamilkł. Wyraz twarzy lekarza nagle się zmienił. Martell wciąż był bardzo poważny, ale też jakby zaniepokojony, zaalarmowany czymś.

– Powiedziałem o dawcy nasienia, bo to pierwsze, co przyszło mi do głowy. Ale mogło też dojść do pomyłki w laboratorium. Przykro to mówić, jednak takie rzeczy się zdarzają. Nieczęsto klinika przyznaje się do błędu, co jednak nie zmienia faktu... Oczywiście byłoby to godne ubolewania, trzeba by wszcząć dochodzenie, lecz pan mi mówi, że do zapłodnienia nie doszło drogą in vitro.

– Nie. Poczęliśmy Millie kilka miesięcy po ostatniej, czwartej próbie in vitro. Szczerze powiedziawszy, nie byliśmy nawet pewni, czy spróbujemy ponownie.

– Rozumiem.

– Co pan rozumie? – zdenerwował się Simon.

Doktor Martell znowu westchnął. Był to przejaw smutku, a może żalu.

– Panie Barnes... Mając te wyniki przed sobą, mogę powiedzieć tylko jedno. Jeśli pańska żona ma zajść w ciążę, niezbędny będzie dawca nasienia.

Irytacja Simona przerodziła się w coś potężniejszego. W urazę. Gniew.

– Wyniki są ewidentnie błędne!

– Oczywiście możemy powtórzyć badania – oznajmił doktor Martell z miną człowieka, który jest pewny swego i nie potrzebuje weryfikacji. Następnie złączył czubki palców i oparł na nich brodę. Odczekał tak chwilę, aż do Simona dotarło.

– Ty pieprzony idioto! To ja jestem ojcem Millie! – Lekarz milczał. – Pieprz się, znachorze od siedmiu boleści. Mylisz się! Słyszysz? Kompletnie się mylisz!

Simon zerwał się z krzesła i wypadł na korytarz. Drzwi otworzył przed sobą tak gwałtownie, że skrzydło z impetem uderzyło o ścianę, przekrzywiając obrazki z historycznymi żaglowcami.

5

DAISY

PIĄTEK, 17 CZERWCA 2016

Koncert, w którym udział bierze Millie, zacznie się za dziesięć minut, punktualnie o wpół do szóstej. Jest to pora, która dobitnie świadczy o tym, iż zdecydowana większość uczestników ma poniżej dziewięciu lat, jak również że pracujący rodzice tychże przeżywają gehennę związaną z dojazdem w godzinie szczytu. My dwie zjawiłyśmy się zaraz po lekcjach. Mam to szczęście, że uczę w szkole, do której chodzi Millie. W domu czeka mnie poprawianie kartkówek, musiałam też zamienić się z kolegą na dyżury w świetlicy, ale przynajmniej zjadłyśmy po drodze i jesteśmy przed czasem. Siedzę w pierwszym rzędzie. Krzesło obok mnie jest puste, zarezerwowałam je dla Simona. Przyszło mi o nie dość zaciekle walczyć. Jakaś kobieta miała czelność zwrócić mi uwagę, że zawiadomienie o koncercie zawierało wytyczne zabraniające rezerwowania miejsc na widowni. Wytknęłam jej, że chodzi tylko o jedno miejsce, zatem duch wytycznych nie został złamany. Mówiąc to, czułam, jak płoną mi koniuszki uszu, ale nie oddałam pola. Moment później zadzwoniłam do Simona, aby go ponaglić, ale znów zostałam przekierowana bezpośrednio

na pocztę głosową. Mam nadzieję, że to oznacza, iż jedzie metrem i jest już w drodze tutaj.

Zanim Millie poszła do szkoły, długo debatowaliśmy z Simonem nad tym, czy powinna uczęszczać do tej placówki, w której uczę. Ciągnęło się to miesiącami. Simon przeczytał gdzieś, że dzieci nauczycieli mają albo łatwiej, albo trudniej, ale daleko im do normalności. Przestrzegał mnie, że Millie może ucierpieć, a ja znajdę się w mało komfortowej sytuacji. Zgoda, dziecko może czuć zażenowanie, gdy przyprowadzi do domu kolegę i tenże kolega zdębieje, widząc swojego nauczyciela poza murami szkoły – ja jednak uczę szóstą klasę, nie pierwszaków. Zanim Millie zacznie chodzić do szóstej klasy, wszyscy jej koledzy zdążą się oswoić z myślą, że jestem i nauczycielką, i mamą ich koleżanki. Zdaję też sobie sprawę z tego, że nauczycielom Millie może się nie podobać moja bliskość fizyczna, lecz ja wiem, że nigdy bym nie śmiała nadużywać swojej pozycji. Wiem, że są pewne granice. Obiecałam Simonowi, że będę się zachowywać jak inni rodzice i na pewno nie osaczę w pokoju nauczycielskim nieszczęsnej wychowawczynie, aby wymusić na niej nadprogramową wywiadówkę.

Z mojego punktu widzenia plusy takiego rozwiązania były naprawdę dodatnie i przeważały potencjalne minusy. Po pierwsze lubię swoją szkołę, Newfield Primary. Panuje w niej miła atmosfera, do tego jest wystarczająco mała, aby się w niej łatwo odnaleźć, i odpowiednio duża, by mieściła dzieci z różnych środowisk, co czyni ją reprezentatywną, a to ważna cecha w naszym społeczeństwie. Członkowie grona pedagogicznego są oddani swojej pracy, a przy tym przystępni. Całkiem nieźle się plasujemy w skali Ofsted, co samo w sobie jest ogromnym sukcesem. Nie zapominajmy też o dogodnościach przy podwożeniu do szkoły, odbieraniu z niej i wakacjach. W razie gdy Millie zachoruje albo się zrani, od razu o tym wiem i mogę się nią zająć. Mogę uczestniczyć we wszystkich jej występach i meczach.

A wreszcie, najzwyczajniej w świecie, lubię ją mieć blisko siebie. Tak, to jest dla mnie najważniejsze. Wystarczająco długo się na nią wyczekałam. Teraz chcę ją wdychać bez ustanku. Obiecałam Simonowi, że nie pozwolę, by inne dzieci się na niej wyżywały, i że nie pozwolę jej faworyzować przez wzgląd na mnie. Wypełniając formularz przed jej szóstymi urodzinami, wpisałam Newfield Primary na pierwszej pozycji, po czym mocno trzymałam kciuki. Na szczęście podlegaliśmy pod jej rejon i koniec końców Millie została przyjęta.

Cieszę się z tego zwłaszcza w dni takie jak dzisiejszy. Odkąd zaczęła się uczyć tańca, zdążyłam zrozumieć, jak ważne są te przedstawienia dla niej, jej instruktorki i innych rodziców. Za żadne skarby nie przepuściłabym takiej okazji. Co nie znaczy, że dzisiaj świetnie się bawię, przynajmniej na razie. Czuję się jak na cenzurowanym. Simon mógłby już tu być; torebka leżąca na krześle obok mnie zdaje się głośno krzyczeć. Ciekawa jestem, gdzie usiadła ostatecznie kobieta, która udzieliła mi reprimendy. Nie chcę się rozglądać, aby poszukać jej wzrokiem. Co dziesięć sekund nerwowo sprawdzam komórkę, licząc na wiadomość od męża. Gdy przedstawienie się zacznie, będę musiała wyłączyć telefon, nie tylko go wyciszyć, ponieważ zwykły esemes rozjarza wyświetlacz do tego stopnia, że na sali zrobiłoby się jasno, a to rozkojarzyłoby publiczność, o uczestnikach nie mówiąc. Tak było napisane w wytycznych. Drukowanymi literami. Lista reguł mnie przeraża. Przeczytałam ją i zapamiętałam, jakby została wykuta na dwu kamiennych tablicach. Generalnie stosuję się do zasad. Jako nauczycielka wiem, że są one ustanawiane nie bez powodu.

Bilet Simona zostawiłam w kasie do odbioru. Poinformowano nas, że pierwsza część koncertu odbędzie się bez przerw, płynnie przechodząc z jednego przedstawienia w drugie, i poinstruowano, abyśmy się nie kręcili w tę i w tę, chyba że wystąpi sytuacja awaryjna. Dla zobrazowania, co

organizatorzy uważają za sytuację awaryjną, podano przykład grymaśnego dziecka, które należy jak najprędzej wyprowadzić z widowni. W wytycznych znalazło się dokładnie to określenie: „grymaśne dziecko”, całkiem jakbyśmy znajdowali się w środku dziewiętnastowiecznej powieści. Wyraźnie też zaznaczono, że na rozmowy i przekąski przeznaczony jest antrakt. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie sądzę, aby Simona wpuszczono na salę po podniesieniu kurtyny. Zabroniono nam robić zdjęcia, choć całe przedstawienie zostanie zarejestrowane na DVD, a płyty będzie można zakupić w stosownym czasie. Cóż, Simon będzie musiał się zadowolić nagraniem.

Pomimo raczej drakońskich wytycznych wszyscy wokół zdają się szczerze podekscytowani. Wielu rodziców dzierży bukiety albo pojedyncze róże na długich łądyżkach. Ja sama mam bukietik sześciu małych róż herbacianych ozdobiony gipsówką. Uczestnicy są tradycyjnie wynagradzani kwiatami w ramach uznania ich wysiłku i osiągnięcia, jakim jest występ przed tak dużą widownią. Zresztą kto nie lubi otrzymywać kwiatów?

Światła gasną, rozlega się muzyka. Czuję przypływ podniecenia na myśl, że przedstawienie zaraz się zacznie, oraz ukłucie zawodu i irytacji, że Simon je przegapi. Na scenę wybiegają małe dziewczynki przebrane za stokrotki. Mają chyba po trzy latka, ale nieporadność nadrabiają urokiem. Publiczność ocha i acha donośnie, niemal zagłuszając muzykę, do której mają się poruszać dziewczuszki. Są tak małe, że wychodzi im tylko wirowanie – z pewnością długo ćwiczone równoczesne uniesienie rąbek przypomina raczej meksykańską falę, co jednak nie zmniejsza przyjemności z patrzenia na nie. Gdy stokrotki kończą i dygają słodko – albo po prostu schodzą ze sceny, bo mają dość wrażeń – na widowni rozlegają się głośne brawa. Niektórzy rodzice nawet wstają. Tu i owdzie błyskają flesze; zachwyty ośmielił część osób, które wbrew wytycznym pstrykają zdjęcia.

Zerkam ku drzwiom i siłą woli próbuję zmaterializować w nich Simona. Oczywiście drzwi pozostają szczelnie zamknięte. Ciekawe, czy mój mąż stoi za nimi, czy przebywa zupełnie gdzie indziej, na przykład w pubie. Kto to wie.

Na scenę wbiega następna grupa uczestników. Większość jest przebrana za sople; srebrzystobiałe kostiumy migoczą i lśnią. „Kraina lodu”, rozlegają się szepty wśród widowni – jedno entuzjastyczne, drugie znudzone. Przyznaję, że sama widziałam tę sztukę ze sto razy, jest ona bowiem stałym punktem programu przedstawień szkolnych w każdej podstawówce. Na całe szczęście i tym dzieciom nie brakuje uroku. Występują głównie dziewczynki, ale jest też dwóch chłopców; nadal wiele im brakuje, jeśli chodzi o umiejętności, lecz widać, że bardzo się starają. Twarzyczki mają wykrzywione z koncentracji, gdy zataczają półkola nóżkami z wygiętymi w pałąk stopami czy też przechylają się na jedną stronę z wysoko uniesioną ręką. Od samego patrzenia serce topnieje. Ryzykując napomnienie, dzielę się tą uwagą z siedzącą obok kobietą, gdyż naprawdę trudno jest oglądać coś takiego i nie mieć z kim wymienić wyrazów entuzjazmu. Kobieta potakuje i rzuca:

– Udał się pani żarcik.

Czuję zażenowanie, że bierze mnie za matkę, która chce aż tak bardzo zaimponować innym rodzicom, że wymyśla zabawy słowne.

W trzeciej grupie uczestników występuje Millie. Wszystkie dziewczynki są ubrane w różowe sukienki z rozkloszowanymi spódniczkami, a jedyny chłopiec ma na sobie szorty i koszulkę. Każdy z tancerzy nosi oczywiście baletki. Ich średni wiek to pięć-sześć lat, lecz widać wyraźną różnicę w stosunku do dwu poprzednich grup. Te dzieci potrafią już kontrolować swoje ciało. Zmieniają układ rąk we w miarę skoordynowany sposób (tylko jedno z nich nie radzi sobie z tym),

podskakują dość zgrabnie, choć nie wszystkie naraz, i wirują (przy czym jedna dziewczynka nieomal spada ze sceny). W tym wieku są już na tyle duzi, że powstrzymują się przed pomachaniem rodzicom na widowni. Mniej więcej dwie minuty od rozpoczęcia tańca przychodzi kolej na solowy kawałek Millie. Ćwiczyła go bez końca. Wiem, że jako jej matka nie jestem obiektywna, ale inni rodzice także wstrzymują oddech z podziwu, kiedy zaczyna tańczyć. Millie jest zachwycająca. Jej rączki powiewają niczym chorągiewki na wietrze, gdy porusza się kunsztownie, hipnotyzująco i rozważnie. Z wielką dbałością wygina nóżki, ciało i szyję, podwija paluszki u stóp, aż przestaje być tylko małą dziewczynką, a zamienia się w to, co odgrywa: fruującego motyla. Wszyscy się w nią wpatrują: pozostali tancerze, klęczący wokół niej na scenie, rodzice i dziadkowie siedzący na widowni, nawet pianista i instruktorka tańca. Millie nie spogląda na nikogo w szczególności. Nie przeszukuje wzrokiem publiczności, aby zewrzeć ze mną spojrzenia, nie patrzy w stronę instruktorki ani pianisty, by poddali jej rytm; po prostu pozwala, aby zawładnęła nią odgrywana postać. W tym momencie jest taka, jaka chce być każda mała dziewczynka: śliczna i silna. Elegancko kroczy, wyciągając przed siebie nóżki, rozkłada szeroko ramiona, szykując się do skoku. Mknie przez powietrze jak na skrzydłach... i w tej właśnie chwili z hukiem otwierają się drzwi. Odgłos trzaśnięcia niesie się echem po sali koncertowej.

Większość osób nie umie się powstrzymać, odruchowo się odwraca, odrywa spojrzenie od Millie i biegnie nim do jej ojca.

– Przecież mam, kurwa, bilet – mówi Simon.

Przekleństwa należą do dobrego tonu w środowisku, w którym się obracamy; kastrowanie z nich języka traktowane jest jako przejaw pruderii i drobnomieszczaństwa. Mimo wszystko czerwienię się po same cebulki

włosów. Cóż, widać jestem pruderyjna i drobnomieszczańska. Siedzę wciąż prosto, ze wzrokiem utkwionym w tańczącej Millie. Przyglądam się, jak kończy skok i opada, niestety nie tak wdzięcznie jak podczas prób. Na ułamek sekundy biegnie spojrzeniem ku drzwiom. Już nie jest motylkiem przelatującym z kwiatka na kwiatek; jest małą dziewczynką, która wstydzi się za swojego ojca.

Dzieci rozbiegają się po całej scenie, unosząc się lekko nad podłogą i tupiąc cicho baletkami, ja jednak słyszę wyłącznie ciężki krok mojego męża, który przemierza salę. Dlaczego nie usiadł gdzieś z tyłu? Bez przerwy powtarza: „Przepraszam, państwo wybaczą, czy mógłbym przejść?” tonem niecierpliwym, może nawet sarkastycznym. Do tego mówi trochę niewyraźnie.

Podczas antraktu stoimy obok siebie w lodowatej ciszy. Simon lekko się chwieje. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Zagadywać nas próbują tylko najmilsze matki.

– Te kostiumy są wspaniałe, prawda? – rzuca mama Ellie.

– Drugoklasistki wyglądają jak prostytutki – stwierdza Simon.

Rumienię się i upijam kolejny łyk herbaty. Mama Ellie udaje, że właśnie dostrzegła kogoś znajomego, z kim koniecznie musi porozmawiać.

Na placu boju pozostaje matka Delii.

– Co za wspaniałe ansambl – mówi. To tylko dziecięce przedstawienie, nie żaden ansambl, ale nie poprawiam jej, nie chcę być niegrzeczna. – Cudownie, że wszystkie dzieci dostały jakąś rolę, mimo że nie każde z nich ma wyczucie rytmu. Dzięki temu nikt nie czuje się wykluczony. Macie wielkie szczęście. Millie to prawdziwy talent. Gdyby Delia potrafiła chociaż poruszać się do muzyki, byłabym szczęśliwa. Posyłam ją na te zajęcia głównie dla ruchu. – Uśmiecha się do Simona. Myślę, że chce powiedzieć coś obrazoburczego, co odwróciłoby uwagę od jego skandalicznego zachowania. Miło z jej strony, choć jej strategia nie ma wielkich szans powodzenia. Lekka krytyka własnego dziecka, posądzonego

tu o przeciętność, gdy rzeczony dziecko znajduje się poza zasięgiem słuchu, to nic w porównaniu z chamskim przerwaniem koncertu.

Delia przypomina mnie z czasów dzieciństwa. Wydaje się mocno skrępowana, stojąc na scenie w trykocie. Wydaje się mocno skrępowana, koniec kropka. Matka dziewczynki uważa, że zmuszając ją do występów przed publicznością, pomaga jej zbudować pewność siebie, ale ja myślę, że Delia byłaby szczęśliwsza w zuchach albo w bibliotece.

– Która to Delia? – pyta znieczeka Simon.

– Była w grupie Millie. Stała najbardziej po prawej przez większość czasu. Jest dość wysoka.

Simon prychnął.

– A, tak. Już wiem która. Chyba marnuje pani czas i pieniądze. – Mama Delii czerwienieje na twarzy. Simon zachowuje się tak, jakby nie znał zasad savoir-vivre’u obowiązującego wśród rodziców, a nawet jeśli zna, wyraźnie nie ma najmniejszego zamiaru się do nich stosować. Powinien przecież powiedzieć, że Delia świetnie sobie radziła, tryskała entuzjazmem i w ogóle wykazała się siłą charakteru. Tyle dobrego, że nie nazwał jej grubaską.

Matka Delii oznajmia, że idzie po drugą herbatę.

– Simon, co się z tobą dzieje? – pytam zaczepnie.

– Czy ty poją samą herbatę, do kurwy nędzy?

– Bardzo cię proszę, przestań przeklinać. Tu są dzieci.

– Tak, aż się roi od sióstr i braci, co nie? – Wpatruje się we mnie z zimną intensywnością, która przebija przez jego bardziej rzucający się w oczy stan upojenia.

– Simon, czy ty dzisiaj piłeś?

– Kapkę. Koleżka z pracy, Mickowi, urodziło się dziecko. Znacząco urodziła je jego dziewczyna. Poszliśmy na drinka, żeby to oblać.

– Wiedziałeś przecież, że koncert zaczyna się o wpół do szóstej. Nie miałeś czasu na wycieczkę do pubu. Wyszedłeś z pracy wcześniej? – Na pierwszy rzut oka widać, że to nie był jeden drink.

– Spóźniłem się tylko dziesięć minut. Niewiele straciłem. Do diabła, Daisy! Jeśli będę musiał jeszcze raz wysłuchać dziecięcej wersji piosenki *Mam tę moc*, zacznę się walić tym bukietem po głowie.

Sama chętnie bym to zrobiła, żałując jedynie, że kazałam florystce usunąć kolce, gdyż nie jestem nieodpowiedzialną matką, która wręcza dziecku róże z kolcami. Przeszkadza mi w tym jednak gong wzywający na drugą połowę przedstawienia.

– Zaczekam na was na zewnątrz – oznajmia Simon.

– Nie ma mowy. Musisz wejść na widownię.

– Przecież Millie już była na scenie.

– Pojawi się na niej ponownie przy okazji bisu. Wystąpią wtedy wszystkie dzieci. – Simon wpatruje się w czubki swoich butów. – Simon, proszę.

Wzrusza ramionami i idzie za mną na salę, choć robi to z miną psa skarconego przez właściciela. Wściekłego psa, który może w każdej chwili ugryźć.

6

SIMON

Simon wysiedział do końca koncertu, lecz bez entuzjazmu. Przyglądanie się, jak dzieci innych ludzi płasają na scenie, jest do zniesienia, pod warunkiem że czeka się na występ własnego. Z jednej strony było mu wstyd, że nie widział Millie, z drugiej zaś czuł pewną ulgę. Patrzenie na nią przychodziło mu z trudem od ostatniej wizyty w klinice leczenia niepłodności, co przyznawał z bólem nawet sam przed sobą. Ogromnie ją kochał. Tym bardziej więc poczuł się zraniony. Ta niepewność jątrzyła.

Zerknął na Daisy spod opuszczonych powiek, jakby spoglądał na słońce. Tylko na tyle było go teraz stać. Spojrzenie wprost nie wchodziło w grę, musiał uważać, musiał chronić siebie samego. Doktor Martell bez wątpienia się pomylił. Nie mogło być inaczej. Nie było, kurwa, mowy, żeby Daisy go zdradziła. Lekarz myślał, że skorzystali z dawcy nasienia, czego nie uczynili. Myślał, że Millie urodziła się w wyniku zapłodnienia in vitro, co nie miało miejsca. Ewidentnie zapoznał się wyłącznie z tymi faktami, które udostępnił mu Simon, nie zgłębił ich przypadku dokładniej. Rzekomy ekspert poczynił założenia, popełnił błędy. Komuś takiemu nie można ufać. Wyniki badań Simona też pewnie były nieprawdziwe. Otóż to. Przy pierwszej turze testów mówiono o „niewielkich” szansach zapłodnienia, jeden lekarz użył określenia „minimalne”. Nikt nigdy jednak nie przekreślił

ich zupełnie. Nikt nigdy nie wypowiedział słowa „bezpłodność”. Tak, to na pewno pomyłka. Ewentualnie jego stan aż tak się pogorszył od poprzedniego razu. To możliwe, nie? Wszyscy wiedzą, że płodność kobiet drastycznie spada wraz z przekroczeniem przez nie czterdziestki, to samo musi dotyczyć mężczyzn. Prawda? Te wyjaśnienia były znacznie bardziej prawdopodobne od tego, które zasugerował doktor Martell. Daisy go nie zdradziła. Sam pomysł był śmieszny. Simon był ojcem Millie.

W ogóle nie była do niego podobna. Miała jasne włosy, cienkie i kręcone, do tego błękitne oczy, podczas gdy jego włosy były gęste, ciemne i faliste, a oczy brązowe. Dotąd zawsze myślał, że Millie odziedziczyła urodę po kądzieli. Chociaż nie była też całkiem podobna do Daisy. Owszem, jego żona miała niebieskie oczy, ale ciemniejsze, a przy tym innego kształtu; jej włosy zaś były rude. Simon rozejrzał się wokół. Pośród siedzących na widowni rodziców znajdowały się też dzieci – bracia i siostry uczestników. W wielu przypadkach wydawały się idealnymi kopiami dorosłych, co musiało świadczyć o genetycznym pokrewieństwie. Jednak równie często różniły się od nich, i to znacznie. Simon pokręcił głową. To jakieś szaleństwo. Jak mógł w ogóle dopuścić do siebie taką myśl? Powinien powiedzieć Daisy, co usłyszał od doktora Martella. Przyznać się, że wykonał testy z wyprzedzeniem, aby przyspieszyć sprawę. Przecież to nic wielkiego. Wtedy mógłby zadać jej pytanie prosto z mostu. Oczywiście wybuchnęłyby śmiechem. Albo uderzyłyby go za to, że śmiał tak źle o niej pomyśleć, nawet to jednak byłoby lepsze od katuszy, które cierpiał w tej chwili. Tak, odpowiedź Daisy wszystko by wyjaśniła. Simon był tego pewien. Prawie.

Wrócił pamięcią do chwili, gdy Daisy mu powiedziała, że jest w ciąży. Cóż, właściwie to mu nie powiedziała. Nie wręczyła mu pary malusich dzierganych różowo-niebieskich bucików, jak zrobiła to ich przyjaciółka

Connie, informując w ten słodki sposób swego męża Luke'a o tym, że spodziewa się trzeciego dziecka. Simon musiał sam podnieść ten temat. Gdy to uczynił, okres Daisy spóźniał się już o sześć tygodni. Nie śmiał nawet marzyć o tym, że jest w ciąży, obawiał się, że dopadła ją jakaś choroba. Znał jej cykl równie dobrze jak ona sama, tak to już bywa u par starających się zaciekle o dziecko. Daisy od paru tygodni miała huśtawkę nastrojów i stała się jakaś płacziwa. Wszystko przez hormony. Odrzucało ją od jedzenia. Raz nawet ją przyłapał na wymiotach, które dopiero dużo później skojarzył z porannymi mdłościami; na bieżąco ten pomysł nawet nie zaświtał mu w głowie. Nie śmiał być dobrej myśli. Pewien czas temu przestali próbować. Nie miał więc czego wyczekiwać.

Któregoś ranka przy śniadaniu obserwował, jak Daisy bawi się płatkami w misce, zamiast przenosić je łyżką do ust.

– Źle się czujesz? Może powinnaś pójść do lekarza?

– Tak i nie – odparła, podnosząc na niego spojrzenie.

Wtedy dostrzegł, że emanuje z niej jakby blask. Tkwiło w niej coś wspaniałego, ale ocienione obawą, strachem. Simon miał takie wrażenie, jakby przyglądał się wspaniałemu widokowi przez brudne okulary.

– Daisy, o co chodzi? – zapytał. Pragnął ująć ją za rękę, lecz zdawała się taka odległa.

– Nie jestem chora. Jestem w ciąży.

Ostatnie słowo wypowiedziała ostrożnie, jakby był to sekret. Poczuł, jak wyraz ten nabiera znaczenia w jego głowie, w jego sercu.

– To pewne?

Daisy potaknęła skinieniem.

– Dziewiąty tydzień – odpowiedziała lekko chropawym głosem.

Zaczął się śmiać. Parskał przez nos, nie potrafił się opanować, tak żywe były jego uczucia.

– Dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej?

– Bałam się zapeszyć.

Choć tak to ujęła, rozumiał, co ma na myśli. Żadne z nich nie śmiało mieć nadziei. Wreszcie znów mógł dotknąć żony. Przygarnął ją do siebie i zamknął w objęciach. Niemalże poderwał ją w górę i okręcił, ale w panice szybko zrezygnował z tego pomysłu, nie chciał niczego naruszyć, okazać się niedelikatny. Jakby czytając mu w myślach, rzuciła:

– Wiem! To takie przerażające, prawda?

Zaczął obsypywać ją pocałunkami.

– Musimy otworzyć szampana! Chwila, nie. Tobie nie wolno. Ale ja mogę. Tak, zdecydowanie muszę się napić. – Wcale nie był przerażony; czuł się wspaniale, genialnie.

Daisy wybuchnęła śmiechem.

– Cieszysz się?

– Zwariowałaś? Co to za pytanie! Powiedzieć, że się cieszę, to nic nie powiedzieć. – Szczerzył się od ucha do ucha. Często słyszał, jak ludzie to mówią, lecz dopiero w tej chwili pojął, co to tak naprawdę oznacza.

– Jedna na trzy ciąży kończy się poronieniem. Statystycznie – szepnęła do niego.

– Ciii... Nie myśl o tym.

Daisy się rozluźniła. Z jej czoła zniknął mars. Oboje tak bardzo pragnęli tego dziecka, że musi im się udać, zdołają zapewnić zarodkowi bezpieczeństwo.

– Zrobiłaś sobie test ciążowy, tak? – Znów ogarnęła go panika. A jeśli się pomyliła?

– Zrobiłam sobie trzy testy – odparła ze śmiechem. – Mam jeszcze jeden, na wypadek gdybyś chciał, żebym to powtórzyła.

Chciał. Wynik wyszedł pozytywny. Mały znak plusa.

Plus! Najwspanialszy znak świata! Bezzwłocznie zaczęli się chwalić znajomym. Daisy wolałaby z tym zaczekać, ale Simon był w gorącej wodzie kąpany: dziewięć tygodni czy dwanaście, co za różnica? Zresztą ich najbliżsi byli wtajemniczeni w sprawę w takim stopniu, że ukrywanie przed nimi prawdy równałoby się opowiadaniu kłamstw. Wszyscy wiwatowali. Szampan lał się strumieniem; Daisy odmawiała alkoholu z uśmiechem, a Simon pochłaniał każdego drinka, jakiego mu zaproponowano. Siostra Daisy, Rose, się popłakała. Connie skakała z radości i klaskała w dłonie jak dziecko. Udało im się! Udało im się powołać do życia nowe istnienie!

Ale czy na pewno?

Simon otrząsnął się z zamyślenia, gdy Daisy dała mu sójkę w bok. Wzdrygnął się, jakby wyrwała go ze snu.

– Spałeś? – Popatrzyła na niego z gniewem.

– Nie, rozpamiętywałem. – W ustach mu zaschło, głos miał chropawy.

Na scenie królowała Millie. To znaczy występowali wszyscy uczestnicy, ale Millie wyróżniała się na ich tle. Trzymała wielki bukiet róż, który następnie wręczyła instruktorce tańca, poruszając się na paluszkach z wielkim wdziękiem tycimi kroczkami. Simon wstał, by wznieść radosny okrzyk, ale stracił równowagę. Krzesła były gęsto ustawione, wylądował więc na siedzącej obok niego kobiecie. Było to bardzo zabawne. Wszyscy skierowali na niego spojrzenia. I wybuchnęli śmiechem.

7

DAISY

Wdrodze powrotnej do domu ledwie mogę patrzeć na Simona. Nie dość, że cuchnie alkoholem, to jeszcze zepsuł koncert naszej córki. Millie nie zamyka się buzia. Papie nieprzerwanie, odkąd wypadła zza kulis i rzuciła nam się w ramiona. Wręczyłam jej bukiet, który ją zachwyił.

– Widzieliście mnie? Widziałeś mnie, tato? – pyta z twarzą pełną nadziei, ale też troski, gdy przyjrzeć się uważniej.

– Tak – odpowiada Simon.

Millie robi powątpiewającą minę.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Kłamstwa przychodzą Simonowi z łatwością. Nie uważam, że powinien kłamać, a już z pewnością nie tak lekko. Wolałabym, aby się przyznał, że spóźnił się nieco. Millie byłaby rozczarowana, ale przynajmniej wiedziałyby, że nie minął się z prawdą. – Byłaś gwiazdą wieczoru – dodaje mój mąż. Oczywiście to prawda, co powiedział, lecz w jego ustach brzmi jakoś fałszywie.

Do domu przychodzimy w samą porę, aby odebrać dostawę zakupów z supermarketu. Poprosiłam, żeby w naszym przypadku zrezygnowali z reklamówek, które są niedobre dla środowiska, ale to oznacza, że

dostawca musi czekać, aż rozpakuję skrzynki, co z kolei nie jest zbyt dobre dla niego, jako że czas to pieniądz. Simon idzie prosto na górę.

– Przygotujesz dla niej kąpiel? – wołam za nim, lecz nie odpowiada.

– Sama to zrobię – oferuje wciąż podekscytowana Millie. Do tej pory nie przestała tańczyć, triumf z powodu udanego przedstawienia utrzymuje ją w powietrzu, tak że ledwo dotyka ziemi. Moja córka jest bardzo niezależna; lubi zachowywać się jak dorosła i być samowystarczalna.

– Zgoda, tylko uważaj na kurek z gorącą wodą – przestrzegam.

Millie kiwa głową i oddała się w podskokach do łazienki. Upuszczam plecak, który noszę zamiast torebki. Jest bardzo ciężki, mam w nim ponad trzydzieści zeszytów, które czekają na sprawdzenie jeszcze tego wieczoru. Chyba będę musiała kupić sobie wózek na kółkach, taki do ciągnięcia za sobą, z rodzaju tych używanych przez starsze panie. Wiem, że to w złym guście, ale przynajmniej przestaną mnie boleć plecy. Proszę dostawcę, aby zaczekał chwilę. Mężczyzna stoi na środku kuchni z plastikowymi skrzynkami w dłoniach. Też wyglądają na ciężkie.

– Proszę je postawić gdziekolwiek – mówię. A potem znów wołam w górę schodów: – Simon, przypilnujesz Millie przy kąpeli? Ja zajmę się zakupami. – Czekam na jakąś reakcję, ale nadaremno. Rzucam dostawcy przepaszające spojrzenie. Wciąż trzyma skrzynki przed sobą; w zasięgu wzroku nie ma żadnego oczywistego miejsca na to, by je złożyć. – Może być na podłodze – dodaję. – Tak, tak będzie dobrze. – Mężczyzna nie może wyjść, dopóki nie rozpakuję zakupów. – Jeszcze tylko momencik. – Wbiegam po schodach, krzycząc: – Simon, hej, Simon, gdzie jesteś? Przypilnuj, proszę, Millie podczas kąpeli!

Zaglądam do łazienki. Millie tam nie ma. Pewnie przebiera się w swoim pokoju, choć zdążyła już odkręcić kurki. Upewniam się, że korek jest szczelnie wetknięty, po czym nieco przykręcam gorącą wodę i odkręcam

zimną. Lepiej, żeby wykąpała się w letniej wodzie niż w ukropie. Ledwie się prostuję, do łazienki wpada Millie, sięga po płyn do kąpieli i ostrożnie dolewa go do coraz bardziej pieniącej się wody. W powietrzu momentalnie unosi się chemiczny zapach mający przypominać woń truskawek. Moja córka piszczy z zachwytem na widok powiększających się i pękających co rusz baniek. Chcę jej pomóc się rozebrać, ale odsuwa się ode mnie.

– Potrafię sama!

Zdecydowanie za szybko dorasta.

Gdzie podziewa się Simon? Dom nie jest duży, musiał więc słyszeć, jak do niego wołam. Albo siedzi na toalecie, albo jest w sypialni. Zostawiam Millie, żeby dokończyła rozbieranie, po czym wkraczam do naszej sypialni. Kątem oka dostrzegam ruch; Simon chyba leżał i właśnie gwałtownie się podniósł. A może... Podchodzę w paru krokach do łóżka i zaglądam pod nie. Od razu wpada mi w oko piersiówka whisky. Okazuje się, że intuicja mnie nie zawiodła – Simon schował butelkę, słysząc, że się zbliżam.

– Co to, u diaska, ma być?

– Nic – odpowiada nadąsany. Ton głosu ma zarazem obronny i wyzywający. – Od kiedy to człowiek nie może się napić po ciężkim dniu w pracy?

Był na drinku z Mickiem z biura. Przez co przegapił występ córki. Tak przynajmniej się tłumaczył. Nie mówię tego jednak głośno. Nie mam czasu. Niepotrzebnie przetrzymuję dostawcę w kuchni.

– Owszem, może. Tyle że ludzie zwykle piją w kuchni albo w salonie i najczęściej w towarzystwie.

– Golnąłem sobie dla kurażu.

Dlaczego w takim razie schował przede mną butelkę? Do moich uszu dolatuje odgłos lejącej się wody. Porozmawiam z nim o tym później.

– Pomożesz się Millie wykąpać? Muszę rozpakować zakupy.

Zabieram butelkę na dół. Whisky chlupocze w niej tylko na dnie. Wzdycham. Nie cierpię, gdy Simon popija w ukryciu. Przecież nie musi. Zawsze może otworzyć butelkę wina do obiadu. Nigdy mu nie zabroniłam. Osobiście staram się nie pić alkoholu w tygodniu. Kac i trzydzieścioro jedenastolatków to niezbyt dobre połączenie. Czasami, żeby dotrzymać Simonowi towarzystwa, wypijam z nim pół kieliszka wina. W weekendy jest inaczej. Nawet wtedy jednak nie piję więcej niż kieliszek, góra dwa. Millie nie lubi poleżeć w niedzielę rano jak inne dzieci, wolę więc mieć jasną głowę.

Słyszę, że dostawca pokasłuje znacząco. Ma rację, że mnie popędza. Wbiegam do kuchni i rzucam w locie przeprosiny. Wykładam produkty na wszystkie dostępne powierzchnie, nie robię halo z powodu zamienników i czym prędzej pozbywam się mężczyzny. Później zaczynam robić porządek w lodówce, usuwając przeterminowane produkty i te, których data przydatności do spożycia wkrótce minie. Zastanawiam się, czyby nie umyć szuflady na warzywa, bo w dalszym rogu jeden pomidor zginął przez rozgniecenie i wygląda obecnie jak eksperyment przyrodniczy z lekcji o pleśniach w trzeciej klasie podstawówki. Wyciągam nieporęczną szufladę, ale mogę tylko powieść po kuchni bezradnym wzrokiem, ponieważ w zlewie stoją brudne naczynia z rana, które powinny być dawno w zmywarce – i byłyby, gdyby nie to, że są w niej czyste naczynia z wczorajszego wieczoru, które dla odmiany powinny być dawno w szafce. No dobra. Muszę zaprowadzić tu porządek. Zaczynam się kręcić po kuchni. Najpierw rozładuję zmywarę, potem zapełniam ją brudnymi naczyniami, których część stoi gdzie bądź. Następnie myję szufladę na warzywa i dopiero teraz mogę zacząć szukać miejsc na nowe produkty. Właśnie zaczynam się cieszyć, że chaos, który zastałam po przyjściu, powoli znika, gdy nagle rozlega się wrzask Millie. Głośny i przyprawiający

o ciarki wrzask, nie radosny pisk. Przebija z niego ból i panika. Rzucam się w kierunku schodów, pokonuję stopnie po dwa naraz i wpadam do łazienki.

W pierwszej chwili myślę z ulgą, że skoro płacze, to znaczy, że żyje, że nie utonęła. Moment później dostrzegam krew, dużo krwi rozsmarowanej na tylnej ścianie, na rączkach i buzi Millie. Gwałtownie wyciągam córkę z wanny, trzymam ją mocno, mimo że jest mokra i śliska. Oglądam ją szybko.

– Co się stało? Gdzie cię boli?

– Poślizgnęłam się i uderzyłam w głowę. – Wskazuje potylicę.

Żołądek mi się wywraca. Widzę paskudne rozcięcie i silny krwotok. Chwytam ręcznik i przykładam go do rany w próbie zahamowania krwawienia. Uświadamiam sobie, że czerwień na twarzy Millie pochodzi z jej dłoni, którymi obmacywała sobie czaszkę. Czuję metaliczny zapach. Robi mi się niedobrze, ale nie mogę sobie pozwolić na chwilę słabości, muszę być skupiona, użyteczna. Owijam Millie całą w drugi ręcznik, po czym ją podnoszę. Wypłakuje się w moje ramię. Jej drobnym ciałkiem wstrząsa szloch.

– Musimy pojechać na pogotowie – mówię. – Lekarz cię obejrzy, ale nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Wołam Simona, on jednak nie odpowiada. Nie mam czasu go szukać. Szybko ubieram Millie w spodnie i koszulkę, po czym przenoszę ją do samochodu i jadę do najbliższego szpitala.

Gdy wracamy z pogotowia, dom jest pogrążony w ciemnościach. Millie ma opatrzoną głowę i nalepkę „dzielny pacjent”. Zasnęła na tylnym siedzeniu samochodu. Normalnie, gdy zasypia, czuję ulgę. W ciągu dnia rozpiera ją energia, dlatego wieczorem modlę się w duchu, aby padła jak ścięta. Obecnie jednak fakt, że Millie śpi, budzi mój niepokój. Jej sen wydaje się

głęboki, przerażający. Dostałam od lekarza ulotkę, która mówi, jakich znaków mam wypatrywać: ospałości, zawrotów i bólów głowy, kłopotów z pamięcią. Sama lektura przyprawia mnie o mdłości. Niewiele brakowało. Miły młody lekarz pogotowia powiedział, że nabiła sobie „niezłego guza”. Zadawano mi mnóstwo pytań. „Kto pilnował dziecka, kiedy się poślizgnęło?” „Ojciec”, odpowiedziałam. Nie potrafiłam się zdobyć na szczerość, przyznać, że Millie była w łazience sama. Oboje ją zawiedliśmy. Na szczęście to nie wstrząśnienie mózgu, ale z urazami głowy należy bardzo uważać. Będę ją budziła co parę godzin tej nocy. Oczywiście nie spodoba jej się to, ale trudno.

Wyciągam Millie z samochodu i niosę ją do domu. Jej stopy dyndają sporo poniżej moich kolan. Jest już za duża, by ją tak nosić, ale dziś zamierzam trzymać ją blisko siebie, jak najbliżej. Opuszczam ją delikatnie na łóżko, a ona instynktownie obraca się na bok, ponieważ rana na głowie jest zbyt poważna, aby mogła spać na wznak. Ta myśl przeszywa mi serce. Przejęłabym na siebie jej ból, gdybym tylko mogła. Całuję córkę w czoło, a ona szepcze:

– Nie martw się, mamusiu. Już nie boli.

Powieki opadają jej momentalnie jak zamknięta szarpnięciem roleta w witrynie sklepowej.

Przechodzę do łazienki. W wannie stoi woda, różowa od krwi Millie. Doznaję ponownie szoku na widok czerwonych śladów rączek na kafelkach. Widzę, gdzie upadła; w jednym miejscu krwi jest najwięcej, zdążyła zaschnąć grubą warstwą. Na krawędzi wanny także widnieją szkarłatne odciski jej dłoni. Wyciągam korek z odpływu i za pomocą słuchawki prysznicowa spłukuję wszystko jak najdokładniej.

– Co tu się dzieje? – Simon staje w drzwiach łazienki. Przeciera oczy; najwyraźniej przespał cały czas, który spędziłyśmy na pogotowiu, bite

cztery godziny. Kiedy nasza córka się zraniła, też pewnie spał.

– Millie się poślizgnęła, wychodząc z wanny!

– Daisy! – W jego głosie słyszę oskarżenie. Uważa, że to moja wina, i chyba faktycznie tak jest. Nie powinnam była mu ufać.

Miażdżę go spojrzeniem.

– Prosiłam, abys ją wykąpał albo chociaż przypilnował. Mogła się utopić!

Robi skruszoną minę, ale już po sekundzie patrzy na mnie wyzywająco.

– Ale się nie utopiła!

– Poważnie zraniła się w głowę. Na pogotowiu skleili jej ranę.

– Skleili?

– To nowa technika, zamiast szwów.

– Wszystko z nią dobrze?

Wiem, o co mu chodzi, ale nie zamierzam karmić go gładkimi słówkami. Jestem na to zbyt rozgniewana.

– Nie. Przecież ci mówię! Rozbiła sobie głowę, stłukła łokieć. Bardzo się przestraszyła. Straciła mnóstwo krwi, ma wiele siniaków...

– Muszę się napić. – Simon się wycofuje i kieruje na dół po schodach.

Jestem wściekła. Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam. Zaraz jednak wzdycham. Czego się spodziewałam? Co mógłby teraz zrobić albo powiedzieć? Wracam do sprzątanía łazienki. Chcę, żeby była czystsia, zanim Millie znowu do niej wejdzie. Pozbywszy się śladów wypadku, łapię jeszcze jej dzienne ubranie i wrzucam do kosza na brudy. W drodze na parter zaglądam znowu do pokoju córki, by sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje, potem dołączam do Simona w kuchni.

Mój mąż stoi przy ladzie w ciemnościach; zadał sobie trud włączenia tylko lampek w okapie nad kuchenką. Nie pstrykam kontaktem od górnego

oświetlenia; uważam, że byłoby zbyt oślepiające. Półmrok daje nam osłonę, której – z powodów, których nie rozumiem ani nie umiem wyjaśnić – najbardziej teraz potrzebujemy.

– Zjesz coś? – pytam. – Ja jestem głodna.

Ominęła nas kolacja. Na większą ugodowość w tej chwili mnie nie stać. Oczywiście wiem, że nie mogę winić Simona o upadek, przynajmniej nie w całości. Zdawałam sobie sprawę z tego, że jest wstawiony i ma nie najlepszy nastrój. Powinnam była rozpakować zakupy, a potem wykąpać Millie sama. Nie powinnam była ulec sześciolatce ani polegać na mężu. Powtarzam sobie to wszystko, aby stłumić gniew na niego, ale szybko się przekonuję, że tak naprawdę gniewam się na Simona o coś innego. Nie o upadek, lecz o to, że nie mogę mu ufać.

Simon sięga po wino ze stojaka. Wysuwa butelkę zręcznym ruchem, czemu towarzyszy znajomy odgłos szkła ocierającego się o drewno. Dźwięk tak dobrze znany jak przy otwarciu lodówki czy trzaśnięciu drzwi do ogrodu albo włączeniu telewizora – odgłos typowy dla naszego domu, nie do pomylenia z niczym innym.

– Chcesz kieliszek?

– Nie, jak dla mnie jest za późno – odpowiadam znacząco. Po czym ośmielam się dodać: – Nie sądzisz, że dość już dziś wypiełeś?

– Nie, nie sądzę – odwarkuje, mocując się z korkiem, po czym bierze do ręki czysty kieliszek.

Zdecydowanie wypił dziś dość, a nawet za dużo. Dlaczego tego nie widzi? Dlaczego nie umie tego przyznać?

Co jakiś czas wracamy do tego punktu. Simon lubi sobie wypić, z czasem zaczyna pić coraz więcej. Dotąd zwykle przeczekiwałam ten okres. Po miesiącu albo po roku Simon dostrzegał, że przesadza, i ograniczał picie. Nikt nie jest idealny. Wszyscy mamy swoje problemy.

Szczególnie dużo pił wtedy, gdy staraliśmy się o dziecko. Nadal sporo pije, gdy w pracy ma pod górkę. Co gryzie go teraz? Boję się, że ma to coś wspólnego z pragnieniem posiadania drugiego dziecka. Nasza wizyta w klinice leczenia niepłodności wypadła nadzwyczaj dziwnie. To, jak Simon stamtąd wybiegł, było naprawdę zastanawiające. Kiedy go zapytałam, co takiego doktor Martell powiedział, że tak go to zdenerwowało, odparł, że w ogóle nie miał okazji porozmawiać z lekarzem, że kazano mu czekać w nieskończoność w pustym gabinecie. Twierdził, że właśnie to wyprowadziło go z równowagi, ten kompletny brak manier. Arogancja. „Wiedziałem, że ci nie zależy na tej wizycie, Daisy, więc po prostu odpuściłem. Pomyślałem, że machnę na to ręką”. Z jakiegoś powodu mu nie wierzę. Przypuszczam, że poszło raczej o jego picie, jak prawie zawsze. Może poczuł się niewyraźnie, może doktor Martell zauważył, że Simon nie jest do końca trzeźwy, może nagle zapragnął drinka bardziej niż dziecka. Tak czy owak wylądował w pubie.

Tylko co do jednego miał rację – nie chciałam być znowu w klinice leczenia niepłodności. Ulżyło mi, gdy wypadł na zewnątrz, tak że nie pozostało mi nic innego, jak zabrać Millie i nasze rzeczy i wyjść za nim. Nie dopytuję, czy policzono nam za wizytę pełną stawkę, nie obchodzi mnie to. Chcę, żeby ta sprawa umarła śmiercią naturalną. Cieszę się, że przestał wspominać o rodzeństwie dla Millie. Ale nie mogę ignorować faktu, że znów się rozpił. To już nie picie dla przyjemności. To nawet nie picie z musu. Simon pije, jakby miał w tym jakiś cel. Z wielką determinacją. Zupełnie jakby miał coś znaleźć na dnie butelki. Może zapomnienie?

– Posłuchaj mnie... – zaczynam. – Byłeś pijany i przez to spóźniłeś się na koncert, po czym wróciłeś do domu, napiłeś się jeszcze i zasnąłeś, zamiast przypilnować Millie. Jak mogłeś ją tak zawieść?

Zmuszam się, aby na niego spojrzeć. Nie chcę tego robić, ponieważ w tej chwili napawa mnie obrzydzeniem. Jest winny. Millie się zraniła i jutro nadal będzie cierpieła ból; jest w szoku, przestraszona, a w ogóle to mogło być znacznie gorzej. Nawet nie chcę o tym myśleć. Gdy w końcu wbijam wzrok w męża, mój gniew opada, rozwiewa się. Simon wpatruje się w blat. Ma smutną, zmieszaną minę.

– Nie chciałem jej zawieść – mówi z westchnieniem i wygląda przez tylne drzwi na zewnątrz.

Podążam za nim wzrokiem i chyba widzę lisa przy kubłach na śmieci.

„Nie chciałem jej zawieść”? Jakim trzeba być człowiekiem, aby zawieść kogoś celowo?

– Chcesz o czymś ze mną porozmawiać? – zwracam się do jego odbicia w szybie.

Simon potrząsa głową. Stoimy w milczeniu przez ponad minutę. W końcu mąż pyta:

– A ty, Daisy?

– Nie.

Ujmuje butelkę i nalewa drugi kieliszek czerwonego wina, a ja wkładam do tosterka dwie kromki chleba. Jemy i pijemy w milczeniu.

8

SIMON

SOBOTA, 18 CZERWCA 2016

Simon naprawdę chciał jakoś zadośćuczynić Millie za to, że zostawił ją samą w łazience. Myśląc o jej rozbitej głowie i bolącym łokciu, wyobrażając sobie panikę i strach, które musiała poczuć w momencie, gdy się poślizgnęła – nienawidził siebie z całego serca. W sobotę rano wstał więc wcześniej i razem z Millie smażył naleśniki. Pierwsze były mocno nieudane, ale wmówił córce, że są podobne do uszu Myszki Miki, a dziewczynka była na tyle wspaniałomyślna, że się z nim zgodziła. W końcu wpadł w rytm i narobił ich znacznie więcej, niż mogli zjeść. Część zanieśli Daisy do łóżka, ponieważ Millie nalegała, mimo że śniadanie w łóżku było zarezerwowane na specjalne okazje takie jak urodziny czy Dzień Matki. Tak się jednak złożyło, że Daisy brała już prysznic. Wspólnymi siłami przekonali ją, aby narzuciła na siebie szlafrok i wróciła do łóżka, gdzie podali jej tacę z naleśnikami. Stwierdziła, że są przepyszne. Wszyscy dużo się uśmiechali. Simon najpierw uśmiechał się lękliwie, potem z nadzieją, a na koniec z nieskrywanym zadowoleniem z siebie. Uśmiechy Daisy były niepewne, chyba nawet wymuszone, z całą

pewnością nie tak szerokie, na jakie liczył. Tylko Millie uśmiechała się promiennie i bez podtekstów. Dzięki temu wszyscy czuli uniesienie. Zupełnie jakby trafili na łódź ratunkową.

Daisy oznajmiła, że ma dużo zeszytów do sprawdzenia. Simon uświadomił sobie, że zapewne chciała to zrobić zeszłego wieczoru, co jednak okazało się niemożliwe z powodu wizyty w szpitalu. Sobotnie poranki Millie zwykle spędzała w szkole baletowej, a Daisy w tym czasie poprawiała klasówki w samochodzie, ponieważ instruktorka tańca podchodziła do sprawy poważnie i nie pozwalała matkom przesiadywać na parkiecie pod ścianą, gdzie mogłyby rozmawiać między sobą i przeszkadzać dzieciom w nauce. Z tym że Millie miała zakaz tańczenia przez najbliższy tydzień, a może nieco dłużej. Simon zaproponował, że zabierze ją do parku, ale nawet to wzbudziło w Daisy obawy.

– Millie nie może się bawić na huśtawkach ani karuzelach. Ma podejrzenie wstrząśnienia mózgu.

– Będziemy tylko spacerować – odparł. Daisy nie wyglądała na przekonaną. Widząc, jak mocno marszczy brwi, Simon postanowił nie ciągnąć tematu. Chciał zapewnić dziecku zajęcie, ale też udobruchać żonę. Obudził się z wielkim poczuciem wstydu. Oczywiście, że Millie to jego córka. Oczywiście, że Daisy nigdy by go nie zdradziła i nie wmówiła mu, że dziecko innego mężczyzny jest jego. Szaleństwem było choćby tak myśleć. Wstydził się własnej głupoty i cieszył, że nie zdążył się z nikim podzielić swoimi obawami. Całe szczęście, że ludzie nie umieją sobie nawzajem czytać w myślach. – To może pójdziemy kupić namiot? – zasugerował.

Millie od tygodni wierciła im dziurę w brzuchu, że chce pojechać na kemping. W czasie ferii widziała ludzi rozbijających namioty przy plaży i z miejsca się zachwyciła przygodą i wolnością, jakie oferowało spanie pod

gołym niebem. Do tej pory nie mieli w domu sprzętu kempingowego, ponieważ Daisy nie bawiły kempingi. W przeciwieństwie do niej Simon w dzieciństwie należał do zuchów, a jako nastolatek spędził kilka nocy pod gołym niebem, głównie po koncertach rockowych. Roilo mu się w głowie, że pewnego dnia wybiorą się na biwak całą rodziną i zrobi na swoich dziewczynach wielkie wrażenie, chwając się swoimi umiejętnościami rozbijania namiotu. A jeśli Daisy nie będzie się do tego rwała, to zabierze na kemping tylko Millie, na córczyno-ojcowską wyprawę we dwoje. Oczywiście nie teraz, gdy Millie miała wypadek. Ale robiło się coraz cieplej, mogliby zacząć od rozbicia namiotu w ogrodzie, by sprawdzić, czy Millie w ogóle złapie bakcyła. Gdyby tak się stało, zawsze mogli się wybrać gdzieś dalej w późniejszym czasie. Wspomniał o tym żonie, pilnując, aby ich córki nie było w zasięgu słuchu, ponieważ wiedział, że Daisy woli omówić wszystko na spokojnie i podjąć decyzję bez nacisków ze strony nadmiernie rozentuzjasmowanej dziewczynki.

– Zapomniałyby o wypadku – tłumaczył. – Zresztą nie musimy nawet kupować namiotu, możemy go od kogoś pożyczyć.

– Nie jestem pewna... Nie ma mowy o całej nocy pod namiotem, nie teraz, gdy musimy mieć ją ciągle na oku. Ale może moglibyście zrobić sobie biwak za domem, ugotować coś na kuchence turystycznej. Millie zasnęłaby na dworze, a ty byś ją potem przeniósł do domu.

Gdy Millie usłyszała o tym pomysle, aż podskoczyła z radości. Simon zabrał ją metrem do Luke'a i Connie Bakerów, którzy mieli troje dzieci i wszystkie te ustrojstwa, jakie powinna mieć londyńska rodzina. Były wśród nich małe składane krzeselka „w sam raz na zakończenie roku szkolnego czy wyścigi”, były kosze piknikowe z zastawą i sztucami „na czas festiwalu operowego w Glyndebourne”, a nawet bagażnik dachowy niezbędny raz do roku, gdy kupowali dwumetrową choinkę na Boże

Narodzenie. Simon uznał więc, że namiot też się u nich znajdzie. Wystarczył jeden telefon do Luke'a, aby to potwierdzić. Luke ze śmiechem zdradził Simonowi, że gdy przed paroma laty próbowali biwakować, „Connie i dziewczynkom nie przypadło to do gustu”. Stąd tona sprzętu, na który wydali fortunę i którego użyli tylko raz. Luke obśmiewał tego typu rzeczy. Razem z Connie dobrze im się powodziło, marnotrawstwo nie miało znaczenia, o ile była z tego dobra anegdota.

– Bierzcie, co chcecie. Fajnie, że te rzeczy na coś się jeszcze przydadzą.

Luke był architektem. Czasem podsylał Simonowi klientów, też nadzianych, Simon nie mógł narzekać. Connie zajmowała się fotografią i całkiem nieźle zarabiała, mimo że obecnie wszyscy mają iPhone'y i filtry i są w stanie pstrykać zdjęcia sami. Simon znał Luke'a od dwudziestu paru lat, a Daisy i Connie zaprzyjaźniły się jeszcze jako nastolatki, na początku studiów. Simon i Daisy poznali się na pierwszej rocznicy ślubu Luke'a i Connie. Jakoś tak się porobiło, iż – z powodu nawiązania znajomości u Bakerów oraz dlatego że Luke traktował Simona jak podwykonawcę – ustaliła się między nimi hierarchia. Simon od zawsze miał poczucie, że Luke się wywyższa. Teraz ogarnęła go determinacja, aby jego córka polubiła biwakowanie, dzięki czemu będą mogli jeździć na liczne wycieczki, które oczywiście będzie uwieczniał swoim iPhone'em, a zdjęcia zamieszczał na Facebooku.

Wyprawa do Bakerów i z powrotem zabrała prawie całe przedpołudnie. Zanim Simon i Millie wrócili, Daisy zdążyła sprawdzić wszystkie zeszyty. Zjedli kanapki na drugie śniadanie, po czym zabrali się wspólnie do rozbijania namiotu. Millie wyłożyła wewnątrz różowymi poduszkami ze swojego pokoju i całą armią pluszowych zwierzaków. Simon miał wątpliwości, czy sam się zmieści w środku. Daisy wynalazła w pudle z ozdobami choinkowymi lampki solarne, które rozwiesili na namiocie, by

rozświetliły się po zmroku. Na kolację przyrządzili fasolkę z kiełbasą. Kuchenka turystyczna Bakerów sprawiła się koncertowo. Oczywiście Millie była zbyt podekscytowana, aby zasnąć na dworze. Poddawszy się o dwudziestej drugiej, wrócili wszyscy do domu, bynajmniej nie w poczuciu przegranej, tylko zwycięstwa. Dzień był nadzwyczaj udany. Fantastyczny wręcz. Na zakończenie wieczoru Daisy zrobiła w kuchni gorącą czekoladę.

Simon dodał do swojej porcji odrobinę whisky.

9

DAISY

CZWARTEK, 23 CZERWCA 2016

Connie się upiera, by wyprawić przyjęcie. Bakerowie wiecznie urządzają jakieś imprezy, zawsze tak było. Są imprezowiczami pełną gębą. Każdy pretekst jest dobry – święta, urodziny, wakacje. Connie dała się poznać jako doskonała gospodyni, która dba o każdy szczegół. Kiedyś też lubiłam się bawić, naprawdę, ale nie wzięłam udziału w ani jednym przyjęciu Bakerów, odkąd urodziła się Millie. Można powiedzieć, że teraz nienawidzę wszelakich imprez. Zawsze mam jakąś wymówkę. Przyjaciółki Connie przyprowadzają swoje dzieci, ale ja nigdy bym tego nie zrobiła. Simonowi tłumaczę, że boję się narkotyków. Z tego, co wiem, Connie ich nie zażywa, ale niektórzy jej goście owszem. Nie chcę, aby moja córka obracała się w takim towarzystwie. Jeśli mam być szczerą, nie wszyscy znajomi Connie i Luke’a mi się podobają.

Tymczasem ona już trzeci raz napomyka o wspólnym urządzeniu przyjęcia, co jest po prostu śmieszne. Poprzednio dwukrotnie zaproponowała to przez telefon, tak że mogłam przerwać rozmowę, mówiąc, że ktoś dzwoni do drzwi. Tym razem jednak moje położenie jest

gorsze. Siedzimy naprzeciwko siebie w kawiarni w Covent Garden. Nie mogę nawet liczyć na to, że któreś dziecko nam przerwie, ponieważ wszyscy czworo, wliczając Millie, zajmują inny stół. Fran, pierworodna córka Connie, szarogęsi się, jak to tylko potrafi trzynastolatka. Pozostałe dziewczynki – Flora, która ma dziesięć lat, siedmioletnia Sophie oraz oczywiście Millie – są pod jej urokiem. Fran pokazuje im różne aplikacje na swoim telefonie. Nie ma mowy, aby któraś się oderwała od takiej atrakcji.

Lokal jest gwarny i moim zdaniem przereklamowany. Wypada tu bywać, choć ceny są kosmiczne. Na szczęście rekompensuje to wystrój. Dziwnie się czuję, siedząc w kawiarni po południu, zaraz po szkole. Zazwyczaj pędzę z córką na lekcję tańca, niestety po wypadku Millie nie czuje się dość dobrze, aby brać udział w zajęciach. Staram się czymś zapełnić wolny czas – czymś przyjemnym, byle nie roztrząsać nieodpowiedzialności Simona. W tej chwili Millie się śmieje i chichocze z pozostałymi dziewczynkami. Na moment jestem w stanie zapomnieć o dwuipółcentymetrowej ranie na jej potylicy, którą tylko podkreślają sklezione brudne włosy. Nie potrafię się zebrać, aby umyć Millie głowę, na razie więc radzimy sobie za pomocą suchego szamponu.

– No, Daisy, daj się namówić – naciska na mnie Connie. – W końcu to zbieg naszych rocznic ślubu, coś takiego trzeba uczcić.

Traf chce, że Simon i ja obchodzimy rocznicę ślubu mniej więcej w tym samym czasie co Connie i Luke. Poznaliśmy się na przyjęciu z okazji pierwszej rocznicy ich ślubu, sami zaś pobraliśmy się niemal równy rok później. Szybko nam poszło. Może za szybko? Myśl, która pojawia się w mojej głowie znikąd, szybko zostaje przegnana przez uczucie wstydu z powodu tej duchowej zdrady. To, że sprawy nie układają się obecnie najlepiej, nie oznacza jeszcze, że powinnam w ten sposób myśleć. Bawię

się saszetką z cukrem, jedną z wielu upchanych w porcelanowym naczynku na stole. Dociera do mnie, że kiedy planowałam nasz ślub, powinnam była wziąć pod uwagę, że odtąd już wiecznie będziemy dzielili rocznice z Bakerami. Nie zrobiłam tego, ponieważ gdy Simon mi się oświadczył, omal nóg nie połamalam, rezerwując pierwszy wolny termin w wybranym przez siebie miejscu. Można powiedzieć, że do ołtarza pofrunęłam na skrzydłach.

– Nie uważasz, że wspólne przyjęcie to fajna sprawa? – pyta mnie Connie.

Nie, wcale tak nie uważam. I nie rozumiem, czemu z uporem to proponuje. Bakerowie śpią na pieniądzach, na pewno więc nie chodzi o podział kosztów. Ani Simon, ani ja nie jesteśmy w stanie dopisać do listy gości kogoś fascynującego – w większości mamy wspólnych znajomych z Bakerami, żadne z nas nie zadaje się z nikim, kogo Connie pragnęłaby poznać. Ja uczę w szkole, podczas gdy ona sprzedaje zdjęcia do kolorowych czasopism, to rozumiałe, że ma monopol na bajecznych przyjaciół. I zdecydowanie nie wstydzi się występować w świetle reflektorów. Szczerze? Śmiało mogę się posunąć do stwierdzenia, że w przypadku Connie to niezwykle, iż chce pokazać się razem z kimś, zamiast skupić na sobie całą uwagę. Skąd więc u niej ta nagła i usilna chęć zorganizowania wspólnego przyjęcia rocznicowego?

– To nie moja bajka – odpowiadam, ostrożnie dobierając słowa. – Poza tym mało kto robi szum wokół rocznicy ślubu, chyba że chodzi o okrągłą. – Simon i ja jesteśmy małżeństwem od szesnastu lat; Bakerowie od osiemnastu.

– Ależ dlaczego? Co za szalona reguła! Każda rocznica jest wyjątkowa.

Odkąd ją znam, Connie patrzy na świat przez różowe okulary. Na ogół podobają mi się jej żywiołowość i radość życia, ale czasami działają mi na

nerwy.

– Zdaje się, że Simon już coś dla nas zarezerwował na ten weekend – mamroczę.

Connie rozszerza oczy z niedowierzaniem, ale jest zbyt uprzejma, aby głośno zauważyć, że to mało prawdopodobne. Od zawsze to ja zajmuję się naszym kalendarzem towarzyskim, rezerwuję wakacje, kupuję bilety lotnicze, wypożyczam samochody i szukam lokali na Airbnb. Gwoli prawdy mam też na głowie inne czynności administracyjne, jak załatwianie ubezpieczenia domu i auta, płacenie abonamentu telewizyjnego i zgłaszanie stanu liczników prądu oraz gazu. Mój mąż nie należy do osób, które mogłyby mnie zaskoczyć romantycznym wypadem we dwoje.

– Po prostu muszę coś zorganizować! – Connie wybucha śmiechem. W ogóle często się śmieje; jej życie jest idealne. Wiem, wiem, mało kto ma idealne życie, ale jestem z nią na tyle blisko, aby wiedzieć, że jej naprawdę jest bliskie doskonałości.

– W porządku, ale dlaczego chcesz angażować w to mnie i Simona? – pytam.

– Nie chcę zaklepać daty tylko dla siebie. Dla nas – poprawia się szybko, przypominając sobie o Luke’u. – To by źle wyglądało.

– W czyich oczach? Zresztą wszystko mi jedno. – Naprawdę jest mi wszystko jedno.

– Będę się z tym źle czuła – nalega Connie.

Mogłabym się zgodzić na mniejszą, kameralną imprezę. Wspólna kolacja z najbliższymi byłaby miła, ale Connie ma inną wizję. Jej przyjęcia rocznicowe zawsze są echem wesela, organizowane z rozmachem, bez ograniczeń, przepełnione romantyczną atmosferą i bufiastymi sukniami. Connie uwielbia wracać do weselnych wspomnień. Zdigitalizowała nawet stare nagranie wideo i puszcza je rok w rok; praktycznie mogę mieć

pewność, że zrobi to też na najbliższym przyjęciu, jeśli dojdzie ono do skutku. Dla mnie wspomnienia są bardziej skomplikowane. Czasem oddaję się im z przyjemnością, a czasem – jak dziś – nie potrafię stawić im czoła.

Zeszłej nocy prawie w ogóle nie spałam. Simon wrócił do domu późno, twierdził, że musiał zostać w pracy z powodu ważnej narady. Gdybym przystawiła zapaloną zapałkę do jego ust, doszłoby pewnie do eksplozji, tak zionął alkoholem. Zapytałam, czy był w pubie, odparł, że tak – wyskoczył na jedno piwo, ale cuchnął spirytusem i ledwie trzymał się na nogach. Byłam wściekła. Od wypadku Millie minęło zaledwie parę dni. Naiwnie wierzyłam, że skrucha Simona potrwa dłużej. Pokłóciliśmy się. Nazwałam go parszywym kłamcą, a on mnie podstępłą suką. Czasami mówimy sobie straszne rzeczy. Potem się rozplakałam, a on mnie przytulił, powiedział, że ma wszystko pod kontrolą, że nie mam się czym martwić.

Kolejny dowód, że parszywy z niego kłamca.

– Myślisz, że byłoby przesadą, gdybyśmy z Lukiem odnowili przysięgę małżeńską? – pyta znieczarna Connie. Nie patrzy mi w oczy, wzrok ma wbity w niedopite smoothie z zielonej pszenicy.

– A macie powód, by to robić? Któreś z was ją złamało? – Pozwalam sobie na otwartość, jaką dopuszcza dwudziestosiedmioletnia przyjaźń. Wiem, że Connie raz zdradziła Luke’a. Dawno temu. Był to prawdziwy dramat. Naprawdę nie chcę słyszeć o tym, że sytuacja się powtórzyła.

– Oczywiście, że nie – odpowiada szybko, z zakłopotaniem. – Pomyślałam jednak, że byłoby to romantyczne. – Milknie na moment, po czym dodaje jakby od niechcienia: – Moglibyście zrobić to samo, ty i Simon.

No i proszę. Powód, dla którego chce urządzić wspólne przyjęcie, wyszedł na jaw. Nie muszę się go dłużej doszukiwać.

Connie lituje się nade mną.

Zalewa mnie fala wstydu. Connie uśmiecha się do mnie promiennie, ale znam ją zbyt dobrze. Widzę, że za jej uśmiechem czai się troska. Poznać to choćby po lekko drgającym kąciku jej ust.

– Wczoraj wieczorem zajrzał do nas Simon. – Usiłuje nadać swojemu tonowi swobodne brzmienie, ale nie bardzo jej to wychodzi. – Pracują nad czymś razem z Lukiem, dlatego Luke go zaprosił.

Kiwam głową, jakbym o tym wiedziała. Nie wiedziałam; Simon rzadko opowiada mi o swoich projektach. Kiedyś było inaczej. W pierwszej chwili czuję ulgę, że jego wczorajsza wymówka choć w części była prawdziwa. Spotkanie służbowe z Lukiem, choćby i w pubie, to prawie to samo co konieczność zostania w biurze na ważną naradę.

Moje optymistyczne podejście kończy się z chwilą, gdy Connie dodaje:

– Rzecz w tym, że Simon nie czuł się dobrze. Nie dało się z nim normalnie rozmawiać. Powtarzał tylko w kółko, jak bardzo Millie podobał się biwak w ogrodzie. Uczepił się tego tematu...

Connie owija w bawełnę. Chce powiedzieć, że Simon plótł bez sensu, że był pijany. Wiem, o co jej chodzi, gdyż sama widziałam to wiele razy na własne oczy. Kiedyś Connie nazywała rzeczy po imieniu, lecz teraz obie jesteśmy ostrożniejsze. Zachowujemy wobec siebie większą rezerwę.

Gdy razem studiowałyśmy, a potem wspólnie wynajmowałyśmy mieszkanie, widywałyśmy się codziennie, z czasem jednak ta bliskość gdzieś się zgubiła. Nie potrafię obecnie otworzyć się przed Connie tak jak kiedyś. Znalazłyśmy dla siebie zastępniki; mamy mężów, i to od długiego czasu. Na pewne sprawy musi więc opaść zasłona milczenia – sprawy takie jak to, że Simon jest wysokofunkcjonującym alkoholikiem. Connie nie powie mi tego wprost. Ja też nie mam najmniejszego zamiaru o tym mówić. Nadal jednak mocno się kochamy. Uwielbiam jej śmiałość, uczciwość, wesołość. Oraz szyk. Zarazem te same cechy trochę mnie w niej przerażają.

Staram się zmienić temat, jak to mam w zwyczaju:

– Miałam ci oddać kuchenkę turystyczną, całkiem o tym zapomniałam.

Connie robi zniecierpliwioną minę, doskonale wiedząc, że to unik z mojej strony.

– Simon zwrócił ją wczorajszego wieczoru.

– Tak? To świetnie.

– Prawie całą. Zapodział gdzieś ten dokręcany fragment, na którym stawia się garnek.

– Odkupimy go wam – zapewniam prędko.

– Och, nie. Nie trzeba. Nie o to mi chodziło. I tak jej nie używamy. – Wbija wzrok w swoje dłonie i dodaje: – Luke zapakował go do ubera.

A więc wiedzą. Nasi najbliżsi przyjaciele wiedzą, że z powodu pijaństwa Simona mamy problemy małżeńskie. A taką miałam nadzieję, że skrzętnie to ukrywam. Tymczasem nasza tajemnica okazuje się tajemnicą poliszynela. Connie w ten pokrętny sposób chce naprawić stosunki między nami. Nie rozumie jednego: że przyjęcie rocznicowe z odnowieniem przysięgi małżeńskiej byłoby żalosną próbą opatrzenia amputowanej kończyny za pomocą plastra. Connie jest pod wieloma względami idealistką, co w zwykłym życiu przekłada się często na głupotę. Jakże byśmy mogli stanąć przed zebranymi krewnymi, przyjaciółmi i znajomymi, by odnowić przysięgę? Na dobre i na złe, w bogactwie i biedzie, w zdrowiu i chorobie. To jakieś szaleństwo. Po pierwsze Simon rzadko kiedy trzyma się na nogach, przeważnie kołysze się na boki. Rzadko mówi wyraźnie, zwykle mamrocze. Cóż by to było za upokorzenie! Robię, co mogę, aby ukryć nasz problem, czemu więc Connie stara się wywlec go na światło dzienne? Czyżby uważała, że umieszczenie nas na celowniku to dobry pomysł?

Connie chrząka i mówi dalej:

– Fajnie byłoby poświętować. Wiem, że macie wiele na głowie. Chora teściowa, stres związany z pracą Simona...

Posyłam jej lodowate spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– Byłam ostatnio z Lukiem na służbowej kolacji. W trakcie rozmowy wypłynęło imię Simona. Jeden z gości powiedział, że... – Traci pewność siebie i urywa.

– Że co? – ponaglam ją.

– Cóż... Obowiązki zaczęły go przytłaczać. Nie obgadywaliśmy go za jego plecami, to była zwykła wymiana zdań – dodaje szybko i czerwieni się na twarzy. To zdradza mi, że jednak go obgadywali.

Muszę przerwać tę rozmowę. Muszę wybić Connie z głowy jej głupi pomysł.

– Przyjdziemy na wasze przyjęcie, oboje. Ale nie ma mowy o tym, abyśmy odnowili przysięgę.

– Po prostu pomyślałam, że to by...

– Nie, Connie. Wykluczone!

Nieczęsto mówię tak zdecydowanie. Na ogół brakuje mi siły na sprzeczki z innymi ludźmi, skoro niemal bez przerwy kłócę się z Simonem. Traktuję łagodnie pielęgniarki z domu opieki, w którym przebywa moja teściowa, rodziców uczniów, nawet telemarketerów wydzwanających z pytaniem, czy przypadkiem nie spowodowałam ostatnio wypadku. Tak samo podchodzę do Connie, o której wiem, że jest przebiegła. Wydaje się zaskoczona moim wybuchem, ale na szczęście zgodnie kiwa głową.

– Dobrze, rozumiem. – Milknie i rzuca spojrzenie w kierunku Millie. – Pamiętaj jednak, że gdybyśmy mogli coś zrobić...

– Dziękuję, ale nie – przerywam jej obcesowo.

- Wiesz, gdzie mnie znaleźć, gdybyś chciała z kimś porozmawiać.
- Nie chcę. – Miażdżę ją spojrzeniem. Niech wreszcie z tym skończy.

Generalnie wszyscy z naszego otoczenia są skłonni patrzeć w inną stronę, ilekroć staje się jasne, że Simon za dużo pije. Że istotnie jest wysokofunkcjonującym alkoholikiem. Tak, tak, znam to określenie, nie widzę tylko powodu, aby szastać nim na prawo i lewo. Oczywiście, że prosiłam męża, aby zwrócił się do kogoś o pomoc. Oczywiście, że chcę, aby poszedł do lekarza czy psychologa. On jednak odmawia. O czym tu więc mówić? Znajomi są zażenowani, a przynajmniej wiedzą, że ja się wstydzę, i w sposób typowy dla Anglików zbywają temat milczeniem. W większości znamy się od czasów studenckich, widzieliśmy się więc w najmniej zręcznych sytuacjach, także gdy byliśmy ubzdryngoleni aż miło. Dotąd więc każdy znajdował usprawiedliwienie dla zachowania Simona. Ludzie się śmieją, gdy mój mąż zasypia przy stole albo potyka się na schodach, kiedy wychodzimy, by wrócić do domu. Jakby to wszystko było jednym wielkim dowcipem. Jakby Simon był zwykłym błaznem. Do tej pory odpowiadało mi to. Nie mam pojęcia, co mogłabym zrobić, aby przestał pić; problem ten jest dla mnie nierozwiązywalny, dlatego chętnie go ignoruję. Myślałam – liczyłam – że Simon obudzi się pewnego dnia z postanowieniem, że kac to zbyt wysoka cena za chwilę wątpliwej przyjemności z kieliszkiem w ręku; że kupi sobie smartwatch i rower i zacznie dbać o kondycję jak większość mężczyzn w średnim wieku. Nie zrobił tego jednak. Z szerokiego grona znajomych bardzo nieliczni się upijają, i to tylko w niektóre weekendy, a poza Simonem nie znam nikogo, kto by pił również w tygodniu, w ciągu dnia.

Straciłam orientację, czego oczekuję od krewnych i przyjaciół. Czy naprawdę wciąż mi zależy, aby przez grzeczność odwracali wzrok i nie przyjmowali do wiadomości tego, co widać jak na dłoni? Nie wiem, jak

poprosić o pomoc ani jak ją przyjąć, gdy ktoś – tak jak teraz Connie – wyraźnie ją oferuje. Miewam wrażenie, że Simon i ja siedzimy w łódce pozbawionej wiosła, która dryfując, coraz bardziej oddala się od brzegu. Moja siostra i znajomi stoją na linii wody, doskonale wiedząc, że zmierzamy ku niebezpiecznemu przestworowi, nie robią jednak nic, tylko do nas machają. Życzliwie, ale bezskutecznie. Jeśli Connie będzie patrzeć mi w oczy jeszcze moment dłużej, chyba jej powiem. Że Simon sobie nie radzi. Że ja sobie nie radzę.

Connie wzrusza ramionami, czar chwili pryska. Wszystko zostaje po staremu. Moja przyjaciółka jest z siebie zadowolona, bo zaoferowała pomoc; może to sobie wmawiać, podobnie jak Luke'owi. Zrobiła, co wypadało. Postąpiła właściwie i nie spotkała jej za to kara w postaci mojej opowieści o tym, jak źle wyglądają sprawy. Connie odzyskuje wigor niemal natychmiast; nigdy nie ulega przygnębieniu na długo.

– Czyli przyjdziecie, tak? To wspaniała wiadomość. Tak dawno was nie gościłam. Oczywiście wspomnę o was dwojgu w swojej mowie.

Nie reaguję, a ona bierze moje milczenie za zgodę. Często tak robi. Później wymyślę pretekst, pod którym nasza obecność stanie się niemożliwa. Dopijam mrożoną kawę z mlekiem, po czym rzucam, że pora się zbierać. Wstając, uderzam kolanem o niewielki stolik, tak mi się śpieszy. Błat się chwieje, a wraz z nim szklanki stojące na niepotrzebnych spodkach. Kobieta siedząca przy stoliku obok mierzy mnie chmurnym spojrzeniem. Zastanawiam się, czy nie mówiłam przypadkiem za głośno, nie zawsze potrafię wyregulować tembr stosownie do okoliczności – zwłaszcza gdy jestem w stresie. Często niepotrzebnie używam swojego nauczycielskiego tonu, który powinien być zarezerwowany dla sali pełnej jedenastolatków.

Connie wydaje się załamana.

– Nie chcesz zostać dłużej, żeby omówić menu i tego typu rzeczy?

– Nie jest to moją silną stroną. Zresztą mam pewność, że cokolwiek wybierzesz, będzie doskonałe – odwracam kota ogonem. – Millie, idziemy. Tata na pewno się zastanawia, co nas zatrzymało.

To akurat jest mało prawdopodobne, ale z nas dwojga nie tylko Simon jest parszywym kłamcą.

10

SIMON

NIEDZIELA, 26 CZERWCA 2016

Simon nie cierpiał wizyt u swojej matki. Uważał je za stratę czasu. Zwykle nawet go nie poznawała, a jeśli już, to i tak zapominała o jego odwiedzinach w ciągu godziny. Daisy jednak była stanowcza. Fanatyczna wręcz. Jeździła do domu opieki w każdą środę po szkole i upierała się, żeby składali wizytę całą rodziną co niedziela. Twierdziła, że taki mają obowiązek. Że tak trzeba. Przekonywała, że nawet jeśli poprawa nastroju Elsie jest tylko chwilowa, ich odwiedziny podnoszą staruszkę na duchu. Zdaniem Simona różnie z tym bywało, szczególnie że Elsie potrafiła co którąś ich wizytę przepłakać. Albo rzucała w nich przekleństwami, i to takimi, od jakich każdemu marynarzowi zwiędłyby uszy. Millie tylko chichotała zakłopotana. Daisy zawsze przynosiła jakieś kwiatki, które Millie wręczała babci z teatralnym ukłonem. Raz Elsie chciała zjeść bukiecik. Dziewczynkę to rozbawiło, sądziła, że babcia tak tylko żartuje. Nigdy nie zabierali ze sobą czekoladek; czekoladki źle wpływały na układ trawienny Elsie. Zdaniem Daisy to żadna przyjemność mierzyć się z konsekwencjami.

Dom opieki jawił się w oczach Simona przedsionkiem piekieł. Widział, że pracownicy się starają, nie mógł temu zaprzeczyć. Wszyscy byli mili, oddani, sumienni i tak dalej, i tak dalej. On jednak widział tylko przegrzany przytułek, do którego ludzie trafiali, by umrzeć. Czegoś takiego nie da się ukryć, byłoby to jak owijanie gówienka w złotko.

Ojciec Simona zmarł na zawał kilka lat po ślubie syna z Daisy. Wtedy tak nagłe odejście mężczyzny w sile wieku, który nawet nie zdążył przejść na emeryturę, wydawało się tragedią. Od tamtej pory Simon zdążył przedefiniować pojęcie tragedii.

– Ej, pamiętasz ten program w telewizji? – zapytał teraz.

– Który program? – Daisy nie zdołała powstrzymać westchnienia frustracji. Nie lubiła, gdy jej mąż wyskakiwał nagle z taką oderwaną myślą. Simon twierdził, że duma na głos, ona nazywała to cczą gadaniną.

– Ten, w którym ludzie przenosili wiadra z wodą po toczących się belach czy nasmarowanych czymś tłustym słupach, a inni im przeszkadzali, starali się ich wyprowadzić z równowagi, polewając ich wodą albo rzucając w nich ciastkami z budyniem. Jak on się nazywał? – Simon był podekscytowany. Naprawdę chciał sobie przypomnieć tytuł. Miał go na czubku języka. – *Błazenstwo*, coś w tym stylu...

– *Błazenada* – poprawiła go Daisy.

– Racja, *Błazenada*.

– No więc? Co z nim?

– Nic. – Simon się odwrócił, żeby wyjrzeć przez okno. Dzień był słoneczny. Żałował, że nie zabrał z domu ciemnych okularów.

Nawet odwrócony, wyczuwał frustrację Daisy. Wątpił jednak, czy chce, żeby rozwinął myśl. Zdecydowanie nie chciała. Przyszło mu bowiem do głowy, że życie czasami przypomina taki program. W tym konkretnym w szczególnej cenie były umiejętności i dobra organizacja. Liczyły się szare

komórki, siła i wytrzymałość. Uczestnicy przystępowali do zabawy uśmiechnięci, z wielką determinacją i hartem ducha, a kończyli jak głupcy: przemoczeni, zmęczeni, podłamani. Tak, życie było *Błazenadą*, tyle że na człowieka nie spadały ciastka z budyniem, a niepłodność, depresja, szaleństwo, zdrada i śmierć. Nikt nie mógł się czuć bezpiecznie, nikt nie był odporny na przeciwności losu. Można było sobie myśleć, że wszystko jest w porządku, że wszystko idzie zgodnie z planem: studia, praca, seks, małżeństwo, tak to się toczyło, aż tu nagle kubek lodowatej wody strącał człowieka z nasmarowanego tłuszczem słupa. Nie, Daisy nie chciałyby, aby mówił jej coś takiego.

Skoro już musieli odwiedzać Elsie co niedziela, Simon wolałby to robić z samego rana. Nie chodziło o to, że był rannym ptaszkiem i chciał maksymalnie wykorzystać wolny dzień. Jeśli już, pragnął się ze wszystkim uporać jak najszybciej i mieć to z głowy. Istniały dwa główne powody jego preferencji. Po pierwsze – przychodząc o jedenastej, musieliby wyjść przed trzynastą, ponieważ o tej właśnie godzinie pielęgniarki karmiły starszków papką, którą zwano tu lunchem. Zatem wizyta trwałaby maksymalnie dwie godziny. Po drugie – sam lubił zjeść obiad w pubie, zwłaszcza gdy posiłek przeciągał się do godzin popołudniowych. Zimą nie było nic lepszego niż pieczeń splukana butelką czerwonego wina, a może nawet paroma szklaneczkami whisky, przy otwartym kominku. Latem stawiał raczej na dżin z tonikiem. Nic z tego jednak nie było możliwe, gdy musieli być w domu opieki na czternastą. A Daisy, mająca odmienne zdanie od Simona, uparła się, aby odwiedzali Elsie popołudniami. Dzięki temu mogła zawieźć Millie rano do prywatnej szkoły tańca, a wieczorem przygotować sutą kolację. W tym tygodniu ich córka miała zakaz tańczenia, Daisy jednak nie należała do osób elastycznych. Zresztą Simon uważał, że Millie już wydobrzała, była znów zdrowa jak rydz. Energia rozpierała ją do tego

stopnia, że prawie chodziła po ścianach, a mimo to Daisy nie chciała słyszeć o posłaniu jej na cotygodniową lekcję. W ewidentny sposób wykorzystywała sytuację, chciała ugrać więcej, niż wypada. Karała go. Wciąż. Pomimo sukcesu z biwakiem. To, co robił, nie miało znaczenia. Daisy nie przebaczała łatwo.

Była straszną hipokrytką.

Wyjaśniała, że zakrapiane obiady w pubie nie są dla niej żadną przyjemnością, ponieważ zawsze prowadzi. Prowadziła, ilekroć jechali gdzieś z Millie. Choć nigdy nie powiedziała tego wprost, Simon wiedział, że żona mu nie ufa, ma go za nieodpowiedzialnego. Gdy się nad tym zastanowić, Daisy go obrażała, wolał więc nie poświęcać temu zbyt wiele myśli. Jeśli miałby być całkiem szczery, przyznałby się, że bywa czasem wstawiony, dobrze więc, że to ona siada za kółkiem. Simon nienawidził niedziel. Bał się ich i robił wszystko, by dodać sobie odwagi. Zwykle przed wizytą w domu opieki wypijał co najmniej jedną whisky, dzięki czemu napięcie nieco odpuszczało. Nie pamiętał dokładnie, kiedy nabrał tego nawyku. Rok temu, a może więcej.

Dzisiaj znów nie mógł się opędzić od myśli o doktorze Martellu, tym skurwysynu. Już był pewien, że o nim zapomniał, tymczasem doktorek nieprzerwanie tkwił w jego głowie.

Ależ hipokrytka z tej Daisy.

Łudził się, że spędzą z jego matką miłe popołudnie. Staruszka była ładnie ubrana, elegancko wręcz. Zawsze zwracała uwagę na takie rzeczy, dbała o wygląd i urodę, ale te czasy przeminęły bezpowrotnie. Simonowi się nie podobało, gdy zastawał ją w czyimś zmechaconym dresie, który miała na sobie bądź dlatego, że personel pomieszał rzeczy w praniu, bądź dlatego, że ona sama komuś go podwędziła. Dziś Elsie była ubrana w schludną niebieską sukienkę, rajstopy i czółenka. Nareszcie nie musiał

patrzeć na skarpetki każda z innej parafii ani na zdeptane kapcie. Ktoś uczesał wiotkie siwe włosy staruszki i nawet pociągnął jej usta pomadką. Odrobina szminki rozmazała się na przednich zębach, ale to nic – nie musiał to być wcale objaw demencji, Daisy też czasami tak wyglądała. Simon poczuł się podniesiony na duchu i pociągnął z piersiówki, aby to uczcić. Właśnie wtedy jego matka zaczęła mówić, a on się zorientował, że pomadka jest tylko przykrywką dla chaosu.

– Kto to? – zapytała grubiańsko Elsie, wskazując Daisy.

– To Daisy, mamó. Moja żona – odparł Simon bez entuzjazmu.

Nieprzejęta Daisy ucałowała teściową w policzek.

– Witaj, Elsie. Ślicznie dzisiaj wyglądasz. Co za szykowna sukienka. Spójrz, przynieśliśmy ci kwiaty.

Millie rzuciła się do przodu. W każdej chwili odgrywała jakąś rolę. Teraz pokazała w uśmiechu wszystkie zęby i wyciągnęła rękę z bukietem herbacianych róż.

Elsie spoglądała na Daisy, Millie i kwiaty z mieszaniną wrogości i zdziwienia. Znienacka jej wzrok złagodniał, tak samo jak zacięte rysy twarzy. Simon pomyślał, że jego matka jest jak woda; pewnego dnia weźmie i wyparuje.

– Dziękuję, są piękne – powiedziała staruszka wyniośle. – A więc jesteś nową żoną Simona? Podobasz mi się bardziej niż poprzednia. Była pulchna i chichotliwa. Straszne połączenie.

Daisy westchnęła. To prawda, że było jej kiedyś o parę kilogramów więcej – co będąca latami na skraju anoreksji Elsie traktowała z odrazą w przypadku większości ludzi zarezerwowaną dla pedofilów. I tak, w początkach znajomości z Simonem Daisy była chichotką. Często wybuchała śmiechem, a nawet rechotała, gdy inni tylko uśmiechali się kostycznie. Zdaniem Simona wynikało to z tego, że Daisy pracowała

w szkole i obracała się wśród dzieci. Życie traktowała jak zabawę, rozrywkę. Lubił to w niej. Obecnie powiedziałaby raczej, że Daisy przypomina chmurę gradową.

– Poproszę pielęgniarkę o wazon – rzuciła Daisy.

– Idź z mamą – polecił córce Simon.

– To zadanie dla jednej osoby – zauważyła Daisy. – Millie, zostań z babcią. Opowiedz jej, co robiłaś w tym tygodniu w szkole.

Dziewczynka powiodła wzrokiem z lewa na prawo, lustrując rodziców. Była grzecznym dzieckiem, traciła więc grunt pod nogami, gdy mama i tata wydawali jej sprzeczne polecenia. A działo się to coraz częściej. Zawahała się w drzwiach. Simon postanowił ją zignorować. Ledwie Daisy wyszła z pokoju, rzucił się przeszukiwać szafkę nocną matki.

– Czego szukasz? – zapytała go Millie.

– Ciepłych skarpet – skłamał.

Elsie zniemacka się ożywiła.

– Szukasz tego? – Podniosła książkę drukowaną dużą czcionką.

– Nie.

– Szukasz tego? – Pomachała bananem.

– Nie. Mówię przecież, że ciepłych skarpet – wymamrotał zirytowany.

Dżin znalazł wciśnięty w kąt, za skarpetkami. Jego wuj Alan przynosił siostrze pół butelki tygodniowo. Nie był to odpowiedni podarunek dla osoby cierpiącej na demencję, niemniej Alan wierzył, że jakakolwiek ulga na tym etapie jest wskazana. Dlatego co czwartek, przy każdej wizycie, chował butelkę w szafce i ufał, że to Elsie ją opróżnia przez kolejne siedem dni. Oczywiście nie robiła tego, co nie oznaczało, że prezent się marnował. Simon szybko umieścił dżin w torbie na laptopa, przyniesionej specjalnie w tym celu. Millie wpatrywała się w swoje stopy.

– A może szukasz tego? – Elsie wyciągnęła z ucha aparat słuchowy i podetknęła synowi prosto pod nos, tak że widział jej woskwinę na plastiku.

– Nie. Mówiłem...

– Czego szukasz? – Tym razem pytanie padło z ust Daisy. Stała w drzwiach obok Millie, trzymając przed sobą wazon z różami.

– Niczego. Mamie się wszystko miesza, przecież wiesz.

Znowu się odwrócił i zaczął wyglądać przez okno. Na zewnątrz było niewiele do zobaczenia. Pielęgniarka pchała wózek inwalidzki z pensjonariuszem po małym ogrodzie. Jedno okrążenie zajmowało mniej niż pół minuty. Cisza w pokoju była ogłuszająca. Simon w duchu zaklinał matkę, by coś powiedziała. Zwykle nadawała bez przerwy i bez sensu, wypełniając luki w rozmowie. Daisy ostrożnie postawiła wazon na szafce nocnej. Schyliwszy się bardziej, zamknęła jej drzwiczki.

– Co włożyłeś do swojej torby?

– Nic.

Pomieszczenie było niewielkie, toteż oboje równocześnie sięgnęli do jego torby na laptopa. Simon był o mgnienie oka szybszy. Przycisnął torbę do piersi.

– Co tam masz? – zapytała go Daisy.

– Nic – powtórzył swoje.

Zacząła wyrywać mu teczkę. Tak go zaskoczyła ta otwarta konfrontacja – co też wstąpiło w Daisy, do cholery?! – że momentalnie zwolnił uścisk. To wystarczyło, aby złapała za pasek i pociągnęła torbę w swoją stronę. Chwilę później już ją otwierała.

– Przyniosłeś tu dzin? – zapytała osłupiała.

– Nie, zamierzałem go wynieść.

– Ukradłeś dzin własnej matce? – Zerknęła na Millie, która ze wszystkich sił starała się nie patrzeć na rodziców.

Zdumienie Daisy było namacalne. Simon czuł, jak krzepnąc, obciąża ich i tak już rozczarowującą historię.

– Nie ukradłem. Zabrałem przez wzgląd na jej dobro. Nie powinna pić, alkoholu nie wolno mieszać z lekami. Alan przynosi jej butelkę raz w tygodniu.

– Kradniesz swojej matce dzin co tydzień? – Daisy potrząsnęła głową zdegustowana.

Simon nie odpowiedział. Jaki to miało sens? Daisy wolała nie wiedzieć. Udawała, że nie widzi, jak zagląda do innych pokoi w domu opieki, teoretycznie, by się przywitać z sąsiadkami Elsie, a tak naprawdę po to, by przetrząsnąć ich szafki nocne. Znajdował na ogół ćwiartkę whisky czy chociaż małą butelkę sherry. W gorszy dzień zadowalał się likworkami. Sobie wmawiał, że wyświadcza pensjonariuszkom przysługę. Nieodpowiedzialnością było zostawiać alkohol schorowanym kobietom w tak podeszłym wieku. To prowadziło do wypadków. Nie kradł przecież. Oddałyby mu butelki po dobroci, gdyby je zapytał. Lubiły go. Te wszystkie kochane staruszki, od których zalaływało moczem. Widziały w nim męża albo syna. Większość nie miała pojęcia, jak się nazywa. Simon wiedział, że Daisy nie zrozumiałaby nic z tego, zrobił więc pierwsze, co mu przyszło do głowy: rzucił się ku niej i wyrwał jej z rąk butelkę, zdjął nakrętkę i przyłożył szyjkę do ust. Głdyk, głdyk, głdyk. Daisy stała jak wmurowana. W końcu jednak zareagowała. Chciała wytrącić mu butelkę z dłoni.

– Simon, przestań. Przestań, na miłość boską.

Gdyby przestał pić, zabrałaby mu tę resztkę dzinu. Wiedział, że tak by się to skończyło. Tymczasem udało jej się wylać trochę na jego koszulę. Co za marnotrawstwo. Opadł na fotel i cisnął opróżnioną butelkę do kubła.

Towarzyszył temu miły dla ucha brzdęk. Simon wyrzucił ręce w górę i zawołał:

– G-o-o-o-l!

Millie zachichotała nerwowo.

Stojąc z otwartymi ustami, Daisy wyglądała jak ryba. Z jego punktu widzenia była niewyraźna, rozkołysana. Przez chwilę tylko spoglądała od kubła do niego i z powrotem. W końcu wbiła wzrok w Simona i zapytała:

– Kim ty w ogóle jesteś?

Powietrze między nimi zadrzało.

– On? To mój mąż – odparła Elsie. – Obawiam się, że zawsze go ciągnęło do butelki. – Ostrożnie poprawiła włosy chudą, poprzecinaną żyłkami dłonią. Następnie nachyliła się ku Daisy i szeptem dodała: – Najlepiej nie zwracać na niego uwagi. Nie lubi, gdy się o tym głośno mówi. – Westchnęła ciężko. – Wielka szkoda, że nie znalazł sobie żadnego hobby.

Simon zaczął się śmiać. To było zabawne. Kurewsko zabawne.

11

DAISY

Oświadczyny Simona były jak z bajki. Podręcznikowe. Idealne. Doszło do nich w domu mojej siostry Rose tuż przed Bożym Narodzeniem, a konkretnie w pierwsze urodziny bliźniaków. Spotykaliśmy się od niecałego pół roku. Nie spodziewałam się oświadczyn, nie śmiałam wręcz o nich marzyć. Mówię prawdę. Jeśli zdarzył mi się sen, w którym Simon mi się oświadczał, budziłam się szybko, aby czegoś przypadkiem nie zapeszyć. Wystarczała mi myśl, że podobam się Simonowi na tyle, by chciał się ze mną umawiać; w gruncie rzeczy nawet to nie mieściło mi się w głowie. Oświadczyny w moim odczuciu byłyby cudem. Zatem nie spodziewałam się pierścionka zaręczynowego. Mimo że uważałam Simona za świetnego chłopaka. Miałam nadzieję, że z okazji świąt dostanę jakiś naszyjnik albo może jedno z pierwszych wydań *Małych kobietek*, mojej ulubionej książki. O odbyliśmy już rozmowę o swoich ulubionych książkach. O odbyliśmy wiele rozmów, które przeciągały się długo w noc. Dobrze mi się z nim rozmawiało.

Sceneria była niezwykle romantyczna. Dom Rose był już przystrojony na święta, wszędzie wisiały zielone gałązki i białe migające lampki. Przyjaciółki mojej siostry wszystkie miały własne dzieci mniej więcej w wieku bliźniaków, a do tego trzeba doliczyć starsze rodzeństwo. Krótko mówiąc, brzdąców było bez liku. Jak zwykle bawiłam się z tymi, które były

wystarczająco duże, aby zrozumieć zasady gry w chowanego. Na przedświątecznym przyjęciu byli wszyscy, na których mi zależało: moi rodzice, moja siostra z mężem i dziećmi, a także – poniekąd przez zawłaszczenie – wszyscy moi dobrzy znajomi, Connie i Luke’a nie wyłączając. Szalejąc z dziećmi, jednym okiem popatrywałam w stronę drzwi, ponieważ Simon się spóźnił. Jego nieobecność mi ciążyła. Uświadomiłam sobie, że na przyjęciu są prawie wszyscy, na których mi zależy. Simon zdążył już zająć specjalne miejsce w moim sercu. Stał się dla mnie najważniejszy.

Zaczęłam sobie wyobrażać czarne scenariusze: Simon wpadł pod autobus albo co gorsza, wystawił mnie. Odpuścił sobie przyjęcie dla niemowląt i pulchnego rudzielca i teraz popijał dżin z tonikiem w jakimś barze w towarzystwie długonogiej brunetki. Wtem go wypatrzyłam. Był przebrany za Świętego Mikołaja, gruby od watowania, ze sztuczną brodą, workiem pełnym prezentów i całą resztą. Zdenerwowałam się na Rose, że wykorzystwała go do tej roli; nie wyobrażałam sobie, aby dobrze się w niej czuł. Z drugiej strony byłam zachwycona, że zgodził się uświetnić przyjęcie w ten sposób. Chcę powiedzieć, że nawet ja – przy mojej zaniżonej pewności siebie – rozumiałam, jak bardzo Simon musiał mnie kochać, skoro zdecydował się wystąpić przed widownią złożoną z zasmarkanych siostrzeńców swojej dziewczyny, o reszcie drobiazgu nie wspominając. Udało mi się go przechwycić pod jemiolą. Z emocji brakowało mi tchu.

Dzieci, które były na tyle duże, że miały pojęcie, o co chodzi, ustawiły się w kolejce, a Simon zaintonował „Ho, ho, ho!”. Później wszystko odbyło się zgodnie z typowym dla takich wydarzeń scenariuszem. Simon pytał malców, co chcieli dostać na święta i czy byli grzeczni przez cały rok. Dziewczynki i chłopcy kiwali głowami, z niecierpliwości coraz szerzej otwierając oczy. W końcu Simon zanurkował do pękatego worka

i wyciągnął pierwszy prezent; nie pamiętam, co to było, pewnie jakiś tandetny kawałek plastiku. Pamiętam, że się zdziwiłam, bo podejrzewałam swoją siostrę raczej o wybór czekoladowych monet i zabawek z drewna. Pamiętam też uszczęśliwione buzie podekscytowanych dzieci, które różnymi usteczkami sepleniły „dziękuję” pod okiem czujnych matek.

Gdy już wszystkie dzieci rozbiegły się z podarkami, aż drżąc z podniecenia, co czeka je dalej w niekończącym się ciągu atrakcji, Simon zawołał:

– Została jedna dziewczynka, która nie powiedziała Mikołajowi, co chce dostać na święta!

Złapał mnie za rękę i pociągnął na swoje kolana. Cała byłam musującą mieszaniwą wstydu i absolutnego szczęścia. Przyszedł najradośniejszy moment mojego życia. Nigdy nie lubiłam znajdować się w centrum zainteresowania – ani tym bardziej siedzieć na męskich kolanach, czułam się bowiem wtedy niezgrabna i ciężka. Rumieniec zaczął mi wypełzać na twarz, ale szczęście mnie nie opuszczało.

– No, Daisy, byłaś grzeczna przez cały rok?

Usłyszałam, jak jedna z moich przyjaciółek rzuca sprośną uwagę na temat czegoś, czym się z nią podzieliłam; skłoniło mnie to do decyzji, aby odtąd nie przesadzać ze szczerością. Nie pozwalając, by ktoś zepsuł mi tę chwilę, odparłam:

– Dość grzeczna.

– Chociaż ogromnie nie lubię się z tobą nie zgadzać, muszę powiedzieć, że moim zdaniem byłaś bardziej niż dość grzeczna. Jesteś cudowna i dlatego mam dla ciebie specjalny prezent. O ile zechcesz go przyjąć.

Nie domyśliłam się. Znajomi poszeptywali między sobą, że pewnie chodzi o bilety na egzotyczną podróż, ja jednak doznałam zaćmienia umysłu i nie byłam nawet w stanie zgadywać, co Simon trzyma

w zanadrzu. Skupiłam się na tu i teraz. Czułam się do głębi poruszona. W pomieszczeniu zapanowała atmosfera podekscytowanego wyczekiwania, każdy bowiem lubi odrobinę romantyczności. Przynajmniej było tak wtedy, bo dziś prawdopodobnie wszyscy bylibyśmy zażenowani, gdyby któreś z nas urządziło podobny pokaz. Człowiek robi się za stary na tak bezwstydną okazywanie uczuć. Zbyt znudzony.

Tymczasem Simon kontynuował:

– Właściwie to jesteś niezmiernie dobra. Nigdy nie sądziłem, że poznam kogoś równie dobrego, wyjątkowego i zachwycającego. – Głos miał chropawy z napięcia i szczerości. – Dlatego byłbym zaszczycony, wniebowzięty, gdybyś przyjęła mój dar. – Mówiąc to, sięgnął do worka raz jeszcze i wyjął z niego sześcienną pudełeczko na biżuterię. Przestałam widzieć cokolwiek innego. Wiedziałam, że wszyscy nadal tam są, zbiorcze westchnienie niemal wyssało cały tlen z powietrza, ale w tym konkretnym momencie nikt nie miał dla mnie znaczenia; ani moja siostra, ani moi rodzice, ani moi siostrzeńcy, znajomi, dosłownie nikt oprócz niego. Roziskrzona oczy, ciemne faliste włosy, pełen nadziei nerwowy uśmiech. – Czy uczynisz mnie szczęśliwym mężczyzną, w gruncie rzeczy najszczęśliwszym mężczyzną na świecie, i zgodzisz się zostać moją żoną?

Z opowieści wiem, że najpierw pisnęłam, a potem zaczęłam powtarzać: „Tak, tak, tak!”. Nie pamiętam tego, ale wydaje się to dość prawdopodobne. Takie zachowanie pasowało do mnie. Szczęście było niemal równoznaczne z bólem; tak kompletne i piękne, że wsuwając pierścionek z brylantem na palec, potrafiłam tylko myśleć: „Zaraz się obudzę”... W tej samej chwili byłam cholernie szczęśliwa i cholernie wystraszona.

Wszyscy obecni zaczęli wiwatować i bić brawo. Ktoś się rozplakał. Z perspektywy wydaje się to nieco ckliwe. Jak dawno to było. Obejmowaliśmy się i ściskaliśmy, całowaliśmy i płakaliśmy, a szampan lał

się strumieniami. Chwila była czarowna, urzekająca. Później Simon wyznał mi, że wszystko wymyślił sam; nie tylko to, że poprosi mnie o rękę w ten sposób, ale też że przebierze się za Mikołaja, rozda prezenty dzieciom – wszystko. Rozpracowałam to tego samego wieczoru, gdy leżeliśmy w jego łóżku wtuleni w siebie, zaspokojeni, wciąż na fali uniesienia emocjonalnego i fizycznego, a przy tym wyczerpani do cna. Podarki dla dzieci były clou. Gdyby za pomysłem stała moja siostra, wybrałaby inne prezenty, zdecydowanie mniej atrakcyjne z punktu widzenia kilkulatków.

Były to niesłychanie oryginalne, osobiste, doskonale oświadczyńy. Przez długi czas myślałam, że tamta chwila pozostanie w mojej pamięci na zawsze jasna, lecz teraz dostrzegam na niej smugi. I jest mi wstyd. Przez wzgląd na tę pełną nadziei młodą kobietę i tego ambitnego młodego mężczyznę. Ponieważ ich zawiedliśmy. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz chłopak, który mi się oświadczył.

Ani dziewczyna, która przyjęła jego oświadczyńy – skoro już o tym mowa.

12

SIMON

ŚRODA, 13 LIPCA 2016

O budził go grający telewizor. Usiłował się skupić, ale nie było to łatwe. Wiele głosów nakładało się na siebie. Co oglądał? Cztery kobiety w średnim wieku siedziały przy kuchennej ladzie. Miały na sobie jaskrawe bluzki, lecz ich zagniewane twarze przekreślały całą wesołość, jaką niosły żywe kolory. Kłóciły się, ale nie ze sobą. Simon przysłuchiwał się przez chwilę, aż zrozumiał, że wszystkie są złe na mężczyznę, ponieważ jednak nie było w pobliżu żadnego mężczyzny, na którego mogłyby krzyczeć, krzyczały na siebie i na świat. W pewnym sensie było to zabawne.

Już wiedział, na co patrzy. Daisy uwielbiała ten program. Nosił tytuł *Loose Women*. Nie miał pojęcia, skąd to wie, zdecydowanie nie był potencjalnym odbiorcą, a jednak jakimś sposobem informacja ta przedostała się do jego mózgu. Uznał, że przypomnienie sobie tego stanowi pewien sukces. Mały triumf. Daisy czasem oglądała *Loose Women* w trakcie wakacji, pozwalając sobie na tę grzeszną przyjemność przy prasowaniu czy zabawie z Millie, wycinankach czy takich tam. Musiało być

koło południa. Dlaczego śpi w fotelu koło południa? Głowa mu pękała. Na przemian czuł pulsowanie i walenie jakby młotem. Był chory? Tak, to musiało być to. Nie poszedł do pracy z powodu choroby. Zaczął szukać pilota i wtedy zobaczył leżące u jego stóp dwie butelki: jedną po czerwonym winie, drugą po whisky. Zignorował je. To nie miało sensu. Liczyło się tylko odnalezienie pilota. Musiał jak najszybciej uciszyć krzyzące kobiety. Gdyby życie było takie proste. Mimo że wyłączył głos, krzyki nadal rozbrzmiewały pod jego czaszką. Nie miał pojęcia, czy są rzeczywiste, czy stanowią wspomnienie, a może tylko je sobie wyobrażał. Czasami ciężko mu to było stwierdzić.

Gdy wyjrzał za okno, zobaczył ciemność. Środek nocy, nie środek dnia. Odwrócił się do telewizora, nic nie rozumiejąc. *Loose Women*, bez dwóch zdań. Zajęło mu to dłużej, niż powinno, ale wreszcie skupił myśli – to musiała być późnowieczorna powtórka. Spojrzał na zegarek; niełatwo mu było zogniskować wzrok, cyfry, choć podświetlone, nie chciały nabrać ostrości. Był naprawdę chory. Może nawet miał halucynacje. Z powodu gorączki? Słyszał, że coś paskudnego krąży w powietrzu. Dochodziła trzecia piętnaście nad ranem. Choć może jednak piąta piętnaście? Niczego nie był pewien, ale miał wszystko gdzieś. Nie, nie wszystko. Co to za smród? Obrzydliwy... Wymioty i pot.

Spostrzegł, że przód koszuli i podłokietnik fotela są całe w rzygowinach. Część zdążyła zaschnąć, część dalej się sączyła. Taki niechluj z niego? Wstyd! Zdjął koszulę, zwinął ją w kłębek, uważając, by nic nie ściekło na podłogę. Przeszedł do kuchni i rzucił brudny łach na posadzkę przed zlewem. Miał mglistą świadomość, że powinien go włożyć do pralki, ale nie był w stanie tego zrobić, przynajmniej na razie. Kosztowałyby go to zbyt wiele trudu. Nie czuł się na siłach. Był chory. Daisy wszystkim się zajmie, gdy już wstanie. Spróbował sobie

przypomnieć wczorajszy dzień. Czy wrócił z pracy do domu, źle się czując? Czy w ogóle był w pracy? Może to jednak nie żaden wirus, może po prostu wychylił parę głębszych, zjadł curry z nieświeżymi krewetkami... Nie pamiętał, żeby coś jadł. Wymiociny nie roztaczały woni curry ani krewetek.

Musiał się napić. Może wody? Nie, piwa. Piwo najlepiej mu zrobi. Klin klinem. Bo tak, zaczął dopuszczać do siebie myśl, że to prawdopodobnie kac. Nieziemski, taki, jakiego jeszcze nigdy nie miał, ale tylko kac. Dłonie miał zmarznięte, widział wszystko jak przez mgłę. Nie, jednak nie kac. Nadal był pijany. Uznał, że piwo raczej mu nie zaszkodzi.

Ledwie otworzył lodówkę, pogrążoną w mroku kuchnię zalało światło. Butelka omal nie wypadła mu z ręki.

– Co, do kurwy, robisz tu po ciemku? – ryknął.

Daisy westchnęła. Dopiero przestała płakać, poznał to po jej zaczerwienionych oczach i napuchniętej twarzy. Uświadomił sobie z niejakim poczuciem żalu, że ostatnia noc była nie tylko długa, ale też burzliwa.

Dawaj, mała.

– Pilnowałam cię, żebyś się nie zadławił własnymi rzygami – powiedziała Daisy z kolejnym westchnieniem.

Jak ktoś może mieć w sobie tyle powietrza i rozczarowania, żeby je wydychać raz po raz? Niemożliwe, żeby robiła to ot tak. Z pewnością dramatyzowała, przesadzała jak aktorka na scenie. Palce miała splecione na kubku – istne wcielenie żoninej cierpliwości. Ależ go tym wkurwiała. Ta jej cierpliwość czy też manifestacja cierpliwości, jej pogodzenie się z losem, jej zrozumienie; wszystko w niej wkurwiała go bez reszty. Bo to nie było prawdziwe życie. To nie była prawdziwa ona. Nie wierzył w nic z tego. Już nie. Co innego, gdyby okazała złość. Chciał, żeby się na niego wściekła. Tak jak on na nią.

Chwiał się na nogach, nieznacznie, ale jednak. Musiał usiąść. Właśnie miał to zrobić, gdy kolana nagle mu zmiękły i padł jak stał, ciężko niczym worek ziemniaków. Wywrócił taboret, walnął głową o kant szafki. Bólu specjalnie nie poczuł, nie w tym stanie, rano jednak na pewno będzie miał śliwę. Rozluźnił się cały. Sam odkrył tę technikę. Odkąd tyle pił, ranił się czasami. Jednego wieczoru spadł ze schodów na mieście, kiedy indziej znów wlaźł w zamknięte szklane drzwi, sądząc, że są otwarte. Najlepiej było nie opierać się bólowi. Nie walczyć z nim.

– Och, Simon. – W głosie Daisy usłyszał współczucie i rozpacz.

Na udach poczuł coś ciepłego i naraz zimnego. Do jego nozdrzy przedarł się nowy zapach, silniejszy od smrodu rzygowin i potu. Woń była silna, ostra. Mocz. Zlał się w spodnie.

Obudził się w łóżku. Ulżyło mu. Nie zawsze zdołał dotrzeć do łóżka. Zasypiał w fotelu we własnym salonie, na miejskiej ławce, na siedzeniu metra w drodze do domu. To ostatnie było najgorsze. Dojeżdżał do ostatniej stacji, gdzie budził go kontroler biletów. Nie zawsze dało się wezwać ubera. Zdarzało się, że całą noc spędził na dworcu, wracał do domu dopiero pierwszym porannym pociągiem. Przebudzenie w pościeli pocztywał za luksus. Przyłożył palce do bolącej potylicy; było to coś więcej niż zwykły łomot w głowie z powodu kaca, coś konkretniejszego. Wyczuł guz, ale palce mu się nie lepiły, nie krwawił więc. Obok łóżka nie widział żadnych butelek. Był nagi, lecz pachniał świeżo. To wszystko nie trzymało się kupy.

Daisy nie spała w pościeli. Siadając, zauważył, że drzemie w fotelu stojącym w rogu sypialni, tym samym, na który zwykle rzucali zdjęte ubranie. Słyszając jego ruchy, otworzyła gwałtownie oczy. Zawsze miała lekki sen. Jej twarz momentalnie przybrała wyraz niepokoju, urazy, rozczarowania.

– Dzień dobry – powiedział rażno Simon. Najlepiej było zatuszować sprawę. Coś się wydarzyło, ale za diabła nie wiedział co, zatem na razie się nie martwił. Obudził się w łóżku, bez butelek ani miednicy na podłodze. Wszystko z nim dobrze. – Która godzina? Muszę się szykować do pracy.

Mówiąc to, przerzucił nogi za krawędź materaca. Ruch okazał się zbyt nagły, zbyt energiczny. Simon czuł się jak kupa gówna. Bolały go wszystkie mięśnie, trząsł się też cały, ale to nauczył się już ignorować. Nauczył się ukrywać, jak okropnie się czuje, jak okropny jest.

Daisy zerknęła na zegarek.

– Dwunasta, tuż po – wymamrotała głosem wypranym z wszelkich emocji.

– Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Wzięłam dzień wolnego, przysługuje mi jeden w razie nagłego wypadku.

Simon prychnął.

– Czyli mamy nagły wypadek?

Zbyła jego sarkazm milczeniem.

Daisy nigdy nie brała wolnego. Nigdy. Simon nie był pewien, czy chce poznać prawdziwy powód, dla którego została dzisiaj w domu. Zamiast tego więc zapytał o drugą z kolei palącą sprawę:

– Zawiadomiłaś też mojego szefa? – W odróżnieniu od żony Simon często brał wolne, a Daisy, choć nie lubiła tego robić i zawsze narzekała, że nie umie kłamać, nieraz telefonowała do biura, aby usprawiedliwić jego spóźnienie czy nieobecność. W rzeczywistości kłamanie wychodziło jej lepiej, niż myślała.

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz, co? – zwróciła się teraz do niego.

– Czego nie pamiętam?

Jeszcze jedno westchnienie, które przypominało raczej pyknięcie. Miała w sobie moc żalu i niezadowolenia.

– Nie masz pracy. Wczoraj cię zwolnili.

– Co ty, do kur... O czym ty mówisz? Zostałem zwolniony? Niemożliwe!

– Spóźniłeś się, do tego byłeś pijany. Tylko że tym razem zaatakowałeś klienta, co przelało czarę goryczy. Twój szef już od jakiegoś czasu szukał pretekstu, żeby się ciebie pozbyć. Przecież wiesz.

Myliła się. Zachowywała się jak ostatnia suka. I dramatyzowała.

– Skąd o tym w ogóle wiesz? – zapytał. – Ja ci powiedziałem?

– Nie, nie ty. Luke.

– A, święty Luke – wyzłośliwił się Simon.

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Luke jest twoim najlepszym przyjacielem. Zadzwoiłam do niego wczoraj wieczorem, po tym jak przyszedłeś do domu zawiany, nie umiejąc sklecić jednego zdania, które miałyby sens. Wszystko mi opowiedział.

Simon objął głowę rękami i spróbował – z całych, kurwa, sił – zrozumieć, o czym ta wariatka może mówić. Nic z tego. Pustka. Ktoś ukradł całe wczoraj. Ostatnie, co pamiętał, to że wyszedł z domu i wsiadł w metro do Covent Garden. Ale robił to codziennie, nie mógł mieć pewności, że chodzi o konkretne wspomnienie, równie dobrze mogły to być tylko jego pobożne życzenia.

Daisy patrzyła na niego z niedowierzaniem. Była zdania, że te zaniki pamięci są bardzo wygodne; zwyczajnie wypiera to, czego nie chce pamiętać. W tym akurat momencie Simon bardzo chciał wszystko sobie przypomnieć. Chciał wiedzieć, dlaczego i w jakich okolicznościach stracił pracę. Tak mu się przynajmniej wydawało...

Opowiedziała mu więc. Swoją wersję albo wersję Luke'a czy też jeszcze jakąś inną, ale ani słowo z tego nie mogło być prawdą. Nie przyszedł do pracy pijany. Może ktoś wyczuł alkohol w jego oddechu. Zdarzało mu się wypić łyczek z piersiówki podczas spaceru na dworzec. Tyle co nic. Czasem dolewał sobie odrobinę whisky do kawy, ale to wszystko. Jedni dolewają sobie do kawy syrop klonowy, a on dolewał whisky. To jeszcze nic nie znaczyło. Na pewno nie był uzależniony. Uzależniony, kurwa? Co to w ogóle za pomysł! Był uzdolnionym projektantem wnętrz, nikt nie mógł od niego wymagać, że będzie pracował od dziewiątej do piątej, potrzebował przestrzeni, potrzebował swobody. Inaczej cierpiała jego kreatywność. Zresztą kto umawia spotkanie z klientem na dziesiątą rano? To barbarzyństwo. A klient okazał się zwykłym kutasem. No dobrze, chyba mógł się powstrzymać przed nazwaniem go pizdą, kiedy zaproponował ten sraczkowaty kolor z palety barw. Być może przekroczył wtedy jakąś granicę, z której trudno było zawrócić. Simon nie miał nic przeciwko samemu kolorowi, tyle że oczami wyobraźni widział raczej coś śmielszego, coś wyzywającego. Za to mu płacą, nie? Za pomysły. Dlaczego więc nigdy go nie słuchają? Nie był w stanie uwierzyć, że ledwie się trzymał na nogach. Współpracownicy czuli się zagrożeni. Jego się bali? Bzdura!

Daisy wielokrotnie podkreśliła, że nie ma pojęcia, co robił po południu. Prawdopodobnie wypadł z biura, a może wyrzuciła go ochrona – nie umiała powiedzieć dokładnie. Ktoś, kto wiedział, że się przyjaźnią, zawiadomił Luke'a, który następnie zmarnował wiele godzin na poszukiwanie go w pubach. Jakimś cudem to uczyniło Luke'a bogiem w oczach Daisy. Powtarzała, jak ładnie się zachował, mimo że była to dla niego wielka niedogodność.

– Ma swoje zajęcia oprócz tego, by cię pilnować – rzuciła z goryczą. – Wyobrażasz sobie, jakie to musiało być dla niego żenujące? Zwłaszcza że to właśnie on polecił temu klientowi twoją firmę i ciebie w szczególności. Zawsze podsuwa ci zlecenia. Jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że szef trzymał cię tak długo wyłącznie z tego powodu.

– Nie pieprz. Jestem dobry w tym, co robię, i on doskonale o tym wie.

Simon w dalszym ciągu siedział na skraju łóżka, nagi. Ze sflaczałym penisem i twarzą skrytą w dłoniach. Czego ta kobieta od niego chciała? Odzierała go z męskości za pomocą tego swojego niewyparzonego języka. Jeżeli to, co mówiła, mimo wszystko było prawdą, Simon właśnie stracił pracę, mógł więc chyba liczyć na odrobinę wsparcia? Krztynę empatii? Usłyszał, że przyszedł do domu o północy i zachowywał się „dziwnie”. Przewrócił się w kuchni i nie chciał się położyć. Choć nadal niczego nie pamiętał, w to ostatnie uwierzył na słowo. Na pewno nie chciał iść do łóżka z Daisy. Sama ta myśl była dla niego odrażająca. Po tym, co naopowiadała mu doktor Martell. Poza tym seks nie umywa się do alkoholu. Seks jest zawily i wymagający, wiąże się z sekretami, niewypowiedzianymi warunkami i żądaniem. Seks kłamie. A alkohol jest czysty, szczodry, łatwy.

– Zarzygałeś się. Zarwałam noc, żeby co pół godziny sprawdzać, czy się nie zadławiłeś – rzuciła Daisy z wyrzutem. Simon zacmokał. Pozowała na cierpienicę. Czego chciała? Medalu? – Zsikałeś się – dodała w desperacji.

– Jakim cudem jestem teraz czysty? – rzucił jej wyzwanie. Nie wierzył, by Daisy dała radę wciągnąć go nieprzytomnego po schodach, jeśli faktycznie był w takim stanie, o jaki go posądzała.

– Poprosiłam o pomoc Luke’a. Przyszedł o czwartej nad ranem. Razem zaciągnęliśmy cię na górę i wsadziliśmy pod prysznic. Dostałeś sesję biczy wodnych.

Kłamliwa suka. Simon nie miał co do tego wątpliwości.

13

DAISY

SOBOTA, 23 LIPCA 2016

Jeszcze nigdy tak bardzo nie wyczekiwałam końca roku szkolnego. Co rano z ciężkim sercem zamykam za sobą drzwi domu, wiedząc, że Simon cały dzień spędzi na picciu w łóżku bądź na picciu przed telewizorem. Obawiam się, że bez pretekstu w postaci pracy, do której mógł wychodzić, przestał być wysokofunkcjonującym alkoholikiem i zamienił się w zwykłego alkoholika. Nie wygląda to dobrze. Simon ani się nie goli, ani nawet nie myje. Ledwie mówi. Mimo wszystko jakoś sobie radzę. Mam obowiązki – Millie, Elsie, szkoła. Córce powiedziałam, że tata nie czuje się najlepiej, dlatego nie chodzi do pracy.

– Boli go znowu głowa czy brzuch? – zapytała niewinnie. – Biedny tata. Tak często choruje. Powinien pójść do lekarza.

Jak widać, dziecko czasem jest mądrzejsze od dorosłego. Nie chcę zostawiać Simona samego, ale czuję się w obowiązku wobec Elsie. Wbrew temu, co mówi mój mąż, uważam, że staruszka naprawdę cieszy się z naszych wizyt; może ich nie wyczekuje ani potem nie pamięta, lecz

zanurzona w chwili czerpie z nich radość. Zazwyczaj. Niestety w tym tygodniu złapała infekcję dróg moczowych, co jest częste u osób cierpiących na demencję, a poza tym ma silne halucynacje graniczące z atakiem paranoi. Kiedy przekroczyłam próg jej pokoju, zaczęła we mnie rzucać przedmiotami, ponieważ myślała, że jestem pracownikiem zakładu pogrzebowego i przyszedłam zdjąć z niej miarę. Staram się więc koncentrować na pracy, gdzie moi uczniowie nie mogą się wprost doczekać przerwy wakacyjnej i późniejszego rozpoczęcia nauki w gimnazjum. Wypisuję świadectwa i przygotowuję krótkie przemówienie z okazji końca roku szkolnego. Udaje mi się podziękować ciepło dzieciom i rodzicom za ich wyrażające wdzięczność prezenty w postaci czekoladek i kwiatów, jednak ani na chwilę nie mogę przestać myśleć o Simonie.

Co teraz zrobimy? Oczywiście martwię się głównie o jego zdrowie, ale też o pieniądze. Mamy zaciągnięty kredyt hipoteczny, którego nie damy rady spłacać tylko z mojej pensji. A kto Simonowi zaoferuje posadę? Chyba jedynie szaleniec.

Chwała Bogu, że są już wakacje i mogę złapać trochę oddechu. Ledwie sama się trzymam, a wiem, że spoczywa na mnie utrzymanie rodziny – w sensie dosłownym i przenośnym.

Ostatnie, na co mam ochotę, to uczestnictwo w przyjęciu rocznicowym Connie i Luke'a. Byłam przekonana, że Simon nie tylko nie będzie chciał na nie pójść, ale wręcz o nim zapomni. Wstyd powinien zatrzymać go w domu. Osobiście nie mogę znieść myśli o tym, że miałabym spojrzeć Luke'owi w oczy, Simon jednak nie ma podobnych obiekcji. Budzi się w sobotę rano rozentuzjasmowany perspektywą wizyty u przyjaciół.

– Idziemy, Daisy. Obiecaliśmy to Connie i Luke'owi – stwierdza, jakby był normalnym człowiekiem i dotrzymanie obietnic było dla niego ważne.

Tymczasem chodzi o to, że na przyjęciu będzie alkohol. Mnóstwo darmowego alkoholu. Przyjęcie oznacza także taniec, rozmowy ze znajomymi, których się dawno nie widziało, i pogryzanie wyszukanych przekąsek, ale nic z tego nie interesuje mojego męża. Dla Simona liczy się tylko alkohol. Inni też będą pili, żeby się upić, dzięki czemu łatwo wtopi się w tłum.

Nie widuję się z nikim, odkąd Simon stracił pracę. W ogóle unikam ludzi. Rose zadzwoniła do mnie, ledwie o wszystkim usłyszała, ale ją zbyłam.

– Connie jak zwykle rozdmuchała sprawę – powiedziałam. – Znasz ją przecież... – W rzeczywistości opis zdarzeń, który zrelacjonowała mi siostra po rozmowie z Connie, był mniej sensacyjny niż to, co się stało naprawdę. Przypuszczam, że to zasługa Luke’a, który chciał stonować nieprzyjemny wydzźwięk incydentu. – Simon i jego szef wspólnie doszli do wniosku, że powinni pójść odrębnymi ścieżkami. Simon rozgląda się już za nowymi wyzwaniem, które pobudzą jego kreatywność.

– Czyżby? – Z głosu Rose przebijała troska.

– Powiedziałabym ci, gdyby coś było nie tak.

– Czyżby? – powtórzyła tylko moja siostra z westchnieniem.

Na pewno chciałam jej powiedzieć, a to prawie to samo. Kiedyś zwierzałyśmy się sobie wzajemnie ze wszystkiego. W pewnym momencie jednak przestało to być możliwe. Nie wierzę już, że ciężar łatwiej nieść we dwoje. Jak ja to widzę: gdy dzielimy się z kimś naszym problemem, podwajamy go. Część tajemnic musi pozostać tajemnicami. Nie chcę iść na przyjęcie Bakerów. Na samą myśl wpadam w panikę i tracę oddech. Nie chciałam na nie iść nawet przed tym, zanim Simon dostał to upokarzające wypowiedzenie. Przez cały dzień usiłuję przekonać męża, że powinniśmy odpuścić.

– Zostańmy w domu, położmy się wcześniej – proponuję.

– O co ci chodzi, Daisy? O to, że będą o nas plotkować?

– Nie lubię imprez, przecież wiesz.

– Im szybciej zaczniesz się zachowywać, jakby nic się nie stało, tym szybciej inni uwierzą, że tak właśnie jest – odpowiada zadufany w sobie Simon. Nie czuje grama skruchy, zupełnie jakbym to ja zsikała się w majtki i pozwoliła, aby najlepszy przyjaciel spłukał mnie szlauchem.

Z jednej strony wiem, że w tym, co mówi, jest trochę racji, z drugiej – obawiam się, że byłoby to jak przyklejanie tapety na popękana ścianę. Długo to robiłam, ale mam już dość. Czuję, że jeśli nic się nie zmieni, mój dom, moje życie runie na mnie i mnie pogrzebie.

– Moi rodzice nie mogą zająć się Millie. Idą na koncert do Royal Albert Hall, mają już kupione bilety. – Piętrzę przeszkody, które jednak nic nie znaczą dla Simona.

– Czemu nie załatwiłaś opiekunki? – pyta rozzłoszczony, po czym dodaje: – Zawsze możemy zabrać Millie ze sobą.

Nie ma mowy. Nie pozwolę na to. Biegnę do sąsiadów naprzeciwko i załatwiam, że Millie spędzi tę noc u swojej najlepszej koleżanki Indii. Chodzą do jednej klasy i mieszkają drzwi w drzwi, co czyni je bliskimi przyjaciółkami. Czują się u siebie nawzajem jak w domu, jedzą tam, gdzie akurat się bawią, oglądają telewizję, biegają po ogrodzie, ale jak dotąd jeszcze u siebie nie spały. Millie jest niewyobrażalnie podniecona.

Wczesnym popołudniem wymykam się z córką do sklepu, żeby kupić popcorn, gdyż od Indii wiem, że jej mama załatwi perłowy lakier do paznokci i maseczki na twarz. Nie jestem pewna, czy podoba mi się pomysł, że moja sześciolatka będzie miała pomalowane paznokcie, a już na pewno nie potrzebuje zabiegu pielęgnacyjnego, lecz przeczytałam kiedyś w jakiejś książce o feminizmie, że tego typu rytuały są ważne przy

zacieśnianiu więzi między kobietami. Nie zamierzam więc psuć zabawy. Ile złego może wyrządzić jeden wieczór domowego SPA? Choć fala wstydu i strachu zalewa mnie regularnie i najchętniej wycofałabym się rakiem z obietnicy stawienia się u Bakerów, za pretekst podając Millie, która nie może zostać sama w domu, zdaję sobie sprawę, jak rozczarowana byłaby teraz moja córka, gdybym zabroniła jej spędzić tę noc u Indii.

Za nami upalny, duszny dzień. Powietrze wciąż jest ciężkie, gęste. Niemal czuję jego smak na języku. Wdziera mi się do gardła, dławi mnie. Bez entuzjazmu zaczynam się przygotowywać do wyjścia. Wiem, że zarówno Connie, jak i Rose sprawiły sobie nowe stroje z okazji dzisiejszego przyjęcia. Gdybym miała sądzić po wpisach i zdjęciach w mediach społecznościowych, powiedziałabym, że uczyniła to połowa Londynu. Imprezy Connie zawsze budzą wiele emocji. Naprawdę dużo bym dała, aby nie musieć tam dzisiaj iść.

Staję przed otwartą szafą. Obecnie mam na sobie czarne lniane spodnie i beżowy stanik, który najlepsze lata ma dawno za sobą. Spodnie kupiłam, gdy były krzykiem mody, która jednak minęła, poza tym trudno się prezentować elegancko w lnie. Bez zapału przeglądam wieszaki z bluzkami; żadna niestety nie woła: „Weź mnie! Weź mnie! Nadaję się na przyjęcie!”. Zdumiewa mnie, że większość białych koszulek ma żółtawe plamy pod pachami. Nawet bluzki koszulowe wydają się sterane i wyblakłe. W większości mogłabym śmiało pracować w ogrodzie albo sprzątać dom. Gorący duszny wieczór oznacza, że choć dopiero się wykapałam, skórę znów mam lepką. Zdecydowanie muszę iść w spodniach, moje łydki wyglądają, jakby ktoś je uwięził w moherowych ochraniaczach. Przestałam regularnie się depilować. Zapuściłam się. Po prawdzie mam gdzieś, co na siebie włożę, i tak nie chcę się wyróżniać. Wolałabym nie przyciągać niczyjej uwagi, choć obawiam się, że oczy wszystkich będą

zwrócone na Simona, tak czy inaczej. Mam jednak resztki dumy. Skoro muszę tam iść, pokażę się z najlepszej strony. Żeby nikt się nie domyślił, jak źle mają się u nas sprawy.

Wygrzebuję z szafy niebieską bawełnianą bluzkę, która ma swoje lata, ale wciąż wygląda nie najgorzej. Suszę włosy i układam fryzurę, mimo że omdlewają mi ręce. Niechętnie się maluję. Rezygnuję z podkreślenia konturu oka, ponieważ dłonie za bardzo mi drżą. Rzut oka w lustro mówi mi, że wyglądam w porządku. Wyskakuję z Millie naprzeciwko, aby odstawić ją do domu Indii. Obie dziewczynki trajkoczą z podnieceniem na temat wieczornej kosmetyki i „koczowania” w pokoju małej gospodyni. Muszę przyznać, że Simonowi udało się coś zaszczepić naszej córce tamtego wieczoru pod gwiazdami. Było to z pewnością bardziej wartościowe przeżycie niż upiększanie się pod okiem matki Indii. Skoro Simon nie pracuje, a ja mam wakacje, ciekawe, czy uda nam się wybrać na prawdziwy kemping w najbliższych tygodniach. Nie jest to moja ulubiona rozrywka, ale chyba powinnam się postarać. Znowu. Wiem, że Simon jest doświadczonym turystą, może dobrze by mu zrobiło przejęcie nad czymś kontroli, zaprezentowanie swoich mocnych stron. Jeśli ta pogoda się utrzyma, taka wycieczka powinna się udać. Co ważne, pod namiotem nie byłoby alkoholu, w ogóle albo przynajmniej bardzo mało. Czy taki wyjazd pomógłby Simonowi uporządkować sobie wszystko w głowie?

Wątpię, a zarazem mam nadzieję, że tak. Coś musi się zmienić.

Nie możemy żyć dalej tak jak do tej pory.

Mogłabym zapytać Connie, czy pożyczą nam sprzęt biwakowy raz jeszcze, abyśmy nie musieli się wykosztować. Takie przełamanie rutyny powinno nam dobrze zrobić. Mielibyśmy nareszcie czas na rozmowę. Bo – choć nie chcę rozmawiać o swoim rozpadającym się małżeństwie ani

z Connie, ani z Rose – mam ochotę rozmówić się z Simonem. Pomimo wszystko nadal go kocham.

Mieliśmy już złe okresy. Straszne, okropne okresy. I zawsze wszystko się normowało. Teraz też na pewno się unormuje. Musi.

Na moment ogarnia mnie silna determinacja. Mogę – muszę – coś zmienić. Nie czuję jeszcze optymizmu, ale chyba jestem bliżej rozwiązania. Całuję Millie na dobranoc i przykazuję, by nie sprawiała kłopotu mamie Indii, po czym przecinam jezdnię i wracam do domu. Zawiozę nas do Bakerów; nie martwi mnie brak możliwości napicia się alkoholu, a jeśli będziemy samochodem, będę mogła od razu zabrać sprzęt biwakowy. Zrobimy sobie wycieczkę w następnym tygodniu. Potrzebujemy resetu, bo dlaczego nie?

14

SIMON

A teraz zachciało się jej biwakowania. Latami ją namawiał i nigdy nie okazała zainteresowania. W końcu jednak wyszło na jego. Millie spodobało się w namiocie za domem, co najwyraźniej przekonało też Daisy. Powinien być zadowolony. Traktować to jak zwycięstwo.

Nie był jednak z niczego zadowolony. Nic go nie cieszyło.

Nie mógł wyrzucić z głowy doktora Martella. Pieprzyć to. Pieprzyć ją. Bezczelna była, stojąc tak przed nim, wyfiokowana i umalowana. Promieniejąca. Była ładna. Widział to. Ale za nic nie przyznałby tego głośno. Ciekawe, dla kogo tak się wystroiła. Na pewno nie dla niego. Czyżby nadal go zdradzała? Nie, niemożliwe. Ale słyszało się o takich przypadkach, prawda? O romansach, które trwały latami. A druga połówka żyła sobie niczego nieświadoma jak jakiś pieprzony idiota. Nieudacznik. Powinien ją zapytać wprost. Teraz, zaraz. Prosto z mostu. To by starło jej z twarzy ten uśmiezek pełen samozadowolenia. Zamiast jednak cokolwiek zrobić, łyknął sobie dzinu z tonikiem.

Simon miał świadomość, że nie jest ideałem męża. Chwilami bywało ciężko. Małżeństwo to w ogóle niełatwa sprawa. Trudno oczekiwać, że życie dwojga ludzi będzie usłane wyłącznie różami. Szczególnie źle zapamiętał czas, gdy obojgu tak zależało na dziecku. Matka powtarzała mu,

że nie powinien wymagać od losu zbyt wiele. Niech się cieszy z tego, co ma. Ale on wolał butelkę. Nawalić się. Zapomnieć o problemach. Jaka szkoda, że nie słuchał Elsie, gdy jeszcze mówiła z sensem. „Popatrz, co osiągnąłeś... Masz uroczą żonę, ładny dom, dobrą pracę”. On jednak nie mógł na niczym skupić uwagi. Interesowało go wyłącznie to, kiedy znów się napije. Wbrew wszystkiemu nie zasłużył sobie na to, co go spotkało. Był dobrym mężem. Wystarczająco dobrym. Pomagał w domu, zarabiał na rodzinę, w weekendy prowadził życie towarzyskie. Okazywał Daisy zainteresowanie, był wobec niej troskliwy, prawil jej komplementy. Nie skakał w bok.

Tylko lubił się napić. Nic więcej. To była jego jedyna – jak by to nazwać? – negatywna cecha. Nie uważał, że jego picie w czymś przeszkadza. Daisy jednak była najwyraźniej odmiennego zdania. Na tyle, że postanowiła się przespać z innym mężczyzną i sprzedać jemu dziecko tamtego. Co za podłość.

Nie był w stanie na nią patrzeć. Kiedyś pożerał wzrokiem jej ciało; teraz wolał butelkę.

– Jak myślisz? – zapytała radośnie. – Moglibyśmy się wybrać do New Forest w Hampshire.

Nie był pewien, czy chce z nią biwakować. Zamknięcie w ciasnej przestrzeni namiotu mogłoby sprawić, że zapragnąłby ją zabić. Na razie wolał w ogóle o tym nie myśleć. Następnego tygodnia, jutro nawet wydawało mu się odległą przyszłością. Zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, zatarł ręce i rzucił:

– Może strzelimy sobie po dżinie z tonikiem na rozgrzewkę?

– Chyba powinniśmy już iść – odparła Daisy.

Drętwa hipokrytka!

15

DAISY

Posesję Connie i Luke'a otaczają sztywne białe chorągiewki. Odcinające się od otoczenia trójkąci przywodzą na myśl niewielkie jachty stojące w kolejce do jakiegoś słynnego portu – Sydney czy Monte Carlo. Mimo że powietrze jest statyczne i małe flagi trwają nieruchomo, efekt przykuwa uwagę, dom wydaje się stylowy. Drzwi frontowe stoją otworem, gdyż Connie należy do osób, które myślą, że nic złego nie może ich spotkać. Nie dopuszcza do siebie scenariusza, w którym ktoś obcy wchodzi na górę i zabiera co cenniejsze rzeczy. Albo demoluje wnętrze. Właściwie taki scenariusz jest mało prawdopodobny, ponieważ wielu gości stoi w holu bądź wychodzi przed dom z kieliszkami w dłoni i uśmiechami na ustach, zarazem jednak dyskretnie sprawdzając każdego, kto się pojawi. Nerwowo przepatruję tłumek, szukając znajomych twarzy, równocześnie bojąc się, że jakąś zaraz zobaczę. Mam ochotę się obrócić i pognać ścieżką w przeciwnym kierunku. Wrócić do domu.

Connie i Luke są ludźmi sukcesu, świadczy o tym ich stylowy dom w Notting Hill – całkiem duży jak na posiadłość w Londynie. Mimo jego rozmiarów od gości jest aż gęsto; jedni siedzą w salonie, drudzy podpierają ściany w holu, jeszcze inni stoją na schodach. Simon przepycha się bezceremonialnie, zmierzając prosto do kuchni. Czuje pragnienie. Gdy wieczór dopiero się zaczyna i Simon oddala się ode mnie, przywodzi mi na

myśl miejskiego lisa. Jest tak samo dziki, przebiegły, zdeterminowany i samotny. Kiedy do mnie wraca, przypomina raczej leniwca. Bar mieści się w kuchni, gdzie dwaj mężczyźni mieszają drinki. Spodziewałam się tego, w końcu to przyjęcie, lecz mimo wszystko czuję ciężar na żołądku. Przy kontuarze stoi już parę osób podziwiających przedstawienie. Ochają i achają, gdy kostki lodu grzechoczą w potrząsanych shakerach, które następnie szybują w powietrzu z jednej ręki barmana do drugiej. Cytryny i limonki zamieniają się w ćwiartki w okamgnieniu, myląc zmysły. Simon wydaje się zniecierpliwiony. Widzę, jak bębni palcami o ladę, czekając na swoją kolej.

Nie mogę na to patrzeć. Przecinam parter i wychodzę na patio z tarasem z ciemnego drewna. Connie nie sieje trawy ani nie uprawia kwiatów na rabatkach, porozstawiała za to w ogrodzie liczne ogromne kamienne amfory, z których wystaje coś, co nazywa roślinami ozdobnymi. Są fioletowe i czarne, tylko z rzadka zdarzy się jakaś zwyczajnie zielona. Nad naszymi głowami pobłyskują białe lampki, które wytyczają też granice posesji, przyłączone do trzybocznego ogrodzenia. Na razie wciąż jest jasno – i jeszcze długo będzie – lecz gdy się ściemni, zrobi się cudnie, zjawiskowo wręcz. Connie bardzo się stara organizować swoje życie tak, by w każdym momencie nadawało się do uwiecznienia na fotce, która natychmiast musi oczywiście trafić na Instagram.

– Daisy! – słyszę, jak kilka znajomych głosów woła moje imię unisono.

Rose, jej mąż Craig i Connie machają do mnie z ferworem. Stoją zbici w ciasną grupkę, rozmawiając. Modłę się w duchu, abyśmy tematem rozmowy nie byli my, Simon i ja, obawiam się jednak, że tak właśnie jest. Domyślałam się, że Luke kręci się gdzieś w pobliżu. Bakerowie uchodzą za fantastycznych gospodarzy, dlatego rzadko się ich widzi razem na własnych przyjęciach; zawsze dbają o potrzeby gości, przedstawiają sobie ludzi

wzajemnie, dolewają im do kieliszków. Uśmiecham się, aby przekonać wszystkich, że cieszę się na ich widok. W sumie powinnam; to niczyja wina, że czuję się niezręcznie. Pozostając wciąż w nastroju walki, poddaję się ciepłym uściskom i ciepłym słowom. Rewanżuję się komplementami (Connie natychmiast zapewnia, że sukienkę kupiła w przecenie, a Rose kładzie dłoń na wydatnym dekolcie ozdobionym naszyjnikiem i rzuca: „Och, przecież to starość”). Przekrzykujemy się wzajemnie; ledwie mamy szansę odpowiedzieć na jedno pytanie, już pada drugie. Całkiem jakby chwila milczenia była czymś nagannym.

– Czy Sebastian i Henry tu są? – Rozglądam się w nadziei, że ujrzę swoich siostrzeńców.

– Nie, pojechali na festiwal SuncéBeat – odpowiada Craig.

– Nigdy o nim nie słyszałam. – I nic dziwnego. W życiu nie byłam na koncercie rockowym.

– Odbywa się w Chorwacji – wyjaśnia Craig z szerokim uśmiechem. Zerknąwszy na zegarek, dodaje: – W tej chwili smarują się pewnie olejkiem, zanim zaczną tańczyć w klatkach.

Wszyscy wybuchamy śmiechem – oprócz Rose, która wygląda na lekko zaniepokojoną, że ojczym chłopców może mieć rację.

– Pojechali ze swoim przyjacielem i jego rodzicami – oświadcza sztywno. – Jestem pewna, że zachowują się poprawnie.

– Tak, bez wątplenia podziwiają najwspanialsze zabytki architektury wczesnobizantyjskiej w basenie Morza Śródziemnego. – Śmiejąc się, Craig obejmuje Rose ramieniem i przytula ją z uczuciem, świadom, że martwi się o synów, którzy po raz pierwszy wyjechali tak daleko, i raczej nie jest skłonna do przekomarzanek na ich temat.

– A twoje dziewczęta? – zwracam się do Connie.

– Naspraszały własnych znajomych. Gdzieś tu się kręcą, kombinują, co by zbroić, i korzystając z nieuwagi dorosłych, próbują drinków.

Connie może tak żartować bez obaw, ponieważ wszystkie trzy jej córki są jeszcze małe, a przy tym śliczne i grzeczne. Zamiast więc przekraczać zakazane granice, raczej częstują gości pasztecikami. Henry i Sebastian również są porządni; czasem tylko lekko się wstawia, ale nigdy dotąd nie przyprowadziła ich policja, zresztą wyniki w nauce mają rewelacyjne. Wszyscy udajemy, ileż to problemów przysparzają nastolatkom, ponieważ ludzie tego po nas oczekują. Osobiście uważam, że to niemądre podejście. Zupełnie jakby dzieci nas zawodziły, nie biorąc narkotyków ani nie zachodząc w ciążę, tylko zachowując się przyzwoicie.

– O, Lucy! – Connie uśmiecha się promiennie do swojej najstarszej przyjaciółki.

Niegdyś Lucy i ja także się przyjaźniłyśmy. Obecnie traktuję ją raczej jak wrogaciółkę. Zerkam przelotnie na Rose. Moja siostra prostuje ramiona. Nawet po tylu latach kontakty towarzyskie z Lucy i Peterem nie przychodzą jej łatwo. Ich obecność na tym przyjęciu na pewno zmienia jej odbiór tego wieczoru o sto osiemdziesiąt stopni. Od tej chwili będzie bardziej spięta, zamknięta w sobie.

Connie, Lucy i ja poznałyśmy się na pierwszym roku studiów, po czym przedstawiłam jej wszystkie Rose, która zdążyła już wtedy zrobić dyplom, lecz wciąż przyjeżdżała do mnie w weekendy. Stanowiłyśmy dziwną zbieraninę, ale spajała nas Connie, nasz wspólny mianownik. Robiłyśmy wszystko razem – najpierw na studiach, a później po nich. Jeździłyśmy wspólnie na wakacje i przez krótki czas wynajmowałyśmy jedno mieszkanie. Potem Rose wyszła za Petera i urodziła bliźniaki. Lucy zaś uwiodła Petera i miała z nim potajemny romans, który dla Rose skończył

się rozwodem. Peter ożenił się z Lucy, urodziła mu nawet córkę – Auriol. Naprawdę pogmatwana historia.

Connie oczywiście nadal przyjaźni się z nimi wszystkimi. Twierdzi, że każdy kij ma dwa końce, a poza tym w jej mniemaniu historia Rose i Lucy to zaprzeszłość. To prawda, Rose i Peter rozeszli się szesnaście lat temu; od prawie dziesięciu lat moja siostra jest szczęśliwą żoną Craiga. Uwielbiam Craiga, jest przeuroczym mężczyzną, i bardzo się cieszę, że moja siostra znalazła w nim przystań, ale czy Connie zapomniała o latach, kiedy Rose borykała się z trudnościami jako samotna matka? Czy nie zastanawia się nad tym, zapraszając gości na swoje przyjęcia? Nie jestem pruderyjna. Wiem, że dorośli ludzie miewają romanse, popełniają błędy i później je naprawiają. Z nas wszystkich chyba najlepiej rozumiem, że każdy jest tylko człowiekiem, że jesteśmy słabi, bezbronni, czasami zwyczajnie głupi. Wierzę w drugą szansę, naprawdę. Tylko że Lucy siedziała przy wigilijnym stole w domu mojej siostry, równocześnie pieprząc się z jej mężem, a teraz nagle wszyscy mamy udawać, że to bez znaczenia, że nadal panuje między nami przyjaźń? Myślę, że normalniej byłoby, gdyby dało się wyczuć urazę albo gniew. Poczucie zażenowania czy żalu. Cokolwiek mówić, ludzie dzielą się na dobrych i złych. Rose jest moją siostrą, Lucy – żoną, która zniszczyła jej rodzinę.

Lucy zmierza w naszą stronę, machając przez całą drogę królewskim gestem, roześmiana; Peter drepcze obok niej.

Jedyna korzyść z ich przybycia jest taka, że przestają być w centrum zainteresowania. Lucy zawsze ściąga na siebie uwagę wszystkich. Trudno, żeby było inaczej przy jej urodzie i – co przyznaję bardzo niechętnie – inteligencji. Dołączywszy do naszej grupki, Lucy oznajmia, że wraz z Peterem robi sobie w lecie wolne. Domyślam się, iż mają tyle oszczędności, że ich na to stać. Oczywiście zorganizowany wypoczynek to

nie dla nich, zamierzają polecieć do Meksyku i przepracować tam kilka miesięcy w ramach wolontariatu w szkole dla sierot. Wygląda też na to, że zabierają ze sobą Sebastiana i Henry'ego – Rose i Craigowi nawet nie drgnie powieka, gdy Lucy to mówi. Zastanawiam się, kiedy zapadła decyzja i dlaczego nikt mi nic nie powiedział.

Ktoś pyta mnie o urlop, odpowiadam więc, że zamierzamy udać się na kemping. Przy okazji pytam Connie, czy pożyczy nam znowu sprzęt. Potakuje ochoczo, a ja czuję, jak wzbiera we mnie miłość do niej, lecz studzą mnie jej następne słowa:

– Ale kuchenkę musisz kupić nową. Nasza jest niekompletna.

Teraz jej nienawidzę. Wiem, że jestem niekonsekwentna i niesprawiedliwa. Connie stwierdziła tylko fakt. Jestem podenerwowana przez to przyjęcie. Pobudzona. W defensywie. Zresztą czemu miałabym być sprawiedliwa? Życie nie jest sprawiedliwe, prawda?

Simon wyrasta przy nas jakby znikąd. Wita się z przesadnym entuzjazmem. Rozmowa trwa, Simon zgodnie kiwa głową na wszystko, co zostanie powiedziane, choć wiem, że wcale nie śledzi jej przebiegu. Nie obchodzi go nowa wersja *Pogromców duchów* ani wewnętrzne wybory u torysów, ani ostatni etap Tour de France.

– Parny wieczór – komentuje i duszkiem wypija drinka, którego cały czas trzymał w ręce. – Aż chce się pić. Chyba przyniosę sobie drugiego. Ktoś coś?

Nasi przyjaciele zerkają na swoje kieliszki i pomrukują:

– Dzięki, stary, ale jeszcze mam.

– Na razie mi wystarczy; staram się przystopować, wiesz.

– Przed nami długa noc, jeszcze się napijemy.

Nie tylko słyszę, co mówią. Rozumiem, co chcą powiedzieć. Radzą mi, żeby wziął na wstrzymanie. Usiłują dać przykład. Nic z tego nie działa.

Simon wzrusza ramionami.

– Jak tam sobie chcecie – rzuca i odchodzi w stronę kuchni.

Odprowadzamy go spojrzeniem w gęstniejącej ciszy.

16

SIMON

Simon większość wieczoru spędził na rozmowach z dopiero co poznanymi osobami. Potrzebował nowych przyjaciół; starzy go nudzili i oceniali. O ironio, oceniali nie tego co trzeba, racja? On tylko pił dla rozrywki. Ale Daisy... cóż, ona... Ciekaw był, ile wiedzą. Na pewno więcej od niego. Opowiadały sobie wszystko, te baby. Wiecznie tylko szeptały i plotkowały. A teraz się z niego śmieją. I to od jakiegoś czasu. Daisy, ta jej siostra i pozostałe psiapsióły trzymały ze sobą sztamę. Siebie nawzajem nie oceniały. Co wolno wojewodzie... Wystarczy spojrzeć na sprawę Lucy i Petera. Mieli romans na oczach wszystkich. No dobra, było wtedy trochę zamieszania, ale afera szybko ucichła. Oboje znów należeli do paczki. Nikomu nie zależało, by ich wyrugować.

Westchnął i jął się przepychać w stronę baru.

Poza tym to nie byli wcale jego przyjaciele, tylko jej. Tacy sami jak ona, kropka w kropkę. Namolni hipokryci realizujący z góry upatrzone cele. Nie mogli się doczekać, aby go wypytać o picie i utratę pracy, całe to gównno. Zdradzili się tym, że tak znacząco omijali oba tematy. W normalnych okolicznościach Craig by go zapytał: „Co tam w pracy?”. Mężczyźni traktowali to jak zagajenie. Pracę albo sport. Simon miał sport w dupie. I pracę też. I Craiga, skoro już o tym mowa. Chciał się napić. Ileż będzie

stał przy tym pedalskim barze? Odrobina pokazówki przy robieniu drinków nikomu nie mogła zaszkodzić, ale w tym czasie ktoś był gotów umrzeć z pragnienia.

– O, cześć, Simon! – Simon się odwrócił, aby sprawdzić, kto go zagaduje. Nie znał człowieka, ale człowiek najwyraźniej znał jego; typowa sytuacja. Nieznajomy złapał dłoń Simona i zaczął ją ścisnąć z całych sił. – Trochę czasu minęło. Jak leci?

To pytanie sprawiło, że Simon poczuł się pewniej. Facet nie miał o niczym pojęcia, gdyż każdy, kto je miał, nie zadawał mu takich pytań.

– Dziękuję, nieźle. W gruncie rzeczy całkiem dobrze – odparł z uśmiechem. Po czym dodał cierpko: – Aczkolwiek byłbym znacznie szczęśliwszy, stojąc na początku tej kolejki.

Facet się zaśmiał, jakby Simon powiedział coś naprawdę śmiesznego. A potem rozпалиł w Simonie jeszcze cieplejsze uczucia, mówiąc:

– Święta racja, stary. Właściwie to nie warto tu czekać. Te drinki? Jeden łyk i po sprawie. Chodź ze mną.

Simon zachodził w głowę, z kim ma do czynienia. Te cholerne dziury w pamięci. Przez nie przepadały imiona, przepadały dni. Na ogół mu to nie przeszkadzało. Były rzeczy, o których chętnie zapominał, a zaliczały się do nich między innymi wieczory, które spędzał na mieście. Ale nie pamiętać, jak się ktoś nazywa, to dość frustrujące. Jednak poszedł za tym człowiekiem, bo był wysoki, przyjazny, przystojny. Z rodzaju tych, co wiedzą, czego chcą w życiu, wiedzą, jak miło spędzić czas. Ostatnie potwierdziło się w chwili, w której w jego rękę zmaterializowała się butelka tequili.

– Po maluchu? – zapytał tamten.

Simon wolałby z gwinta, ale na kieliszki też mogło być. Choć to w gruncie rzeczy również jeden łyk i po sprawie. Mimo wszystko wyszedł

z nowym przyjacielem przed dom, na ten skrawek przestrzeni, który w Londynie nazywało się frontowym ogrodem. Ulżyło mu, że nowy znajomy nie udał się na tyły – po pierwsze nadal nie pamiętał jego imienia, nie byłby więc w stanie przedstawić go starej paczce, a po drugie nie miał najmniejszej ochoty do niej wracać. Żałował, że nie pamięta czegoś o tym facecie. Czegokolwiek. Chyba już gdzieś go widział. Facet niczym się nie różnił od reszty gości Connie. Był wysoki, wysportowany, silny, przystojny... Simon złapał się na tym, że powtarza się w myślach. Nieważne. Był mężczyzną na tyle pewnym siebie, iż potrafił przyznać, że drugi facet jest przystojny.

Usiedli na murku twarzą w stronę domu, pozwalając, aby owionął ich letni wiatr. Wokół przyjęcie trwało w najlepsze; gdziekolwiek spojrzeć, stały miski z nachosami i piętrzyły się butelki po piwie. Nowy przyjaciel Simona zaśmiał się nagle.

– Cholera, zapomniałem kieliszków.

Rozejrzał się dookoła. Na ziemi i na murku, obok przepełnionych petami popielniczek, stało parę porzuconych kieliszków do wina. Wewnątrz laziły już mrówki. Simon wiedział, że jego kumpel rozważa, czyby nie wybrać dwóch, opróżnić ich do reszty na ścieżkę wysypaną korą i wykorzystać, nie dbając o higienę ani o to, że nie miesza się różnych alkoholi. Poczuł, że znalazł pokrewną duszę, kogoś, kto lubi pić nie mniej od niego, i coś nieoczekiwanie się w nim poluzowało, rozsypało. Ogarnęła go błogość. Często tak nawiązywał znajomości, ba, przyjaźnie nawet; łatwe i przemijające. W barach i pubach rozsianych w całym Londynie. Tak, z tym tutaj też musiał już kiedyś pić. Facet go pamiętał, on faceta nie. Wielkie meczyje. W końcu ten od tequili zrezygnował z kieliszków; może uznał, że szkoda zachodu z tym całym schylaniem się i prostowaniem. Zamiast zawracać dalej głowę, pociągnął prosto z gwinta, po czym podał

butelkę Simonowi. Simon złapał ją ochoczo, przyłożył do ust i łąpczywie upił dwa potężne łyki. Głdyk, głdyk.

Zaczęli rozmawiać o *Żywych trupach* i *Grze o tron*. Wygłaszali swoje opinie, przesadnie artykułując słowa. Zagłębiali się w szczegóły. Czas mijał, uciekał.

– A jak się miewa nasza urocza Daisy?

Pytanie zdumiało Simona. Nowy przyjaciel najwyraźniej znał go lepiej, niż mógłby przypuszczać. Nie był to więc pierwszy lepszy facet, z którym pił w jakimś barze. Może raczej dawny znajomy Daisy i Connie, jeszcze ze studiów?

– Dobrze, eee, dziękuję. Jest tu ze mną. – Zatoczył krąg ramieniem.

– Nie widziałem was od lat.

Simon uznał tę informację za pocieszającą. Facet nie wyleciał mu z głowy, ponieważ upił się z nim do nieprzytomności, tylko dlatego, że zwyczajnie długo się nie widzieli. Normalka w średnim wieku. Choć gdy się zastanowić, alkohol też pewnie miał z tym coś wspólnego.

– Ej, Daryll, masz ognia? – Rozmowę przerwał im inny gość, Simon jednak się nie zirytował. Nareszcie to miał! Imię nowego przyjaciela: Daryll. Byleby mu tylko znów nie umknęło...

– Wybacz, ale nie – odparł Daryll ze wzruszeniem ramion. Przerwa w rozmowie była krótka. Daryll zwrócił się ponownie do Simona. Pokazując na niemal pustą butelkę, zapytał: – Szlag, myśmy to wszystko wypili?

– Była tylko w jednej trzeciej pełna, gdy ją zorganizowałeś – powiedział Simon. Przykładał wagę do takich rzeczy.

– Bogu dzięki. Skombinować coś jeszcze? Ty tu zaczekaj.

Simon skinął głową z zadowoleniem. Nie chciał się stąd ruszać, nie chciał wpaść na Daisy ani na nikogo z ich dawnej paczki. Z Darylla był

równy gość; bardzo interesujący. Wiedział, że jego nowy przyjaciel zaraz wróci z pełną flaszką. Nie szukał tylko głupich wymówek. Simon mógł mu zaufać.

– Może czerwone wino? – zaproponował.

– Świetny pomysł. Zobaczą, co da się załatwić.

O tak, Simon spędzi miło czas. Nie miał co do tego wątpliwości. Co za szczęście, że wpadł na tego całego Darylla.

17

DAISY

Daisy! – Jego głos, natarczywy i wymagający, dolatuje mnie pomimo harmideru panującego na przyjęciu, wszystkich tych rozmawiających ludzi i muzyki lecącej na cały regulator. Zamieram w miejscu. – Daisy, chodźże tutaj! Chodź i się przywitaj!

Obok Simona siedzi na schodach Daryll Lainbridge. Na jego widok krew ścina mi się w żyłach. Kolana pode mną miękną. Nieomal wybucham śmiechem, gdy to zauważam, zawsze dotąd myślałam, że to tylko takie powiedzenie: miękkie kolana. Dlaczego Simon rozmawia akurat z Daryllem? Wspieram się ręką o ścianę. Potrzebuję podpory. Muszę się wziąć w garść. Ustać prosto. Zachowywać się jakby nigdy nic. Teraz to ważniejsze niż kiedykolwiek.

Studiowałam z Daryllem. W tamtych czasach beznadziejnie się w nim podkochiwałam. Co w tym dziwnego? Był przystojny, inteligentny, bogaty i pewny siebie. Ja miałam osiemnaście lat i byłam romantyczką. Wszystkie się zgadzałyśmy, że wyglądał jak Sebastian Flyte z *Powrotu do Brideshead*, a przynajmniej jak Anthony Andrews, odtwórca jego roli w serialu telewizyjnym z lat osiemdziesiątych. Może nie nosił ze sobą pluszowego misia, ale ubierał się w trzyczęściowe garnitury i roztaczał wokół siebie powiew arogancji, która choć pretensjonalna, bardzo mnie pociągała.

Niesłuchanie chciałam być jego Karolem Ryderem. Pragnęłam dać się zamknąć w jego eleganckim, wyrafinowanym świecie. Z braku lepszego pomysłu próbowałam się wkraść w jego łaski, pożyczając mu notatki z wykładów i fiszki do powtórek, które były czytelne, głębokie i pełne. Mimo to Daryll miał kłopoty z zapamiętaniem mojego imienia. Na pierwszych latach nazywał mnie Rudą, co było rozwiązaniem zrozumiałym, acz mało intymnym. Nie dość, że nie zaliczał się do mojej ligi, to jeszcze – jakżeby inaczej – szaleńczo kochał się w Lucy. Wszyscy się w niej kochali. Świata poza nią nie widział, a ona – niczym w jakiejś parodii *Snu nocy letniej* – w ogóle go nie zauważała, gdyż sama kochała się w chłopaku mojej siostry. Każdy patrzył nie w tę stronę co trzeba.

Po dyplomie Lucy z całą pewnością nie pozostała w kontakcie z Daryllem, tak samo zresztą jak my wszyscy. Trafił znów do naszego towarzyskiego kręgu po dziesięcioletniej przerwie, gdy Connie nieoczekiwanie wpadła na niego w pewną sobotę na targu staroci. Do tego czasu przestał się wbijać w trzyczęściowe garnitury, ja zaś nareszcie zrozumiałam, czym dla niego kiedyś były: nie pokazem pewności siebie, lecz rozpaczliwym wołaniem o uwagę. Ku mojemu wielkiemu zażenowaniu okazało się, że Daryll zdawał sobie sprawę z mojego istnienia w czasach studenckich, może nie pamiętał, jak się nazywam, ale wiedział, że byłam kimś, kto go wielbił. Przy ponownym poznaniu roztrząsał ten temat, choć musiał mieć świadomość, że czas nie stał w miejscu i od paru lat byłam żoną Simona. Czułam się bardzo niezręcznie. Tym bardziej że on zachowywał się okropnie, udając, że ze mną flirtuje, i równocześnie dając do zrozumienia, że czyni to z łaski. Zdaniem Connie wyolbrzymiałam sprawy, a Daryll traktował mnie jak każdą inną kobietę z paczki. Ponoć w ogóle nie słyszała o tym, że można flirtować z kimś z litości. Poradziła mi nawet, żebym cieszyła się zainteresowaniem, o ile jakieś zdobyłam,

ponieważ życie mężatki bywa bardzo nudne. Okazuje się, że Connie nie jest taka mądra, za jaką chce uchodzić.

Gdy usłyszałam, że od paru lat Daryll mieszka w Hongkongu, bardzo się ucieszyłam. Pomyślałam tylko, że to nie dość daleko jak dla mnie. Niestety znajomi Connie mają to do siebie, że przemieszczają się nad oceanami, z kontynentu na kontynent, pierwszą klasą w błyskawicznym tempie. Nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy się na nich trafi. Obawiałam się, że go tu spotkam, trzymałam kciuki, aby tak się nie stało, no i proszę. W najgorszym koszmarze jednak sobie nie wyobrażałam, że Daryll wda się w rozmowę z Simonem. Przed oczami stają mi wszystkie te rzeczy, które mogli sobie powiedzieć, i modlę się w duchu, aby jednak do tego nie doszło. Obaj wyglądają na pijanych. Pytanie tylko, czy ten ich stan doprowadzi do nieszczęścia czy przeciwnie. Podpity Simon rzadko potrafi prowadzić normalną rozmowę, brak mu dostatecznego skupienia. Czasem jednak robi się wojowniczy, kłótniwy. Przechodzi mnie dreszcz. Zdarza mi się marzyć, aby pozbyć się go niczym skórki z mandarynki, uwolnić od odpowiedzialności za niego. A Daryll? Jaki ma cel? Dlaczego zakumplował się z moim mężem? Znajduję się w okowach strachu. Na piersi mam zaciśniętą niewidzialną obręcz, przez którą ledwie mogę oddychać.

Nie mam pojęcia, jak ich rozdzielić. Szybko sobie uzmysławiam, że w tej sytuacji mam związane ręce, nic nie mogę zrobić. Obracam się na pięcie i odchodzę, ignorując ich wołania i żądania, abym się przyłączyła. Chcę się znaleźć jak najdalej od nich. Najchętniej w ogóle opuściłabym to przyjęcie, wyszła na ulicę i ruszyła prosto przed siebie. Nie robię tego. Zostaję, choć wiem już, że czasami ucieczka jest najlepszym rozwiązaniem.

Zdeterminowana, by nie dać sobie popsuć humoru jeszcze bardziej, wdaję się w rozmowy z nieznanymi mi osobami, które chętnie opowiadają o swoim życiu: jakie restauracje ostatnio odwiedziły i gdzie kupiły nowe

buty, które piją w palce. Większość ludzi potrafi docenić zainteresowanego słuchacza, tak więc nikt nie oczekuje ode mnie, abym się wiele odzywała, co bardzo mi odpowiada, ponieważ nie jestem pewna, czy byłabym w stanie mówić składnie o czymkolwiek, nawet tak banalnym jak menu. Czuję się oszołomiona, ale nie jadłospisem. Kręci mi się w głowie. Chciałabym móc powiedzieć, że to miłe uczucie lekkości, niestety takie nie jest. Już prędzej podsyte niepokojem i mdłościami.

Parę kobiet oczyściło drewnianą podłogę w jadalnianej części kuchni, podłączyło iPhone'a do głośników i zaczęło tańczyć. Nie mam w sobie dość odwagi, by do nich dołączyć, lecz widok tancerek na zaimprovizowanym parkiecie sprawia mi radość. Stoję nieopodal, przytupując do rytmu i mając nadzieję, że linia melodyczna mnie uspokoi, choć wiem, że trzeba czegoś więcej. Chyba chcę, aby któraś z tańczących mnie zachęciła. Rose wiruje jak derwiszka, zarumieniona i szczęśliwa. Najwyraźniej jej plan na dzisiejszy wieczór obejmuje szalony taniec. Nie musi myśleć o innych rzeczach. Szkoda, sama nie umiem się tak zapamiętać; szkoda, że nawet dzięki muzyce nie mogę się przenieść w bezpieczniejsze miejsce.

Ktoś stuka mnie w ramię. Wzdrygam się. Cała drzę.

– Nie tańczysz? – Choć intonacja jest pytająca, trudno uznać to za pytanie, gdyż widać przecież, że nie tańczę. Potrząsam przecząco głową i spoglądam ponad ramieniem Darylla, szukając Simona. – Obawiam się, że zgubiłem twojego męża. Niezdara ze mnie.

Szczerzy się do mnie, a ja wydaję z siebie chichot. Sama nie wiem dlaczego. Przypuszczam, że chcę go zadowolić, pokazać, jaki jest zabawny, choć bynajmniej tak go nie odbieram. Muszę stąpać ostrożnie. Powinam odejść pod byle pretekstem. Byłoby to grzeczne, nie zwróciłoby na mnie większej uwagi. Tymczasem stoję jak wmurowana. Złapana w pułapkę

rozmiaru i uśmiechu Darylla. Robi mi się gorąco. Dlaczego on stoi tak blisko? Mogłabym ruszyć na parkiet, ale zawsze istnieje ryzyko, że poszedłby za mną. A ja nie chcę z nim tańczyć.

– Kopę lat, Ruda – mówi, pokazując wszystkie zęby. Na szyi czuję ciepło jego oddechu, zmieszanego z wonią tequili. Co pomyślą sobie ludzie, widząc go nachylonego ku mnie i szepczącego mi coś na ucho?

– Mów mi Daisy – rzucam.

– Wszyscy mówią na ciebie Daisy. – Chcę powiedzieć, że istotnie, ponieważ tak właśnie się nazywam, Daryll jednak mnie uprzedza: – Lubię nadawać przydomki znajomym, przecież wiesz. – Nie uważam się już za jego znajomą. Wręcz przeciwnie. Ostatecznie nic nie mówię. – Fajnie było pogadać z Simonem, nadrobić zaległości. Teraz czuję się na bieżąco.

– Aha – mruczę. Żołądek zwija mi się w ciasny supeł.

– Jak rozumiem, masz dziecko.

– Tak.

– Tylko jedno?

– Zgadza się.

– Dziewczynkę?

Kiwam głową nieznacznie. Myśl o Millie pomaga mi. Czuję się odważniejsza, bardziej zdeterminowana.

– Pozwolisz, że cię zostawię? Obiecałam najmłodszej córce Connie, że wpadnę na górę, by się z nią przywitać. Dwie starsze biorą udział w imprezie, ale Sophie zapakowano do łóżka, przez co trochę się dąsa. – Zanim Daryll zdąży odpowiedzieć, odwracam się i wbiegam po stopniach na piętro.

Pukam do drzwi pokoju dziecięcego. Uchylają się lekko, lecz gdy Sophie mnie dostrzega, otwiera je na całą szerokość i woła:

– Ciocia Daisy! Wejź, ciociu! Wejź, wejź!

Rzuca mi się w ramiona i obejmuje mnie ciasno. Jestem ciotką nie tylko dla Sebastiana i Henry’ego, ale też dla córek Connie. Nadały mi ten tytuł w czasach, gdy nikt jeszcze nie przypuszczał, że kiedykolwiek będę mamą. W ramach rekompensaty, z dobroci serca. Sophie ściska mnie z niepohamowanym entuzjazmem i nieskrywaną radością. Całuję ją w czubek głowy i daję się otulić jej uczuciowości. Ledwie przekroczę próg, pyta:

– Gdzie Millie? Czemu jej nie przyprowadziłaś?

– Millie to twoja córka, tak? – wtrąca Daryll.

Podskakuję, zdawszy sobie sprawę, że stoi tuż za mną. Nie miałam pojęcia, że wszedł po schodach. Teraz wchodzi do pokoju Sophie i siada przy jej biurczku. Krzesło jest różowe i o wiele dla niego za małe. Daryll wygląda na nim niedorzecznie, jak gigant na polance wrózek w środku lasu. Zdaje się nie na miejscu. Odsuwam się od niego na tyle, na ile to możliwe w tym niewielkim pomieszczeniu, i staję plecami do okna. Normalnie siadłabym na łóżku, pośród masy pluszowych zwierzątek, jego obecność jednak mnie krępuje.

Sophie odpowiada za mnie:

– Tak! Millie to córka cioci Daisy i moja młodsza koleżanka!

Mówi to tak głośno, jakbyśmy się znajdowali w osobnych pokojach. Najwyraźniej unosi się na fali podniecenia związanego z przyjęciem oraz glukozy, którą wchłonęła z przekąskami, zanim wysłano ją spać. Zawsze mnie bawi, że Sophie nazywa Millie swoją młodszą koleżanką. Faktycznie jest o rok starsza od mojej córki, ale to Millie jest z nich dwu wyższa.

– Millie nocuje u Indii – wyjaśniam. Sophie marszczy brwi. Przyjaźni się z Millie tak blisko, że jest wobec niej trochę zaborcza. Rozumie, że Millie musi mieć przyjaciółki w sąsiedztwie i klasie, ale nie jest z tego

faktu zadowolona. Wydaje się jej, że ma do mojej córki specjalne prawa. – A ty, jak widzę, masz do towarzystwa Jamilę – dodaję łagodnie. – Witaj, Jamilo.

Dziewczynka, którą widziałam już wielokrotnie, siedzi na podłodze nad na wpół rozebranymi lalkami; całą uwagę skupia na wyborze strojów. Macha do mnie niedbale, nie odrywając spojrzenia od ciuszków, ale pyta:

– Jak przyjęcie?

– Właśnie! – piszczy Sophie. – Czy tańce już się zaczęły? Czy ktoś się upił?

Zaczyna przewracać oczami i zataczać się po pokoju, dzięki czemu całkiem udatnie naśladuje osobę pod wpływem alkoholu.

– Fuj! – komentuje Jamila ostrym tonem. – Nie cierpię, gdy dorośli się upijają i zachowują tak głupio.

– To zabawne! – upiera się Sophie. – A pan to kto? – rzuca, wbijając wzrok w Darylla. – Znajomy mamy czy taty?

Sophie jest bardzo pewna siebie i nie ma problemu z zagadywaniem dorosłych. Jej rozmowy wypadają znacznie bardziej skomplikowanie od rozmów Millie. Tłumaczę to tym, że jest najmłodsza z rodzeństwa i musi we wszystkim dorównać starszym siostrze. Teraz jestem jej wdzięczna, że zagadnęła Darylla; oznacza to, że ja nie muszę z nim rozmawiać.

– Obojga – odpowiada Daryll z uśmiechem. – Ale twoją mamę znam dłużej. Poznaliśmy się na studiach.

– Zatem zna pan także ciocię Daisy i Lucy?

– O, tak.

Sophie przygląda mu się badawczo.

– A ja pana chyba nie znam.

– Przez długi czas mieszkałem w Hongkongu – wyjaśnia Daryll. – W Anglii jestem przejazdem, a niebawem przeprowadzę się do Nowego Jorku.

– Dlaczego? – dopytuje dziewczynka.

– Z powodu pracy. – Daryll jest maklerem czy bankierem, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie jego stanowisko robi wrażenie.

– I pańska żona nie ma nic przeciwko ciągłemu pakowaniu waszych rzeczy i zmienianiu domu?

– Nie mam żony.

– Och. A dlaczego?

Daryll rzuca mi spojrzenie, w którym można by odnaleźć tęsknotę lub smutek.

– To długa historia – mamrocze, a ja wbijam wzrok w swoje stopy. Twarz mam zaczerwienioną, nie chcę, żeby Sophie to zauważyła.

– Tatuś cię szukał – zwraca się do mnie mała.

Luke. Myśl o nim zazwyczaj mnie uspokaja. W tej chwili jednak na perspektywę stanięcia z nim oko w oko kulę się ze wstydu. Nie widzieliśmy się ani nawet nie rozmawialiśmy ze sobą od tamtej nocy, gdy pomógł mi rozebrać, wykąpać i położyć Simona do łóżka. Czuję się niezręcznie. Nie sądzę, aby Luke okazał się na tyle nietaktowny i poruszył ten temat podczas przyjęcia, co jednak, jeśli będzie chciał o tym porozmawiać? Z zażenowania zamienię się w kupkę popiołu. Lubię Luke'a. Zawsze go lubiłam, jak my wszystkie. Connie mawia, że to istne przekleństwo: fakt, że jej przyjaciółki podkochują się w jej mężu. To naprawdę cudowny mężczyzna. Uczciwy, mający silne poczucie sprawiedliwości, niezwykle praktyczny, gdy idzie o rozwiązywanie problemów. Należy do tej garstki osób, które żyją w kompletnej zgodzie ze sobą; dzięki temu bez trudu stawia czoło ludzkim dziwactwom. Absorbuje sekrety, ale nie zmienia się

pod ich wpływem. Przetrawia je, lecz wychodzi z tego zwycięski. Dawno temu, jeszcze zanim poznałam Simona, często radziłam się Luke'a w sprawach sercowych. Korzystałam na tym, że przedstawiał mi męski punkt widzenia. Connie wiecznie sarkała; w jej mniemaniu męski umysł nie wymaga wiwisekcji, ponieważ jest jednotorowy. Gdy staraliśmy się z Simonem o dziecko, często zaglądałam do biura Luke'a – na kawę, na pogawędkę – ilekroć czułam, że sytuacja mnie przerasta.

Mimo to jednak Luke nie jest osobą, do której powinnam się zwrócić w tym momencie.

Sprawa jest o tyle skomplikowana, że jest przyjacielem zarówno moim, jak i Simona. Nigdy bym od niego nie oczekiwała, aby opowiedział się po jednej ze stron, ale tak to mogłoby zostać odebrane. Nie zamierzam go stawiać w trudnym położeniu. Znowu. Nasza ostatnia interakcja była prawdziwą torturą. Po tym, jak umyty Simon spał już smacznie w naszym łóżku, powinnam była poczęstować Luke'a herbatą czy czymś, tymczasem ja praktycznie wyrzuciłam go z domu. Chciałam zapomnieć o tym przykrym epizodzie. Nawet moje podziękowanie wypadło sztywno, oschle.

Luke jednak, wypychany przeze mnie na zewnątrz, powiedział jeszcze: „Możesz do mnie zadzwonić w każdej chwili, Daisy”. „Wiem – odparłam. – Dam ci znać, jeśli będę w potrzebie, ale powinniśmy sobie poradzić”.

Stojąca przede mną Sophie kręci się w miejscu jak bączek.

– Tatuś wszędzie cię szukał. Pytał każdego, czy cię nie widział.

– Jak zwykle rozchwytywana przez mężczyzn – komentuje Daryll. Niestosownie i nieprawdziwie. Ignoruję go.

– Tatuś przyszedł nawet do mnie, bo myślał, że się u mnie chowasz – dodaje Sophie.

Z rumieńcem na twarzy odpowiadam:

– Przed czym miałabym się chować?

Sophie wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Powiedziałam tatusiowi, że pewnie jesteś z wujkiem Simonem, jak zawsze. Opiekujesz się nim, bo wiecznie się upija, prawda? Nie znaczy to, że jest złym człowiekiem... tak mówi mama. Po prostu brak mu... – Urywa nagle i wykrzywia buzię w wyrazie skupienia, ewidentnie próbując sobie przypomnieć wyrażenie, którego użyła Connie. Świadoma, że Daryll wszystkiemu się przysłuchuje, chcę powstrzymać Sophie, ale nagle ogarnia mnie chorobliwa fascynacja. Pragnę się dowiedzieć, czego Simonowi brak zdaniem Connie. – Brak mu samokontroli! – wykrzykuje dziewczynka z uśmiechem, bardzo z siebie dumna, że zapamiętała takie trudne słowo. – Prawda?

Unosi twarzyczkę, aby na mnie spojrzeć, czekając na potwierdzenie. Muszę przestać się okłamywać. To pewne, że jesteśmy na językach wszystkich, a przynajmniej Simon jest. Wstyd uderza we mnie jak spiętrzona fala, chwieję się pod jego impetem.

Simon.

Daryll.

Nagle ogarnia mnie klaustrofobia. W pokoju Sophie robi się ciasno i duszno. Okno jest uchylone tylko ociupinkę, chcę je otworzyć na oścież. Potrzebuję przestrzeni, powietrza. Pragnę się stąd wydostać jak najszybciej.

Daryll podrywa się z różowego krzeselka, ujmuje mnie pod ramię i wyprowadza na korytarz, ku schodom. Uśmiecham się blado do Sophie i Jamili, ale nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym im powiedzieć. Nagły gest Darylla czyni niezręczną sytuację jeszcze niezręczniejszą. Nie mam pojęcia, jak zareagować, nie reaguję więc. Daryll wciąga mnie za najbliższe drzwi. To pokój Fran, ściany są obwieszane plakatami zespołu The 1975. Dziewczynka kocha się w tym z bujną fryzurą. Umysł mam

przyćmiony, gdyż przez moment wydaje mi się, że na łóżku odbywa się orgia. Tak naprawdę pokój jest pusty, a na narzucie leżą kurtki gości, którzy nie mają zaufania do angielskiej pogody i nie wierzą, że nad ranem będzie ciepło. W głowie mi wiruje. Drzę na całym ciele.

– Dobrze się czujesz? – pyta Daryll, zamykając za nami drzwi. Mam wrażenie, że ściany na mnie napierają, ale to nie jego interes. Rozmasowuję ramię w miejscu, gdzie mnie ścisnął, wyprowadzając z pokoju Sophie. Trzymał mnie mocniej, niż wymagała sytuacja.

– Oczywiście, że tak! – odwarkuję, sięgając do klamki. Daryll jednak blokuje mi dostęp do niej.

Jest mi słabo. Nie mogę tutaj z nim zostać. Wiem, co może się wydarzyć.

– Wszyscy mówią o Simonie – oznajmia głucho. Z jego oczu wyziera współczucie. Nie chcę go widzieć. Nie chcę jego współczucia.

– Tak?

– Gdybym mógł jakoś pomóc... – Rozkłada szeroko ramiona zapraszającym gestem. Jakby, chyba, oferował, że mnie przytuli.

Cofam się o krok, drugi; udem walę prosto o narożnik biurka Fran.

– Nie możesz. – Zaczynam stanowczo, ale głos mi się załamuje, zdradzając mnie.

Wtem z pełną mocą otwierają się drzwi. Tracony nimi Daryll robi żabi skok w moją stronę, rozczapierzając palce wyciągniętych rąk. Hamuję jego upadek, co kończy się tym, że niezdarnie się mnie trzyma.

– A, tu jesteś – rzuca Luke, zaglądając do środka. Ma srogą, zirytowaną minę, gdy obejmuje nas spojrzeniem. Przyłapał mnie ukrytą w pokoju na górze z Daryllem. Mężczyznę, którego moja matka nazwałaby lowelasem, a Rose casanovą. Ja mam go za zwykłego drania.

Daryll odsuwa się ode mnie wolnym ruchem i prostuje. Mam rumieńce na twarzy, mimo że wcale mnie nie obejmował, tylko się mnie trzymał. Sytuacja jednak jest wystarczająco zła, aby jeszcze pogarszać ją wyjaśnieniami. Przez moment żadne z nas nic nie mówi. Słysząc tylko grającą muzykę, która z parteru, schodami, płynie na piętro, w stronę otwartych drzwi pokoju Fran. Docierają też do nas odgłosy przyjęcia, śmiechy i urywki rozmów. Impreza jest najwyraźniej udana. Ale w tle słysząc coś jeszcze. Krzyki. Muzyka się urywa.

– Powinnaś chyba zejść na dół – mówi Luke. – Chodzi o Simona.

18

SIMON

Tamten pierwszy łyk, dzin z tonikiem we własnej kuchni, zanim wyszli na przyjęcie, nie mógł się równać z niczym innym. Czując jego smak, nie chciał go bezcześcić, dlatego resztę starał się sączyć, nie trąbić na całego. Z naciskiem na „starał się”. Ten drink był jak przyprawiający o ciarki uwodzicielski pomruk. Start. Początek.

Znalazłszy się u Bakerów, od razu rzucił się do baru. Gdy wychylał pierwszy kieliszek, poczuł, jak przechodzi go prąd; przypominało to trochę orgazm. Chwila zapomnienia, relaksu całego ciała. Tylko tyle i aż tyle.

Alkohol pieścił jego język, igrał z ustami i umysłem. Niczym kochanka. Nawet lepiej, ponieważ kobiety odchodzą, nudzą się albo zdradzają. Alkohol szemrał miło, nie zawracając mu głowy rachunkami do zapłacenia, wizytami w domu opieki ani zażywaniem świeżego powietrza. Przenigdy. Alkohol to rzecz najbliższa wehikułowi czasu, jaką znamy, prawda? Naukowcy nie wynaleźli niczego lepszego. A on musiał się cofać w czasie. Wracać do bezpiecznego, beztroskiego miejsca.

Co dalej? Haj. Przybierał rozliczne formy, każda jednak była dobra. Wszystko zależało od tego, gdzie akurat się znajdował. I z kim. Zdarzało się, że przenikał go dreszcz, jakby rozmawiał z dawnym kumplem, kumplem, którego zdaniem był zabawny. Kurwa tam, był zabawny! Kiedy

indziej czuł się tak, jakby był sam, w ciepłej kąpieli albo wygodnym łóżku. W jakimś przyjemnym odosobnionym miejscu, gdzie żaden dupek mu nie przeszkadzał żądaniami ani terminami, ani brzęczeniem nad uchem. Ale najlepszy bywał haj taki jak tu, na przyjęciu. Podobny do skoku z urwiska.

I lotu.

Rozdymał się, nabierał wagi, aż musował z podniecenia. Wszystko wydawało mu się dziesięć, ba, dwadzieścia razy bardziej ekscytujące niż przed półgodziną. Tylko posłuchaj tej muzyki, stary. Klawa, nie? Tylko spójrz na tych ludzi, stary. Fajni, nie? Tacy bystrzy, tacy dowcipni. Każde wypowiedziane przez nich słowo ociekało znaczeniem, niosło przesłanie. Mógłby ich słuchać przez całą noc. Mimo że mówili jeden przez drugiego. Rany, ale tu głośno. Nie słyszał własnych myśli. Śmieszne, co nie? I wcale nie takie złe. Odciąć się. Odciąć się od myśli i od całej reszty. Bo komu to potrzebne? Święta racja, stary. Mądry z ciebie gość. Powinniśmy pozostać w kontakcie, serio. Czuję, że mnie rozumiesz. Ty też to czujesz? Jesteśmy jak duchowi bracia czy coś. Czaisz? Powiem ci, co uważam. O, to, to. Właśnie to. Trafiłeś w samo sedno, przyjacielu. Masz, wpisz mi swój numer do telefonu. Musimy częściej rozmawiać. O, tak. Umówimy się. Wyskoczmy na piwo. Ale teraz muszę siku. Zgadamy się jeszcze. Taaa.

Wiecznie te kolejki. Całe szczęście, że przyniósł ze sobą coś do picia. Ale chwila! Butelka jest pusta? No to ją wykorzysta. Nie ma sensu sterczeć w kolejce, skoro w ręce trzyma stosowne naczynie. Tylko musi znaleźć jakieś ustronne miejsce, Daisy dostałaby małego rozumu, gdyby wyjął kutasa i naszczał do butelki, stojąc w kolejce do łazienki. Straszna z niej sztywniara. Jakby wiecznie miała kij w dupie. Z kim on, do diabła, gadał na dole? Nie pamiętał imienia. Darren? Darragh? W każdym razie z jakimś miłym gościem. Powinien był wziąć od niego numer. Wyskoczyliby gdzieś razem. Wychylili po kuflu.

Ups, sorki, Sophie, sorki, koleżanko Sophie. Róbcie dalej, co tam robicie. Nie chciałem wam przeszkadzać. Ej, co oglądacie? Czy to Selena Gomez? Niezły z niej lachon, nie? Sorki, sorki, chyba nie powinienem przy was tak mówić. Dziewczynki zachichotały, gdy wszedł w futrynę, próbując wyjść z pokoju. Już sobie idę. Udawajcie, że mnie tu nie było. Kurwa, co oni grają tam na dole? To moja najulubieńsza piosenka! Znam do niej słowa. Prawie wszystkie...

Czas zaczął się rozmazywać. A przynajmniej zacinać, rwać. Z drogi! Będę tańczył. Ostrożnie, przyjacielu, uważaj, gdzie leziesz. Też powinieneś zatańczyć. Wszyscy powinni. No nie? Ta piosenka jest genialna. Mówię ci. Tekst jest genialny, tyle w nim znaczenia. Słyszysz? Słuchaj! Łapiesz? Jest ze mnie świetny tancerz. Ups, sorki. To się spierze, nie martw się. Słodka jesteś. Serio. Postawić ci drinka? Co? Przyszłaś z nim? Nie martw się, ja też jestem żonaty, ale kto by się tym przejmował. Na pewno nie moja żona.

Odwał się, Luke, nie dotykaj mnie. Ty pierdolony hipokryto. Tylko z nią rozmawiam. Nic złego się nie dzieje. Nic złego, mówię. Nie, nie chcę jeszcze iść do domu. Nie, nie chcę na tym zakończyć wieczoru. Może dla ciebie jest późno, ale dla mnie nie. Ani myślę kończyć zabawę. Chodź, strzelimy sobie kolejkę. PARTY, PARTY, PARTY.

O kurwa. Przepraszam. To było coś cennego? Samo zleciało z półki, kurwa.

19

DAISY

Zbiegam po schodach na złamanie karku, przepraszając tych, co stoją w kolejce do łazienki albo tylko rozmawiają, gdyż roztrącam ich na boki. Ogarniam scenę wzrokiem i momentalnie pojmuję, że ubzdryngolony Simon rozbił lampę Connie, tę z francuskiej porcelany. W okamgnieniu do głosu we mnie dochodzi instynkt opiekuńczy i kompletna bezsilność, tak że zamieram na moment, niezdolna zrobić kroku. Przyglądam się tylko pobojuwisku z lekko podwyższonego miejsca, na którym stoję; jest to drugi albo trzeci stopień schodów.

Znienacka ogarnia mnie furia. Dlaczego on nie może być jak wszyscy?!

Lampa stała na konsolce w holu, na zaszczytnym miejscu. Przyciągała wzrok, a Connie lubiła opowiadać historię o swoim pradziadku, który krótko mieszkał w Paryżu. Był pracownikiem technicznym teatru, ale miał dostęp do wszystkich aktorów, pisarzy i filozofów swojej epoki; popijał z nimi w kawiarniach i barach na lewym brzegu Sekwany. Pewna aktorka podarowała mu lampę w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, roku jej produkcji. Lampa miała więc wartość sentymentalną, i to ogromną, a do tego była wyceniona na okrągłą sumkę. Connie oczywiście nie nosiła się z zamiarem sprzedaży, a wycenę zrobiła wyłącznie w celach ubezpieczeniowych. Pradziadek przywiózł z Paryża tylko tę lampę,

a Connie już się postarała, aby trafiła w jej ręce, nie zaś do któregoś z licznych kuzynów ani którejś z jej trzech sióstr. Nie znam się na antykach, ale zawsze lubiłam patrzeć na tę lampę. Była w egipskim stylu, tak popularnym w szalonych latach dwudziestych, zdobna w rowki i dwa symetryczne połączone panterze łby. Teraz leży w kawałkach – naliczyłam cztery duże i około dziesięciu mniejszych. Nie ma co marzyć o złożeniu tego z powrotem do kupy.

Nie sądzę, aby Simon spowodował tę katastrofę celowo, ale i tak wykazał się nieostrożnością posuniętą do ekstremum. Przeprasza teraz głośno, aczkolwiek w agresywny, nieszczerzy sposób, gdyż – jak sobie wyobrażam – jest przekonany, że wszystko to wina Connie, która zostawiła bezcenną rodzinną pamiątkę na eksponowanym miejscu, wiedząc, że goście będą się tam bez przerwy kręcić. Obecnie ściągają tu ze wszystkich stron niczym ghule, które wyczuły świeżą krew. Luke próbuje taktownie załagodzić sprawę, odprowadzić Simona gdzieś na bok, aby porozmawiać z nim w cztery oczy, mój mąż jednak go odpycha. Twarz ma bladą, na skroni pulsuje mu żyłka, całkiem jakby coś od środka waliło w jego czaszkę niczym w bęben.

– Nie potrzebuję pomocy. Wszystko to twoja wina. Gdybyś tylko nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy. Chciałem się od ciebie odsunąć – wyrzuca z siebie krótkie urywane zdania nieprzyjemnym tonem, który nadaje im inne, jeszcze mniej miłe znaczenie, z czego Luke doskonale zdaje sobie sprawę.

Widzę, że pan domu zaciska szczęki, aby nie wymsknęło mu się ani jedno słowo, którego by pożałował. Odwraca wzrok, zraniony, pobity. Simon ma wciąż wściekłą, wrogą minę. Coś się zaraz wydarzy, coś już się wydarzyło.

Connie przepycha się przez tłumek gapiów. Na widok roztrzaskanej lampy zapada się w sobie, szarzeje na twarzy. Tak bardzo mi jej żal. Jest mi przykro, ale nie mogę nic zrobić. Bezradność mnie przytłacza. Co się stało, to się nie odstanie. Odgrywając do końca rolę idealnej gospodyni, prosi wszystkich, aby się cofnęli.

– Uważajcie na stopy. Nie chcę, aby ktoś się skaleczył.

– Connie, tak bardzo mi przykro. Ja... – urywam.

Unosi dłoń, aby mnie uciszyć. Chyba nie chce nikogo słyszeć, a mnie już najmniej. Uśmiech, który mi posyła, jest wymuszony i kruchy jak ta nieszczęsna lampa.

– Przecież nic nie zrobiłaś, Daisy, prawda?

Z nagłą ogarnia mnie potworne zmęczenie. Przenika moje ciało na wskroś. Wyczerpanie doskwiera mi od wielu dni. Od tygodni. Poczucie odpowiedzialności jest stłumione przez duszący knebel wycieńczenia. Spadło na mnie tyle rzeczy, które grożą mi pogrzebaniem żywcem. Rozczarowanie, niewiedza, frustracja. Otwieram usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Przestrzeń między językiem a podniebieniem rozszerza się do absurdalnych rozmiarów. Rose dyskretnie podaje mi torebkę. Odwracam się do drzwi, pociągając za sobą Simona, który nie ma innego wyjścia, jak tylko pójść za mną.

Ledwie dojdziemy do końca ścieżki, słyszę, że w domu znów gra muzyka. Miażdżę Simona spojrzeniem.

Wzruszając ramionami, rzuca:

– Przepraszam.

Może i jest mu przykro, ale nie bardziej niż małemu chłopcu, którego przyłapano z ręką w puszcze z ciastkami. Mój mąż jest pewny, że mu przebaczę, ponieważ zawsze mu przebaczam. Szczęka opada mi ze

zdziwienia, gdy w dłoni Simona materializuje się butelka wina, którą podwędził.

– Jak to zrobiłeś? Zresztą nieważne... – Do szału doprowadza mnie to, że choć często przerasta go włożenie obu takich samych skarpetek, nie ma najmniejszych problemów z zapewnieniem sobie stałego dopływu alkoholu.

– Chcesz trochę? – pyta, wyciągając butelkę w moją stronę.

– Nie – mówię, po czym: – Albo dawaj... – Muszę się napić. Biorę kilka łyków, ale zaraz oddaję wino Simonowi, gdyż przypominam sobie, że jesteśmy samochodem i to ja prowadzę. Chciałabym mieć dość odwagi, aby wyrzucić prawie pełną butelkę, lecz nie robię tego z dwóch powodów. Po pierwsze nie chcę czynić więcej zniszczeń u Connie, a po drugie nie jestem gotowa na scenę, jaką urządziłby mi Simon. – Chodź, jedziemy do domu.

Zaparkowaliśmy dwie albo trzy przecznice dalej. Maszerujemy w stronę auta w milczeniu. Simon dalej popija wino, choć z mniejszym zapałem, niżbym się po nim spodziewała. Wygląda na zadumanego, niemalże skruszonego. Kiedyś przeczytałam, że krewni i znajomi wysokofunkcjonującego alkoholika powinni próbować rozmawiać z nim, gdy jest na kacu. W ogóle wiele czytałam na ten temat, stąd wiem, że podawane informacje sobie przeczą. Przeklęty internet. Zdaję sobie sprawę, że nie ma sensu prowadzić rozmowy z Simonem, gdy jest pijany; nawet gdybym wymusiła na nim obietnicę poprawy, rano nic nie będzie pamiętał. Wiem to nie z lektur, a z doświadczenia, dlatego zachowuję milczenie.

Po drodze do samochodu mijamy pub. Przed nim na chodniku stoi tłumek klientów; noc jest niewyobrażalnie ciepła. Jest to ten rodzaj gorąca, przez który ludzie dostają małego rozumu. Ci tutaj są do tego zaczerwienieni, spoceni. Idący obok mnie Simon kołysze się i zatacza, ale że wiele osób wokół robi to samo, przechodzimy, nie zwracając na siebie uwagi. Z jednej strony czuję niesmak, z drugiej – ulgę, ponieważ nie

zniosłabym więcej wstydu tego wieczoru. Bardzo dobrze więc, że mój mąż wtapia się w tło. Zastanawiam się, jak w takim społeczeństwie, gdzie picie bez umiaru jest normą, a pijacy postrzegani są jako ludzie zabawni i przyjaźni, co czyni z pijaństwa rzecz normalną, za to abstynenci uważani są za nudziarzy, świętoszków i dziwaków, jak więc w takim społeczeństwie uda mi się nakłonić Simona do zachowania trzeźwości.

– Pamiętasz, że poznaliśmy się na przyjęciu takim jak to? Na pierwszej rocznicy ślubu Connie i Luke’a? – pytam nagle.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiada ponuro.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Czy wtedy też go miał? Problem? Przyczajony gdzieś pod skórą, tylko patrzący, by wychynąć na powierzchnię? Jak mogłam to rozpoznać? Wszyscy w tamtych czasach sporo piliśmy. Za dużo. Żeby nie pić, trzeba mieć jaja. Trzeba być pewnym siebie, bardzo pewnym siebie, a mało kto taki jest. Większość osób przymusza się nawzajem do picia z obawy, że jedyny trzeźwy członek grupy będzie rano pamiętał, jak szalona była impreza. Alkohol reklamuje się tak, jakby gwarantował dobrą zabawę, seks, odrobinę magii w życiu. Sam wyraz „upojony” jest taki ładny, a jednak...

– Niedobrze mi – rzuca Simon, zginając się wpół, by puścić pawia. Kiedy się prostuje, wyciera tylko usta wierzchem dłoni i znów pociąga łyk wina. Ten widok bynajmniej nie jest ładny.

Niebo nabiera solidności, ciemniejąc, jakby ktoś opuścił rolety. Chmury kłębią się i przemykają, zmieniając kształty, które w pewnym momencie zbijają się w jedną postrzępioną masę. Wieczór pogrąża nas w cienistej głębokiej szarości. Zbiera się na burzę, pierwszy grzmot jest tuż-tuż.

Gdy go poznałam, był jak zielona łądyżka przebijająca się przez burą ziemię. Albo jak fajerwerk rozbłyskujący na ciemnym niebie. Czaiła się w nim obietnica. Jawił mi się czysty, ekscytujący. Był dla mnie wszystkim.

Przeszukuję pamięć, ale jeśli mam być szczerą, naprawdę nigdy nie przypuszczałam, że Simon obierze tę drogę. Nie pił ani więcej, ani mniej od reszty z nas, po prostu bawił się dalej, gdy większość już się poddała. Niektórzy ludzie szafują ocenami, ja tego nie robię. Rzecz nie w tym, że jestem taka delikatna i wyrozumiała, bardziej chodzi o to, że odkąd pamiętam, brakowało mi pewności siebie, aby zaufać swojemu instynktowi. Żeby dobrze poznać człowieka, trzeba lat. Ponieważ wszyscy mamy sekrety, od dzieciństwa do starości. Wstydzimy się czegoś, ukrywamy to, jesteśmy ostrożni w obliczu innych. Nieufność także robi swoje; czekamy, aż ktoś zasłuży na to, by się przed nim otworzyć. Nawet wtedy zachowujemy ostrożność. A gdy wreszcie myślisz, że kogoś znasz na wylot, coś się w nim zmienia. Nie sposób poznać drugiego człowieka. Nie słuchaj, kiedy ktoś ci wmawia, że jest inaczej.

20

SIMON

Daleko jeszcze? – Simona bolała głowa. Zupełnie jakby ktoś grzmocił w jego czaszkę od wewnątrz młotem; wielkim, ciężkim młotem.

– Jesteśmy prawie na miejscu – odparła zimnym głosem.

Nie wiedział, co przeskrobał, ale o coś musiało jej chodzić. Nie pamiętał tylko o co.

– Muszę się napić wody.

– Nie możesz zaczekać?

Sprawa była poważna, w przeciwnym razie zatrzymałaby wóz i zdobyła dla niego wodę. W normalnych okolicznościach poiła go tym świństwem do oporu. Nadął się z rozżalenia. Dlaczego zawsze musi być w defensywie? Przeszedł do ataku.

– Masz romans z Lukiem? – zapytał stanowczo.

– Co? – Odwróciła do niego głowę. W jej oczach malowała się wściekłość. – Coś ty powiedział?

– Czy ty i Luke się pieprzycie?

– Łał! Po prostu łał! Przeszedłeś samego siebie, wiesz?

Zjechała na stację benzynową, trzasnęła drzwiami i pomaszerowała prosto do sklepu. Ale na jego pytanie nie odpowiedziała, racja?

Na przednią szybę zaczęły spadać pierwsze tłuste krople deszczu. Simon poczuł przypływ nieokiełznanego podniecenia. Uwielbiał burze. Były takie inne, takie ekscytujące. Ich dramatyzm, skala – to do niego przemawiało, poruszało w nim jakąś czułą strunę. No dalej, pokaż, co potrafisz! Zaczął szukać przycisku do opuszczania szyby, ale nie mógł go znaleźć, otworzył więc drzwi i wypadł na beton. To go rozbawiło. Stanął na nogi i zaczerpnął głęboko tchu, lecz w powietrzu nie było w ogóle tlenu, tylko lepkość, która przeszkadza ludziom zebrać myśli. Właśnie miał zatrzasać za sobą drzwi, gdy przypomniał sobie o kluczykach. Schylił się więc i wyszarpnął je ze stacyjki. Nie pozwoli przecież, by automatyczny zamek odciął go od nich. Nie da jej kolejnego powodu do gniewu. Co to, to nie.

W pobliżu nikogo nie było. Temperatura nagle spadła, jak zwykle przed ulewą. Zastanowił się, która może być godzina. Przez szybę widział, że Daisy stoi już przy kasie. Chłopak, który ją obsługiwał, miał znudzoną minę. Transakcji dokonał, nie wyjmując słuchawek z uszu; białe dżdżownice przewodów spływały po jego twarzy i szyi do kieszonki na piersi. Simon zachichotał. Z zadowolenia. Daisy na pewno wyrzekała w duchu. Wiecznie się skarżyła na złe maniere, upadające standardy obsługi. Cieszył się, że jego żona jest zirytowana, rozzłoszczona. Zasłużyła sobie na to – i na wiele więcej. Suka.

– Wracaj do samochodu, Simon – poleciła mu.

Trzymała dwie butelki wody i coś jeszcze. Chyba napój energetyzujący. Oto jej idea szaleństwa: red bull light. Wiśta, wio, ta babka naprawdę wiedziała, jak się bawić. Tyle że nie do końca. Nie, jednak wiedziała jak. Ale nie z nim. Z innym. Spoglądał na nią chmurnie, gdy otwierała puszkę i duszkiem wypijała jej zawartość. Puste opakowanie rzuciła na tylne siedzenie.

– Ja poprowadzę – oznajmił, dyndając kluczykami.

– Nie bądź śmieszny. Jesteś pijany. Wsiadaj i oddaj mi te kluczyki.

– Nie jestem pijany. Po prostu macie dziwne standardy trzeźwości. – Ostatni wyraz wyseplenił, co znacznie osłabiło wymowę jego słów. – Nic, tylko krytykujesz, doszukujesz się dziury w całym.

– Nie chcesz wiedzieć, ile masz promili. Daj mi kluczyki – powtórzyła. Potrafiła z niej być prawdziwa hetera.

– Patrz, trzymam się prosto – odparł, rozkładając ramiona na boki, jakby szedł po rozpiętej w powietrzu linie, po czym z przesadną ostrożnością ruszył wzdłuż namalowanej kreski oddzielającej miejsca parkingowe pod sklepem. – Mogę prowadzić – upierał się. – To przecież tylko parę kilometrów. – Wiedział, że działa jej na nerwy. – Chcesz? To powiem łamaniec językowy. Nie pieprz wieprza pieprzem, Pietrze, bo bez wieprzu wieprz jest lepszy. Nie wieprz pieprza wieprzem, Wietrze, bo bez wieprzu pieprz jest lepszy. – Artykułował wyrazy ze starannością aktora, który ma zaraz wyjść na scenę Teatru Narodowego.

Zdążyło się rozpadać. Koszula kleiła mu się do pleców; zauważył, że sukienka podkreśla jej krągłości. Wyglądała ślicznie, a on był wściekły na siebie, że to zauważył. Duże tłuste krople rozpryskiwały się pod ich nogami. Daisy wydawała się smutna, znużona. Głównie znużona. Nie miała siły z nim walczyć.

21

DAISY

Nachyla się, by włączyć radio. Podkręca głośność tak, że boję się o swoje bębenki. Samochód aż drży od basów. Sięgam, by wyłączyć albo chociaż ściszyć muzykę, ale Simon puszcza kierownicę jedną ręką i odpycha moją dłoń. Uświadamiam sobie, że bezpieczniej będzie z nim nie walczyć. Ale hałas jest tak straszliwy, że zdaje się wypychać powietrze z samochodu. Jakaś beznadziejna, bezsensowna łupanka. Głowa mi pęka.

– No więc? – ryczy Simon, by przekrzyczeć muzykę.

– Co? – Nie chcę z nim rozmawiać. Jestem na niego wściekła. Wstydzę się go. Jest dla mnie ciężarem. Boję się... To ostatnie uczucie pojawiło się niedawno. Wpatruję się w drogę przed sobą. Nie chcę patrzeć na Simona.

– Pieprzysz się z Lukiem?

– Skąd wzięłeś ten nedorzeczny pomysł? – odwarkuję.

– Jest blondynem – obwieszcza głucho.

– Co? – Nie nadążam za nim. Gada bzdury, poza tym nie powinniśmy teraz rozmawiać. Lepiej niech się skupi na jeździe. Warunki zrobiły się koszmarne. Wycieraczki nie radzą sobie z nawałą. Lewo, prawo, lewo, prawo. Nadaremno usiłują nadążyć ze zbieraniem wody. Padający z latarni

ulicznych blask rozbija się o moką nawierzchnię. Jak szkło. Jak lampa Connie.

– Spijasz mu, kurwa, słowa z ust – dodaje Simon.

– Powinieneś mniej przeklinać. Pamiętam czasy, kiedy potrafiłeś się wyrażać jak normalny człowiek. – Nawet w moich uszach brzmi to pruderyjnie.

Odwraca się do mnie.

– PIERDOL SIĘ! – wrzeszczy ile sił w płucach, z głębi duszy. Te dwa słowa przepełnione są bólem, frustracją, gniewem. Wylewa się z niego cała nikczemność, zatacza coraz szersze kręgi, jak atrament. Rozprzestrzenia się, plamiąc naszą przeszłość, unicestwiając ją.

Simon wciąż patrzy na mnie, ale ja spoglądam na drogę. Bierzymy ostry zakręt, pędząc z większą prędkością niż ta dozwolona w terenie zabudowanym. I wtedy ją dostrzegam. Widzę ją, ale nic nie pojmuję. Millie? Co Millie robi na zewnątrz w środku nocy? Przebiega jezdnię od naszego domu do domu Indii. Nie rozgląda się w obie strony, tak jak ją uczyliśmy. Po prostu wchodzi na drogę.

Czerń. Głęboka czerń. Kompletna, przerażająca. Jestem zamroczona, zdezorientowana. To tracę, to znów odzyskuję przytomność. Muszę się obudzić. Miałam straszny sen. Chcę się obudzić. Czuję, że powieki mi drgają, lecz nadal nic nie widzę. Nagle ktoś, zapewne Simon, zaczyna pstrykać włącznikiem światła w sypialni. Tak myślę, ponieważ ponure ciemności co raz przecinają błyski. Słyszę, jak mój mąż stęka, pojękuje. Nie przypomina to odgłosów seksu. Świadczy o bólu, smutku. Jego oddech parzy mnie w szyję. Leżę w łóżku; śnię. Powtarzam to sobie, gdyż chcę, aby tak wyglądała prawda. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie, niestety jest inaczej. Błyski znikają, pojawiają się znowu i znów

znikają. Słyszę dźwięk deszczu rozbijającego się o okno. O metal? Udaje mi się unieść powieki na wystarczająco długo, aby ujrzeć głowę Simona wspartą o kierownicę.

– Wezwałem karetkę – mamrocze. Płacze. Łzy płyną mu po twarzy.

Na oślep wymacuję klamkę. Otwieram drzwi i niemal osuwam się na kolana, tak mi śpieszno wysiąść z samochodu. Boli mnie głowa. Coś cieknie mi po czole. Oblizuję wargi i czuję metaliczny smak krwi. Uderzyłam głową o przednią szybę. Nasz samochód stoi owinięty wokół wielkiego dębu rosnącego przed domem. Skręciliśmy gwałtownie, odbiliśmy w bok.

Świat zamiera. Ogarnia mnie absolutna cisza. Nie słyszę już deszczu rozbijającego się o asfalt ani o samochód; nie słyszę wycia syren w oddali. Nie słyszę własnego krzyku, choć usta mam szeroko otwarte, a sąsiedzi wybiegają ze swoich domów i pędzą ku nam. Jedyne, co słyszę, to bicie własnego serca, które wali o żebra tak, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej. Tętno pulsuje w całym moim ciele, łomocze na wysokości żołądka, chce rozłupać czaszkę.

Leży na ziemi, płasko na wznak, z jedną nogą podwiniętą pod siebie pod nienaturalnym kątem świadczącym o złamaniu. Wygląda jak zepsuta. Zaczynam drżeć, dygoczę z taką siłą, jakby elektryczność przenikała moje ciało raz po raz, po raz, po raz. Wstrząs za wstrząsem. Padam na klęczki. Instynktownie chcę ją podnieść, przytulić, ale powstrzymują mnie liczne ręce. Ludzie nie pozwalają mi jej dotknąć. Niemożliwe, by była tak nieruchoma. Nigdy nie potrafi ustać chwili spokojnie. Ani gdy bawi się w posągi, ani nawet gdy śpi. Moja córka jest w wiecznym ruchu. Delikatnie całuję ją w czoło. Twarzyczkę ma taką jak zawsze. Spod jej głowy wypływa krew, więcej krwi niż wtedy, gdy się przewróciła w wannie. Ścieka na jezdnię i spłukiwana deszczem znika w kratce ściekowej.

Otacza mnie czerń, wilgoć, przerywany czerwony blask. Odwracam się, żeby spojrzeć na Simona. Wysiada właśnie z samochodu, kieruje się w naszą stronę.

– Trzymaj się od niej z daleka! – krzyczę, zasłaniając Millie własnym ciałem. – Trzymaj się od nas z daleka!

Ale jest za późno. Nie jestem już w stanie ochronić swojego dziecka.

22

SIMON

Zapytali go, czy podda się badaniu alkomatem. Właściwie nie było to pytanie; nie chodziło o sprawdzenie, czy jest pijany. Tyle było widać. Starali się ustalić, ile ma dokładnie promili. Na potrzeby raportu. Na potrzeby procesu. Wyciągnęli skądś żółte pudełeczko, Simon nie zauważył skąd. Wiercił się i wyciągał szyję, żeby zobaczyć, co z Millie, co z Daisy. Nikt nie chciał mu powiedzieć, jak Millie się czuje. Nie pozwalali mu do niej podejść. Może nie żyła? Nie, wykluczone. Nie chciał nawet myśleć w ten sposób. A jednak się nie ruszała. Wszyscy skakali wokół niej. Wreszcie na miejscu pojawili się ratownicy medyczni. Chwała Bogu. Ocuca ją. Uratują. Muszą to zrobić.

Policjant powtarzał do niego:

– Proszę pana, tutaj. Proszę się skoncentrować na tym, co dzieje się tutaj.

Ale Simon dalej się wił, patrzył, jak ładują do karetki nosze z jego córką, jak za nimi wsiada do środka Daisy. Jego żona nie spojrzała na niego ani razu. Zapytał, czy mógłby pojechać razem z nimi karetką, lecz nie zdziwiła go głucha odmowa. Z góry wiedział, że mu nie pozwolą. Musiał ponieść konsekwencje. Proszę, Boże, niech ją zabiorą do szpitala.

W szpitalu jej pomogą. Wciąż jeszcze można jej pomóc. Boże, proszę, do szpitala, nie do kostnicy.

– To moja córka. Moja żona. – Nie wzbudził tymi słowami niczyjego współczucia. – Jak ona się czuje?! – wyrzeszczał pytanie za odjeżdżającą karetką.

Nikt mu nic nie mówił. Odpowiedzią było jedynie słabnące wycie karetki. Deszcz nie przestawał padać. Ulewa dawno się skończyła, był przemoknięty na wskroś, dodatkowe parę kropel nie miało znaczenia. Czuł się podle, mokry jak pies. Zbity pies. Wszyscy go nienawidzili. Widział to w ich oczach.

Nie odpowiedzieli na ani jedno jego pytanie, ale zadawali mnóstwo własnych: jak się nazywa, gdzie mieszka, dla kogo pracuje. Próbował się skupić. Starał się współpracować.

– Ile pan ma lat? – zapytał policjant szorstko.

– Co? – Nie potrafił się skoncentrować. Co on najlepszego zrobił? Jezu... Szlag! Nie. Co tu się właściwie wydarzyło?

– Ile pan ma lat? – W głowie tłukły mu się słowa matki: „Wystarczająco dużo, żeby mieć więcej rozumu”. Elsie nie było przy nim. Ani Daisy. Ani Millie. Wszystkie go opuściły. – Proszę mocno dmuchnąć, o tutaj. – Policjant nie podnosił głosu, ale poznać było, że nie ma z nim żartów. Simon dmuchnął w plastikową rurkę przymocowaną do żółtego pudełka, urządzenie pisnęło. Funkcjonariusz nie wydawał się zdziwiony wynikiem. – Jest pan aresztowany na mocy Kodeksu wykroczeń pod zarzutem prowadzenia pojazdu mechanicznego w stanie upojenia alkoholowego.

Założono mu kajdanki. Odbyło się to w miarę delikatnie, nikt nie rzucił go na maskę radiowozu, jak to bywa w filmach. Funkcjonariusz wykonywał swoją pracę sprawnie, ale ostrożnie. Obaj chyba byli pogodzeni z tym, co miało się stać.

– Moja córka, ona wbiegła na jezdnię – mamrotał Simon. – Nie patrzyła, dokąd idzie. Zawsze jej powtarzaliśmy, że najpierw musi się rozejrzeć w dwie strony. Dlaczego w ogóle nie była jeszcze w łóżku? – Bolała go głowa, pierś, szyja. Ale to nie miało znaczenia, nie przejmował się tym. Liczyła się tylko Millie, jego mała dziewczuszka.

Wprowadzono go na tył furgonetki, która musiała podjechać, gdy patrzył w inną stronę, ponieważ zdziwił się na jej widok. Wydarzenia nie następowały płynnie po sobie; czas się rwał, potykał. Sądził, że pojedzie radiowozem. W filmach ludzi takich jak on zawsze zabierały radiowozy. Furgonetka źle rokowała. Furgonetki były dla przestępców. Cuchnęło w niej strachem i okrucieństwem. Ktoś zapytał, czy Simon wymiotował.

Nie, nie wymiotował. Chociaż... Może jednak? Wzruszył ramionami.

Poinformowali go, że może zawiadomić swojego prawnika. Czy miał w ogóle prawnika? Nie. Korzystali z usług radcy prawnego, gdy kupowali dom przed paru laty, ale to wszystko. Nie zadawali się z prawnikami. Znali za to wielu lekarzy, tak, tych było bez liku. Nie powiedział nic z tego na głos, zwyczajnie pokręcił głową. Policjanci zapewnili go, że dostanie obrońcę z urzędu. Potem już się do niego nie odzywali.

Zaciągnęli go do komisariatu tylnym wejściem. Wciąż szumiało mu w głowie, nie mógł się połapać, co się wokół niego dzieje. Nawet po tym wszystkim. Głównie z tego powodu. Nie dało się wytrzeźwieć z chwili na chwilę, stała za tym nauka. Po prostu robił, co mu kazano, szedł obok, powłócząc nogami, skręcał w stronę, w którą go pokierowali, wypełniał polecenia. Był tu raz wcześniej. Kilka lat temu znalazł na ulicy iPhone'a i przyniósł go na komisariat. Był z siebie bardzo dumny za ten czyn, ale też lekko rozczarowany, ponieważ nawet mu nie podziękowali, w żaden sposób nie docenili samarytańskiego gestu, który zakłócił jego dzień. Później nawet się nie dowiedział, czy telefon znalazł właściciela, czy leżał ciągle

z innymi rzeczami w szufladzie oficera dyżurnego. Intuicyjnie czuł, że raczej to drugie.

Miejsce, do którego zabrali go teraz, bardzo się różniło od części dla interesantów. Znajdowało się gdzieś na tyłach i było zapuszczone. Otwierały się jedne drzwi, kazano mu czekać, drzwi zamykały się za nim, po czym otwierały się kolejne i mógł przejść dalej. Traktowali go jak kryminalistę. A on nie był przestępcą. Co za surrealistyczna sytuacja. Nikt nie chciał mu powiedzieć, co z Millie. Funkcjonariusze, z którymi przyjechał, przekazali go w ręce kogoś innego. Kobiecie siedzącej za biurkiem zreferowali przebieg zdarzeń jak jakieś roboty, treściwie, mechanicznie. Poświadczyli, jakim samochodem jechał, na jakiej rejestracji. Potwierdzili, że na miejscu zdarzenia obecna była Daisy i nikt poza nią. Wszyscy dokoła spoglądali na Simona z niesmakiem, współczuciem, zakłopotaniem. Czuł na sobie ich palące spojrzenia, ale sam wbijał wzrok w czubki własnych butów.

– Mamy krótkie zeznanie żony, ale będzie trzeba czegoś więcej. Sama została ranna, szalała z rozpacz... Zabrała ją karetka.

– Przyszykujcie dla mnie raport.

Policjanci się oddalili, nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem więcej. Nie był tego wart. Simon ponownie zapytał o Millie. Nikt mu nie odpowiedział. Zastanowił się, czy zadał pytanie na głos, czy tylko w swojej głowie. Cały się trząsł. Był w szoku. Usłyszał, że to oni zadają pytania. Teraz związane z jego stanem zdrowia. Czy ma skłonności do samookaleczania się?

– Nie – odparł z kamienną twarzą, rezygnując z pokazu oburzenia.

– Ile pan wypił?

– Dużo – przyznał. Nie robił uników, po prostu już dawno przestał prowadzić rachunki.

– Mógłby pan być bardziej precyzyjny?

– Pięć albo sześć, ale przez całą wieczór. – Uznał, że taka ilość zabrzmi prawdopodobnie, choć oczywiście wartość była zaniżona. Nauczył się nie mówić prawdy w odpowiedzi na to konkretne pytanie. Zresztą nie miało znaczenia, co powie; dysponowali urządzeniami, które były w stanie to dokładnie określić.

– Ile zazwyczaj pan pije?

– Rzadko odmawiam – zaseplenił. Pilnował się, żeby tego nie robić, ale był coraz bardziej zmęczony. Chciał się położyć spać. Odciać od tego wszystkiego. Wydostać z tego koszmaru.

– Ma pan problem z alkoholem?

– Nie. Nie mam żadnego problemu. Piję, ile piję. Nie wszystkim musi się to podobać. – Niemal prychnął na koniec. Nie był sobą w tym momencie. Sam już nie wiedział, kim jest.

Im prędzej pozwoli mu się położyć, tym prędzej wstanie wypoczęty i wszystko będzie inaczej. Tak zawsze było. Pił, spieprzył to czy tamto, przespał się i zaczynał nowy dzień. Rano wszystko wyglądało lepiej. Daisy mu to powtarzała. Jak on tu w ogóle trafił? Albo się położy, albo zaraz upadnie. Pomyślał, że mógłby się zwinąć w kłębek na posadzce przed nimi. Potrzebował snu jak nigdy.

Kazali mu znowu dmuchać. Urządzenie nazwali probierzem trzeźwości, ale nie wiedział, czy to tylko taki żarcik dla wtajemniczonych, czy prawdziwa nazwa. Oczekali chwilę i ponowili rozkaz.

– Poziom alkoholu ciągnie rośnie – stwierdziła z westchnieniem policjantka siedząca za biurkiem. – Jest zbyt pijany, byśmy mogli mu postawić zarzuty. Odprowadźcie go do celi.

23

DAISY

NIEDZIELA, 24 LIPCA 2016

Jaka ona drobna!... Mój skrzacik zawsze się wydawał większy niż w rzeczywistości dzięki swojej przyprawiającej o zawrót głowy żywotności. Swemu zachowaniu. Normalnie wszędzie jej pełno; jest roześmiana, roztańczona, jak nie podskakuje, to przynajmniej podryguje. Wiecznie w ruchu. Teraz jednak leży nieruchoma. Milcząca. Nie słyhać jej rozradowanego śmiechu. Rozlega się tylko płacz mojej mamy. W kółko mnie przeprasza, ale nie przeszkadza mi jej płacz. To dobrze, że płacze. Powinna zawodzić. Powinniśmy obie wyrywać sobie włosy z głowy, bić się w piersi. Zamiast siedzieć, zamiast żyć dalej, jakby nic się nie sta...

Cera Millie przybrała nienaturalny odcień. Jest ziemistożółta. Zawsze dotąd była zdrowa, różowawa od przepelniającej ją energii. Prześcieradło ma podciągnięte prawie pod samą brodę. Chyba jest białe, ale mnie wydaje się szare. Wszystko poszarzało.

Mój ojciec i Rose na przemian klepią mamę po ręce, od czasu do czasu biorą ją w objęcia. Mnie nikt nie dotyka. Próbowali zaraz po przyjściu,

jeszcze zdyszani i pełni niedowierzania. Uścisnęli mnie tuż za progiem, ale cała zeszywniałam, a potem ich odepchnęłam. Nie chcę pociechy. Chcę tylko, aby Millie otworzyła oczy.

– Nie rozumiem, co robiła na tej ulicy – lamentuje tata.

Okazuje się, że dziewczynki urządziły sobie biwak w naszym tylnym ogrodzie. Wcześniej, do południa, pożyczyły tipi młodszego brata Indii i bawiły się w nim przez większość dnia, ale to im nie wystarczyło, zachciało im się spędzić noc pod gwiazdami. Napomknęły mi o tym, ale je zbyłam, mówiąc, że będą mogły się pobawić w biwak w pokoju Indii. Powinnam była wiedzieć, że to nie powstrzyma w Millie ducha przygody. Gdy moja córka na coś się uprze, nie sposób jej tego wyperswadować. Znow wbijam w nią wzrok. Gdyby tylko ktoś ich pilnował... Wyślizgnęły się, korzystając z nieuwagi matki Indii. Oczywiście tipi nie nadawało się na prawdziwy biwak, to tylko namiocik do zabawy, nie miał szans w starciu z nawałnicą. Przemoknięte dziewczynki zdecydowały, że pora wracać do ciepłych łóżek. Nigdy nie powinny były ich opuszczać, ale dzieci często robią to, czego im nie wolno. Matka Indii opowiedziała mi to wszystko, gdy klęcząc przy Millie na jezdni, czekałam na karetkę. Szlochała, ciągle mnie przepraszała, wyrzucała sobie, że nie miała ich na oku. Tak, powinna je mieć na oku, lecz to nie jej wina. Nie całkiem.

Nie odpowiadam na pytanie zadane przez tatę. Razem z mamą będą się winili o wypadek. Powiedzą, że Millie nigdy się nie wyślizgnęła na dwór, kiedy oni się nią zajmowali. Znienawidzą się za to, że przedłożyli koncert ponad opiekę nad wnuczką. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu. Żałuję, że kupili tamte bilety, ponieważ gdyby ich nie kupili, siedzieliby w domu z Millie, która byłaby przy nich bezpieczna – oboje przejawiają czujność graniczącą z neurotycznością. Prawdą jest, że Millie nie zdołałaby się wymknąć na dwór pod ich okiem. Mimo to w niczym nie zawinili.

To ja źle postąpiłam, pozwalając Simonowi sięgnąć za kierownicą. Dlaczego to zrobiłam? Powinnam była zagrozić mu drogę do samochodu. Dlaczego tego nie uczyniłam? Nie wiem. Nie pamiętam. Nie pamiętam nic, co ma znaczenie. Chyba nie miałam siły walczyć z mężem. Wybrałam akurat tamten moment, aby wykazać się żalosną słabością. Dałam się złamać. Potulnie usiadłam na miejscu pasażera. Zapewne wmawiałam sobie, że to tylko parę minut jazdy, że Simon nie jest w aż tak kiepskim stanie, że bywało gorzej. Obecnie nie mogę uwierzyć, że tak myślałam. Tak bardzo mi wstyd. Może było mi go żal. Przez moment. Przez ułamek sekundy. Tyle jednak wystarczyło. A może miałam go zwyczajnie dość i chciałam jak najszybciej znaleźć się w domu.

Oddech więźnie mi w płucach; to właśnie musi odczuwać tonący.

Dlaczego nie postawiłam na swoim? Bałam się sceny? Położyłam uszy po sobie. Nie widzę innego wyjścia. Dotykam głowy. Kompletnie nic nie pamiętam z dalszej drogi. Uderzyłam czołem w przednią szybę w chwili... Muszę się zmusić, aby pozwolić tym słowom zaistnieć w moim umyśle. Gdy już się tam rozgoszczą, staną się rzeczywiste. Nie do ruszenia. Uderzyłam czołem w przednią szybę w chwili zderzenia. Uderzyłam czołem w przednią szybę w chwili zderzenia samochodu z Millie i drzewem. Lekarz, który poddał mnie starannemu badaniu, powiedział, że utrata pamięci w odniesieniu do zdarzeń minionej nocy prawdopodobnie jest tylko przejściowa. Efekt wstrząśnienia mózgu; efekt szoku. Dodał, że ludzki mózg to sprytne urządzenie i że najpewniej mój postanowił mnie chronić w ten sposób. Wymazując scenę jak z horroru. Nie chcę być chroniona! To egoizm! Powinnam pamiętać wszystko w najdrobniejszych, wyrazistych, potwornych szczegółach. Powinnam wszystko sobie przypominać raz po raz i od nowa. Wypadek powinien się odcisnąć w mojej korze mózgowej. Zasłużyłam sobie na to.

Skupiam się z całych sił. Skronie mi pulsują z napięcia. Słyszę krzyki. Kłóciliśmy się. Odwróciłam jego uwagę? To nie ja krzyczałam, tylko on. Muszę sobie przypomnieć coś więcej. Pamiętam zderzenie czy też raczej wciąż czuję je w swoim ciele? Potem zatonąłam. Dałam się pochłonąć wszechobecnej czerni.

– Wybacz, Millie – szepczę do nieruchomej, popielatej na twarzy córeczki. Ujmuję jej dłoń i składam pocałunek na paluszkach. Są zimne.

To wszystko moja wina, wina Simona.

Nienawidzę nas obojga.

24

SIMON

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Ponieważ zdarzyło mu się to nie po raz pierwszy, pogodził się z tym faktem i nie starał się na siłę odgadnąć swojej lokalizacji. Zamiast więc myśleć, gdzie jest, wsłuchał się we własne ciało. Było mu zimno. Więcej, cały aż dygotał. Chłód przenikał go na wskroś, drżaczka kojarzyła mu się tylko z jednym: z kacem. Głowa mu pękała. Czuł się bezradny; niezdolny formułować myśli czy argumenty.

Tkwiał w wyłożonym kafelkami prostopadłościanie. Uznał więc, że jeszcze się nie obudził. Spał głęboko i śnił. Przynajmniej miał taką nadzieję, ponieważ miejsce to przyprawiało go o ciarki. Cały był zeszywniały, obolały. Jakby złapał gripę. Podniósł się do pozycji siedzącej. Spędził noc na parkowej ławce? Znowu? Po ostatnim razie powinien wiedzieć, że to żadna przyjemność. Rozejrzał się wokół siebie. Tak naprawdę spędził noc na kremowym plastikowym podwyższeniu, jakieś piętnaście centymetrów nad podłogą. Leżał na nim cienki materac przypominający bardziej karimatę do ćwiczenia jogi, coś, co udawało poduszkę, i przetarty kłujący niebieski koc. Chwilę trwało, zanim połączył kropki, gdyż głowa mu pękała, gotowa eksplodować wprost na brzydkie wykafelkowane ściany. Wreszcie zajarzył. Przebywał w areszcie.

Zataczając się, podszedł do wiszącej na przeciwległej ścianie metalowej muszli klozetowej. Z bliska zobaczył dowody, że próbował jej użyć po nocy, ale miał kłopoty z celnością; metalowa miska cała była w sikach i wymiocinach. Nadal rozkołysany, oddał mocz, opierając się dla pewności jedną ręką o ścianę. Dopiero teraz zauważył niewielką umywalkę we wnęce. W odpływie nie było korka, a wkrótce się przekonał, że woda ledwo ciurczy. W umywalce było za mało miejsca, aby mógł włożyć głowę pod kran, dlatego nabrał wody w złożone dłonie i przeniósł ją do ust. Nie dość, by zaspokoić palące pragnienie. Czuł się tak, jakby ktoś wydłubał mu oczy z głowy łyżeczką i włożył z powrotem na miejsce. W brzuchu też go paliło. Musiał się napić. Załomotał w drzwi.

– Ej, chciałbym z kimś porozmawiać. Co tu jest grane?

Nikt się nie pojawił. Simon załomotał ponownie, szybko jednak przestał się tłuc, ponieważ ogarnął go strach. Walenie w drzwi aresztu to kiepski pomysł. Wyglądało to, jakby sprawiał problemy, a on nie chciał przecież kłopotów. W dalszym ciągu nie pamiętał, dlaczego tu trafił. A przynajmniej nie nazbyt jasno. Wtem ktoś przewrócił kartki jego pamięci.

Przed oczami stanęła mu ostatnia noc. Przez to pomieszczenie – celę chyba – przewinęło się mnóstwo ludzi. Budzili go, nie siłą, ale stanowczo. „Gdzie jesteś? Kim jesteś? Podnieś prawą rękę”, bombardowali go pytaniami i poleceniami. Odpowiadał i robił, co mu kazali, a potem kazał im spieprzać, tak bardzo chciało mu się spać.

Jechał furgonetką. Przywieźli go tutaj furgonetką. Tyle pamiętał. Ale co było wcześniej? Jechał samochodem. Padało. Daisy była na niego wściekła. Ale o co? Tego nie wiedział. Chyba zniszczył coś w domu Bakerów. Tak, o to chodziło. Rozbił wazon, talerz albo zegar? Nic mu nie świtało. Słyszał jednak w głowie huk roztrzaskiwanej porcelany. Widział, jak odłamki rozpryskują się po drewnianej podłodze. Stojący wkoło zadufani w sobie,

śmierdzący, płodni przyjaciele przekazywali sobie z rąk do rąk skręty, z ust do ust opinie. On też był wściekły na Daisy, ponieważ rozbiła coś znacznie ważniejszego niż jakiś tam wazon.

Nagle zobaczył szkło na drodze, reflektory nadjeżdżającego samochodu. Usłyszał odgłos uderzenia. To było coś więcej niż zderzenie. Zahamował, auto wpadło w poślizg, zawróciło. Wtedy rozległ się ten chrupot.

Millie. Pamiętał Millie. Na jego oczach odbiła się od maski samochodu. Niczym kukielka poderwana z nienacka przez lalkarza, który potem przeciął czemuś sznurki, przez co spadła na ziemię połamana, zepsuta.

To wspomnienie było jak pociągnięcie snującej się nitki swetra; jeden drobny ruch, który kończy się tym, czym się kończy. Motkiem sprutej wełny.

Simon zaczął się dobijać do drzwi celi. Nie obchodziło go, ile kłopotu sprawi. Najgorszą szkodę zdążył już wyrządzić.



25

DAISY

SOBOTA, 25 MAJA 2019

Rose rzuciła pomysł, abyśmy wszyscy poszli na plażę. Moja siostra wie, że preferuję otwarte przestrzenie – zawsze tak było, nigdy nie lubiłam ciasnych wnętrz. W czasach, gdy dorastałyśmy, stanowiło to zabawne dziwactwo, powód do żartów, lecz w ciągu ostatnich lat przerodziło się w coś w rodzaju fobii. Rose udało się zebrać całą paczkę: są z nami Craig, Sebastian, Henry, Connie, Luke i ich trzy córki. Rose wie, jak ważne jest dla mnie, aby świętować urodziny Millie w dużym gronie. Dzięki temu nie czuję się samotna. Poza tym kto nie lubi czuć wiatru we włosach i szumu fal rozbijających się miarowo o brzeg? Nikogo więc nie trzeba było długo przekonywać.

Millie zaprosiła swoje cztery najlepsze koleżanki ze szkoły. Chciała, by dzieci przyszło więcej, najlepiej cała klasa, i pewnie tak by się stało, gdybym wyraziła zgodę. Obawiałam się jednak, że będę za nie wszystkie odpowiedzialna – najpierw podczas podróży pociągiem, a potem nad morzem. Tymczasem teraz stosunek dzieci do dorosłych jest rozsądny. Wiem, że Sophie i India spędzą ten dzień na milczącej walce o wyrazy

przyjaźni mojej córki, przechodząc same siebie w okazywaniu rozpaczliwej lojalności i troskliwości. Walka ta była obecna, odkąd sformowały swoje małe trio, lecz nabrała większego znaczenia po tym, co się stało. Sophie, cała we łzach, raz oznajmiła, że Millie byłaby bezpieczna na przyjęciu i że to wszystko wina Indii, której zachciało się biwaku pod gwiazdami. Zdawszy sobie sprawę, że byłam świadkiem wybuchu jej córki, Connie natychmiast uciszyła dziewczynkę, tłumacząc racjonalnie, że biwak był pomysłem Millie, nie Indii – co sama mówiłam tej ostatniej, aby ją podnieść na duchu. Nie wspomniała o tej drugiej rzeczy, ale tę zatrzymałam dla siebie. Jeszcze jedno gdyby. Jeszcze jedna szansa na ochronienie Millie przed krzywdą. Jeszcze jeden sposób, na jaki ją zawiodłam. Nie powinnam była zabierać córki na przyjęcie do Bakerów, ale też powinnam była zostać z nią w domu, gdy się okazało, że moi rodzice nie będą mogli jej przypilnować.

– Nie powinnam była pozwolić, aby pijak usiadł za kierownicą.

Gdy Lucy usłyszała o pikniku na plaży, natychmiast zapytała, czy może się wybrać z nami. Jej córka Auriol przyjaźni się bardzo blisko z Fran, najstarszą córką Connie, tak więc trudno coś uchować w sekrecie pośród naszej paczki. Zapytałam Rose, co o tym myśli.

– Oczywiście. Im więcej nas będzie, tym weselej – odparła stanowczo.

– Jesteś pewna? – Osobiście staram się unikać Lucy, kiedy tylko mogę. – Nie chciałabym, abyś się znalazła w niezręcznym położeniu. Wolałabym, żeby Lucy nie zepsuła ci humoru.

Rose machnęła lekceważąco ręką.

– Jeśli o mnie chodzi, rozejm został dawno zawarty. Mile widziany jest każdy, kto chce świętować urodziny Millie.

Rozumiem punkt widzenia siostry. Życie każdego dziecka jest bezcenne, lecz brzmi to tym bardziej prawdziwie, gdy chodzi o Millie,

której losy ważyły się przez tyle tygodni. Od tamtej pory wszystkie jej urodziny są wyjątkowo radosnymi okazjami. Stać mnie na to, aby na ten jeden dzień zapomnieć o niechęci do Lucy.

W każdym razie skoro będzie nas aż tyle, być może uda się ukryć wolną przestrzeń, którą pozostawił po sobie Simon. Jego położenie nie pozwala mu poczuć wiatru we włosach, usłyszeć fal rozbijających się o brzeg. Przebywa w więzieniu, odsiadując wyrok pozbawienia wolności za spowodowanie wypadku, w którym nieomal zginęła nasza córka.

Nie brakuje mi go. Zbyttno się na niego gniewam, aby za nim tęsknić, i to się już nie zmieni. Gdy podzieliłam się tą myślą z Connie, rzuciła mi smutne spojrzenie i powiedziała: „Widzisz? Nadal go kochasz”. Warknęłam wtedy na nią, żeby nie była śmieszna. Connie jest straszną romantyczką. Co do mnie zaś – nienawidzę Simona.

Często się zastanawiam, czy Millie za nim tęskni. Nie rozmawiamy o tym. Próbowалам, ale nie jest to łatwe. O tak wielu sprawach musiałyśmy pomówić na samym początku, ona zaś była wtedy taka mała. Wypadek, alkoholizm, proces, więzienie. Gdy w grę wchodził Simon, nic nie było proste; przeciwnie – było skomplikowane i bolesne. Wszystkie nasze dyskusje kończyły się sprzeczką bądź tym, że Millie zaczynała płakać i potem była marudna. Łatwiej więc było zaprzestać tych rozmów. Millie nie widziała Simona od trzech lat, a to bardzo dużo dla dziewięciolatki. Nie jestem nawet pewna, czy go pamięta. Zostawiłam w jej pokoju jedno jego zdjęcie, resztę usunęłam. Nie jestem w stanie na niego patrzeć. Ani o nim myśleć. Nawet w tej chwili staram się wypchnąć go ze swojego umysłu. Nie pozwolę, aby zrujnował ten dzień po tym, jak zrujnował nasze życie.

Jak na maj, jest upalnie. Błękitne niebo i przyjemna temperatura to idealny prezent urodzinowy. Chociaż to Anglia i równie dobrze w południe

może być wichura. Zazwyczaj mamy wszystkie cztery pory roku w ciągu jednego dnia, ale najważniejszy jest dobry start.

Każda nasza grupka podróżuje do Brighton oddzielnie. Dlatego mimo że umówiliśmy się o jedenastej na prawo od wejścia na molo, jedni muszą czekać na drugich. Ja pojawiam się punktualnie, ale Rose jest już na miejscu – siedzi bezpośrednio na kamienistej plaży z twarzą zwróconą ku morzu. Nie nazbyt blisko publicznych toalet i głośnych rozrywek, ale też niespecjalnie daleko od nich. W sam raz. Moja siostra znana jest ze swoich zdolności pod tym względem. Założę się, że Lucy przyjedzie następną, a stawkę zamknie Connie, która nigdy nie przywiązywała dużej wagi do czasu.

Craig zabrał się już do rozstawiania parawanów, a Henry i Sebastian mieli przyciągnąć odpowiednią liczbę leżaków, ale najwyraźniej porzucili to zajęcie w połowie, aby zająć się kopaniem piłki. Ponieważ od razu zapraszają Millie i jej koleżanki do gry, ani Rose, ani ja nie protestujemy. Rozkładamy koce, pilnując, aby zachodziły na siebie wzajemnie, dzięki czemu pozostaniemy jedną dużą grupą, zamiast podzielić się na frakcje. Później nadmuchujemy pomarańczowe i zielone baloniki i przywiązujemy je do podpórek parawanu, aby dla wszystkich było jasne, że jesteśmy grupą imprezowiczów. Millie nie lubi już różowego. Wmawiam sobie, że każda mała dziewczynka kiedyś wyrasta z miłości do różowego, co nie zmienia jednak faktu, że jaskrawe baloniki trochę mnie martwią. Moja córka odrzuciła róż we wszelkich postaciach nie stopniowo, lecz z dnia na dzień – po powrocie ze szpitala do domu. Wiedziała już wtedy, że jej marzenia o zostaniu tancerką się nie ziszczą. Żadna dziewczynka ze śrubami w kościach nie może oczekiwać, że wyrośnie na primabalerinę. Wyrzuciła więc trykoty, stroje baletnicy i baletki, zażądała, abym zdjęła ze ścian jej pokoju taneczne plakaty, sama zaś wyrzuciła książeczkę z serii o Angelinie

Ballerinie, powiązaną z nią tematycznie przypinkę i maskotkę. Wyrugowała kolor różowy, który tak ściśle się łączył z jej hobby. Sześć lat to naprawdę młody wiek na to, by czyjeś marzenia legły w gruzach, o złamaniu miednicy, biodra i goleni nie wspominając.

Baloniki podskakują na sznurkach i unoszą się w powietrze poderwane podmuchem wiatru, lecz nie wyrrywają się ku niebu, jak się spodziewałam. Aby tak było, musiałyby być napełnione helem, co uniemożliwiłoby mi przywiezienie ich pociągiem, gdyż dość miałam roboty z dźwiganiem bagażu i pilnowaniem dziewczynek. Jestem szczerze wdzięczna Rose za to, że przywiozła jedzenie. Nie wybieram się w dalsze podróże samochodem, odkąd... Nie, dzisiaj nie będę o tym myślała.

Moja torba pęka w szwach, wypełniona po brzegi prozaicznymi przedmiotami, takimi jak ręczniki, tubki kremu z filtrem, paletki i lotki, ubranie na zmianę, ale też rzeczami wyjątkowymi, ponieważ są to urodziny Millie. Mam więc świece i zapalniczki na wypadek, gdyby Rose o nich zapomniała (co jest mało prawdopodobne), fenty za wygrane w zabawach, spiczaste kapelusiki z gumką i wszystkie kartki z życzeniami, jakie dostała. Prezenty jednak zostały w domu, gdzie otworzy je wieczorem.

– Powinnaś była dać mi część z tego, zabrałabym samochodem – rzuca Rose, widząc, jak rozpakowuję ręczniki.

– Te z mikrofibry ważą tyle co nic – uspokajam siostrę, choć pasek torby wrzynał mi się w ramię do tego stopnia, że wciąż czuję jej ciężar. Nie miałam pojęcia, ile zajmie spacer z dworca na promenadę. Rzeczywiście powinnam była poprosić Rose o pomoc, ale nie lubię być brzemieniem. Poza tym tyle dla mnie ostatnio robi, że nie chcę nadużywać jej dobroci. Podnosząc głos, zwracam się do Millie i jej koleżanek: – Jesteście posmarowane kremem z filtrem?

Jedna czy dwie odpowiadają, że tak, reszta mnie ignoruje. Bardziej je interesują biegi na skraj morza, przeskakiwanie przez fale i piszczenie z uciechy.

Z rozpakowaniem jedzenia wstrzymujemy się do chwili, aż będą wszyscy. Ogarnia mnie ulga na widok Lucy i Auriol, które przyjechały bez Petera.

– Gra w golfa – wyjaśnia Lucy. To akurat mnie nie dziwi. Peter zawsze gra w golfa w sobotnie poranki, przy czym mówiąc „zawsze”, mam na myśli to, że zdarzało mu się opuszczać wesela, gdyż był umówiony na polu golfowym. – Powiedział, że postara się do nas dojechać po południu.

Nieco tracę humor, słysząc, że Lucy zamierza zostać z nami do końca dnia. Miałam nadzieję, że tylko się pokaże i po godzinie czy dwu nas porzuci, by zająć się czymś dla niej atrakcyjniejszym. Nic jednak nie mówię i nawet zdobywam się na uprzejmy uśmiech.

Mimo że z Rose pomyślałyśmy o wszystkim, zarówno Lucy, jak i Connie przywiozły ze sobą trochę jedzenia, co jest miłym dodatkiem. Widzę wyraźnie, że Connie długo deliberowała nad menu. Jest chrestną Millie i bardzo poważnie podchodzi do tej roli. Teraz prezentuje michę pełną apetycznej trójkolorowej sałatki, świeżutkie ziołowe ciabatty, a nawet upieczone własnoręcznie czekoladowe muffinki, te ostatnie z lekkim zakalcem. Lucy z kolei wyciąga trzy butelki szampana i ogromną lubiankę z soczystymi malinami. Opowiada, że sama je zbierała w ekologicznym gospodarstwie.

– Spędziłam tam wczoraj całe popołudnie – dodaje. Jakoś trudno mi uwierzyć w jej słowa. – Wiem, że Millie przepada za malinami.

Gdyby chodziło o kogoś innego niż Lucy, mogłabym mieć pewność, że to przejaw troski, lecz w jej przypadku dostrzegam raczej szansę na

wrzucenie kolejnej fotki na Instagram. Założę się, że wczoraj na jej profilu przybyło zdjęć ze zbierania malin.

Podnoszę wzrok i przez chwilę obserwuję córkę i jej koleżanki, jak dokazują na płyciźnie pośród szemrzących na kamykach fal. Raz po raz zrywają się do biegu w stronę wypiętrzającego się bałwana, po czym zawracają i uykają przed nim ile sił w nogach. Roześmiane. Pozwalają sobie na bycie małymi dziewczynkami. Cieszę się, że nie uległam namowom Millie, która chciała prawdziwego przyjęcia z motywem księżniczki, gdzie clou programu stanowi pokaz wizażu z możliwością zrobienia sztucznych rzęs lub tatuażu z henny każdej z uczestniczek. Fran, Flora i Auriol polegają nieopodal na ręcznikach. Przyjaciółki rozmawiają, a Fran jak zwykle czyta książkę. Wszystkie trzy mają bzika na punkcie opalenizny; wystawiają się na słońce od marca i pomimo śniegu uparcie chodzą z gołymi nogami. Teraz także liczą, że zbrązowieją. Craig, Luke, Sebastian i Henry stoją po kolana w wodzie i usiłują paletkami trafić w lotkę. Craig i chłopcy mają na sobie kąpielówki, ale Luke nie zdążył się jeszcze przebrać. Został zagoniony do wody, ledwie się pojawił na plaży; tyle dobrego, że zdjął buty. Poza tym ma na sobie bawełnianą koszulkę i krótkie spodnie, które robią się coraz bardziej mokre od wody i potu, czym wcale się nie przejmuję. Śmieje się i przekomarza jak zawsze.

Wzrokiem podążam do Millie. Nie chcę jej spuszczać z oka na dłużej. Spostrzegam, że przewraca się trzy razy z rzędu – jako jedyna z grupy. Jej koleżankom fale są niestraszne. Domyślam się, że jest już zmęczona. Albo doskwiera jej noga, albo biodro, czego oczywiście za nic nie przyzna. Uświadamiam sobie, że Luke także na nią patrzy, widzi jej wysiłek, ale ma na tyle oleju w głowie, by nie robić z tego sprawy. Ściąganie na nią uwagi, gdy nie jest w formie, gniewa ją i zawstydzia. Luke po prostu się schyla, łapie ją pod pachy i usadza sobie na ramionach. Millie jest wysoka, ale

bardzo lekka; stopami sięga mu do bioder. Jest za duża, aby mógł ją tak nosić, mimo to robi z nią parę kroków w stronę głębszej wody i tam wrzuca. Millie piszczy zachwycona, Rose, Connie i ja wpatrujemy się w miejsce, w którym zniknęła pod powierzchnią, z lekką obawą, lecz naturalnie moja córka wystawia już głowę i prychna przez uśmiechnięte usta.

Lucy zauważa:

– Millie się podoba, że nie traktuje jej jak zgniłego jajka.

Jakby na dowód jej słów Luke chwyta pierwszą koleżankę Millie z brzegu i również ciska ją do wody, aby pokazać, że wszystkie traktuje tak samo. Piski przybierają na sile, gdy Henry i Sebastian pędzą w górę plaży, by złapać Auriol i Fran i też je zanurzyć.

Kwadrans później młodzież i dzieci siedzą na kocach piknikowych, owinięci w ręczniki, lecz wciąż z gęsią skórką, i domagają się jedzenia. Najwyraźniej zabawy w morzu i generalnie psoty wzmagają apetyt. Widzę, że Luke jest cały mokry, ale czeka cierpliwie, aż któreś z dzieci poda mu ręcznik.

Cały dzień mija, przynosząc takie radosne sceny. Choć różnica wieku między najstarszym chłopcem i najmłodszą Millie wynosi aż dziesięć lat, dzieciaki świetnie się dogadują. Rzecz jasna tworzą zmienne koterie w zależności od poziomu energii i aktywności, na jaką mają ochotę, ale też bawimy się wszyscy razem, nawet w klasyczne gry towarzyskie, które Millie z początku skrytykowała, lecz zmieniła zdanie, widząc, że jej przyjaciółki omal nie pękają ze śmiechu. Zajadamy się watą cukrową i lodami, odwiedzamy arkady z automatami do gier, Fran, Flora i Auriol w pewnym momencie odłączają się od nas, aby posnuć się wąskimi uliczkami nieopodal. Sebastian i Henry mówią, że zrobią to samo, ale widać, że mają ochotę wyskoczyć do pubu i popodrywać dziewczyny. W mojej obecności nikt nie mówi otwarcie o picciu. W dniu, kiedy Millie

wróciła ze szpitala, poprzysięgam sobie, że nie wezmę więcej alkoholu do ust, i dotrzymałam obietnicy przez rok. Później zaczęłam sobie pozwalać na jeden kieliszek od wielkiego dzwonu. Zrozumiałam, że alkohol nie jest moim wrogiem, jak było w przypadku Simona.

O siedemnastej, gdy Sebastian i Henry wracają z pubu, wszyscy robimy się głodni, co jest niesłychane, zważywszy na ilość piknikowego jedzenia, którą pochłonęliśmy w porze lunchu. Obśmiewamy się i tłumaczymy swoją łapczywość: morskie powietrze pobudza apetyt, wiele się ruszaliśmy, jedliśmy wieki temu, co najmniej trzy godziny... Craig sugeruje, abyśmy się spakowali i znaleźli lokal, w którym podają rybę z frytkami. Jego propozycja spotyka się z jednogłośnie aprobatą. Właśnie zaczynam upychać wilgotne ręczniki w torbie, gdy przypominam sobie o kartkach urodzinowych.

– Może chcesz najpierw przeczytać swoje kartki, Millie? – pytam. Wiem, że w przeciwnym razie zamokną od ręczników albo nawet je zgubię po drodze na dworzec. Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że przywiezienie ich tutaj nie było najlepszym pomysłem.

– Tak, tak! – podchwytuje rozemocjonowana Millie, wiedząc, że w kopertach oprócz kartek z życzeniami będą też pieniądze albo vouchery.

Zaczyna beztrąsko otwierać koperty, ja zaś skrupulatnie zbieram makulaturę, zdeterminowana, aby nie zostawić po sobie na plaży śmieci. Zgodnie ze swoimi przewidywaniami nieźle się obławia. Dostała pokaźny czek od moich rodziców, sporo osób wsunęło piątki, a nawet banknoty dziesięciofuntowe, poza tym są vouchery na książki, akcesoria dla lalek czy ubrania w sieci sklepów Topshop. Jeszcze nigdy nie robiła tam zakupów, niemal więc eksploduje ze szczęścia. Oczy ma przepełnione radością, uśmiech dosłownie dookoła głowy. Czuję, jak coś we mnie się rozpręża. Dzień udał się nadspodziewanie; okazał się sukcesem. Millie miała takie

urodziny, o jakich marzy większość dziewięciolatek. Oddycham z ulgą, ponieważ nie każdy nasz dzień jest udany. Zwłaszcza urodziny i święta bywają trudne. Na ogół wspaniale nam tylko we dwie, lecz w niektóre dni sobie nie wystarczamy.

Connie wkłada rękę do torebki.

– Mam jeszcze dwie. Ode mnie i...

– Och, dziękuję! – skrzeczy Millie, która z ekscytacji straciła swój normalny głos. Nie potrafię sobie wyobrazić, co będzie wieczorem w domu, gdy zacznie otwierać prezenty, kule do kąpielni, papeterie, świecidełka i spinki do włosów, które w małych paczuszkach leżą w całym salonie.

– Z tym podarkiem wiąże się pewna historia... – zaczyna Connie.

Staram się przywołać na twarz wyraz zainteresowania, ale nie spuszczam oka z Millie, która już bezceremonialnie rozprawiła się z kopertą, sięgam więc po nią, aby dołączyć ją do rzeczy do wyrzucenia, podczas gdy słowa opowieści Connie ulatują z wiatrem, zagłuszone przez śmiechy i piski dziewczynek.

– Co to? – pyta India, zaglądając Millie przez ramię.

– Czy to voucher? – dopytuje Sophie, zawisając na przyjaciółce.

– Nie. – Moja córka ma zmieszana minę. – To bilety do Sadler's Wells Theatre. Na balet, *Gizellę*. – Wolno pochłania oczami kolejne linijki, coraz bardziej chmurniejąc. – Nie chcę tam iść – oznajmia sztywno. Unika Connie wzrokiem.

Błyskawicznie wyjmuję jej bilety z dłoni i razem z kartką wrzucam do torebki.

– Oczywiście, kochanie, nikt cię nie zmusza. – Udaje mi się równocześnie uśmiechnąć do Millie i zgromić spojrzeniem Connie. To dopiero wyczyn. – Chodź, dokończmy pakowania. Zjadłabym konia

z kopytami! – dodaję najbardziej jowialnym tonem, na jaki mnie w tej chwili stać.

Wszyscy zaczynają się przekrzykiwać, jacy to są głodni; staramy się stłumić ból Millie gadaniną o tym, czy do ryby z frytkami powinniśmy wziąć także pikle i krążki ananasowe.

W drodze do restauracji biorę Connie na bok.

– Coś ty sobie myślała? – warczę na nią.

– Nie miałam pojęcia, powinnam była sprawdzić – tłumaczy się z przerażoną miną i zapewnia: – Mam ochotę sama się kopnąć.

Też mam na to ochotę, ale powstrzymuję się – w końcu jest moją przyjaciółką i nigdy by celowo nie skrzywdziła mnie ani Millie. Po prostu przeszarżowała, nic więcej. Mimo wszystko jestem tak rozgniewana, że nie mogę zapomnieć o sprawie.

– Chyba wiesz, że Millie nie chce mieć do czynienia z baletem. Nie chce, by jej przypominano, co straciła. Co ci przyszło do głowy, żeby podarować jej bilety na przedstawienie *Gizelli*?

– To nie jest prezent ode mnie – przerywa mi Connie.

– Słucham?

– Próbowałam wam powiedzieć, zanim Millie rozdarła kopertę. List został wysłany do mnie, ale adresowany był do Millie. – Serce mi staje. – Myślisz, że to od Simona? – pyta. – Naprawdę bardzo mi przykro, Daisy. Powinnam była najpierw sprawdzić. Nie rozpoznałam charakteru pisma, a że przesyłka w niczym nie przypominała więziennej, nawet nie przyszło mi do głowy... To od niego, prawda?

– Tak – odpowiadam sztywno i przyśpieszam kroku. – Dziewczynki, ruszajcie się, nie zostawajcie w tyle! – wołam przez ramię. Millie i jej koleżanki wiecznie albo mitrzą, albo wyrywają się do przodu, zamiast iść blisko mnie.

Connie wygląda na zdziwioną.

– Ale jak? Takie bilety kosztują fortunę. Skąd Simon je wytrzasnął?

– Nie wiem. Ktoś mu ewidentnie pomógł.

– Bilety były trzy. Dlaczego przysłał trzy? Co to oznacza? Czyżby miał wyjść do tego czasu? Nic nie mówił...

Nie podejmuję rozmowy z nią.

– Dziewczynki, uważajcie na przejściu. Rozejrzyjcie się dobrze w obie strony. – Gdy dochodzimy do zebry, stoją parami, trzymając się za ręce, tak jak je uczyłam przez ostatnie trzy lata. Tyle samo czasu po naszej ulicy wszyscy jeżdżą zgodnie z przepisami, nie śmia inaczey. Millie i jej przyjaciółki czekają, aż ruch samochodowy ustanie, po czym jeszcze rozglądają się w prawo i w lewo, na wypadek gdyby pojawił się rowerzysta, i dopiero gdy Sebastian i Henry machają na nie niczym młodociani funkcjonariusze drogówki, schodzą z krawężnika. Ludzie rozumieją moje obawy przed przekraczaniem jezdni i nawet jeśli ich one denerwują, nikt nic nie mówi, nawet najbardziej pyskate dziecko.

– Nie przeczytasz tej kartki? – naciska Connie.

Dlaczego nie odpuści? Niech wreszcie przestanie mówić o biletach na balet!

– Nie muszę – odpowiadam. Posyła mi dziwne spojrzenie, coś na granicy wścibstwa i współczucia. – Słuchaj, po prostu o tym zapomnij, dobra? – podnoszę głos.

Connie kurczy się, zraniona. Nie tak miał się zakończyć ten dzień. Millie smutna. Connie obrażona.

Ja – struchlała ze strachu.

26

SIMON

Za więziennym murem istnieje tylko czas.

Simon siedział od dwóch lat, dziesięciu miesięcy i dwóch dni. W sumie tysiąc trzydzieści sześć dni spędzonych za kratkami. Ludzie mu powtarzali, że przywyknie. Do braku przestrzeni, braku prywatności, braku wyboru. Nie przywykł. Wątpił, aby kiedykolwiek zdołał przywyknąć.

Ludzie się mylili w wielu kwestiach.

Najpierw siedział w areszcie na komisariacie, potem w areszcie śledczym, wreszcie tutaj. Nigdy się nie ubiegał o wyjście za kaucją. Cierpiał katusze z powodu przymusowego odstawienia alkoholu i nic poza tym go nie obchodziło. Zresztą dokąd by poszedł, gdyby go wypuszczono? Po fakcie miał do siebie żal. Zrozumiał swój błąd. Powinien był za wszelką cenę wrócić do domu, póki ten istniał.

Millie miała dziś urodziny. Ciekaw był, co robiła. Nikt mu nic nie mówił.

Więzienie było przerażającym brutalnym miejscem pełnym przerażających brutalnych ludzi. W niczym ich nie przypominał. Chciał wierzyć, że w niczym ich nie przypomina. W całym swoim życiu nigdy nie

przypuszczał, że mógłby trafić do więzienia – zanim to nie nastąpiło. Jaki normalny człowiek zakłada coś takiego?

Dzień więźnia był podzielony na bloki, zdaniem Simona po to, by zaprowadzić względny porządek i dać więźniom poczucie, że robią jakieś postępy. Osobiście odbierał to tak, jakby utkwiał na planie *Dnia świstaka*. Ta sama niezmienna rutyna dzień po dniu. Nic nie przyśpieszało upływu czasu: ani posiłki, ani gówniana praca, ani zwłaszcza rozmowy.

Najlepszą częścią doby była noc. Niestety nawet sen okazywał się iluzoryczny, i to z różnych przyczyn. Wiele zależało od tego, z kim dzieliłeś celę. Z powodu przepełnienia własna cela była luksusem, którego Simon jeszcze nie dostąpił. W ciągu minionych trzech lat miał czterech współlokatorów. Pierwsi dwaj odsiadawali krótkie wyroki. Parę miesięcy i byli wolni. Następny był zatwardziałym kryminalistą. Nazywał się Rick Dale i miał brata. Obydwaj przewodzili najokrutniejszemu i najpotężniejszemu gangowi w więzieniu. Działali na kilku polach i zawiadywali dystrybucją wszystkiego: od czekolady przez papierosy, znaczki, narkotyki i komórki aż po alkohol. Simon szybko zdał sobie sprawę, że bracia Dale stanowią prawo i porządek za tymi murami nie mniej, a może nawet bardziej skutecznie niż strażnicy. Kary, jakie wymierzali, napawały więźniów strachem większym niż perspektywa paru dni w karczerze. Rick był młodszym z braci; na zewnątrz parał się narkotykami i sutenerstwem. Prowadził szemrane kluby. Simon tak się go bał, że przez spędzone razem w celi pół roku prawie nie zmrużył oka.

Dale wypalał kilkadziesiąt papierosów dziennie. Teoretycznie Simon mógł się poskarżyć, że został zmuszony do dzielenia celi z nałogowym palaczem, w praktyce jednak było mało prawdopodobne, aby zdołał wygrać z wydziałem więziennictwa sprawę o długofalowe skutki biernego palenia. Pojawiwszy się w celi Simona, Rick zaproponował mu papierosa.

Simon podziękował.

– Nie palisz? – zapytał go Dale.

– Nie.

– Uważasz, że to niezdrowe, co?

Ponieważ Simon był wtedy jeszcze naiwny, skinął głową. Dale wyrznął go pięścią w brzuch, błyskawicznie, mocno. Przed tym, jak trafił do więzienia, Simon nigdy od nikogo nie oberwał – nie licząc czasów szkoły podstawowej, kiedy to żaden z jego kolegów nie miał wiele siły. Zaskoczony zgiął się wpół, po czym padł na podłogę jak worek ziemniaków. Dale wymierzył mu silne kopniaki. Wszystko odbyło się w mgnieniu oka, było ostrzeżeniem, demonstracją tego, kto liczy się w hierarchii i porządku. Simon w lot pojął lekcję. Nic nie było dla niego bardziej niezdrowe od ścięcia się z braćmi Dale. Ryzyko, które prezentowali wspólnie ze swoim gangiem, wydawało się równie nieuchronne co odstrasające. Simonowi grożono ustnie i milcząco, na dziedzińcu, na stołówce, pod prysznicem. Na szczęście dla niego w głębi korytarza zwolniła się lepsza cela. Rick Dale w jakiś sposób załatwił dla siebie przeniesienie. Simon nie pytał jak. W więzieniu ciekawość była nie pierwszym stopniem do piekła, ale piekłem samym w sobie. Kto miał choć odrobinę rozsądku i instynktu samozachowawczego, chodził ze wzrokiem wbitym w ziemię i gębą zamkniętą na kłódkę.

Obecny współlokator, Leon, okazał się lepszy pod każdym względem. Dbał o higienę, nie przekraczał granic prywatności i nie kradł nie swoich rzeczy. Zdarzało im się zamieniać paczuszkami płatków śniadaniowych czy wymieniać torebkę herbaty na saszetkę z kawą. Simon już dawno się nauczył, by nikomu nic nie dawać ot tak, coś takiego było traktowane podejrzliwie przez współsadzonych. Równowaga więzienna wymagała, aby prowadzić barter.

Mimo że Rick Dale wyprowadził się z jego celi, Simon nadal sypiał po parę godzin. Właściwie nigdy nie czuł zmęczenia; jego dni nie były wystarczająco pełne, aby w miarę upływu czasu coraz bardziej pragnąć małej śmierci w postaci snu. Ogromnie żałował, że nie może się tu upijać do nieprzytomności. Do zgaszenia świateł. Do wyciągnięcia wtyczki. Teraz potrzebował tego bardziej niż kiedykolwiek. Niestety picie w więzieniu nie wchodziło w grę.

Cele otwierano o wpół do ósmej rano. Następnie więźniowie dostawali śniadanie, prosto z okienka. Gdy tak to ująć, nie wyglądało to źle – nie musieli ganiać po stołówce, by polować na płatki, mleko, herbatę. Tylko że nie mieli możliwości wyboru, co zjedzą danego dnia, a to już zakrawało na dodatkową karę. Simon nie mógł rzucić paru pasemek bekonu na grill, jeśli akurat miał smak na kanapkę z bekonem; nie mógł po namyśle zdecydować się na jedną z wielu postaci jajek, czy to byłaby jajecznicca, jajka sadzone czy w koszulkach. Musiał jeść to, co dostał, siedząc na ławie bez oparcia. Przy śniadaniu panowała cisza, co akurat mu odpowiadało. Co dzień musiał od nowa się przyzwyczajać do więziennej rzeczywistości. Przypominać sobie, za co tu trafił.

Dwadzieścia po ósmej ruszali do pracy. Simon robił siateczki na włosy. Nieraz się zastanawiał, czy wciąż istnieje na nie rynek zbytu czy raczej wymyślono mu to zajęcie dla jeszcze większego upokorzenia. Żeby zająć czymś ręce, umocnić niskie mniemanie o sobie. Praca równała się celowej działalności więźniów. Cały ich dzień podzielony był na różne bloki: praca, biblioteka, aktywność fizyczna, widzenia. Oczywiście wszystko odbywało się według odgórnego rozdzielnika, sami więźniowie nie mieli w tych sprawach nic do powiedzenia. Nie dało się płynnie przejść od jednej czynności do drugiej, jak w szkolnej świetlicy czy na urlopie all inclusive. W więzieniu o wszystko trzeba było się ubiegać, występować, wnioskować.

Odpowiedź przychodziła pozytywna lub nie. Nic nie było dane raz na zawsze. Każdy przywilej mógł zostać odebrany bez podania powodu.

Początkowo Simon o nic się nie ubiegał. Zbytńo absorbowowało go radzenie sobie ze skutkami nagłego odstawienia alkoholu. Jedyne, co mógł, to zwinąć się w kłębek na pryczy i odczuwać ulgę z tego, że drzwi pozostają zamknięte i nikt nie wejdzie do środka. Tymczasem wrzeszczał, telepał się, płakał, zaklinał, przeklinał, kopał. Gdy najgorsze minęło, zrozumiał, że musi sobie znaleźć jakieś zajęcie, w przeciwnym razie oszaleje. O ile już nie oszalał. Czasem przekonywał sam siebie, że praca, lektura, ćwiczenia są jego wyborem. Zaraz jednak przychodziła myśl, czy przypadkiem nie został złamany. Może go uwarunkowali, może jego decyzja o uczestnictwie wcale nie była jego wyborem.

W ciągu dnia była też pora socjalizacji. Oznaczało to rozmowy między więźniami, granie w bilard, oglądanie telewizji. Niektórzy używali wioślarza treningowego albo orbitreka, które były na wyposażeniu sali rekreacyjnej. Ponadto znajdowała się tam też pralnia i mała łazienka z kabiną prysznicową. Simon nie cierpiał tych godzin. Sama sugestia, że jest to ich czas wolny, podkreślała dodatkowo fakt, iż niczym takim nie dysponują. Mieli tylko czas do zabicia. Zduszenia. Ugaszenia. Zdzierzenia.

Reżim nie był drakoński, zgoda, ale też w żadnym razie nie stymulował więźniów. Pobyt za kratkami nie przypominał też w niczym obozu letniego, co usiłowali wmówić przeciętnemu Brytyjczykowi niektórzy komentatorzy. Sala rekreacyjna, w której miała dokonywać się socjalizacja, okazała się zatłoczonym przegrzonym pomieszczeniem, gdzie unosił się smród testosteronu, strachu i rozczarowania. Odór oklejał Simona, wciskał mu się do nosa i ust. Dławił go.

Spacerniak nie był wiele lepszy. Przypominał dziedziniec szkolny, tyle że z wyrosłymi ponad miarę osiłkami. Okalały go wysokie mury

zwieńczone drutem kolczastym. Gdy zdarzyło się, że za ogrodzenie wleciał ptak, więźniowie zatrzymywali się i gapili na niego, czasem nawet otaczali go kręgiem, zafascynowani. Dorośli mężczyźni! Simona to przerażało. W końcu ptak, który się czegoś przeląkł, odlatywał, a osadzeni odprowadzali go wzrokiem, dopóki nie zamienił się w maleńki punkt na niebie. Emanowała z nich tęsknota i wściekłość. Byle ptak miał większe możliwości niż oni.

Urodziny Millie. Ta data tłukła mu się po głowie. Przeczyło to logice. Za murami dni były podobne do siebie jak dwie krople wody, a jednak urodziny Millie uparcie pozostawały ważne dla Simona. Postanowił, że spędzi nieco czasu na wspominkach z jej poprzednich urodzin. Ogółem sześciu, które przeżyła. Przynajmniej oderwie myśli od przytłaczającej szarej rzeczywistości. Na jednych urodzinach Millie pojawił się prawdziwy klaun, żonglował talerzami. Simon zaczął go naśladować i oczywiście potłukł talerze. Daisy była wściekła, powiedziała, że nie powinien był się przyłączać do zabawy, że był zbyt pijany i jeszcze że to pokaz dla dzieci. Niemiłe wspomnienie. Naznaczone żalem i wstydem. Wydawało mu się, że raz urządzili dla córki przyjęcie z teatrykiem lalkowym, lecz nie był pewien. Pamięć go zawodziła.

Ale nie zapomniał jej narodzin. Po pojawieniu się Millie to Daisy narzekała na trudy, nie on. Mówiła, że czuje się jak w klatce. Osaczona. Skarżyła się, że nie może nawet pójść do łazienki sama. Opowiadała mu, że ma takie poczucie, jakby zgubiła samą siebie. Simon nazywał to trudnościami, ale lekarz miał inną nazwę: depresja poporodowa. To określenie nie podobało się Simonowi, jego zdaniem było zbyt radykalne, zbyt konkretne; próbował chronić przed nim żonę. Krzyczała na niego, że nie rozumie, że nie jest w stanie jej przed niczym ochronić. Wziął urlop w pracy i przejął obowiązki w opiece nad dzieckiem: przewijanie, kąpanie,

usypianie. Daisy na szczęście karmiła niemowlę piersią, lecz robiąc to, wyglądała przez okno, ostentacyjnie ignorując chwytające brodawkę, sapiące, przelykające maleństwo. Rose i Connie były u nich częstymi gośćmi, teoretycznie przychodziły, by pomagać, w praktyce jednak niewiele z siebie dawały. Rose cmokała i powtarzała: „Nic nie rozumiem. Od tak dawna pragnęła dziecka. Jak może mieć teraz depresję?”. W oczach Rose świat był czarno-biały. Connie zazwyczaj tylko gładziła płaczącą Daisy po włosach i mamrotała: „Tak, właśnie tak. Wyrzuc to z siebie”.

Opieka nad Millie spadła niemal w stu procentach na niego. Nie przeszkadzało mu to. Oczywiście czerpałby znacznie większą radość, gdyby jego żona dobrze się czuła i cieszyła się z dziecka na równi z nim, lecz i tak był bardzo zadowolony, że może spędzać ze swoją córeczką tyle czasu. Tak jak Daisy, nie mógł się doczekać jej przyjścia na świat. Znał mężczyzn, którzy się skarżyli, że żony nie dopuszczają ich do niemowlęcia. Inne wyszydzały męską niezgrabność, a nawet twierdziły, że mężowie im tylko przeszkadzają. Tyle dobrego, że Simon nie miał tego typu problemów.

Dzieci rodzą się całe czerwone i pomarszczone, nieodróżnialne jedno od drugiego. Tak zawsze myślał, odwiedzając niezliczonych znajomych, którym urodził się potomek. Był przekonany, że nabierają indywidualnego wyglądu i osobowości w wieku dwóch, może trzech lat. Millie jednak niewiele brakowało do ideału. Gdy płakała z całych sił, wyginając plecki w łuk, aż jej buzia robiła się purpurowosina. Gdy wymiotowała na ciuszki, w które z takim mozołem wcisnął jej wijące się ciało (trzeci raz tego samego dnia). Gdy śmierdziała moczem lub nawet czymś gorszym. Była doskonała. Miłość, którą do niej czuł, przytulając ją do siebie i wdychając całą – razem z zapachem kosmetyków dziecięcych, które stanowiły novum w jego życiu – sprawiała, że jego serce rozpadało się na dwie połówki, jak orzech. Taka była zdeterminowana i pełna życia; mała jak palec, lecz już

istota z duszą, siłą, z którą należało się liczyć. Nie mógł się nią nacieszyć. Do niego pierwszego się uśmiechnęła. Później jej uśmiech za każdym razem sprawiał, że rosło mu serce. Rozdymało się, nabrzmięwało. Przesiadywał z Millie godzinami, cały uszczęśliwiony. Wciągał w nozdrza jej zapach, muskał opuszkami złoty puszek na jej główce. Nawet śpiewał specjalnie dla niej. Simonowi słoń nadepnał na ucho, żadnej melodii nie potrafił zanucić jak należy, ale się nie przejmował, gdyż Millie słuchała go z szeroko otwartymi oczętami. Śpiewał głównie hity z lat dziewięćdziesiątych, ale czasami sięgał też po repertuar swego dzieciństwa, które przypadło na lata siedemdziesiąte. Ballady miłosne. Szczególnie upodobał sobie *You Are the Sunshine of My Life* Steviego Wondera, którą wykonywał z Millie przy piersi, kołysząc ją lekko i kręcąc kółka w salonie. Bez wątpienia tak właśnie było. Ponieważ nigdy dotąd nie zaznał takiej miłości.

Tulił ją i nie wypuszczał jej z ramion, dopóki Daisy nie sięgnęła pewnie po ich dziecko.

Wkrótce Millie umiała już raczkować, a następnie chodzić – tupiąc radośnie od jednego mebla do drugiego. Niedługo potem potrafiła biegać, tańczyć, skakać. Dzieci tak szybko rosną, zmieniają się, rozwijają. Wystarczy mrugnąć powieką, a dany etap już jest skończony i przechodzimy do kolejnego. Bał się, że tak wiele straci, siedząc w więzieniu. Czy Millie go w ogóle pozna?

Czy miało to jakieś znaczenie?

Odbywając karę, wiele rozmyślał. Było to właściwie jedyne, co mógł robić z własnego wyboru. I teraz już wszystko rozumiał, wszystko nagle stało się dla niego jasne. Daisy wcale nie cierpiała na depresję poporodową. Gnębiły ją wyrzuty sumienia. A może żal po stracie mężczyzny, który ją rzucił. Simon zakładał, że tamten puścił ją kantem. Z jakiego innego

powodu zostałyby z nim? A to piękne niemowlę, któremu śpiewał? Millie nie była jego córką. Po pijaku czuł gniew. Obecnie, na trzeźwo, miał się za pokrzywdzonego, zranionego.

27

DAISY

Gdy kończymy posiłek w restauracji, dochodzi dziewiętnasta. W szklankach zostały niedopite resztki, papierowe serwetki leżą pozgniatane w kulki, rachunek jest uregulowany. Wracam z toalety i staram się skłonić dziewczynki do wyruszenia na stację, ale napotykam opór. Wszystkie ślaniają się ze zmęczenia. Peter pojawił się na kolacji, tak jak obiecał, dzięki czemu oboje mają puste auta.

– Już wiem, zabiorę Luke’a, Auriol, Fran i Florę do domu. Dzięki temu Connie i Lucy będą mogły odwiedzić ciebie z Millie i jej koleżanki – sugeruje Peter, jakby ten pomysł właśnie wpadł mu do głowy. Zazwyczaj udawanie mu wychodzi, tym razem jednak nie daję się nabrać; jasne jest dla mnie, że uzgodnili wszystko, kiedy byłam w toalecie.

Sugestia spotyka się z głośną aprobatą zebranych, wyłączając mnie.

– O, nie. Nie mogę skorzystać z tej propozycji – odpowiadam, zwracając się do Connie i Lucy. – Nie mieszkamy po drodze. Musiałybyście zmarnować wiele czasu. – Domy obu stoją w Notting Hill, podczas gdy ja mieszkam na północy Londynu.

– Hm, Sophie i tak zostaje u ciebie na noc – zauważa Connie. – Musiałabym po nią przyjechać jutro z samego rana. Może lepiej będzie, jak też się prześpię u was? Pożyczysz mi piżamę, szczoteczkę do zębów kupię

gdzieś po drodze. Pomogłabym ci z tymi pannami. – Skinieniem pokazuje koleżanki Millie. – Umiem robić świetną czekoladę na gorąco.

Sześć najmłodszych dziewczynek skacze w miejscu i klaszcze w dłonie z uciechy, że to jeszcze nie koniec atrakcji.

– Och, piżamowe przyjęcie dla dorosłych, to ci dopiero zabawa – komentuje Lucy takim tonem, że nie wiem, czy uważa to za przyjemność, czy koszmar ani czy przypadkiem nie zechce dołączyć do Connie i także mnie nawiedzić.

Rzucam Rose rozpaczliwe spojrzenie, ale ona tylko wzrusza ramionami.

– Namęczyłybyś się z nimi najpierw w pociągu, a potem w metrze. Chyba nie masz wyjścia... – mówi moja siostra. W jej przypadku kwestie praktyczne zawsze wygrywają z emocjonalnymi. Czasami się zastanawiam, czy my w ogóle jesteśmy spokrewnione.

Connie proponuje, że zabierze Sophie, Millie i Indię i abym ja pojechała z Lucy w towarzystwie trzech pozostałych dziewczynek. Naprawdę wiele bym dała, aby nie musieć rozmawiać o głupstwach z Lucy podczas najbliższych kilku godzin, co z tego jednak, skoro plan Connie ma sens, a moja odmowa byłaby zwykłym grubiaństwem. Poza tym chyba nie mogę zmusić trzech niewinnych dziewczynek, by podróżowały z Cruellą De Mon same, beze mnie ani jubilatki, a jak się domyślam, Millie nie pozwoli się rozdzielić z dwiema najlepszymi przyjaciółkami. Czuję, że jestem wrabiana, ale nie mogę dłużej zwlekać z decyzją. Tak to już jest w gronie znajomych: często trzeba przystać na coś wbrew sobie, choćby miało się ochotę na coś zgoła odwrotnego.

Dziewczynki wdrapują się na tylną kanapę niesamowicie eleganckiego jaguara Lucy. Jest to minivan, mimo że korzysta z niego tylko trzyosobowa rodzina, która raczej nie potrzebuje tej całej przestrzeni. Wóz przypomina czołg, tyle że jest znacznie wygodniejszy. Patrzymy na świat z góry,

czujemy się potężne. Chronione. Przynajmniej za to dziękuję w duchu. Jestem podenerwowana. Wiem, że z Connie jest dobry kierowca, ale i tak wolałabym mieć Millie przy sobie. Właściwie to wolałabym nawet nie spuszczać z niej oka. Muszę toczyć zacieklą walkę ze swoim instynktem, ponieważ wiem, że matczyzna nadopiekuńczość jest niezdrowa. Dziewczynki chichoczą, zachwycone czystą miękką skórą siedzeń. Samochód Lucy jest nieskazitelny, wygląda, jakby przed chwilą wyjechał z salonu. Stanowi przeciwieństwo naszego auta, którego podłogę zaścielają puste opakowania po chipsach, zaległe książki z biblioteki, szkolne usprawiedliwienia, drobne monety i skórki z banana.

Lucy prowadzi ostrożnie, trzymając się pedantycznie dozwolonej prędkości.

– Dzisiaj wszędzie są kamery – rzuca tytułem wyjaśnienia. – Nie chcę dostać mandatu, tyle z tym kłopotu. – Nigdy bym nie pomyślała, że przejmuję się przepisami; na mnie zawsze robiła wrażenie osoby, której zasady nie dotyczą. Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek były sam na sam. Zwykle spotykamy się większą grupą, a spoiwem między nami jest Connie. Wolałabym posiedzieć w ciszy, ale Lucy ma inny pomysł na podróż. Przez swą niepohamowaną pewność siebie nie wie, co to rozmowa o niczym. Od razu przechodzi do sedna. – Co u Simona?

Poprawiam się na fotelu pasażera.

– Wszystko dobrze – odpowiadam. Wrodzona uczciwość, przez którą nieraz miałam kłopoty, każe mi dodać: – Tak myślę.

Lucy unosi idealnie wyskubaną brew. Jej czoło marszczy się przy tym na tyle, abym wiedziała, że nie stosuje botoksu. Trzeba przyznać, że starzeje się z klasą. Odkąd pamiętam, była szczęściarą. Jest wysoka i szczupła, ma ogromne zielone oczy, okolone przez gęste rzęsy. Do niedawna sądziłam, że jej największym atutem są długie faliste włosy, ale

okazuje się, że równie dobrze wygląda w nowej krótkiej fryzurce na elfa. Czyli największym atutem Lucy będą jednak duże piersi przy wąskiej talii.

– Tak myślisz? Nie wiesz na pewno? Zatem nadal go nie odwiedzasz? – sonduje.

Zerkam w lusterko wsteczne, aby sprawdzić, czy koleżanki Millie przysłuchują się naszej rozmowie. Nie robią tego. Jedna zdążyła zasnąć, a pozostałe dwie mają słuchawki w uszach i kiwają się w rytm muzyki – a może tekstu audiobooka, w co bardzo chciałabym wierzyć.

– Zgadza się. Nie odwiedzam go.

– No, no, naprawdę potrafisz chować urazę.

Czy mi się wydaje, czy słyszę w jej głosie wesołe nutki? Przypuszczam, że jej komentarz odnosi się nie tylko do Simona, ale też do niej. Posyłam jej miażdżące spojrzenie, które uciszyłoby każdego, lecz nie Lucy; są na nie podatni moi uczniowie, tak samo jak ich rodzice, gdy wymaga tego sytuacja. Ona jednak wbija wzrok w jezdnię przed sobą i niczego nie zauważa. Pewnie i tak uznałaby mój gniew za dziwaczny, rozbijający.

– Powiedziałabym, że mężczyzna, który omal nie zamordował naszego dziecka, wart jest długotrwałej urazy.

– Omal nie zabił – poprawia mnie. – Zarzutem nie było morderstwo. Simon nie chciał skrzywdzić Millie. Oskarżono go o spowodowanie poważnego uszkodzenia ciała, prawda?

Tym to właśnie dla niej jest – suchymi faktami. Spowodowaniem poważnego uszkodzenia ciała podczas nieostrożnej jazdy pod wpływem alkoholu. Ja natomiast traktuję to, co się stało, jako potwornie skomplikowany emocjonalny koszmar. Mamy różne opinie, różne odczucia, jak zawsze zresztą.

Przykładam głowę do szyby i zastanawiam się, czy jestem wystarczająco dobrą aktorką, aby udać, że śpię. To jedyny sposób, by

uniknąć ciągu dalszego tej rozmowy. Nieprzekonana do swoich zdolności w tym zakresie, przymykam oczy i o dziwo faktycznie zasypiam, z czego zdaję sobie sprawę dopiero wtedy, gdy budzi mnie trzaśnięcie drzwi kierowcy. W lusterku wstecznym obserwuję, jak Lucy dolewa paliwa do baku. W samochodzie panuje głęboka cisza; wszystkie dziewczynki śpią pokotem. Atrakcje całego dnia w połączeniu z miarowym szumem i kołysaniem auta zrobiły swoje. Z przyjemnością nasłuchuję spokojnego dziecięcego oddechu. Pomijając fakt, że jadę z Lucy i że Millie dostała w prezencie bilety na balet, którego nie chce oglądać, to był dobry dzień. Nabrałam zwyczaju odnotowywania dobrych dni. Nie chodzi tylko o wdzięczność za nie, ale też o nadzieję, że w jakiś sposób uda mi się je wszystkie zmagazynować w pamięci. Traktuję dobre dni jak cegły – buduję z nich ochronny mur wokół nas, dzięki czemu gdy nadejdą nieuchronne gorsze czasy, będziemy miały za czym się skryć.

Lucy otwiera drzwi i pyta, czy chcę coś ze sklepu. Odruchowo potrząsam głową. Nie lubię nikogo o nic prosić. Nie chcę sprawiać kłopotu i nie chcę czuć się zobowiązana, nawet gdyby miało chodzić tylko o paczkę żelków. Lucy maszeruje zapłacić za paliwo, a faceci tankujący auta odprowadzają ją wzrokiem, wyciągając szyje, by lepiej widzieć. Nie żartuję. Nawet kasjer za ladą uśmiecha się promiennie na jej widok. Wzdycham. Miejska legenda głosi, że zdaniem królowej Elżbiety cała Wielka Brytania pachnie świeżą farbą, ponieważ ilekroć składa komuś w domu „niezapowiedzianą” wizytę, wnętrza są odmalowane. Lucy, podobnie, musi wierzyć, że wszyscy mężczyźni chodzą z uśmiechami przyklejonymi do twarzy, nie zaś skrzywieni czy kpiący. Zupełnie jakby żyła w innym świecie.

Słońce zachodzi, barwiąc niebo głębokim fioletem. Co za sceneria. Opuszczam szybę po swojej stronie i wdycham woń zapowiedzi

nadchodzącego lata. Wkrótce wszyscy wystawimy grille do ogródków. Końcówka roku szkolnego zawsze mija mi błyskawicznie. Zastanawiam się, jak Simon odbiera upływ czasu. Nie chcę o nim myśleć. Zwykle nie mam problemu z wypchnięciem go z głowy, dziś jednak jest inaczej.

Lucy wraca do auta i wręcza mi puszkę red bulla light ze słowami:

– Przyda ci się. Jeśli tamte trzy też prześpią całą drogę, po przyjeździe na miejsce będą od nowa tryskały energią. Musisz im jakoś dotrzymać kroku.

Chciałabym odpowiedzieć, że nie wspomagam się napojami energetyzującymi, lecz prawda jest taka, że je uwielbiam. Wiem, że to niezdrowe, ale są gorsze rzeczy od wypicia red bulla. Mamrocę podziękowanie i otwieram puszkę. Lepki, sztuczny zapach przenosi mnie w lata osiemdziesiąte, kiedy się żuło aromatyzowane gumy i używało odblaskowych markerów, i nagle w mojej głowie następuje przeskok jak za przełożeniem wajchy. Czy to przez Lucy mówiącą o Simonie, czy przez to, że jestem na stacji benzynowej i piję red bulla jak tamtej nocy?

Widzę Millie odbijającą się od maski samochodu. Widzę, jak leży na chodniku, rzucona niczym szmaciana lalka, podczas gdy deszcz rozmywa jej krew po całej jezdni. Zaciskam mocno powieki. Potem potrząsam lekko głową, jakby w próbie poluzowania czegoś więcej. Czy to było wspomnienie? Widok Millie odbijającej się od maski? Nadal miewam koszmary dotyczące wypadku. Trudno, żeby było inaczej. Widzę, jak odbija się od zderzaka, wylatuje w górę i ląduje na ziemi z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Połamana. Nie do naprawienia. Ilekroć to się dzieje, budzę się zlna potem i roztrzęsiona. Mam świadomość, że ten koszmar nie jest moim wspomnieniem, lecz stanowi obraz poskładany do kupy na podstawie policyjnych i medycznych raportów. Ale teraz... czyżby to było prawdziwe wspomnienie w miejsce wyobrażenia? Niczego nie mogę być

pewna, lecz to, co zobaczyłam przed chwilą pod powiekami, różniło się od tego, co widzę zazwyczaj. Kąty wydawały się błędne, niemniej łomot ciała o maskę, to, jak koszulka nocna zafurkotała w powietrzu – jedno i drugie sprawiało wrażenie tak realnego, że...

Zalewa mnie niespodziewana fala mieszanych emocji. Czuję przerażenie, zgrozę, ekscytację. Rzecz bowiem w tym, że choć codziennie rozmyślam o wypadku, nic z niego nie pamiętam. To zarazem błogosławieństwo i przekleństwo. Z początku lekarze mówili, że skutki wstrząśnienia mózgu ustąpią i że wszystko powoli do mnie wróci. Nic takiego jednak się nie stało. Tymczasem ja chcę sobie przypomnieć. Jestem winna Millie choć tyle. Ona się wycierpiąa, ja powinnam przynajmniej pamiętać. W przeciwnym razie była w tamtych chwilach kompletnie sama, ponieważ z tego, co mi powiedziano, wynika, że Simon również ma lukę w pamięci. To akurat w ogóle mnie nie dziwi. Film urywał mu się częściej, niżbym chciała przyznać. Żałuję, że nie pamięta, jak potracił naszą córkę. Zasłużył sobie na to, aby mieć ten obraz przed oczami non stop.

Nie po raz pierwszy przypominałam sobie skrawek czegoś. Podobnie bywa, gdy jestem w deszczu. Pamiętam wtedy wrzynającą mi się w kolano płytę chodnikową, pamiętam silny ból głowy. Słyszę krzyki. To Simon krzyczy, ktoś inny odciąga mnie za ramiona. Od Millie, jak się domyślam. Gapie nie chcieli, abym pogorszyła jej stan, lecz ja marzyłam wyłącznie o tym, by ją przytulić. Tak, to pamiętam wyraźnie: pragnienie, by przytulić córkę. Staram się teraz zastanowić nad tym głębiej. Wyobrazić sobie ucisk czyichś dłoni na moich barkach. Tak, zdecydowanie pamiętam, jak ktoś mnie odciągał, dosyć brutalnie. Jest to dla mnie nowość, choć przecież nic wielkiego ani ważnego. Ale zawsze jakiś początek.

Nieomal dzielę się swoim spostrzeżeniem z Lucy. Nie należy ona do idealnych powierniczek, ale w mojej sytuacji trudno grymasić. Właśnie się

do niej odwracam, gdy nieoczekiwanie odzywa się pierwsza:

– Connie mówiła, że Simon niedługo wyjdzie. Jak to jest? Dostał sześć lat, a odsiedział niecałe trzy.

W tym samym momencie wspomnienie mi umyka, co frustruje mnie jeszcze bardziej.

– Istnieje coś takiego jak zwolnienie warunkowe. Technicznie biorąc, Simon nadal będzie odbywał karę, tyle że poza murami więzienia. Jak sama nazwa wskazuje, wiązą się z tym pewne warunki.

– Jakie?

– Będzie musiał się stawiać przed kuratorem sądowym, nie będzie mógł swobodnie podróżować, a zanim podejmie jakąś pracę, sąd zdecyduje, czy mu wolno, czy nie. – Aczkolwiek kto chciałby dać pracę skazanemu alkoholikowi, naprawdę nie wiem. – Mogą go zmusić do pójścia na odwyk – dodaję. – Wcześniej musi sobie znaleźć stałe miejsce zamieszkania. – Ta część będzie niewątpliwie najtrudniejsza.

– Wróci do ciebie i Millie? – pyta Lucy.

– Nie wiem. Nie stać nas na opłacanie oddzielnego mieszkania. Przez jakiś czas myślałam, że nie będzie z tym problemu, ale gdy sprawdziłam nasz rachunek oszczędnościowo-inwestycyjny, przekonałam się, że Simon zdążył wszystko wypłacić. Mówiąc wprost, przepił to, co zaoszczędziliśmy.

Lucy kiwa głową, jakby wcale jej nie oburzało, że mój mąż przepił pieniądze, które odkładaliśmy na studia Millie. Od jego aresztowania wypłynęło wiele faktów dotyczących naganego zachowania. Znajomi byli wstrząśnięci tym, jak nisko upadł. Nikt nie rozumiał, dlaczego nie starał się o wyjście za kaucją, aby móc odwiedzać Millie w szpitalu. Przecież powinien tego chcieć. Ze wstydu, ze skruchy, z jakiegokolwiek innego powodu. Nie było wiadomo, czy Millie przeżyje. Dlaczego nie pragnął przy niej być? Pytała o niego. Chyba to przesądziło, że większość osób podjęła

decyzję o nieodwiedzaniu Simona w więzieniu. Przyjaciele i koledzy z pracy uznali, że skoro nie zależy mu na własnej córce, czemu im miałyby zależeć na nim? Simon był krótko na językach wszystkich, po czym przeszedł do historii i został zapomniany. Prawie się o nim nie mówiło. Widzę, że teraz, gdy jest bliski opuszczenia więzienia, ta tendencja się odwraca. Moja rodzina znów znajdzie się w świetle reflektorów – czy tego chcemy, czy nie.

– Rozmawiasz z nim przez telefon? – dopytuje Lucy.

– Nie.

– Pisziesz do niego?

– Nie.

– Zamierzasz się z nim rozwieść?

Odwracam się do okna, wyglądam przez szybę i skupiam wzrok na przesuającym się żywopłocie. Nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch, a ja w tej chwili bez wątplenia płacę za podwózkę.

– Nie wiem – odpowiadam.

Lucy kiwa głową.

Nie chcę myśleć o przyszłości. Przez ostatnie lata żyłam z dnia na dzień i to mi wystarczało. Samo w sobie stanowiło herkulesowy wyczyn, a co dopiero mówić o snuciu planów, wybieganiu myślą do przodu, podejmowaniu działań... W najlepszym razie jestem zdolna do brnięcia przed siebie krok po kroku. Wiem wystarczająco dużo o programach dla uzależnionych, aby mieć świadomość, jak tacy ludzie podchodzą do swoich problemów. Otóż nie myślą: „Już nigdy nie wezmę alkoholu do ust”, ponieważ byłoby to dla nich zbyt przytłaczające i raczej na pewno nie wytrwaliby w postanowieniu. Dlatego myślą na przykład: „Nie napiję się dzisiaj” i powtarzają to dzień po dniu, mając nadzieję, że faktycznie już nigdy nie sięgną po alkohol. Dlatego ja mówię sobie codziennie: „Dziś nie

będę myślała o Simonie”. Ale czy rzeczywiście chcę już nigdy o nim nie myśleć?

– Nie jest powiedziane, że przyznają mu zwolnienie warunkowe – zauważam.

– Zatem to nie on przysłał tę kartkę i bilety? – upewnia się Lucy. Wciągam bezwiednie powietrze do płuc. Skąd o tym wie? – Daryll Lainbridge znów jest w Anglii?

– Daryll Lainbridge? – zmuszam się do intonacji pytającej, jakbym nie wiedziała, o kim mowa, lecz głos mnie zawodzi.

– Przez jakiś czas mieszkał w Bostonie, prawda?

– W Nowym Jorku – poprawiam ją.

Lucy na mnie zerka. Staram się zachować kamienną twarz, ale ona potrafi czytać w większości ludzi jak w otwartej księdze. Wolałabym, aby w moim przypadku tego nie robiła.

– Jak myślisz, dlaczego wysłał Millie te bilety?

– Na jakiej podstawie twierdzisz, że to zrobił? – odpowiadam pytaniem na pytanie, czując podskórne napięcie.

– Rozpoznałam jego pismo na kopercie. Ma bardzo charakterystyczny, pretensjonalny, pochyły charakter pisma. Do tej pory pamiętam eseje, które pisał na studiach. Poza tym przez wiele lat przysyłał mi kartki na święta i z różnych okazji. Zawsze używa zielonego atramentu.

– Och. – Sama nie wiem, co powiedzieć. Powinnam była się domyślić, że korespondował z Lucy, w końcu kochał się w niej przez dłuższy czas. Istotnie miał specyficzne, łatwe do zapamiętania pismo, ale czemu na dokładkę musi być kojarzony z zielonym atramentem?

– Musiały go mocno trzepnąć po kieszeni. Te bilety – rzuca Lucy.

– Chyba tak.

- Jak myślisz, dlaczego je wysłał? – Niezrażona drąży temat.
- Ludzie przysyłają Millie różne rzeczy. Ze względu na wypadek.
- Przysyłali, zgoda. Wtedy. Ale od tamtego czasu upłynęły wieki.

Zdaniem Lucy wypadek był wieki temu. Moim – zaledwie wczoraj. W naszym życiu rozgrywa się wciąż od nowa każdego dnia. Gdy Millie kuśtyka po długich godzinach w szkole, gdy wlecze się za innymi dziećmi, zamiast wyrwać przed nimi do przodu, gdy idzie ze wzrokiem wbitym w chodnik, mijając swą dawną szkołę tańca, przed którą stoją małe dziewczynki wystrojone w różowe rozkloszowane sukieneczki. Wypadek towarzyszy nam niczym widmo w codziennym życiu. Tyle że właściwie to nie był wypadek. To była zbrodnia. Ludzie używają słowa „wypadek”, aby zatuszować brzydką stronę całej sprawy. Tym bardziej więc się cieszę, że sędzia i przysięgli poznali się na rzeczy. Każda zbrodnia wymaga kary. Byli tacy, co po zapadnięciu wyroku komentowali, że sędzia musiał być w wyjątkowo okrutnym nastroju. Sześć lat – tyle samo, ile do wtedy przeżyła Millie. Chociaż niemal od początku było wiadomo, że Simon odsiedzi najwyżej połowę.

Z raportu policyjnego wiem, że w momencie zderzenia samochód jechał z prędkością sześćdziesięciu trzech kilometrów na godzinę – za dużą jak na pokonywanie zakrętu w terenie zabudowanym. Z raportu medycznego wiem, że kości Millie uległy nie tyle złamaniu, ile strzaskaniu. Moja córka spędziła w szpitalu dziewięć tygodni, po czym miesiącami przechodziła bolesną, wyczerpującą fizjoterapię. Miała pecha. Oczywiście pechem samym w sobie był ojciec pijak, który zmiótł ją z drogi, ale chodzi też o komplikacje, które się wdały podczas leczenia – sepsy nie wyłączając. Życie Millie wisiało na włosku. Nie odstępowałam jej ani na krok. Po drodze były przesłuchania, doszło do aresztowania Simona, a potem jego procesu, sprawą zainteresowały się media, wybuchł skandal. Wszystko

ignorowałam. Pozwalałam, by po mnie służyło jak po kaczkę. Nic nie miało znaczenia oprócz tego, czy Millie wyzdrowieje. Prawie nie jadłam, nie spałam, nie rozmawiałam z nikim poza lekarzami. Powszechnie zakładano, że jestem w szoku. Widziałam tylko kable podpinające ją do różnych urządzeń, wenflony i maskę z tlenem; można było pomyśleć, że Millie jest przykuta do łóżka. Uwięziona. Miałam wrażenie, że kurczy się na moich oczach, tak drobna i krucha się wydawała.

Wstrzymywałam oddech, dopóki mi nie powiedziano, że najgorsze minęło. Że Millie będzie żyć. Dopiero wtedy pozwoliłam sobie na ponowne zaczerpnięcie powietrza. I zauważyłam kręcących się wokół ludzi. Pielęgniarki i lekarzy traktowałam jak bogów; spijałam z ich ust każdą informację, którą raczyli się ze mną podzielić. Wszyscy starali się okazywać mi dobroć; nawet po czternastogodzinnym dyżurze znajdowali czas, by zajrzeć do izolatki i położyć mi dłoń na ramieniu czy obdarzyć mnie pełnym nadziei uśmiechem. Przypominali mi o konieczności oddychania. Powtarzali, że mogło być znacznie gorzej. Byłam tego świadoma, ale wiedziałam też, że mogło być znacznie lepiej. Powinno być znacznie lepiej. Uczynił to jej własny ojciec.

W kolejnych tygodniach Millie uczyła się od nowa mówić, uśmiechać, śmiać, a ja zaczęłam postrzegać otoczenie takim, jakie było. Czułam wdzięczność za przyjaciół i krewnych, którzy towarzyszyli mi w szpitalu, ani na moment nie zostawiając mnie samej, choć aby to było możliwe, musieli naginać swoje grafiki i ustalać między sobą harmonogram wizyt. Wiem, że próbowali mi opowiadać o Simonie i procesie, jego położeniu, ja jednak nie chciałam słuchać. Nie chciałam wiedzieć. Nic mnie to nie obchodziło. Mój świat ograniczał się do murów szpitala, a konkretnie do oddziału dziecięcego. Widać było, że ktoś zadał sobie wiele trudu, aby całe piętro wyglądało wesoło i radośnie. Kremowe ściany pokrywały murale

z wzorem tęczy i wizerunkami leśnych zwierząt. Wiotkie nylonowe zasłonki otaczające łóżka były całe w czerwone grochy w miejsce nijakiej zieleni z oddziałów dla dorosłych. Na szafkach nocnych stały kartki z życzeniami zdrowia, leżały kolorowe pluszaki i czekoladowe łakocie. A jednak w powietrzu czuło się odór choroby i przenikającą go ostrą woń wybielacza. Dziećmi wspaniale się opiekowano, rozpieszczano je wręcz, a mimo to wszystkie marzyły tylko o jednym – o powrocie do domu.

– No więc co jest między tobą i Darrylem? – pyta bezceremonialnie Lucy, przywołując mnie do rzeczywistości. Patrzą na nią półprzytomnie. Widząc moje spojrzenie, unosi brew i dodaje: – Mieliście romans? – Pytanie to pada tak zniecierliwie, zarazem zaś spodziewałam się go od tak dawna, że zupełnie nie wiem, jak zareagować. – Daisy, znamy się kupę czasu. Odkąd miałyśmy po osiemnaście lat. Poza tym niełatwo mnie zszokować. Obiecuję, że nie będę ferować wyroków. – Gapię się na nią z niedowierzaniem. Twarz ma spokojną, równie dobrze mogłybyśmy rozmawiać o tym, czyby nie kupić litra mleka. Teraz jeszcze uśmiecha się do mnie. Jej uśmiech jest olśniewający, skrzyżowanie Julii Roberts i Cameron Diaz. – Naprawdę jestem ostatnią osobą, która by cię oceniała.

Czuję oszołomienie. Zmuszam się, by zaczerpnąć długi, wolny, głęboki oddech. Moja terapeutka, do której chodziłam przez parę miesięcy po wypadku, nauczyła mnie, jak ważny jest prawidłowy oddech, gdy człowiek chce zwalczyć gniew, strach, niepokój.

– Ależ właśnie to robisz, Lucy! – wybucham. – Oceniasz mnie, i to kierując się własnymi niskimi i nędznymi standardami! – Teraz ona jest zdziwiona. Rumieniec występuje jej na szyję i twarz. Gdybym nie była tak zdenerwowana, miałabym z tego jakąś satysfakcję. Lucy niełatwo jest wyprowadzić z równowagi. – Skoro już musisz wiedzieć, uważam Darylla za zarozumiałego kutasa.

Nagle przechodzę do defensywy. Zbyttno się emocjonuję. Nie powinno mi aż tak zależeć. Schylam się do torby, którą mam obok stóp, gmeram w niej przez chwilę, po czym gwałtownym ruchem wyciągam kartkę urodzinową i bilety. Moment później jedno i drugie przedzieram na pół, a potem jeszcze raz, na ćwierci. Opuszczam szybę i wyrzucam kawałki papieru za okno, gdzie porywa je wiatr. Nie pochwalam zaśmiecania środowiska w ten sposób, ale po prostu musiałam się ich pozbyć. Doprowadzić do ich unicestwienia.

Resztę podróży pokonujemy w milczeniu. Obie się cieszymy, gdy dziewczynki budzą się jedna po drugiej i zaczynają rozmawiać o dniu spędzonym na plaży. Widzę, że Ellie trochę się przypiekła. Odnajduję krem po opalaniu i robiąc wielkie halo, każę się jej posmarować. Nie podoba mi się, że dziecko powierzone mojej opiece omal nie dostało oparzenia słonecznego, ale też chcę zapełnić czymś pustkę, która zawisła w aucie po oskarżeniu rzuconym przez Lucy. Gdy wreszcie zatrzymujemy się pod moim domem, z ulgą dostrzegam zapalone światła; Connie przyjechała przed nami i korzystając ze swojego kompletu kluczy, weszła do środka.

– Nie skorzystam z zaproszenia – rzuca Lucy. – Lepiej będzie, jak niezwłocznie dołączę do Petera.

– Słusznie – potwierdzam stanowczym tonem.

Zatraskuję drzwi pasażera i nie oglądając się za siebie, zaganiam dziewczynki do domu.

28

SIMON

WTOREK, 28 MAJA 2019

Zpoczątku Simon uważał, że terapia grupowa mija się z celem. Siedział na niewygodnym plastikowym krzeselku w milczeniu, gapiąc się przed siebie. Nawet nie tyle siedział, ile się garbił. Żaden więzień nigdy nie siedzi prosto. Jedni przyjmują nonszalancką pozę z wyciągniętymi przed siebie nogami, drudzy kulą się w sobie, inni pochylają się w przód. W większości pokonani, zhańbieni. Praktycznie żaden zakład karny nie ma odrębnych funduszy na odwyk swoich podopiecznych, dlatego nie mogło być mowy o prawdziwym terapeutę prowadzącym te zajęcia. Jego rolę pełnił Billy, więzienny kapelan. Nie nosił koloratki; chciał być przystępny, deprecjonował więc swoje związki z Bogiem. Wiedział, że denerwuje to tylu więźniów, ilu przyciąga. Trzeba było wziąć pod uwagę różne religie i wyznania, do tego ateistów i agnostyków. Billy witał wszystkich z otwartymi ramionami. W jego oczach zagubione dusze niczym się od siebie nie różniły.

Simon usłyszał, że ma chodzić na terapię, zatem chodził, myśląc, że jest obowiązkowa, identycznie jak robienie siateczek na włosy i kąpanie się na sygnał. Do osoby prowadzącego podszedł z mieszanymi uczuciami. Początkowo założył, że kapelan musi mieć niski iloraz inteligencji, względnie jest niesłuchanie naiwny. Z czasem jednak wykrzesał z siebie podziw dla niego, głównie z uwagi na pokłady nadziei, które duchowny w sobie nosił. Czy też determinacji. Albo pogodzenia z losem. W miejscu takim jak to trudno było o nie wszystkie. Simon osobiście żadnej nigdy nie czuł. Tymczasem Billy zdawał się rozumieć, że mężczyźni, którzy piją, biorą w żyłę czy przegrywają dorobek życia, wszyscy cierpią na to samo: tęsknotę, głód, poczucie niekompletności. Wszystkim brakowało samodyscypliny. Szacunku do samego siebie. A może Boga. Simon niewiele wiedział, ale rozumiał, że kapelan zapewnia im dwa razy w tygodniu możliwość wygadania się na temat tej luki, dziury. Tego braku.

Simona zmuszono do odstawienia alkoholu jeszcze w areszcie podczas wielomiesięcznego oczekiwania na proces. To była katorga. Całkiem nowy poziom bólu, jakiego nigdy nawet sobie nie wyobrażał. W proteście krzyczał każdy miesiąc w jego ciele, każdy nerw, każda kosteczka. Cały czuł się wystawiony, narażony. Świat stał się jego wrogiem. Łomot drzwi, zgrzyt klucza w zamku, pchnięcie ramieniem – wszystko go onieśmiało. Czuł się bezbronny; mdliło go ze strachu i paranoi. Dygotał, składał się w sobie, nie mógł myśleć. Tyle dobrego, że nie zapomniał, jak się oddycha. Skupiał się na tym odgłosie, szeleście powietrza zasysanego do ciała i wypuszczanego z niego; koncentrował się na biciu własnego serca. Lepsze to niż słuchanie śmiechu innych. Czy śmiali się z niego? Lepsze to niż słuchanie krzyków innych. Czy szli po niego?

Zanim trafił na dobre do pudła, nie musiał już pić. Ale alkoholikiem pozostał. Bo alkoholik to angaż na całe życie.

Oficjalnie w więzieniu alkohol był zakazany, lecz zmyślni, odcięci od dostaw osadzeni mieli swoje sposoby na wyprodukowanie bimbrow. „Dla chcącego nie ma nic trudnego”, oświadczył Simonowi jego pierwszy współlokator, uśmiechając się przebiegle. Simon zarżał histerycznie – z obawy, z podniecenia. Miał w pamięci, że Elsie często uciekała się do tych słów, podobnie jak do: „Potrzeba jest matką wynalazku”. Powiedzonka Elsie zawsze były optymistyczne, pełne determinacji. Gdy więc jego współlokator posłużył się jednym z jej wyrażen, Simon poczuł uniesienie i kryjącą się za nim obietnicę. Był świadom zagrożeń, lecz nie dbał o nie. Wiedział, że nadużywanie alkoholu wszystko niszczy – nawet hasła motywacyjne – ale też w pewnym sensie wszystko naprawia. Tak przynajmniej było w jego przypadku. Przez jakiś czas. Na wolności liczył, że odpowiedź czeka na niego na dnie kieliszka, potem butelki, później kolejnej i następnej flaszki. A nawet jeśli nie było żadnych odpowiedzi, nie miało to znaczenia, ponieważ pił dopóty, dopóki nie zapomniał pytań. Podobała mu się idea, że reguły można łamać nawet tu, w więzieniu, i że prędzej czy później wyniucha gdzieś alkohol.

Wbrew początkowej ekscytacji Simona nie trafiła mu się żadna okazja, by wypić za kratkami. Przez cały pobyt nikt nie zaoferował mu nawet kropelki. Chcąc przystąpić do syndykatu bimbrowników, musiałby się do kogoś zwrócić – zapewne do braci Dale. Powoli spłynęło na niego olśnienie: owszem, chciał się napić, ale po raz pierwszy od naprawdę dawna chciał też czegoś więcej. Pragnął pozostać cały i zdrowy. A odszukanie właściwych ludzi, ludzi, którzy mieli dość odwagi, aby łamać więzienne reguły, i zaciągnięcie u nich długu wieczności kolidowało z jego masterplanem.

Dlatego pozostał trzeźwy.

Uczestnicząc w terapii grupowej przez pierwsze tygodnie, milczał jak zakłęty. Wolał nie ściągać na siebie uwagi, a wiedział, że czynny udział nie tylko potwierdziłby fakt jego uczestnictwa, ale też zostałyby odnotowane. Więzienie było przerażające. Terapia grupowa stanowiła zagrożenie, może nawet zakrawała na samobójstwo. Za murami ludzie rzadko opowiadali o swych zbrodniach, wszelakie wyznania były niebezpieczne. Łatwo było powiedzieć coś nie tak, urazić kogoś. Póki żył na wolności, bał się zwykłej terapii w cztery oczy z uczciwym brodatym niejedzącym mięsa liberałem. Jak mógłby się otworzyć w obecności więziennego kapelana i współosadzonych? Zgarbił się na krześle jeszcze mocniej, wbił spojrzenie w czubki swoich butów. Wysłuchiwał kolejnych opowieści o wódzie i dragach, o nienawiści i strachu, świadczących o tym, co uzależnienie robi z człowiekiem, do czego go sprowadza. Simon nie był zdziwiony, słysząc, że z ludzi wychodzi najgorsza, zwierzęca natura; że rozbijają oni własne kłykcie o czyjeś twarze. Wolał jednak udawać, że go tam nie ma. Bo w pewnym sensie go nie było, prawda? Terapia grupowa odbywała się tak jakby obok niego.

Po jakimś miesiącu Billy chciał go zachęcić do mówienia. Zapytał, czy jest coś, co Simon pragnie powiedzieć.

Rozmawiali o nachodzących ich zachciankach. Na sali był ktoś nowy. Drapał się do żywego mięsa; po rękach i nogach ciekła mu krew. Zdawał się pobudzony, roztrzęsiony. Albo był naćpany, albo przechodził przymusowy odwyk, albo tak rozpaczał, że już nigdy sobie nie strzeli tego, co go rajcowało. Simon stawiał na to ostatnie. I że rozpacz przeważała nad gniewem z powodu przyskrzynienia.

– Nie – odparł Simon na pytanie Billy’ego.

Na następnej sesji pojawił się chudy jak tyczka facet, któremu nie zamykała się jadaczka.

– Budzisz się z kacem, ale tym, co naprawdę psuje ten dzień, jest poczucie wstydu. Nawet jeśli piłeś sam i byłeś grzeczny, nawet jeśli nie narozrabiałeś, umierasz ze wstydu, bo powoli staje się dla ciebie jasne, że nad tym nie panujesz. Jesteś nieudacznikiem, kurwa! – Po chwili milczenia, już z większą szczerością w głosie, dodał: – Sam, kurwa, jestem nieudacznikiem! – Nikt nie zadał sobie trudu, aby mu zaprzeczyć. – Zastanawiam się, o ile więcej bym osiągnął w życiu, gdybym nie pił.

– Pewnie obrabowałbyś bank, a nie parę marnych sklepików – odpowiedział mu inny osadzony. To wzbudziło śmiechy. Wszyscy tu lubili pożartować, to rozluźniało atmosferę. Szczerość przygnębiała. Billy wymamrotał coś o tym, że zmiana tkwi w każdym z nas.

Inny więzień podbił stawkę. Postanowił, że skorzysta z okazji i zszokuje, a może zastraszy resztę. Z całą pewnością chciał mieć swoje pięć minut. Ze szczegółami opisał, jak pobił staruszkę niemal na śmierć za dwadzieścia cztery funty. Miał dług u swojego dilerka. Sądził, że stara baba trzyma w domu więcej pieniędzy. Gdy nie zwrócił kasy na czas, sam dostał wpieprz.

– Teraz wiem, że sobie na to zasłużyłem. Wiecie, karma wraca i takie tam. Ale wtedy, jak mnie lali gdzie popadło, wspominałem tamtą starą kurwę i żałowałem, że nie miała więcej hajsu.

Ten chudy, cały podrapany, rozplakał się, słysząc tę historię, ale Simon nie umiałby powiedzieć, czy jego płacz płynął z głębi duszy czy raczej był wywołany chemicznie.

Billy zapytał ponownie:

– Masz coś do dodania, Simon?

Simon oczami wyobraźni zobaczył, jak przetrząsa szafkę nocną matki w poszukiwaniu dżinu. Z jaką miną patrzy na niego Daisy, przyłapawszy go

na gorącym uczynku. Przynajmniej on nigdy nie pobił żadnej staruszki. Powtarzał sobie, że nie jest taki jak ci tutaj. Przestępcy, narkomani.

– Nie – odparł.

Nie przestał jednak chodzić na terapię grupową. Ciągnęło go na nią jak ćmę do światła; z zachwytem podszytym strachem wysłuchiwał opowieści o najgorszych podłościach, jakich dopuszczali się ludzie. Co czynili samym sobie. Ile ludzkie ciało było w stanie wytrzymać.

Sesje nie miały końca.

I były częścią procesu, jak uzmysłowił sobie dopiero po paru miesiącach. Któregoś dnia Billy nakierował ich na temat straty. Utrata siebie, utrata godności, utrata rodziny. Poważne sprawy. Wszyscy oglądali telewizję. Wszyscy wiedzieli, na czym polega spowiedź i objawienie. Nawet więźniowie.

– Utraciłem poczucie kierunku.

– Utraciłem orientację, co jest naprawdę ważne.

– Utraciłem wszystko, stary. Wszystko.

To, co osadzeni mówili, było w jego uszach tak znajome, że Simon nie miał pojęcia, czy im wierzy i potrafi się odnaleźć w ich słowach, czy raczej nasłuchiwał się podobnych frazesów w telewizji.

– Simon, chcesz coś dodać?

– Raz zgubiłem buty. Po pijaku.

Nie zamierzał być zabawny, ale dwaj czy trzej mężczyźni zarechotali, po czym zdławili śmiech pod spojrzeniem Billy'ego i ucichli. Simon nie był pewien, jak zgubił te buty. Zzuł je, bo mu przeszkadzały? Zdjął i wyrzucił? Regularnie co jakiś czas dostrzegał gdzieś pojedynczy but; na środku jezdni albo pomiędzy gałęziami żywopłotu. Zawsze zakładał, że to efekt wygłupów, przykładowo podczas wieczoru kawalerskiego, gdzie koledzy pana młodego pozbawiają go sztuk garderoby, albo po szkole, gdy dzieciaki

dokuczają klasowemu kujonowi, ponieważ rodzice zabierają go w różne miejsca, a oni wiecznie siedzą w domu – może pozbawienie go obuwia spowolni jego rozwój. Jednak kiedy Simon zgubił buty, był sam. Zdjął także skarpetki. Nie pamiętał, że to zrobił, ale wrócił do domu boso. Podeszwy stóp miał pokaleczone, wysmarowane psim gównem. Wszedł za próg, jak stał, wcierając odchody w dywan. Daisy płakała, myjąc mu nogi. Tak, Simon wiedział, co to strata.

– Buty? – zachęcił go Billy.

– Tak, buty i szacunek żony.

Jak już zaczął mówić, nie mógł się doczekać kolejnej sesji. Mimo że ciało Simona pojęło, że nie pozwoli mu dłużej gasić pragnienia, mimo że ból fizyczny w końcu ustąpił, jego miejsce zajęło cierpienie psychiczne. Żal, gniew, przygnębienie, niesmak do samego siebie, ogólna nienawiść. Wszystko co najgorsze. Dni były za długie, jego umysł zbyt mroczny. Na spacerniaku, pod prysznicem, nawet w bibliotece – nigdzie nie było bezpiecznie; jedynie na sesjach, w małym gronie, czuł się niezagrożony. Odkrył, że wbrew jego początkowym obawom ta dziesiątka więźniów biorąca udział w spotkaniach przestrzega niepisanej zasady, iż co zostało powiedziane na sali Billy’ego, pozostaje na sali Billy’ego. Może również potrzebowali takiej przestrzeni i bali się, że zostaną wykluczeni, a może tak się wstydzili własnych historii, że byli skłonni zaoferować milczenie w zamian za milczenie. Najprawdopodobniej chodziło o instynkt przetrwania. Więźniowie kierują się egoizmem. Uzależnieni kierują się egoizmem. Logiczne było, że ci, którzy podpadali pod obie te kategorie, widzieli korzyści płynące z trzymania ust zamkniętych na kłódkę.

Simon nadal z zainteresowaniem słuchał historii opowiadanych przez innych mężczyzn. Im dłużej to robił, tym więcej wzorów rozpoznawał. Poczł wstrząs, zakłopotanie, że nie jest unikatem jak płatek śniegu, że

bynajmniej nie ma własnej, wyjątkowej relacji z alkoholem. Zaczęło stawać się dla niego jasne, że uzależnienie to dziwka, daje każdemu.

– Myślisz, że jest coś takiego jak gen alkoholizmu, który można odziedziczyć? – zapytał raz osadzony, którego imienia Simon nie znał. Miał długie włosy upięte w kucyk i jakieś dwadzieścia kilogramów nadwagi.

– Są na to dowody – zaczął ostrożnie Billy.

– U mnie w domu wiecznie się o tym rozmawia. Kiedy miałem dziesięć lat czy coś koło tego, rodzina uznała, że mam ten gen. Całkiem jakby chodziło o kolor oczu, którego nie da się zmienić. Po co więc miałem z tym walczyć? Moi własni krewni uznali mnie za popaprańca, jak wciąż bawiłem się klockami. Moja mama nosiła wszędzie ze sobą butelkę z herbatą. Dokądkolwiek szła: na zakupy do sklepu, odebrać mnie ze szkoły, do parku. Tylko że to nie była herbata.

– U mnie pił cały klan. Utrata przytomności nie była niczym niezwykłym, raczej czymś w rodzaju inicjacji. Wiesz? – Te słowa padły z ust mężczyzny mówiącego ze szkockim akcentem, zatem użycie przez niego wyrazu „klan” nie było całkiem ironiczne.

Jak to mówiła Elsie? Nie żeby można jej było wierzyć, skoro przez większość czasu sama nie wiedziała, jak się nazywa; w każdym razie twierdziła, że ojciec Simona lubił wypić. I że najlepiej to ignorować. Rozmyślając teraz nad tym, Simon uświadomił sobie coś, co zawsze czuł, choć posłusznie starał się ignorować, mianowicie że jego łagodny ojciec, którego tak podziwiał, będąc chłopcem, w istocie był pijakiem. Raz wspaniałomyślny, dostępny i jak najbardziej obecny ciałem i duchem. Kiedy indziej znów zamknięty w sobie, bez kija nie podchodź, okrutny wręcz. Gdy szło o alkohol, ojciec Simona to go kochał, to nienawidził, i Simon odziedziczył po nim ten ambiwalentny stosunek.

Ostatecznie przyznał sam przed sobą, że chyba powinien był zrobić to na zewnątrz – znaczy zacząć chodzić na spotkania AA. Może by mu to pomogło. Jakąś częścią umysłu zauważył, że to już niemal optymizm. Z myślą tą wiązał się znajomy żal, ale dało się wyraźnie wyczuć, że zmiana jest możliwa, że może być lepiej. To było dla niego coś nowego.

– Simon, chciałbyś coś dodać? – zachęcił go Billy.

Opowiedział więc o występie Millie, na który tak haniebnie się spóźnił. Wyjaśnił, ile godzin ćwiczyła i jak ekscytowała ją myśl o solówce. Przyznał, że przyrzekł jej, iż stawi się niezawodnie; w gruncie rzeczy wymusiła na nim tę obietnicę trzykrotnie i sprawiła, że szczepili się małymi palcami dla przypieczętowania umowy. A potem powiedział:

– Siedziałem w barze. Jednym z tych modnych, z mnóstwem młodych ludzi. – Bardzo by chciał, aby tęsknota w jego głosie nie była tak wyczuwalna.

– Młodych kobiet, chciałeś powiedzieć? – wpadł mu w słowo ktoś, uśmiechając się uszczypliwie.

– Pewnie tak. – Simon wzruszył ramionami. Inne kobiety nigdy go nie interesowały. Znał pijaków, którzy po kielichu musieli komuś przyrznać albo kogoś zerznąć, on jednak pragnął tylko kolejnego drinka. I jeszcze jednego. Tęsknota, którą tak bardzo starał się ukryć przed Billym i współosadzonymi, dotyczyła alkoholu, niczego innego. – To był koktajlbar. A ja nie należę do mężczyzn, którzy cenią koktajle – dodał.

– Są tacy w ogóle? – wtrącił ktoś.

Rozległy się śmiechy.

– Nie – odparł Simon z lekkim uśmiechem – przypuszczam, że nie. Czasami jednak to koktajle są odpowiedzią na wszystkie problemy.

– Działają szybko.

– Otóż to – podchwycił. – Wewnątrz było ciemno, grała muzyka, za barem stały w rzędach butelki. Słono sobie liczyli za te kolorowe drinki, tym bardziej więc ich pożądałem. Barmani popisywali się swoimi umiejętnościami. Z namaszczaniem odmierzali różne składniki, przelewali je do miksera, dodawali lód i szuuu! mieszała. – Nikomu z obecnych nie przeszkadzało, że rozciąga opowieść, nakreśla scenę. Wszyscy się cieszyli, że mogą tam być razem z nim. To było ich ulubione miejsce. – Barman mieszał, nalewał, przyozdabiał. Ja przykładałem do ust, przełykałem, ponawiałem zamówienie. – Simon westchnął. – Wiedziałem, że nie mogę zabawić tam zbyt długo, ale w barze czułem się znacznie lepiej niż na dziecięcym przedstawieniu baletowym.

Nikt nie zaprzeczył. Przez kilka chwil panowała głucha cisza.

– Czyli twoja córka jest baletnicą? – zapytał facet z kucykiem.

Simonowi się nie spodobało, jak mięśnie piersiowe mężczyzny zadrżały pod koszulką, z ochotą, niemal lubieżnie, gdy nagle wyprostował się na krześle, by zadać pytanie. Kucyk oblizwał wargi, zakasłał. Może okazywał tylko uprzejme zainteresowanie, a może kryło się pod tym coś znacznie brzydszego. Simon pożałował, że wspomniał o Millie. Nie pasowała tutaj. Nawet w formie głównej bohaterki jego opowieści. Pierdolone więzienie. Przez parę chwil był gdzie indziej, w prawdziwym świecie, ale to beznadziejne, to na nic. Tkwiał tu i nic nie mogło tego zmienić. Przebywał wśród zdeprawowanych, zdemoralizowanych mężczyzn. Tu było jego miejsce.

– Dobra jest w tym, co robi? – zapytał Billy. – Twoja córka? Czy jest dobrą baletnicą?

– Była – odparł Simon. – Kiedyś.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wiedzieli, że rodzina go nie odwiedza.

29

DAISY

WTOREK, 11 CZERWCA 2019

Pprzedpołudnie w szkole wypełnione jest zajęciami. W ogóle w okresie przedwakacyjnym czas jakby przeciekał przez palce – tyle się dzieje. Wycieczki, dni sportowe, wypisywanie świadectw. Mam wrażenie, że ze wszystkim jestem do tyłu. Dziś wypadł mi dyżur na dziedzińcu, co mnie niespecjalnie cieszy. Wolałabym posiedzieć nad dziennikiem, ale mamy grafik i raczej mało prawdopodobne, aby ktoś chciał się ze mną zamienić, zwłaszcza że dzień jest pochmurny i wszyscy gonią w piętę.

Pilnowanie dzieci podczas długiej przerwy wymaga ode mnie czujności i skupienia. Hałas jest wszechogarniający: krzyki, śpiewy, rozmowy, śmiechy i kłótnie. Zadaniem nauczyciela jest puszczać mimo uszu piski towarzyszące zabawie, ale reagować w razie bójki i skaleczenia. Wodzę wokół baczny wzrokiem przypominającym reflektor szperacz. Zawsze zahaczam nim o Millie – gdy siedzi sama na ławce i gdy tłoczy się w małej grupce rozplotkowanych dziewczynek. Sądzę, że to normalne w przypadku każdej matki. Dążymy spojrzeniem do własnych dzieci, aby się upewnić, że nic im nie jest. Kiedy jednak się przyglądam, jak moja córka przechadza się

po dziedzińcu, nie czuję się pokrzepiona, kłują mnie wyrzuty sumienia. Millie pociąga prawą nogą, odrobinę, ale dla mnie wystarczająco wyraźnie. To nie pozwala mi zapomnieć. Staram się obserwować córkę dyskretnie, ponieważ wiem, że tego nie lubi. Coraz częściej napomyka, że chciałaby już przejść do gimnazjum, ma bowiem dość chodzenia do szkoły, w której uczy jej mama. Kiedyś traktowała to jak dodatkową korzyść, ale obecnie czuje się ograniczona w swojej swobodzie.

Miło, że inne dzieci nie są skrępowane moją obecnością. Jak zwykle kręci się ich koło mnie całkiem sporo, wszystkie domagają się mojej uwagi. Te mniejsze chwytają mnie za ręce, starsze się przekrzykują, informując, dokąd pojedą na wakacje. Padają nazwy takie jak Salou, Whitby, oczywiście też Disneyland. Nauczyciele przyciągają dzieci nieśmiało i największe chwaliپیęty. Nie przeszkadza mi, że są tak absorbujące, lubię przebywać w ich towarzystwie, szczególnie że mnie rozśmieszają. Akurat się śmieję, gdy Keri Thornton z piątej klasy podbiega, wołając:

– Psze pani! Psze pani! – Na ogół tak nie mówią, ale zapominają się czasem, w chwilach najwyższego podniecenia. – Oli Jordan i Aafa Khan zaraz rozbiją sobie głowy, tak się tłuką przy drabinkach!

Ruszam szybko ku drabinkom, gdzie na szczęście się przekonuję, że Keri jak zawsze przesadza. Chłopcy tarzają się po ziemi, okładając się niezdarnie piąstkami. Sporadyczny celny kopniak zadaje komuś ból, lecz wystarczy, abym użyła „nauczycielskiego” tonu, każąc im przestać, a obaj malcy zrywają się na równe nogi, zapewne z poczuciem ulgi.

– Co tu się dzieje? – pytam.

Chłopcy mierzą się spojrzeniami, uciekając jednak wzrokiem przede mną. W końcu Oli wypluwa z siebie:

– To on zaczął.

– Nieprawda, bo on – odwarkuje Aafa.

Rozpoczynając pracę, obiecałam sobie, że nie będę używać wyrażen wytrychów stosowanych przez nauczycieli za mojej młodości. Chciałam być od nich inna, bardziej uważna, oświecona. I tak jednak myślę: „Nie obchodzi mnie, kto zaczął, byle to się natychmiast skończyło”. Oczywiście dziś taka grubiańska odpowiedź nie wchodzi w grę, na wszystko są specjalne procedury. Mogło pójść o nic, ale bójka mogła też stanowić część szerszej zakrojonej akcji nękania jednego z uczniów. Muszę przeprowadzić śledztwo. Muszę też odesłać ich do higienistki. Aafa ma paskudnie zdarte kolano, a Oli jakieś ślady na policzku, nie wiem jeszcze, czy to uszczyknięcie, ugryzienie czy śliwa. Obaj oddychają szybko i płytko; nie znam żadnego za dobrze, będę ich uczyć dopiero od września, gdy przejdą do szóstej klasy. Widzę jednak, że są spanikowani. Zamierzam zaprowadzić ich do wychowawczynie, ona będzie najlepiej wiedziała, czy między tymi dwoma jest jakaś kość niezgody, dzięki czemu zareaguje odpowiednio.

– Idziemy – rzucam.

Zmierzamy szybkim krokiem do budynku szkoły i właśnie wtedy go zauważam. Stoi przy bramie, gdzie zwykle zbierają się rodzice czekający na swoje pociechy. Choć nie widziałam go od trzech lat, natychmiast go rozpoznaję. Nie tylko na poziomie psychicznym, ale też fizycznym. Żołądek fika mi koziołka, kolana pode mną miękną. Gdy zdaje sobie sprawę, że go widzę, unosi rękę, macha do mnie, uśmiecha się... Nie reaguję. Na moich oczach szarpie bramę – to jedna z tych na zamek automatyczny. Nie dostanie się tu, powtarzam sobie. Nie zdoła mnie dosięgnąć.

– Możesz mi otworzyć? – krzyczy. – Musimy porozmawiać!

Opuszczam głowę i prędko zapędzam chłopców do środka.

W korytarzu natykam się na kucharkę, panią Wilson.

– Może pani zaprowadzić tych dwóch do pokoju nauczycielskiego? Trzeba ich opatrzyć i upomnieć. Bili się na dziedzińcu.

– Do kogo konkretnie?

– Obojętne. Niech ktoś wysłucha, co mają na swoje usprawiedliwienie.

Pani Wilson cmoka, niezadowolona z takiego obrotu spraw.

– Wie pani, nie wolno nam nadzorować dzieci...

– Tak, wiem, ale to nagła sytuacja. Muszę się czymś zająć.

Kucharka gapi się na mnie pytająco. Jestem w pełni świadoma, że stanowią w szkole obiekt plotek.

Wybiegam z powrotem na zewnątrz i kieruję się ku bramie. Wciąż tam stoi, czeka na mnie. Z uśmiechem na twarzy. Daryll Lainbridge.

– Daisy, jak się masz? – Zadaje to pytanie, jakby najnormalniejszą rzeczą pod słońcem było, że przychodzi tu, do mojej szkoły, po tylu latach i mnie nagabuje. Uśmiech na jego twarzy jeszcze się poszerza. Daryll sądzi, że wygrał. Gdybym potrafiła zachować obiektywizm w tych okolicznościach, powiedziałabym, że jest z niego całkiem przystojny mężczyzna. Uroczy. Pomimo wszystko. Nie jestem jednak obiektywna, nie mogę być.

– Co tu robisz? – rzucam.

– Chciałbym wiedzieć, czy dostałaś bilety. Czy Millie była zadowolona.

Muszę kontrolować sytuację na dziedzińcu, i dobrze, dzięki temu mogę nie patrzeć Daryllowi w twarz.

– Tak, dostałyśmy bilety. Nie wiedziałam, jak cię znaleźć, aby ci je odesłać. – Kłamię oczywiście, bilety podarłam w przyływie furii w drodze powrotnej do Londynu.

– Odesłać? – powtarza, jakbym zwariowała. – Dlaczego miałybyś je odsyłać?

– Millie nie lubi już baletu. – Nie tylko o to chodzi, ale nie potrafię się zdobyć, aby powiedzieć to, co powinno zostać powiedziane.

Daryll wygląda tak, jakby ktoś podciął mu skrzydła.

– Wielka szkoda...

– Domyślam się, że musiały sporo kosztować. Zwrócę ci pieniądze. – Nie mamy grosza na zbyciu, szczególnie by płacić za prezent, na którym nigdy nam nie zależało, lecz Daryll jest ostatnią osobą, u której chciałabym mieć dług wdzięczności.

– Nie chodzi o pieniądze, Ruda – mówi ze smutkiem. Krzywię się, jak zawsze, gdy używa tego przezwiska. Wiem, że nie chodzi o pieniądze, ale wolę, aby tak to wyglądało, gdyż nie chcę, by chodziło o cokolwiek innego. Nie mogę na to pozwolić. – Millie nie lubi już baletu? – Kręci głową zdenerwowany i niemal tak samo zdziwiony jak ja, kiedy usłyszałam o tym od niej po raz pierwszy.

– Nie. Skąd w ogóle wiedziałaś, że kiedyś go lubiła?

– Nie pamiętam. Różne rzeczy się słyszy. Obiło mi się o uszy, że ma talent. Sądziłem, że jej przyszłość będzie związana z baletem.

– My również – przyznaję.

– Co więc się zmieniło? – Nie odpowiadam, ale on się domyśla. – To przez wypadek? – Potakuję skinieniem. – Kurwa! Ten pierdolony skurwysyn!...

Kopie w bramę. Rozglądam się przestraszona; nie chcę ściągać na nas uwagi.

– Daryll, proszę. Nie tutaj.

Patrzy na mnie płonącymi oczami. Zewsząd dolatują głosy dzieci. Przyłapuję się na tym, że próbuję odszukać wzrokiem Millie. Nie powinnam tego robić, nie przy nim. Ostatnie, czego teraz potrzebuję, to

wskazać mu ją spojrzeniem. Przez chwilę oddycha ciężko, w końcu chyba się uspokaja.

– Oczywiście. Przepraszam. – Przeczesuje palcami włosy. Nie z próżności, ze zdenerwowania. – Co w takim razie chciałaby dostać na urodziny?

– Nic. Niczego nie potrzebuje... – Powstrzymuję się przed dodaniem „od ciebie”. Nie potrzebuje niczego od ciebie. Mogłoby to prowadzić do konfrontacji, tymczasem próbuję być tak ugodowa jak to możliwe. Staram się zmienić temat. – Zatem przyleciałeś z Nowego Jorku? Na urlop?

Mam nadzieję, że tak.

– Nie. Wróciłem na stałe. Zamieszkam znów w Londynie, Ruda. – Szczęrzy się do mnie, jakby ogłaszał wspaniałą wiadomość. – Napisałbym do ciebie, ale nie wiedziałem, na jaki adres.

– Przeprowadziłyśmy się – mamroczę.

– Mogłaś mnie zawiadomić.

Dlaczego miałabym to robić? Te słowa także przełykam i zamiast nich mówię:

– Przeprowadzałyśmy się w pośpiechu, wiele się w tamtym czasie działo. Nie zajmowałam się na bieżąco sprawami papierkowymi.

Daryll wydaje z siebie dźwięk, który w zamyśle miał być chyba śmiechem, ale wypada jak coś zupełnie innego. Potrząsa głową.

– Byłem dla ciebie sprawą papierkową?

Pragnę, aby odszedł od bramy. Zniknął z mojego życia. Nie chcę jednak robić sceny.

– Przeprowadzka była koniecznością. Nie było mnie stać na dalsze spłacanie hipoteki w pojedynkę – wyjaśniam. Nie mam pojęcia, czemu to mówię. Nie chcę przecież jego litości. Może odczepi się ode mnie, kiedy zacznie mi współczuć. Nie, pewnie nie. Wykorzysta moją bezbronność.

Zbieram się w sobie i najbardziej zdecydowanym głosem, na jaki mnie stać, dodaję: – Chciałyśmy zacząć od nowa.

Nie mogłam sobie pozwolić na rzucenie pracy, nie miałam pewności, że znajdę inną posadę w szkolnictwie. Ale przenosiny do domu wolnego od wspomnień wydawały się krokiem we właściwym kierunku. Po tym, co się stało, miałam wrażenie, że znajduję się na cenzurowanym. Najpierw byłam na celowniku policji, potem mediów i opinii publicznej, wreszcie przyjaciół i rodziny. Wiem oczywiście, że bliscy mieli na mnie oko z troski, lecz i tak ciężko mi się żyło pod ciągłą kontrolą. Czułam się jak dziecko. Niegrzeczne dziecko.

Nikt już nie ma firanek w oknach i tylko dlatego nie poruszały się one, kiedy szłam naszą starą ulicą, choć oczywiście wiedziałam, że wszystkie oczy są wpatrzone we mnie. Były czasy, że sąsiedzi z naprzeciwka machali nam radośnie i przysyłali kartki świąteczne, lecz później – gdy w kubłach na śmieci zaczęły dominować butelki po alkoholu – zdystansowali się.

– Jakieś większe przyjęcie? – zapytał mężczyzna mieszkający w domu obok, przyłapawszy mnie na upłynianiu pustego szkła Simona.

– Tak – skłamałam.

– A mnie nie zaprosiliście – mruknął złośliwie i odszedł szybkim krokiem.

Mając męża pijaka, zbrukałam porządną ulicę. Mając męża skazańca, sprowadziłam na nią nachalnych reporterów. Nawet gdy dziennikarze stracili nami zainteresowanie, nieprzyjemne odium się utrzymało. Ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy, by nie musieć ze mną rozmawiać. Unikali mnie wzrokiem, lecz nie przestawali mnie obserwować.

– Zastanawiam się nad tym, gdzie by tu osiąść – oznajmia Daryll lekkim tonem. – Pora chyba coś kupić, zapuścić korzenie. Na razie tylko wynajmuję. Niedaleko stąd, nawiasem mówiąc.

Serce opada mi do kostek.

– Och, myślałam, że wolisz raczej południe Londynu.

– Postanowiłem sprawdzić, co północ ma do zaoferowania. – Spogląda mi głęboko w oczy.

Czuję się niezręcznie i prędko uciekam wzrokiem. W tej samej chwili dostrzegam dyrektorkę, która wychodzi na dziedziniec z dzwonkiem w ręku. To koniec przerwy. Na dany sygnał dzieci zaczną się ustawiać w pary, a ja zostanę przyłapana na pogawędce z Daryllem. Muszę się go pozbyć, zanim ktoś nas zauważy i zaczną się plotki.

– Dziękuję za odwiedziny – rzucam powiedzonko, które na ogół kończy rozmowę. Daryll nie reaguje. Ze zdenerwowania wyrzucam z siebie dalsze słowa, niepowstrzymane i nieprawdziwe: – Miło cię było zobaczyć, ale muszę już wracać do pracy.

– Zatem Millie nie lubi już baletu – stwierdza, jakby mnie nie usłyszał. Za moimi plecami rozlega się dzwonek.

– Zgadza się.

– Pomyślę, co innego mógłbym jej podarować.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby – mówię stanowczo.

– Och, a ja uważam, że jest. – Rozciąga wargi w powolnym uśmiechu. – Jaki ojciec nie kupuje córce prezentów na urodziny?

Kamienieję. Świat drży w posadach, Ziemia wypada z orbity. Czy ja się przesłyszałam? Nie wiem, co powiedzieć.

– Dołączy pani do nas, pani Barnes? – z ust dyrektorki pada ostre pytanie.

Dzieci ją mijają, kierując się do budynku. Wypatruję wśród nich Millie, która kiwa mi porozumiewawczo głową. Daryll spostrzega, że wbijam w nią wzrok, i wyciąga jedyny właściwy wniosek.

– Oto i ona. Mam rację? To nasza Millie? Jaka ładniutka. – Macha do niej. Millie przez grzeczność rewanżuje się tym samym.

– Muszę już iść – mamroczę.

Daryll rzuca mi uśmiech, po czym wzrusza ramionami i odwraca się, żeby odejść.

– Do zobaczenia niebawem, Ruda.

30

SIMON

Barnes! Connie Baker potwierdziła widzenie o piętnastej w sobotę! – wyszczeakał strażnik na apelu.

Simon poczuł w brzuchu łaskotanie ekscytacji. Zawsze wypatrywał odwiedzin Connie. Jakąs częścią siebie żałował, że tak jest; chyba byłoby dla niego lepiej, gdyby nie łaknął jej ani w ogóle niczyjej uwagi. Lepiej byłoby nie wiedzieć, co zachodzi na zewnątrz. Nie dbać o to. A jednak nie umiał się powstrzymać.

Całymi tygodniami od zamknięcia w więzieniu Simon nie interesował się widzeniami, nawet o nich nie myślał. Gdy proces się skończył i zapadł wyrok, potrafił myśleć wyłącznie o końcu jedynej relacji, jaka liczyła się w jego życiu. Jak bez alkoholu przetrwa rozciągające się przed nim lata? Dużo później zaczął myśleć o Millie. Jak ona się miewa? Adwokat od czasu do czasu przynosił wieści ze szpitala, ale były to suche medyczne raporty. Nie mówiły wiele o prawdziwym stanie Millie. Ani Daisy. Jak miewała się Daisy? Czy sobie radziła? Tęskniła za nim? Czy w ogóle miał prawo żywić taką nadzieję? Nienawidził samego siebie za to, że potrzebował tylu tygodni, aby poczuć troskę o nie obie. A gdy już zaczął myśleć o widzeniach, uświadomił sobie, że nikt nawet nie próbował go odwiedzić.

Ani Luke, ani Craig, ani Rose. Żaden kolega z pracy, żaden kumpel ze studiów.

Z pewnością nie Daisy.

Gdy trafił za mury więzienia, jego przyjaźnie przeszły test, którego wynik oznaczał, że były tylko „na dobre”. „Na złe” już nie.

Zwrócił się do strażników. Czy ktoś prosił o widzenie z nim? Roześmieli mu się w twarz. Co nie było żadną odpowiedzią. Siostra napisała do niego z informacją, że przyjedzie do Anglii latem następnego roku. Dała do zrozumienia, że przez niego musi się wykosztować na podróż z Vancouver, by sprawdzić, co z ich matką. Obiecała, że wpadnie się z nim zobaczyć – w czerwcu albo lipcu. Takich dokładnie słów użyła: że „wpadnie”. Jakby była to kwestia niespodziewanego pojawienia się, zapukania do drzwi i posiedzenia przy herbacie. Nie winił jej o to. Początkowo sam myślał, że wizyta w więzieniu niewiele się różni od wizyty w szpitalu. Wyobrażał sobie, że są określone godziny widzeń, że ludzie przychodzą może nie z kwiatami ani czekoladkami, lecz z jakimiś podnoszącymi na duchu historiami. Wkrótce się przekonał, że nie tak to działa.

Nie mogło być mowy o miłej niespodziance, gdyż widzenia ustalało się z wyprzedzeniem i wszystko zależało od inicjatywy osadzonego. Simon doszedł do wniosku, że jest w tym jakaś dziejowa sprawiedliwość, ponieważ na wolności to zawsze Daisy zajmowała się organizacją ich życia towarzyskiego – jako jedyna wystarczająco trzeźwa, aby to robić. Dowiedział się więc, że ma prawo do trzech widzeń w miesiącu, lecz jeśli chce kogoś zobaczyć, musi o to wystąpić, wpisując nazwisko danej osoby na specjalną listę, później na tej podstawie wystawiana była zgoda na widzenie i dopiero wtedy mógł zadzwonić do zapraszanej osoby, aby poprosić ją o zarezerwowanie sobie czasu. Kontakt telefoniczny też był

obłożony obostrzeniami, ponieważ zanim pensjonariusz więzienia dokądkolwiek zadzwonił, musiał się wystarać o aprobatę dyrekcji. Ledwie przestąpił próg więzienia, kazano mu wyrecytować z głowy potencjalne numery telefonów. Miał z tym poważny problem, ponieważ pozbawiono go komórki, a on od dawna nie zwracał sobie głowy zapamiętywaniem numerów znajomych. W końcu przypomniał sobie numer własnego telefonu stacjonarnego. Został on zaaprobowany, aczkolwiek dopiero po paru dniach albo tygodniach. W więzieniu wszystko trwało. Były nawet procedury dla procedur.

Simon mógł dzwonić wyłącznie do swoich potencjalnych gości – po to, by przekazać im oficjalny numer zgody na widzenie – i to tylko w porze socjalizacji. Oczywiście wiązało się to z odczekaniem, aż telefon się zwolni. Wreszcie mógł zadzwonić na domowy numer żony. Nie swój. Już nie.

Robił to wielokrotnie.

Każdorazowo zgłaszała się automatyczna sekretarka.

Zostawiał numer zgody, wyjaśniał, jak działa system, przez cały czas się zastanawiając, czy Daisy jest poza domem czy raczej stoi obok, wysłuchując jego zaklinań i przeprosin.

Do siostry wysłał długi list z opisem całej procedury. Odpowiedziała po miesiącu, przekazując wiadomości na temat swoich dzieci, ale nie poruszając nigdy więcej tematu odwiedzin.

Wmawiał sobie, że brak wizyt wychodzi mu na dobre. Świat, w którym zamieszkiwał, był twardy i kruchy. Gdyby ktoś z zewnątrz do niego wparował, mogłoby dojść do katastrofy. Bywały chwile, gdy nie wiedział, po co to wszystko. Gdy rozważał swój uczynek. Czy nie byłoby lepiej, gdyby ze sobą skończył? Wyświadczyłby tylko wszystkim przysługę. Więźniowi nie było łatwo popełnić samobójstwo. Każdy przypadek wiązał

się z dochodzeniem, a coś takiego szkodzi władzom zakładu karnego i źle wygląda w statystykach rządowych. A jednak niektórym się udawało. Jakoś znajdowali sposób. Simon był ciekaw możliwych metod. Dlaczego personel od czasu do czasu nie zostawiał na widoku paska od szlafroka? Nikomu przecież nie zależało na ludziach takich jak on. Dodatkowo rozwiązałyby się problem zagęszczenia, gdyby tylko wszyscy zainteresowani przyznali, że resocjalizacja niektórych jest beznadziejna.

Siostra nadal do niego pisała. Najpierw co miesiąc, potem co sześć tygodni czy coś koło tego. Doskonale znał jej charakter pisma, poza tym listy od niej przychodziły w kopertach cienkich jak bibułka, opatrzonych napisem „PAR AVION”, o których myślał, że wyszły z użycia jeszcze w latach osiemdziesiątych. Pewnego razu, gdy siedział już prawie rok, otrzymał list w kopercie innego rodzaju. Nie od siostry. Koperta była z kremowego kartonu, ewidentnie droga. Długo obracał ją w palcach. Przyglądał się jej, rozpatrując możliwości. Potem odłożył ją na pół godziny, a kiedy już nie mógł wytrzymać, w końcu otworzył. Ostrożnie. Powoli. Od dawna nie robił niczego w pośpiechu. Do tej pory nauczył się cieszyć każdą czynnością. List był od Connie Baker. Przyjaciółki Daisy. Jego także, ale głównie Daisy. Connie pisała o swoich dzieciach, swojej pracy, swoim ostatnim urlopie. Pytała, jak on się miewa, jakby ją to w ogóle obchodziło. Simon był zdumiony. Żyli w świecie, gdzie ludziom nie chciało się pisać całych słów w esemesach, zamiast tego posługiwali się skrótami i cyframi, tymczasem Connie przysłała mu starannie wykaligrafowany, odręcznie pisany list. Potraktował to jako wspaniałomyślność z jej strony. Przeciwiństwo fałszu.

Chciała się z nim zobaczyć. Podała mu swój numer komórki, telefonu domowego i służbowego i poprosiła, aby zgłosił je do aprobaty. Dodała, że myśli o rychłych odwiedzinach. Nie robił sobie wielkich nadziei. A jednak

przyszła. Zaczęła się pojawiać regularnie, raz w tygodniu. Zapewne uratowało mu to życie. Nie było w tym stwierdzeniu cienia przesady; tak przedstawiała się prawda. Na zewnątrz się zdarzało, że ktoś rozmiął ci banknot na drobniaki, żebyś mógł skorzystać z parkometru, a ty mówiłeś: „Och, uratował mi pan życie”. Oczywiście opowiadałeś bzdury. Bo nie miałaś o niczym pojęcia. Ale Simon był przekonany, że Connie go ocaliła.

Do dziś pamiętał jej pierwszą wizytę. Spóźniła się. Zaczął panikować. Zwątpił, czy w ogóle przyjdzie, zamiast przypomnieć sobie, że Connie wiecznie się spóźniała. Usiłował zachować spokój, w czym pomagało mu rozglądanie się po sali i obserwowanie innych kobiet, które przyszły odwiedzić więźniów. Niektóre bardzo się starały. Ładnie ubrane, trajkotały jak najęte, udając wesołość i pewność siebie, ponieważ chyba wierzyły, że ich obowiązkiem jest zabawiać marnotrawnych małżonków. Inne siedziały w milczeniu, znużone wstydem, zdradą, złością. Connie wparowała na salę widzeń z rozmachem, jak zwykle szykowna, pełna pasji. Ułamek sekundy trwało, zanim go rozpoznała. Zrobił się chudy i blady. Musiał wyglądać adekwatnie do miejsca, w którym się znajdował: zamknięty, załatwiony na cacy. Jego podejrzenia się potwierdziły, gdy ujrzał w jej oczach litość i szok. Szybko jednak rozprawiła się z tymi emocjami. Rozpromieniła się, jakby chcąc zatuszować gafę, i ruszyła pędem w jego stronę. Rozłożyła szeroko ramiona i zamknęła go w typowym dla siebie mocnym uścisku, kołysząc się z lewa na prawo niczym w tańcu radości. Strażnik pokręcił stanowczo głową i kazał jej się odsunąć. Connie wydawała się zdziwiona, lecz postąpiła zgodnie z instrukcją. Jej zachowanie wyglądało podejrzanie w najgorszym razie, w najlepszym zaś – niestosownie. Strażnicy pewnie pomyśleli, że przekazuje Simonowi narkotyki. Sprawiała wrażenie osoby na haju.

Nigdy nie doszedł, co nią kierowało. Zwykła ludzka przyzwoitość? Być może, ale czy to oznaczało, że inni jego znajomi byli pozbawieni tej cechy? Czyżby Connie miała większą zdolność przebaczenia? A może raczej była chorobliwie ciekawa? Urodziwszy się w innych czasach, zaliczałaby się do kobiet, które dziergają, siedząc przy gilotynie w czasach rewolucji francuskiej i czekając na następną egzekucję. Miała wystarczająco mocny żołądek. Zawsze przedkładała zaspokojenie ciekawości nad sentymentalizm. Zbierała doświadczenia. Może tym właśnie dla niej był – kolejnym doświadczeniem. Widzenie z nim niewiele się różniło od lekcji rysunku czy konnej przejażdżki brzegiem morza.

Nie zwracając sobie głowy taktem, rzucił pytanie:

– Czy wizyta w więzieniu była jedną z rzeczy, którą chciałaś zrobić przed śmiercią?

– Naprawdę posądzasz mnie o posiadanie aż tak makabrycznej listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią? – odparła Connie, zgrabnie omijając meritum.

– Dlaczego przyszłaś? – naciskał.

– Żeby cię zobaczyć – odpowiedziała zwyczajnie. Chyba nie wyglądał na przekonanego, bo westchnęła ciężko. – Simon, próbuję zrobić dobry uczynek. Dla mnie też nie jest to łatwe. Wszyscy odradzali mi tę wizytę. Wszyscy są na mnie źli o to, że do ciebie przyszłam. Serio nie chcesz mnie widzieć?

– Ależ chcę – wyznał. Szczerość była łatwiejsza.

Connie nigdy nie udawała, że Simon nie jest więźniem, przestępcą. Chwilami wręcz myślał, że przyjaciółka rozkoszuje się tym faktem. Poinformowała go, że przyjechała pociągiem, a potem wzięła taksówkę z dworca.

– To było straszne – opowiadała z podnieceniem. – Ledwie powiedziałam, dokąd ma mnie zawieźć, taksówkarz spojrział na mnie w lusterku wstecznym i zapytał: „Wybiera się pani w odwiedziny, złociutka?”. A ponoć nie ma głupich pytań! Trudno uznać więzienie za atrakcję turystyczną, mało prawdopodobne więc, abym chciała tylko stanąć pod bramą i zrobić sobie selfie.

Mówiła szybko, głośno i nieprzerwanie; czuła się niezręcznie, ale bardzo chciała to ukryć. Simon rozejrzał się dyskretnie, świadom, że Connie przyciąga spojrzenia obecnych na sali widzeń. Powinien był jej poradzić, aby ubrała się skromnie. Pojawiła się w zwykłym dla siebie stroju, na który składały się obcisłe czarne dzinsy i przylegający do ciała czarny kaszmirowy sweter. Włosy miała upięte w bezładną fryzurę. Nie chodziło więc o to, że jakoś szczególnie się postarała, zwyczajnie była piękna. Zwracała na siebie uwagę, lecz rzucane jej spojrzenia nie były pochlebne, jeśli już – groźne. Simon chciał ją uciszyć, ale nie wiedział jak. Tymczasem ona mówiła dalej:

– Taksówkarz chciał wiedzieć, czy jadę z wizytą do męża. Był bardzo podejrzliwy. Odparłam, że tak.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Och, nie wiem. Chyba właśnie to chciał usłyszeć. – Connie pokazała zęby w uśmiechu i machnęła lekceważąco ręką. – Później zaczął dopytywać, czy mógł o tobie gdzieś czytać. Znaczący nie o tobie, tylko o moim mężu. Czy trafił do gazet. Widać było, że umiera z ciekawości. Napad na bank? Porwanie? Seryjne morderstwa? Zignorowałam go i odwróciłam się do okna, cała tajemnicza. A niech się kisi.

Wybuchnęła śmiechem. Jakby to, że Simon siedzi w więzieniu, było choć trochę zabawne. Jakby fakt codziennego przebywania wśród seryjnych morderców mógł być zabawny. Poczul się urażony, lecz zarazem miał

świadomość, iż stracił prawo do okazywania obrazy. Kiedyś, na wolności, prawdopodobnie doprowadziłyby do sprzeczki, wywołałyby kłótnię. Teraz wiedział, że lepiej zachować swoje uczucia i myśli dla siebie.

– No więc co u ciebie? – zapytała. – Jaki masz pokój?

Zupełnie jakby pytała o zakwaterowanie na urlopie.

– Pokój?

– Wybacz. Jaką masz celę?

– Jest szeroka na niecałe dwa metry i długa na trzy.

– Z oknem?

Prychnął pod nosem.

– Tak, to pokój z widokiem. W pewnym sensie. Mam małe okno przesłonięte gęstą drucianą siatką, można przez nie zobaczyć zewnętrzny mur. Ale otworzyć się go nie da.

– Tak przypuszczałam.

– Kiedyś było to możliwe, uchylenie okna na parę centymetrów, ale więźniowie wyrzucali za nie swoje brudy, przez co przywilej odebrano.

– Brudy?

– Odchody.

– A, rozumiem.

Simon wątpił, aby tak było. Sam nie rozumiał mentalności osób, które wylewają szczyiny i rzucają kał na dziedziniec, po którym później muszą spacerować, zwłaszcza że takie zachowanie prowadzi do dalszych ograniczeń. Osadzonych pozbawiono dopływu świeżego powietrza do celi. Nie rozumiał tych ludzi, mimo że sam był jednym z nich, zatem nie, Connie na pewno nic nie łąpała. Podziwiał jednak, że zachowała kamienną twarz. Rozmawiała z nim o jego życiu, jakby był agentem nieruchomości, z którym analizuje rynek wynajmu. Gromadziła fakty.

– Masz współlokatora?

Skinął głową.

– Tak. Nazywa się Leon.

– Jaki jest?

– Jaki jest? – powtórzył za nią.

– No, na przykład czy... – Zamilkła. Dotychczasowa pewność siebie ją zawiodła. Trudno bowiem, aby zapytała, czy jest miły, przyjacielski, sumienny, jeśli chodzi o wystawianie kubła na śmieci, jak można by zapytać o sąsiada po przeprowadzce w nowe miejsce.

– Leon jest w porządku – powiedział Simon z westchnieniem. – Dogadujemy się. Woli górną pryczę, co mi odpowiada. Kiedy człowiek zajmuje dolną, jest jak gdyby w posiadaniu całej podłogi.

– Och. – Rozejrzała się po sali widzeń, jakby chciała ustalić, który to Leon. Będąc kobietą przebiegłą, domyśliła się, że niezależnie od tego, czy Leon jest czarny, biały czy beżowy, wytatuowany, łysy czy z dreadami, bez wątplenia wygląda na twardego, smutnego i gniewnego. Wszyscy tutaj tak wyglądali. – Za co siedzi?

Simon pokręcił głową.

– Nikt tu o to nie pyta, a Leon zachował tę informację dla siebie. Mam nadzieję, że to się nie zmieni. – Zapanowała cisza. Simon nie chciał, by rozmowa się urwała. Pragnął, by Connie odwiedziła go ponownie. Wolał więc jej nie nudzić. Przetrzęsął pamięć w poszukiwaniu jakiegoś tematu. – W jednym rogu jest telewizor, a w drugim metalowy sedes.

Zamrugła. Wstrząśnięta w głębi ducha. Mężczyźni korzystali w swojej obecności z pisuarów, ale co z oddawaniem stolca? Ciekawe, czy się zastanawiała nad tym, jak Simon sobie radzi. Może myślała, że wstrzymuje się, zanim nie znajdzie ustronniejszego miejsca? Czy w ogóle mieli dostęp do toalet z prawdziwego zdarzenia? A nawet jeśli, to czy Leon również

wykazywał podobną wstrzemięźliwość? Zakładając, że zrobiło jej się niedobrze, sprawnie to ukryła.

– Zatem masz tu telewizję! – powiedziała radośnie.

– Odbiornik jest bardzo mały.

– Mimo wszystko to miłe.

– Taaa.

Nie powiedział jej o pierwszym współlokatorze, tym, który lubił, jak telewizor grał na okrągło, bez chwili przerwy. Oglądał praktycznie wszystko jak leciało. Opery mydlane, programy typu reality show o sprzedaży śmieciowego jedzenia na poddaszu jakiejś staruszki... Dla niego był to nowy krąg piekła. Tak samo nie zająknął się słowem o braciach Dale.

– A więc, poza Leonem, masz tu jakichś przyjaciół?

Simon zaśmiał się w duchu. Śmiechem całkowicie pozbawionym wesołości. Dałby sobie głowę uciąć, że Connie sięgnęła do repertuaru, który miała przygotowany dla swoich córek na początku każdego nowego roku szkolnego.

– Pamiętasz te wszystkie rzeczy, o których się czyta i które się słyszy? O zastraszaniu współwięźniów pod prysznicami, o typach, którzy wszystkich terroryzują, o strażnikach przymykających oko na wybryki prowodyrów? – Connie potaknęła skinieniem. – To wszystko prawda – dodał dziko.

Nie zareagowała. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. W końcu dotknęła jego dłoni.

– Tak mi przykro.

– Mnie również – mruknął.

Strażnik zakasłał i krzyknął:

– Bez kontaktu fizycznego!

31

DAISY

Zazwyczaj w drodze ze szkoły zatrzymujemy się z Millie w kawiarni na jakiś napój albo lody. To mój ulubiony moment dnia. Właśnie wtedy Millie najchętniej opowiada mi o swoich porażkach i triumfach w szkole. Ledwie wrócimy do domu, włącza telewizję, przez co szanse na szczerą rozmowę między matką i córką zostają zredukowane niemal do zera. Tego popołudnia jednak nigdzie nie przystajemy, wyciągam krok, aby jak najszybciej znaleźć się w domowym zaciszu. Mdli mnie ze strachu. Gdy Millie mówi, że się zgrzała i chciałaby się zatrzymać, odpowiadam, że w zamrażarce czekają na nią rożki lodowe.

– Nie chcę rożka. Chcę koktajl. Czekałam na niego cały dzień.

– Mamy za mało pieniędzy, aby chodzić codziennie do kawiarni – odpowiadam, wymyślając na poczekaniu wymówkę.

– Zapłacę za swój koktajl. Mam pieniądze, które dostałam na urodziny – odpowiada urażona. Po czym odrobinę cieplej dodaje: – A tobie kupię kawę, mam. – Kusi mnie, żeby się ugiąć, tej małej naprawdę trudno się oprzeć, a choć nigdy bym nie pozwoliła, aby wydawała na mnie swoje zaskórniaki, czuję miłe ciepło na sercu, że to zaproponowała. Oglądam się przez ramię. – Czekasz na kogoś? – dopytuje mnie Millie. – Ciągle się odwracasz.

Czy śledziłyby nas aż pod dom? Nie, to szaleństwo. Ale czy jego pojawienie się pod szkołą nie świadczy o zamazaniu granic między tym, co normalne i rozsądne, a tym, co dziwaczne i niepokojące?

– Nie, na nikogo nie czekam – odpowiadam. – Po prostu śpieszy mi się do domu. Mam wiele do zrobienia.

Nasz nowy dom to skrajny szeregowiec z trzema pokojami, położony zaledwie dziesięć minut spacerkiem od starego, a jednak jakby oddalony od niego o całe lata świetlne. W Londynie zamożne dzielnice sąsiadują bezpośrednio z tymi biedniejszymi. Rose i Connie współczują mi tej zmiany, ale ja czuję się z nią nie najgorzej. Owszem, nowy dom jest mniejszy od starego, lecz ten ostatni – z pięcioma pokojami i ogrodem na tyłach – oferował tylko Simonowi więcej miejsca na puste butelki i puste obietnice. Rozlegały się w nim echa naszych kłótni, czaiły duchy tajemnic i rozczarowań. Mimo niewielkich rozmiarów szeregowca mamy w nim dużo przestrzeni. Choć mieszkamy tu już dwa lata, nie zdążyłam rozpakować wszystkich pudeł. Te z rzeczami Simona leżą nietknięte, ale większość naszych przedmiotów, zwłaszcza tych mających wartość sentymentalną, stoi już na półkach i kurzy się. Książki, albumy ze zdjęciami, zabawki. Doszłam do wniosku, że jeśli czegoś nie brakuje nam do tej chwili, tak naprawdę nie jest nam wcale potrzebne. Zamierzam powiesić więcej obrazków na ścianach, dokupić poduszek do salonu – i zrobię to, tyle że nie wiem kiedy. Czy przyjdzie taki moment, że zapragnę przemienić ten budynek w dom? Zanim go kupiliśmy, był na wynajem. Dlatego ściany są wciąż kremowobiałe, a wykładziny jasnobezowe. Ostatni najemcy bardzo się postarali, aby odzyskać kaucję. Zaraz po zakupie Luke mówił z entuzjazmem, że ten dom jest jak płótno, na którym mogę odmalować swoją osobowość, lecz – nie licząc pokoju Millie, gdzie każda

ściana jest innego koloru i generalnie panuje chaos – całość wnętrza pozostała praktyczna, funkcjonalna, nijaka. Może taką mam osobowość.

Natychmiast po przyjściu do domu zaciągam zasłony, odgradzając się w ten sposób od świata zewnętrznego.

– Tak lepiej – mówię głośno, z ulgą.

– Co się dzieje, mamo?

– Było za jasno, żeby oglądać telewizję. Światło słoneczne odbijało się w ekranie.

Millie nie posiada się ze zdziwienia. Zazwyczaj narzekam, że telewizor jest włączony w czasie kolacji, i zachęcam ją do wyjścia do małego ogródka, który mamy na tyłach domu, podczas gdy sama przygotowuję coś do jedzenia. Nieustannie zachwalam zalety świeżego powietrza, zmartwiona tym, że Millie nie tylko musiała zrezygnować z baletu, ale też nie zainteresowała się niczym nowym. Mogłaby przecież brać udział w zajęciach teatralnych, plastycznych czy łuczniczych, możliwości jest bez liku. Nic jednak do niej nie przemawia tak jak kiedyś balet. Obecnie chodzi tylko na zbiórki zuchów... co przypomina mi, że dzisiaj jest wtorek, dzień zbiórek. Ta myśl wzmagą we mnie panikę. Normalnie lubię wtorki. Po pierwsze parę godzin oddechu dobrze mi robi, gdy zostaję sama w domu, a po drugie – jako że jest to jedyna pozadomowa aktywność Millie – mam nadzieję, że mój entuzjazm udzieli się również jej. Dziś wyjątkowo wolałabym, abyśmy nie musiały nigdzie wychodzić. Właściwie to po tym, co powiedział Daryll, najchętniej zabarykadowałabym drzwi i już nigdy nie opuściła tych czterech ścian.

Wręczam Millie rożek lodowy, nie czekając, aż o niego poprosi, mimo że zjedzenie go o tej porze z pewnością odbierze jej apetyt przy kolacji. Nie proszę córki nawet o to, by umyła ręce. Millie przyjmuje ode mnie smakołyk, choć jeszcze przed chwilą miała ochotę na koktajl. Obrzuca

mnie podejrzliwym spojrzeniem. Odkąd mieszkamy same, zdążyłyśmy się lepiej poznać, dzięki czemu Millie doskonale zdaje sobie sprawę, że podobna pobłażliwość z mojej strony należy do wyjątków.

– Jak mówiłam, mam wiele do zrobienia – wyjaśniam. Istotnie, czasem kupuję sobie trochę spokoju w ten sposób. Uśmiecham się dla wzmocnienia przekazu. Mam nadzieję, że wypada to przekonująco. Nie mam ochoty się uśmiechać. Mam ochotę krzyczeć.

Dłonie mi wilgotnieją, wycieram je więc w materiał spódnicy. Pod pachami także mam mokro, ale nie idę na górę, żeby się przebrać. Nie chcę zostawiać Millie samej na parterze. Krojąc pomidory na sałatkę, zauważam, że ręka, w której trzymam nóż, drży mi mocno. Nie potrafię wyrzucić z głowy słów Darylla. Nie do wiary. Jak w ogóle mógł coś takiego powiedzieć? To oburzające. Niebezpieczne. Zawsze robiłam wszystko, aby do tej rozmowy nie doszło. Przez niego unikałam przyjęć, które organizowała Connie, i to od wielu lat. Raz czy dwa, jeszcze przed wypadkiem, wpadłam na niego gdzieś w towarzystwie, ale każdorazowo była z nim jakaś kobieta, co okazywało się użyteczne. Skoro wisiała mu na ramieniu i spijała słowa z jego ust, nie potrzebował mnie. Stawałam się dla niego powietrzem.

Szykując kolację, co rusz zerkam na Millie, która siedzi skulona w rogu kanapy. Dramat rozgrywający się na ekranie pochłania ją kompletnie; nie jest nawet świadoma tego rozgrywającego się w jej życiu. Serce mi wali z niepokoju. Jaki to wywrze na nią wpływ? Kosmyki jej włosów wymsknęły się z kucyka, tak że wygląda, jakby miała aureolę wokół głowy. Nie jest rudzielcem jak ja ani brunetką jak Simon. Najprawdziwsza z niej blondynka. Daryll przypomina wikinga: wysoki, postawny, jasnowłosy, silny. Szkolny letni strój to sukienka w zielono-białą kratkę, niezbyt twarzową w przypadku Millie, a jednak moja córka wygląda w niej bardzo

ładnie. Cerę ma złocistą. Jak na blondynkę ślicznie się opala. Ja na słońcu dostaję piegów, a Simon spieka się na raka, chyba że użyje filtru, i to co najmniej trzydziestki. Potrząsam głową. Co to za wymysły? Nie, nie. Niemożliwe.

Czyżby?

– Mamo, leci ci krew. Skaleczyłaś się.

– Co?

Nie rozumiem, co Millie do mnie mówi, ale widzę, że oczy ma rozszerzone przerażeniem.

– Leci ci krew!

Spoglądam w dół na swoją rękę. Rozpłatałam sobie palec wskazujący lewej dłoni. Paskudnie. Opuszka ledwie się trzyma ciała. Czuję nadchodzące mdłości. Teraz, gdy jestem już świadoma skaleczenia, uderza we mnie fala bólu, którego wcześniej do siebie nie dopuszczałam. Przęłykam przekleństwa, które cisną mi się na usta, sięgam po papierowy ręcznik i wołam do Millie:

– Szybko, przynieś plaster z apteczki. Największy.

Trzymam rękę w górze, z dala od ubrania i własnego spojrzenia, ale i tak zataczam się na krzesło. W głowie mi wiruje. Wyczuwam panikę córki i odór krwi. Millie podaje mi plaster z opatrunkiem. Używając zębów i jednej ręki, opatruję sobie ranę.

– Będziesz potrzebowała szwów?

– Wszystko będzie dobrze – zapewniam ją, choć krew już się przesącza przez opatrunek. Powstaje na nim rdzawa plama, która ciągle się powiększa. Owijam wokół pulsującego palca świeży ręcznik papierowy. – Przystanie lecieć za minutę albo dwie – rzucam optymistycznie. Moje zapewnienia przerywa dzwonek telefonu stacjonarnego. Obie podskakujemy ze strachu; zwykle, gdy ktoś chce się ze mną skontaktować,

dzwoni na komórkę. – To musi być babcia – domyślam się. – Dzień dobry, mamó. Obawiam się, że to nie najlepszy moment – mówię, nie czekając, aż się odezwie. Zdarza się czasem, że musi znosić mój zły humor.

– Przykro mi to słyszeć.

Zamieram w bezruchu. Rozpoznaję jego głos w pierwszej chwili. Zakrywam dłonią słuchawkę i syczącym szeptem zwracam się do Millie:

– Przebierz się w mundurek.

– Ale jeszcze nie zjadłyśmy kolacji – narzeka Millie.

– Weź sobie banana.

– To babcia? Mogę się przywitać?

– Zmykaj. – Przeganiem ją ręcznikiem papierowym, którym do tej chwili owijałam sobie zraniony palec.

Millie niechętnie opuszcza kuchnię, garbiąc się i mamrocząc coś o morzeniu jej głodem i świętym prawie, jakie przysługuje każdemu dziecku, by zadzwonić na specjalną linię i zgłosić niewłaściwe zachowanie rodzica. Mam pełną świadomość tego, że gdybym się nie skaleczyła i właśnie zasiadłybyśmy do stołu, Millie gmerałaby w talerzu, bawiąc się kurczakiem i sałatką i przekonując mnie, że wcale nie jest głodna. Nie chodzi o to, że jest konfrontacyjna czy trudna. Jest taka jak wszystkie dzieci.

Kiedy zostaję w kuchni sama, rzucam do słuchawki:

– Skąd masz ten numer, Daryll?

– Z internetu. Nie zastrzegłaś go, więc miałem ułatwione zadanie. Wiesz, pomyślałem, jak ci będzie przykro, gdy sobie uświadomisz, że nie dałaś mi namiarów na siebie – oznajmia buńczucznie, a mnie bieleją kłykcie od mocnego zaciskania palców zdrowej ręki na słuchawce. Z jakiegoś powodu fakt, że chodzi o numer stacjonarny, a nie komórkowy, tylko pogarsza sprawę w moich oczach. Czuję się tak, jakby zburzono nasz

mir domowy. Podchodzę do tylnych drzwi i sprawdzam, czy są dobrze zamknięte.

– Czego chcesz? – pytam ostro.

– Ej, Ruda. Kiedyś nie byłaś taką syczącą zmiją. Co się stało?

– Skaleczyłam się w palec – odpowiadam, choć nie na tym polega problem ani nawet jego część. – Bardzo krwawię. Jak już powiedziałam, to nie jest dobry moment. – I taki nigdy nie nadejdzie.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Ruda.

– Przestań używać tego durnego przezwiska.

– To czułe słówko.

– Proszę. – W moim głosie pobrzmiwa desperacja. Jestem zdesperowana. Nie będę go przecież błagać.

– Zgoda. Skoro przestało ci się podobać.

– Nigdy mi się nie podobało.

– Nieprawda, Daisy. – Kładzie nacisk na moje imię. – Tak lepiej?

Czyżby oczekiwał wdzięczności? W pewnym sensie jestem mu wdzięczna, o dziwo. Odbieram jako małe zwycięstwo, że zrobił dla mnie tę jedną rzecz, przestał się do mnie zwracać tym idiotycznym przezwiskiem. Nieważne, że musiałam o to poprosić. Oddycham głęboko, aby nie poznał, że jestem poruszona.

– Pomijając to, że omal nie obciłam sobie palca, jestem też bardzo... – Urywam w poszukiwaniu właściwego słowa. – Jestem skonsternowana tym, co powiedziałeś przy szkolnej bramie.

– Jesteś skonsternowana? – Daryll wybucha śmiechem. – Co dopiero ja mam powiedzieć? Nawet nie wiedziałem, że masz dziecko. Usłyszałem o tym od Simona na przyjęciu. Nie wyjawiał mi jednak, ile Millie ma lat. Nie wiem czemu, ale uznałem, że chodzi o brzdąca, który dopiero raczkuje.

Pomyślałem, że to nowina z gatunku tych świeższych, rozumiesz. Twoje macierzyństwo. Bo jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda? Obiłoby mi się o uszy wcześniej. Ludzie tracą kontakt ze sobą, mija parę lat, wciąga nas wir życia. Wiem, jak jest. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś mieć dziecko od sześciu lat i nie wspomnieć mi o tym ani słowem. Zupełnie jakbyś chciała utrzymać jej istnienie w sekrecie. – Ton głosu ma poirytowany, zagniewany. Nie umiem obalić jego przypuszczeń, ponieważ są zgodne z prawdą. W gardle mam sucho, nie potrafię przełknąć, nie potrafię oddychać. Wątpię, by udało mi się wykrztusić choć słowo, nawet gdybym chciała. – Kiedy przyleciałem do kraju na rozmowy w sprawie pracy, skontaktowałem się z Connie. Poszliśmy na kawę. Pogadaliśmy. W pewnym momencie wspomniała, że wybieracie się wszyscy do Brighton z okazji urodzin Millie. Dziewiątych urodzin. Potrafię liczyć, Daisy. Domyśliłem się.

– Millie nie jest twoim dzieckiem – rzucam.

– Wręcz przeciwnie. Staraliście się z Simonem przez dziesięć lat, wszyscy o tym wiedzieli. I nagle bum! Nie jestem głupcem, Daisy. Nie popełnij tego błędu i nie bierz mnie za głupca.

Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach. Zastanawiam się, jak się uwolnić od Darylla. Na dobre. Rozłączenie się to za mało. Zadzwoń ponownie, a gdy nie odbiorę, pojawi się przed szkołą. Muszę wymyślić coś, co rozwiąże ten problem na stałe. Ucieczka? Ale dokąd? Gdzie miałybyśmy zamieszkać? W północnej Anglii? W Manchesterze, w Leeds? To duże miasta, nie znalazłby nas tam. Sama w to nie wierzę. Jakoś mu się udało nas odnaleźć tutaj, w Londynie, przy ośmiu milionach mieszkańców. Wszystko przez Connie! Gdybym faktycznie się przeprowadziła, nie mogłabym powiedzieć Connie dokąd, ponieważ zaraz by mu przekazała. Gdybym ją poprosiła, aby tego nie robiła, domagałaby się podania powodu. Zawsze

mogłabym coś wymyślić. Ale co? Tajemnica wyszłaby na jaw prędzej czy później. Tak to już jest z tajemnicami. Musiałabym zerwać z Connie wszelkie kontakty. Z Rose także. Z rodzoną siostrą. I z rodzicami. Zostałybyśmy same. A on i tak by nas tropił. Wielka Brytania nie jest dużym krajem. Znalazłby nas w internecie, przez bazę nauczycieli. Znalazłby nas, koniec kropka. Czy przysługują mu jakieś prawa? Ta myśl jest przerażająca. Czy mógłby się domagać testu DNA? Musimy zniknąć natychmiast, zanim upomni się o swoje. Musimy wyjechać gdzieś daleko. Za granicę. Do Kanady albo Australii. Tak, to jedyny sposób. Trzeba się spakować. Trzeba ruszać od razu. Ale czy się na to zdobędę? Na porzucenie wszystkich, przyjaciół i krewnych? Czy to w ogóle realne? Rozsądne? Możliwe? Jak coś takiego wpłynie na Millie? Przeszła już tak wiele...

Słyszę własny przyśpieszony oddech. Muszę się uspokoić. Ale nie umiem. Mam tylko nadzieję, że Daryll nie słyszy mojego dyszenia. Nie chcę, by wiedział o strachu, który czuję. W głowie mi się kręci. Jest mi słabo. Krew z palca leci, jak leciała. Mam ją nawet na bluzce. Chyba jednak potrzebuję szwów. Powinnam udać się do szpitala. Nie ma na to jednak czasu.

– Ej, Daisy. – Głos ma przepełniony czułością. To nieco tłumi moją panikę. – Słyszałem, że nie odwiedzasz Simona w więzieniu. – Mam ochotę zamordować Connie. Dlaczego traktuje moje sprawy jako pożywkę dla innych? – Mała nie ma ojca. Chcę wziąć na siebie tę rolę. W końcu to naturalne. Chcę ją poznać. Czy to coś złego?

Zaraz chyba zemdleję.

– Muszę kończyć. Millie ma zbiórkę zuchów. – Gryzę się natychmiast w język. Nie wolno mi opowiadać o naszym życiu. Nie może być jego częścią.

Nie może być częścią nas.

32

SIMON

PIĄTEK, 14 CZERWCA 2019

Dlaczego pijesz? – rzucił zniecierpliwiony Leon.
– Co?
– Zadałem proste pytanie. Dlaczego pijesz?
– O rany...

Simon nie umiał odpowiedzieć. Leżał na wznak i gapił się w wypukłość pryczy nad sobą. Był letni wieczór; jeszcze długo miało być jasno. Żaden z nich nie ćwiczył dzisiaj na siłowni, nie czuł zmęczenia. Tryskali energią, a Leon lubił rozmawiać, ilekroć mieli trudności z zaśnięciem; Simon już do tego przywykł. Rozumiał, że to normalne, cywilizowane, a jednak miał z tym kłopot. Leon lubił drażnić. W innym życiu, w innym świecie byłby z niego dobry dziennikarz śledczy albo i detektyw.

Dlaczego pił? Pytanie było proste, choć z drugiej strony przerażająco skomplikowane. Simon chciał na nie znaleźć odpowiedź, dlatego nadal chodził na terapię grupową. Musiał być jakiś powód. Czuł, jak krąży mu po głowie, niedościgły niczym latająca w pokoju mucha; jak obija mu się

o czaszkę niczym ta sama mucha, która natknęła się na szybę i uparcie nie chce przyjąć do wiadomości, że okno jest zamknięte. Gdyby Simon wiedział, czemu pije, być może umiałby przestać pić. Na dobre. Martwił się. W więzieniu nie miał dostępu do alkoholu, ale co będzie na zewnątrz?

Leon należał do osób, które niczego się nie boją, co Simon odbierał jako swego rodzaju nowość. Dotąd nie rozpracował, skąd u jego współlokatora tyle odwagi. Może miał kogoś, kto go chronił, a może nawet sobie nie uświadamiał, że wymaga ochrony. Jakkolwiek z nim było, pozostawał niezmiennie dzielny. Problem w tym, że nic, tylko zadawał pytania.

– Byłeś obracany w dzieciństwie? No wiesz, molestowany?

– Nie.

– Tak sądziłem. Wychowywałeś się w dobrym domu.

– Dzieci z dobrych domów też bywają molestowane – zauważył Simon.

– No taaa, ale... – Ten niuans nie pasował do porządku świata, który był znany Leonowi. Zwłaszcza za kratkami istnieje potrzeba jasno wytyczonych granic. Ponieważ na wolności wszystko jest takie zagmatwane. – Studiowałeś, co?

– Tak, w Southampton.

– Nad morzem. Fajnie.

Simon pojął, że Leon oczami wyobraźni zobaczył plażę i zamki z piasku, może watę cukrową i wesołe miasteczko. Nie do końca tak to wyglądało; częściej snuli się od pubu do pubu, żywili w studenckiej stołówce, a nocami usiłowali zakuwać. Ale ogólnie było świetnie. Cieszyli się wolnością, temu nie dało się zaprzeczyć. Simon zdążył się przekonać, że osadzeni zakończyli przygodę z czytaniem w wieku lat dwunastu, w zdecydowanej większości nie uczęszczali na wyższe uczelnie i rzadko

który widział morze. Więzienie nie było dla uprzywilejowanych. On sam stanowił wyjątek. Może dlatego Leon tak go wypytywał.

– Miałeś ojca?

– Tak. Zmarł tuż przed moimi trzydziestymi czwartymi urodzinami.

– I do tego czasu żył z twoją matką? – Leon nie dowierzał.

– Tak. – Simon się domyślał, o co chodzi tamtemu. – Byli ze sobą szczęśliwi. Przeważnie, no wiesz.

– Kurwa. To dopiero coś, nie? – Ton głosu Leona zdradzał, że uważa to za niesamowite.

Simon czuł wobec swego współlokatora opiekuńczość. Leon nie był wiele starszy od synów Rose – góra dwa, trzy lata. Aż trudno było w to uwierzyć. Sebastian i Henry grali w rugby albo siedzieli na sali wykładowej, albo byli z dziewczyną. Leon siedział tu i robił siateczki na włosy. Czasem, gdy czytał gazetę i natrafił na nieznane mu słowo, pytał o nie Simona. Simonowi się to podobało, dzięki temu czuł się użyteczny, potrzebny. Takie zachowanie było oznaką zaufania, towaru niespotykanego w więzieniu. Simon zachęcał nawet Leona, aby zapisał się na organizowane przez zakład karny kursy szkoleniowe.

Ponieważ nie chciał sprowadzić go brutalnie na ziemię, nie rozwodził się nad innymi aspektami swojego życia. Nie mówił, że ojciec też był alkoholikiem ani że wkrótce po jego śmierci matka stała się zapominalska, co najpierw składali na karb żałoby, a co później zostało zdiagnozowane jako alzheimer o wczesnym początku. Nie opowiadał, jak zły był na siostrę, kiedy przeprowadziła się do Kanady mniej więcej w tym samym czasie, praktycznie umywając ręce od jakiegokolwiek odpowiedzialności i pogłębiając matczyne poczucie zagubienia. Nie wspominał o latach, gdy starali się z Daisy o dziecko, ani o tej drugiej sprawie, którą zachował

wyłącznie dla siebie. Ani myślał się nią z kimkolwiek dzielić, zwłaszcza tutaj, w więzieniu.

– No więc dlaczego pijesz? – Leon nie odpuszczał.

– Niektórzy już tak mają. – Ta rozmowa zaczęła nużyć Simona. Chciał ją zakończyć albo przynajmniej zmienić temat. Milczał więc.

W końcu Leon ziewnął i przyznał:

– Pewnie każdy ma własny szajs do ogarnięcia.

Simon wolał się nie zastanawiać, jaki szajs ma do ogarnięcia jego współlokator. Co Leon zrobił, że tu trafił. Powietrze w celi było zatęchłe. Simon zawsze miał wyczulony węch. Ironia losu, gdyż zapachy najmniej się w życiu przydawały. Nigdy też nie przepadał za jedzeniem, co nie wyszło mu na zdrowie, ponieważ przed paroma imprezami wrzucenie czegoś solidnego na żołądek bardzo by mu się przydało. Nosił okulary, miał przeciętny słuch i z tego, co pamiętał, nikt nigdy mu nie powiedział, że jest świetny w łóżku. Zrzędzeniem losu, zamiast wyczulonego smaku, wzroku, słuchu czy dotyku, dostał wrażliwy węch. Leon przez cały wieczór pierdział bezwstydnie. Na pewno po tej fasoli, którą jedli na kolację. Oprócz pierdów w celi unosiła się kwaśna woń potu i męskich hormonów, a także wdychanego i wydychanego na zmianę powietrza, ciągle tego samego. Simon tęsknił do świeżej bryzy. Marzył o niej. Tymczasem będzie mógł opuścić celę dopiero po dwunastu godzinach, a po kolejnych ośmiu wyjść na spacer. Musiał zająć myśli czymś innym niż zapachy i powolny upływ czasu, w przeciwnym razie groziło mu szaleństwo.

Daisy.

Wspomniał Daisy, jak otwierała okna ich domu rankiem po nocach sprzed tylu już lat, chcąc się pozbyć ciężkiego uczucia żalu, przepędzić je dzięki powiewowi świeżego powietrza. Bardzo by chciał mieć weselsze wspomnienia, ale jakoś tak się działo, że z odmętów pamięci wypływały na

wierzch zawsze te nieprzyjemne. Pamiętał, że zbliżała się ku niemu jak gąsienica. Leniwie, ale zdecydowanie. Na ogół przyprawiało go to o ciarki. Z początku nie robiła z niczego halo, może tylko się obśmiała (choć raczej przenikliwie): „To dopiero była noc, co?”. Z czasem sposób zbliżania się nie zmienił, ale słowa tak: „Czy ty pamiętasz cokolwiek z ostatniej nocy, Simon?”. Pod koniec przestała udawać: „Simon, weź się w garść, zrób coś z tym!”.

Podczas tych niezręcznych rozmów na temat minionych nocy przysłuchiwał się jej z rosnącym niedowierzaniem. Musiała z niego żartować, wymyślała to wszystko. Kłamała. Tak, była wstrętną kłamczuchą. Najgorsze dla niego było przyznanie, że w istocie niewiele pamięta, że traci kontrolę nad sobą i własnym życiem. Znacznie łatwiej było potakiwać. Udawać, że nie tylko wszystko pamięta, ale też wszystkiego żałuje, i okazywać skruchę, czego po nim oczekiwała. Tak, pamięta, jak nazwał szefa smętym ciulem. Taki żart. Wyprostuje to. Taaa, taaa, przykro mu, że został przyłapany podczas sikania na samochód sąsiada. Oczywiście, że pamięta, jak wszedł na stół w salonie Rose i zaczął śpiewać. Tak, tamten striptiz też. Nie, skądże, nigdy nie miał zamiaru ściągnąć bokserów. Zgoda, święta prawda, posunął się za daleko. To się już nie powtórzy.

Kolejne kłamstwo. Tym razem jego.

Próbowała go zrozumieć. Tak przypuszczał. Ale była ograniczona. Ograniczał ją własny rozsądek. Własna zwyczajność. Przez to czuł się tak, jakby go zawiodła.

„Dlaczego tego nie rzucisz? Dlaczego nie przestaniesz? No wiesz, po prostu powiedz »nie«”, zaklinała go. Równie dobrze mogła go prosić o to, by przestał oddychać. Pijąc, zasilał swoje ciało paliwem raketowym; mógł wszystko zrobić, być każdym. Nawet przed sobą nie przyznawał, że już po chwili rakietka spadała z nieba i roztrzaskiwała się z hukiem. A on czuł się

wydrenowany, zdewastowany. Martwy. Tylko że nie łączył ze sobą tych dwóch zjawisk. Początkowego uniesienia i późniejszej katastrofy. Nie wiązał przyczyny i skutku, jak czyni to większość ludzi. Normalnych ludzi. Przynajmniej do czasu wypadku Millie. Czasami, gdy zamknął oczy, widział pod powiekami, jak jego córka odbija się od samochodu jak piłka. Wtedy do niego dotarło: przyczyna i skutek. Odpowiedzialność za własne działania. Nikomu się nie przyznał, że cokolwiek pamięta. Historyjka o zaniku pamięci dobrze mu służyła. Ale pamiętał. Wszystko.

Simon odetchnął głęboko, próbując się uspokoić. Oznaczało to, że zaczerpnął do płuc stęchliznę panującą w celi.

Daisy martwiły jego dziury w pamięci. Wyśmiewał jej obawy, drażnił się z nią. Traktował ją z góry – chyba. Za to, że jest tak prozaiczna, tak niekumata. „Żadne tam dziury w pamięci, Daisy. Podróże w czasie. Jestem jak Doktor Who. Moim TARDIS jest butelka whisky. Łamię przyziemne reguły czasu i przestrzeni, którym podlegacie wy, zwykli śmiertelnicy”. Tak wiele stracił przez te dziury. Noc mijała szybciej niż pstryknięcie palców, lecz w jego wnętrzu czas się ciągnął. Pełzał. Kulał. Czasami Simon myślał, że się cofa. Nie był w stanie znieść egzystencji w danym momencie, dotkliwie bolesnym momencie, który trwał godzinę, dzień, tydzień – a jednak nie miał wyboru.

Gdyby tylko. Gdyby tylko umiał podróżować w czasie.

33

DAISY

Jakoś udaje mi się przetrwać tydzień, choć ledwie się do czegoś nadaję. Od wielu lat śpię nie więcej niż sześć godzin na dobę. Nie zgrywam Żelaznej Damy. Nie jestem twardzielką, nie jestem wyjątkowa. Nie ustawiam budzika godzinę wcześniej, żeby pobiegać, odkopać się z zaległości czy uporać ze stertą prasowania, chociaż słyszałam, że są kobiety, które tak robią. Cudowne dziwaczki. Jeśli chodzi o mnie – mam problemy ze snem. Ludziom mówię, że nie potrzebuję długo spać, co sprawia, że wydaję się im silniejsza i bardziej pełna energii niż w rzeczywistości, ale to kłamstwo. Jeszcze jedno. Prawda wygląda tak, że sen pozostaje dla mnie niedościgniony. Poluję na niego jak na eliksir wiecznej młodości, lecz on ciągle mi się wymyka. Próbowалаm pić ciepłe mleko, ograniczać niebieskie światło, puszczać odprężającą muzykę, hodować rośliny doniczkowe, które by zwiększały ilość tlenu w mojej sypialni, spać przy otwartym oknie. Zażywałaм także tabletki.

Mówi się, że źli nie zaznają spoczynku.

Kłopoty ze spaniem zaczęły się u mnie w młodości, zanim poczęłam Millie. Często wtedy leżałam nocami bezsennie, modląc się o rodzinę, marząc o niej, wyobrażając ją sobie, mając na nią nadzieję. Tamta bezsenność brała się z wyczekiwania i niepokoju, wynikała

z wewnętrznego głodu, apetytu na coś. W końcu zaszłam w ciążę. Moja bezsenność wzniosła się na wyższy poziom. Nie ja jedna miałam problemy z zaśnięciem w oczekiwaniu na będące kamieniem milowym badanie USG w dwunastym tygodniu ani tym bardziej pod koniec ciąży, kiedy czułam się jak słonica i byłam szczerze przerażona wydaleniem z siebie kantalupy. Niczym się nie różniłam od innych kobiet w moim stanie. A przynajmniej lubię tak myśleć. Później odbył się poród i zostałam matką. Och, ta nagła odpowiedzialność, obezwładniająca radość, potrzeby wymagające zaspokojenia, konieczność nieustannego bycia w pogotowiu. Normalną rzeczą jest, że świeżo upieczona matka śpi tylko dwie, trzy godziny z rzędu, zanim obudzi ją płacz głodnego noworodka. Gdy Millie zaczęła przesypiać noc, stwierdziłam, że nadal budzę się co parę godzin. Człowiek mający tajemnice nie wie, co to spokojny sen. Prawda. Zakradałam się do pokoju dziecięcego i jak zahipnotyzowana obserwowałam niemowlę w kołysce, jego podnoszącą się i opadającą regularnie maleńką pierś. Czułam się równocześnie uspokojona i przerażona. Ona żyła. Istniała. Powtarzałam sobie, że było warto. Że podjęłam właściwą decyzję. Że nie miałam wyboru. Nieprawda. Zawsze jest jakiś wybór. Zbiegałam na dół, ściągałam mleko z piersi, robiłam sobie coś ciepłego do picia, przewracałam kilka stron książki. Staralam się udawać, że wszystko jest, jak powinno być. Ale nie było, nie tak do końca, ponieważ w środku nocy nic nie wydaje się takie, jakie być powinno. Obawy się pogłębiają. Bezsenność rzuca na rozsądek i trzeźwe myślenie. Zdarzały się chwile, że się dusiłam. Brakowało mi tchu.

Gdy Millie zaczęła raczkować, przepełniając nasz dom i nasze serca hałasem i szczęściem, pozwoliłam sobie na odrobinę odprężenia. Zaznałam paru lat w miarę przyzwoitego odpoczynku. Po całym dniu zabawy i uganiania się za kolebiącym się na nóżkach brzdącem wieczorem padałam

i spałam jak zabita nawet przez siedem godzin. Jeżeli w ogóle o czymś śniłam, było to coś przyjemnego, interesującego, czasem wręcz namiętnego. Budziłam się wypoczęta i pełna sił, gotowa na rozpoczęcie nowego dnia. Byliśmy szczęśliwi. Wszyscy troje. A przynajmniej tak myślałam. Wtedy Simon zaczął znowu pić, przypuszczam więc, że daleko mu było do szczęścia, choć twierdził co innego. Utrzymywał, że piciem świętuje, że chce, aby w piątkowe i sobotnie wieczory szumiało mu w głowie z radości, a niedziela upływała pod znakiem glissando. Później mówił, że drink to nagroda; kufel piwa po ciężkim dniu w pracy. Nic się z tym nie mogło równać, przekonywał. To jak zanurzenie się w chłodnym jeziorze w upalny dzień... Z czasem przerodziło się to w tonięcie w szlamie, ale ja niczego nie dostrzegłam. Nie obserwowałam męża wystarczająco uważnie.

Od wypadku nikt nie może ode mnie wymagać ośmiogodzinnego snu. Byłoby to nieracjonalne. Ostatnio miewam coraz żywsze, coraz bardziej niepokojące marzenia senne. Śni mi się wypadek. Okraszony nowymi, przerażającymi szczegółami. Detalami takimi jak światło latarni odbijające się w mokrej nawierzchni. Dudniące radio. Krzyk Simona: „Pierdol się!”. Millie wybiega na jezdnię. Nie rozgląda się. Po prostu wchodzi na drogę. Budzę się z płaczem, cała spocona.

Od telefonu Darylla sprawa wygląda jeszcze gorzej. Nie wydaje mi się, abym przespała ciągiem więcej niż półtorej godziny. Oczy mnie pieką, mięśnie bolą, w głowie czuję wate. Sama nie wiem, co zrobić. Mam szczęście, że to koniec roku szkolnego i lekcje muszą ustąpić próbom przed akademią z okazji zakończenia nauki przez szóstoklasistów. Raczej bym nie zdołała się trzymać sztywnego planu zajęć, uczyć czegokolwiek w tych ostatnich dniach. Jestem w klasie tylko ciałem, stać mnie wyłącznie na odczytanie z dziennika listy obecności.

Nie pojawił się przy szkolnej bramie od wtorku, także nie zadzwonił, a mimo to o nikim innym nie myślę. Mam go przed oczami, czuję go za sobą, obawiam się, że wychynie zza każdych drzwi, zza każdego rogu. Jest ode mnie o włos. Każdy kolejny dzień przypomina ostatni wtorek. Poganiam Millie w drodze do domu, odmawiam przystanku w kawiarni, zamykam drzwi na łańcuch, ledwie przekroczymy próg, zaciągam zasłony, choć jest jasno do dwudziestej pierwszej, nawet dwudziestej drugiej. Millie dostrzega moje podenerwowanie, pozwalam jej więc oglądać tyle telewizji, ile zapragnie, dzięki temu przynajmniej nie bombarduje mnie pytaniami ani nie rzuca uwag, że jestem jakaś nieswoja.

Jest piątek, wybieramy się do Connie i Luke'a na kolację. Connie zaprasza nas co tydzień. Miło z jej strony. Chce mieć pewność, że nasze weekendy są wyjątkowe. Po tym, co się stało – po wypadku, uwięzieniu Simona i pożegnaniu Millie z baletem – bardzo łatwo było zacząć traktować czas jak wroga, którego trzeba zabić, zamiast jak przyjaciela, którym należy się cieszyć. Znaczna większość ludzi Zachodu pilnuje, aby piątkowy wieczór był wypełniony ekscytacją, ulgą, wyczekiwaniem. Ja się wyłamuję z tego wzoru. Dla mnie ulgą jest rutyna dnia powszedniego; weekendy przynoszą świadomość, że mogłabym odwiedzać Simona. I że tego nie robię. Po południu w piątek Millie i ja kurczymy się w sobie. Nie tyle wyczekujemy weekendu, ile się go obawiamy. Rodzina Bakerów stanowi tarczę.

Millie uwielbia kolacje u Connie i Luke'a. Nie tylko może do woli nacieszyć się towarzystwem Sophie, ale też pławi się w obecności starszych dziewczynek, które wnoszą w egzystencję dziewięciolatki nieco blasku. Fran i Flora rozmawiają z nią o muzyce, aplikacjach, ubraniach i telewizji. Nie obchodzi ich, czy zjadła w szkole lunch ani czy odrobiła lekcje – o co bez ustanku ją pytam, kiedy zostajemy same. Znamy się z Bakerami od tak

dawna, że nie traktują nas jak specjalnych gości, tylko jak rodzinę, co jest wielką ulgą, a przy tym komplementem. Wszyscy zajadają się tym, co akurat się trafi, czy jest to domowe spaghetti czy pizza z dowozem. Po posiłku dziewczynki zajmują się sobą. Czasami któraś prosi mnie o pomoc w angielskim, kiedy indziej mam ręce pełne roboty z zaplataniem warkoczy. Bywa, że Fran i Flora są nie w humorze i chowają się w swoich pokojach lub wręcz zachowują się niegrzecznie, przez co Millie i ja jesteśmy świadkami, jak kłócą się z Connie i Lukiem, a potem trzaskają drzwiami, nie słuchając, o której mają być z powrotem. Nie przeszkadza mi to. Przeciwnie. Piątkowe wieczory są takie beztroskie, hałaśliwe, chaotyczne. Wypatruję ich z nie mniejszą niecierpliwością niż Millie. W tym tygodniu bardziej niż kiedykolwiek nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wsiądę do metra i pojedę do Notting Hill. Zdaję sobie sprawę, że to przez Connie w moim życiu znów zaistniał Daryll, wiem jednak, że przyjaciółka nie zrobiła niczego celowo. A dziś wieczorem dzięki niej stanę się nieosiągalna dla nikogo innego.

Obie z Millie bierzemy szybki prysznic i wkładamy czyste rzeczy. Moja córka lubi pozbyć się szkolnego stroju i wybrać dla siebie dżinsy i jakąś ładną bluzkę. Ja także się staram, głównie po to, by wytrącić Connie z ręki argument, że się zaniedbuję, w związku z czym na pewno mam depresję – które to zarzuty stawia mi raz na kilka miesięcy. Robiąc makijaż, gorliwie ukrywam worki pod oczami, licząc też, że Connie nie zauważy troski w moim spojrzeniu. Myję i suszę włosy, a nawet zakładam ładny naszyjnik. Czuję się tak, jakbym przywdziewała maskę. Nie pierwszy raz zresztą.

Gdy pojawiajemy się u Bakerów, drzwi otwiera nam Sophie. Jak zawsze aż kipi z podniecenia. Po matce odziedziczyła nieposkromioną pasję życia, nie dziwi mnie więc, że skacze teraz w miejscu i nalega, aby Millie poszła z nią szybko i „sama zobaczyła!”. Nie mam szans się dowiedzieć, co moja

córka powinna zobaczyć, ponieważ Sophie już jest w połowie schodów, a Millie depcze jej po piętach, mimo że jedną nogę ma słabszą. Ich piski wkrótce zamieniają się w szepty i chichoty.

Connie wyłania się z kuchni. Wygląda niezwykle wytwornie. Czasem zastaję ją w koszulce i legginsach (aczkolwiek bardzo stylowych, z drogiego sklepu); dziś jednak włożyła lśniący czarny kombinezon, buty na wysokim obcasie oraz przykuwającą wzrok biżuterię.

– Prosto ze spotkania służbowego? – pytam. Connie robi nierozumiejącą minę. – Jesteś wystrojona – dodaję.

– A, masz na myśli ten stary ciuch? – Śmiejąc się, pokazuje na niemal na pewno nowiutką rzecz na sobie. – Wiem, że często stawiamy na wygodę, ale dziś wieczór zaprosiłam parę osób, pomyślałam więc, że lepiej będzie, jak się wyszykuję.

Wzrusza rozbijając ramionami, kompletnie nieświadoma, że jej słowa podziały na mnie jak kubeł lodowatej wody. Poznawanie nowych ludzi to dla mnie ciężka próba. Rozmowa prędzej czy później zawsze schodzi na temat związków i tego, czy mam męża. Nigdy nie wiem, jak odpowiedzieć. Czasami ludzie mnie rozpoznają. Connie nie ukrywa, że odwiedza Simona w więzieniu. Pewnie nurza się w zachwycie, że pamięć o nim świadczy zarówno o jej odwadze, jak i współczuciu. Skoro ja nie składam mu wizyt, muszę być tchórzem bez grama empatii. Ci, którzy wiedzą, kim jestem, czują bądź zażenowanie, bądź niezdrową ciekawość, w efekcie albo znajduję się na marginesie towarzystwa, albo muszę odpowiadać na trudne pytania. Ani jedno, ani drugie nie jest miłe. Zatem nie, nawet w najlepszych okolicznościach nie jestem otwarta na nowe znajomości, a co dopiero dzisiaj. Miałam nadzieję na cichy, spokojny, rodzinny piątkowy wieczór.

– Wejźdź dalej, poznaj Jess i Kyle'a. Z miejsca ich polubisz. Jess jest rzeźbiarką, pracuje w glinie i tworzy zdumiewającą sztukę. Kyle zbił

majątek na wynalezieniu jakiejś aplikacji i teraz bawi się na giełdzie.

Connie potrafi opisać człowieka w paru słowach. Liczy chyba na to, że jej goście znajdą u siebie wspólne cechy, jakiś punkt zaczepienia. W tym przypadku bardzo w to wątpię. Jess, która „pracuje w glinie”, sprawia na mnie wrażenie osoby bardzo pretensjonalnej. Nie sądzę, aby doceniła fakt, że czasem ulepię coś z plasteliny. Co do Kyle’a – niestety brak mi środków, aby „bawić się na giełdzie”. Co najwyżej zbieram w markecie punkty, by je wymienić na bilety wstępu do wesołego miasteczka, dzięki czemu od czasu do czasu możemy sobie z Millie zrobić darmowy dzień wolny.

Gdyby to było możliwe, okręciłabym się na pięcie i wróciła do domu – jak jednak miałabym przekonać do tego moją córkę? Robię więc to, co wypada. Przyoblekam twarz w uśmiech i ruszam przed siebie. W kuchni zastaję nie tylko nieznaną mi parę młodych ludzi – są to zapewne Jess i Kyle – ale też Lucy i Petera. Posyłam Connie chmurne spojrzenie, lecz ona starannie unika mojego wzroku i udaje, że nie widzi, jak zgrzytam zębami, gdy najpierw Lucy, a potem Peter – mój były szwagier! – nachyla się, aby cmoknąć powietrze obok moich uszu. Tymczasem Connie krząta się przy ladzie, przygotowując bliny z wędzonym łososiem.

Jess wyciąga dłoń do uścisku. Jestem jej wdzięczna za to, że ma dość oleju w głowie, aby nie cmokać obcej osoby. Kyle ledwie mnie zaszczyca spojrzeniem. Pogrążony w rozmowie z Peterem, peroruje na temat jakiegoś serialu na Netfliksie, który wszyscy oglądają, z wyjątkiem mnie oczywiście. Ponieważ nie przerywa, aby mi się przedstawić, uznaję go za seksistowskiego kutasa i już się boję, jak przetrwam ten wieczór. Luke akurat otwiera wino, ale i tak przygarnia mnie do siebie ramieniem i ściska, jakby przekazując mi swoje współczucie i wsparcie. Po chwili znów zajmuje się butelką, pozostawiając mnie na pastwę Jess, która pyta:

– Ty też, jak Lucy, znasz się z Connie od czasów studenckich?

Jess jest filigranową zadbaną kobietą o lśniących włosach. Prawdopodobnie ma już pod czterdziestkę, ale mogłaby uchodzić za trzydziestoparolatkę. Znajome Connie ze świata mediów ładnie się starzeją. Przygląda mi się z takim napięciem, jakby oczekiwała, że wykonam magiczną sztuczkę albo zacznę śpiewać. Najwyraźniej stanowią w jej oczach obiekt zainteresowania, co zmusza mnie do zastanowienia, w jakich słowach Connie mnie zapowiedziała.

– Tak – potwierdzam, lecz nie rozwijam tematu. Choć wiem, że moja wieloletnia znajomość z Connie budzi u innych zazdrość. Connie należy do osób, które każdy chce zawłaszczyć dla siebie, ja jednak akurat w tym momencie nie mam siły robić użytku z tej możliwości. Zbyttno się na nią gniewam o to, że zaskoczyła mnie tą proszoną kolacją w szerszym gronie.

Connie najwyraźniej wyczuwa moją irytację i pragnie mnie spacyfikować. Porzuca bliny, by mnie objąć.

– Daisy była moją pierwszą przyjaciółką – oświadcza z szerokim uśmiechem. Czuję gładkość jej skóry i delikatny zapach perfum. *Mademoiselle* Coco Chanel. Odchylam lekko głowę, wciągam powietrze głębiej do płuc. Jesteśmy sobie bliskie jak siostry.

Trudno uwierzyć, że poznałyśmy się na uczelni w młodszym wieku niż Sebastian i Henry obecnie. Nie do wiary, że choć moi siostrzeńcy pomimo swych stu osiemdziesięciu dwóch centymetrów wzrostu wciąż wydają mi się nieopierzeni, sama uważałam się za dorosłą, rozpoczynając studia. Nie, nie uważałam, że wiem już wszystko, ale z całą pewnością chciałam być samodzielna, stać na własnych nogach. W szerokim świecie. Na dobre i na złe. Takie miałam podejście – i życie zweryfikowało je pozytywnie. Z bliźniakami jest inaczej; obaj oczekują, że Rose będzie im robiła pranie, Craig przywoził z imprez, a Peter płacił ich rachunki.

– Byłyście na jednym kierunku? – dopytuje Jess.

Wiem, do czego zmierza. Chce się dowiedzieć, jak zarabiam na życie, lecz stara się być taktowna. Stara się ocenić, czy znajomość ze mną jest coś warta. Niespecjalnie, chyba że ma dzieci w wieku gimnazjalnym. Jeśli tak, zaraz poprosi mnie o namiary na mojego Twittera. Artystowscy przyjaciele Connie na ogół są bezwzględni.

– Tak – odpowiada za mnie Connie. – Daisy pomogła mi się odnaleźć na uczelni. Od tamtej pory jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Czym się zajmujesz? – zwraca się do mnie wyniośle Jess.

– Uczę w szkole podstawowej.

– Nauczycielka? Szlachetny zawód.

Nie sądzę, aby mówiła szczerze, w czym dodatkowo utwierdza mnie fakt, że ledwie rozlegnie się dzwonek do drzwi, korzysta z okazji, oferując, iż je otworzy, byle tylko jak najszybciej o mnie zapomnieć.

Connie jednak ją uprzedza. Przyjmuję kieliszek wina od Luke'a, dając Jess szansę na pogawędkę z Lucy.

Nie wierzę własnym oczom. Czuję się jak porażona prądem. Stoi w kuchni Bakerów jakby nigdy nic, cały w uśmiechach, uroczy i szpanerski. Wręcza Luke'owi butelkę szampana – nie wina musującego, tylko prawdziwego szampana, i to marki Taittinger – gospodyni zaś ogromny bukiet piwonii. Ich ciężki zapach sprawia, że kręci mi się w głowie, ogarniają mnie mdłości. Connie uśmiecha się szeroko, komentuje, że kwiaty są piękne, i pyta go, czego się napije. Następnie przechodzi do prezentacji.

– To Jess i Kyle... – Spostrzegam, że tym razem Kyle przerywa rozmowę, by wymienić uścisk dłoni z nowo przybyłym. Oczywiście, że to robi. Nikt nie ignoruje Darylla Lainbridge'a. Wszyscy chcą się z nim przywitać, zostać przez niego zauważeni, nawiązać z nim znajomość. – A resztę już znasz – dodaje Connie z promiennym uśmiechem.

– Oczywiście. Sami starzy znajomi. Lucy... – Daryll kiwa głową i nachyla się ku niej, lecz nie całuje jej w policzek.

Lucy zezwala wyłącznie na cmoknięcia w powietrzu. Daryll może sobie być uroczy i rozchwytywany, lecz ona jest boska, a porządek dziobania ustalono raz na zawsze. Do mojego dawnego szwagra Daryll wyciąga rękę, po czym wymieniają silny, męski uścisk dłoni. Wygląda to niemal, jakby się mocowali. No tak, są swego rodzaju konkurencją. Nie spuszczać z siebie wzroku, potrząsają ramieniem drugiego w górę i w dół.

Stoję jak skamieniała. Biegnę spojrzeniem ku Connie, która mruga do mnie szelmowsko i pokazuje wszystkie zęby w uśmiechu. Czuję się otumaniona. Daryll pochyla się do mnie. Całuje najpierw mój lewy policzek, potem prawy. Ani drgnę. Cmoknięcia lądują na mojej skórze, a ja myślę, że w ten sposób oznacza teren. Jedną rękę trzyma na moim ramieniu, drugą na łokciu. Praktycznie mnie obejmuje. Czuję, że wszyscy na nas patrzą. Jego dłoń, która spoczywała dotąd na ramieniu, cofa się, muskając moją pierś. Jestem tego pewna.

– Jak twój palec? – pyta mnie.

– Palec? – Spoglądam na swoje dłonie. Wciąż mam przyklejony plaster. Rozcięcie było paskudne, powinnam była zgłosić się z tym do szpitala. Przypominam sobie, że powiedziałam Daryllowi o skaleczeniu i odpowiadam sztywno: – Dobrze.

Ujmuje mnie za zranioną rękę i unosi ją do ust, po czym składa na plastrze delikatny pocałunek.

– Tak lepiej – mruczy.

Ściska mi dłoń, co boli – z powodu skaleczenia i siły chwytu. Wyrrywam rękę. Przestraszona. To znów się zaczyna. Rozglądam się wokół z obawą. Czy inni też to widzą? Nie. A nawet jeśli, przez grzeczność udają, dając nam trochę przestrzeni. Nie chcę przestrzeni! Grozi mi wpadnięcie

w otchłań, lecz nikt tego nie rozumie. Padają pytania: kto czego się napije, na ile blinów kto ma ochotę, komu udało się znaleźć wolne miejsce parkingowe najbliżej.

Tylko ja milczę. Bez tchu. Zmartwiała. Przerazona.

34

DAISY

Usiądziemy? – proponuje Connie, wskazując głową ładnie nakryty stół, na którym stoi ekstrawagancki wazon z białymi kwiatami, a poza nim serwetki, świece i kieliszki. Widać, że zadała sobie wiele trudu. – Wszystko już czeka na podanie.

Czyni zapraszający gest. Z ulgą ruszam do części jadalnianej, niestety nie od razu mogę zająć swoje miejsce, gdyż pozostali przystają, by pozachwycać się przystrojeniem stołu i skomentować zapachy dolatujące z kuchenki. Od pojawienia się Darylla minęło czterdzieści pięć minut. Na szczęście większość tego czasu spędził na rozmowach z mężczyznami i Lucy, chociaż raz czy dwa starał się mnie wciągnąć w konwersację. „Prawda, Daisy?” – zapytał w pewnym momencie. Nie miałam pojęcia, o czym dyskutują, a mimo to potaknęłam jak kukielka. Uśmiechnął się do mnie z zadowoleniem, co skłoniło mnie do zastanowienia, co też właśnie potwierdziłam lub na co się zgodziłam. Nie jestem w stanie się skoncentrować, ponieważ toczony równocześnie rozmowy, wysmakowana muzyka jazzowa lecąca w tle i typowe letnie hałasy wpadające zza otwartych okien tworzą w mojej głowie jedną wielką kakofonię. Przebija się przez nią tylko tupot stóp Millie i Sophie, które uganiają się za sobą na piętrze. Od czasu do czasu moją świadomość przeszywają ich piski i chichoty. Chcę, żeby ucichły. Chcę, żeby Millie się schowała. Moja

córeczka jest tuż nad nami. Tak blisko. Daryll również zdaje sobie z tego sprawę. W pewnej chwili, po wyjątkowo głośnym wybuchu dziecięcego rechotu, podrywa spojrzenie ku sufitowi.

– Dziewczynki najwyraźniej dobrze się bawią – komentuje z szerokim przyjaznym uśmiechem na twarzy.

– O, tak! Przepadają za sobą. Zawsze dużo się śmieją, znaczy dopóki nie rozlegnie się płacz – odpowiada Connie. Ja mam wrażenie, że Daryll jest tykającą bombą umieszczoną tuż pod moją córką. Co jeszcze powie? Czy zamierza ogłosić wszem wobec, że jest ojcem Millie? Brzmi to szaleńczo, ale boję się, że właśnie taki ma plan. – Nie czekajcie z zajmowaniem miejsc, siadajcie, gdzie komu wygodnie.

Opadam na najbliższe krzesło, ucieszona, że nie grozi mi już przewrócenie się, czego byłam bliska jeszcze przed chwilą. Daryll momentalnie wyprzedza Jess i siada obok mnie. Wiedziałam, że to zrobi. Nie mogę zmienić teraz miejsca, przyciągnęłoby to niepotrzebną uwagę, a on i tak z pewnością przeniósłby się za mną. Rozgląda się wokół i zauważywszy, że stół jest nakryty tylko dla ośmiu osób, rozczarowany pyta:

– Och, dziewczynki do nas nie dołączają?

– Fran i Flora wyszły ze znajomymi, a Sophie i Millie mają obiecaną pizzę w swoim pokoju w ramach atrakcji. Luke właśnie im ją zaniósł – wyjaśnia Connie. – Podziękujecie mi później. Kiedy siedzą z dorosłymi, nadstawiają uszu i potem powtarzają wszystko w najmniej odpowiednim momencie. – Wybuchają śmiechem. – Żaden sekret się nie uchwaja w obecności dziewięciolatki.

– Jakież to tajemnice chcesz przed nimi chronić? – pyta wyszczerzony Daryll.

Connie milczy przez chwilę, rozważając jego pytanie. Chyba widzi, jak bardzo jest ono nie na miejscu. Oddech więźnie mi w piersi.

– Och, nic wielkiego. – Uśmiecha się. – W najgorszym razie niedyskretną uwagę o którymś nauczycielu czy jakiejś znajomej osobie.

– A, już rozumiem. Powtarzają po was plotki. – Choć Daryll się śmieje, sytuacja jest niezręczna, gdyż można odnieść wrażenie, że nas osądza.

Connie wzrusza ramionami i zaczyna nakładać do salatek przygotowaną przez siebie sałatkę z ryżem.

– Radzę uważać, papryczki są naprawdę ostre – rzuca Luke, starając się skierować rozmowę na inne tory. Siedzi po mojej drugiej stronie, za co jestem wdzięczna. Jego bliskość bardzo mi pomaga.

– Szkoda, że nie zjedzą z nami. Naprawdę chciałem poznać Millie. I Sophie też – dodaje po krótkiej przerwie z wyraźnym przymusem.

Bawię się pieczywem, które trzymam w ręku, ale nie potrafię się zdobyć na włożenie kawałka do ust.

– Co u ciebie w pracy, Daisy? – zagaduje mnie Luke. – Zdaje się, że w tygodniu mieliście koncert muzyczny? – Potakuję skinieniem. – Udał się? – Ponownie kiwam głową.

Chrząkam, żeby się odezwać. Chcę opowiedzieć, jak pani Dubrad upuściła nuty i nie zauważywszy, że podniosła je wymieszane, zaczęła grać dalej jakby nigdy nic. Byłaby to zabawna anegdota. Mogłabym się nią podzielić z innymi. Mogłabym udawać, że wszystko jest dobrze, iść dalej przez życie z ciężącą mi na sercu tajemnicą, nie byłoby to dla mnie nic nowego. Ale...

– Czy Millie gra na jakimś instrumencie? – pyta Daryll.

Potrząsam głową. Uciszona, zanim cokolwiek powiedziałam.

– Sophie gra na skrzypcach – wtrąca Connie. Po czym teatralnym szeptem dodaje: – Okropnie! Tak że nie proście jej o występ, błagam.

Wszyscy wybuchamy śmiechem, zgodnie z oczekiwaniami gospodyni. Connie może sobie pozwolić na żarciki z Sophie, gdyż ta jest doskonała pod każdym względem. Ja nigdy nie śmieję się z Millie. Moja córka ma bliźnię biegnącą od talii do kolana, utyka przy chodzeniu i odczuwa ból bioder, jeśli postoi zbyt długo. Oznacza to, że raczej nie powinna być obiektem żartów. A jednak w moich oczach jest doskonała.

Próbuję coś zjeść. Danie wygląda niezwykle apetycznie, nie jest więc wielkim komplementem dla Luke'a, szefa kuchni, że tylko przesuwam odkrojone kawałeczki po talerzu. Niemniej boję się, że jeśli coś przełknę, natychmiast zwymiotuję. Próbuję włączyć się do rozmowy, ale stwierdzam, że myślenie przychodzi mi z trudem. Stać mnie tylko na to, by wybuchać śmiechem, gdy robią to inni. Udawać. Jak kiedyś. Zachowywać się, jakby wszystko było w porządku, jakbym nie miała nic do ukrycia. Staram się nie przekroczyć cienkiej granicy między uprzejmością a gadatliwością, gdy Daryll wypytuje mnie o moje życie i o Millie. Z każdym ujawnionym szczegółem czuję, że coraz bardziej grzęznę w ruchomych piaskach. Tak, jest niezła z przedmiotów ścisłych. Nie, nie mamy żadnego zwierzęcia. Tak, wydaje się dobra z francuskiego, ale jest jeszcze za mała, aby stwierdzić, czy ma zdolności językowe. Na razie uczą się nazw kolorów, liczb i pór roku. Nie, nie miałam pojęcia, że sam posługuje się płynnie francuskim.

Nie mogę mu odmówić tych informacji, ponieważ Connie siedzi naprzeciwko Darylla i jest wyraźnie zachwycona zainteresowaniem, jakie mi okazuje. Moja przyjaciółka rzuca mi znaczące spojrzenia, trzepocze powiekami; jej mowa ciała przypomina porozumiewawcze kuksańce i puszczenie oka. Powoli – z uwagi na to, że mój umysł działa tylko na pół gwizdka – zaczynam rozumieć, co tu się dzieje. Connie usiłuje wepchnąć mnie w ramiona Darylla. Od miesięcy słyszę od niej, że powinnam przemyśleć swoją relację z Simonem, którego przecież nie widziałam od

trzech lat. Często sugeruje, że powinnam się z nim spotkać i porozmawiać o naszej przyszłości. Powtarzam jej za każdym razem, że na razie nie jestem gotowa podjąć żadnej decyzji.

Nie interesuje mnie randkowanie i aż dotąd miałam nadzieję, że przynajmniej Bakerowie to rozumieją i szanują. Teraz widzę, że Connie postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Przyspieszyć wypadki. Gdy chcę zamienić słowo z Lukiem, jego żona tak steruje rozmową, żebym znów musiała się zwrócić do Darylla. Prosi Luke'a, aby dołał wszystkim wina albo poszedł poszukać śmietanki – byleby tylko zostawił mnie samą. Z Daryllem.

W pewnym momencie Daryll zzuwa pod stołem jeden but i kładzie stopę w samej skarpecie na moim podbiciu. Mam na nogach sandały bez skarpetek, bez rajstop. Czuję, jak bijące z jego ciała ciepło rozchodzi się po mnie, pulsując. Żołądek podjeżdża mi do gardła. Jestem przyszpilona.

Kwadrans po dziewiątej w kuchni pojawiają się Millie i Sophie w poszukiwaniu deseru.

– Zatem to jest Millie! – Daryll zrywa się od stołu i szybko do niej podchodzi.

Chcę rzucić się między nich, zablokować mu drogę, nie robię tego jednak. Jak miałabym wyjaśnić takie zachowanie? Przez jedną straszną chwilę myślę, że zaraz ją podniesie albo uściska, tak bardzo jest rozentuzjasmowany. Czuję ulgę, widząc, że tylko wyciąga do niej rękę na powitanie. Zdziwiona Millie podaje mu dłoń, ale cały czas popatruje na mnie pytająco. Chyba każdy już zauważył, że Daryll kompletnie ignoruje Sophie. Millie przywykła, że często znajduje się w centrum uwagi, nie zawsze przez nią pożądaną. Po wypadku przez wiele miesięcy dostawała od różnych osób zabawki i czekoladki, bywało, że nawet od dalekich znajomych. Wszyscy jej żalowali i pragnęli zrobić coś, co ją pocieszy.

Później, już po procesie i po tym, jak Simon trafił za kratki, zewsząd zaczęły spływać zaproszenia. Szybko zrozumiałam, że ludzie pod pretekstem wspólnej zabawy z własnymi dziećmi chcieli wziąć Millie w krzyżowy ogień pytań. Czy zamierza odwiedzić ojca w więzieniu? Czy odzyska kiedyś pełną sprawność? Czy wciąż chce tańczyć? Generalnie pragnęli się przekonać, jak bardzo jest pobliźniona: na ciele i duszy. Do tego czasu nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkim magnesem dla niektórych jest cudze nieszczęście. Millie zamknęła się w sobie; co zrozumiałe, nie miała najmniejszej ochoty na odgrywanie roli dziwołaga w tym cyrku. Zrobiła się nieśmiała i zaczęła preferować kontakty tylko z najbliższymi znajomymi. Z biegiem czasu nabrała grubszej skóry i nauczyła się akceptować – czy raczej ignorować – ciekawskie spojrzenia oraz impertynenckie pytania. Wszystko to jednak było dawno temu. Teraz widzę w jej oczach, że nie ufa Daryllowi, że jego entuzjazm wydaje się jej podejrzany. Tym bardziej że Daryll przygląda się mojej córce z nieprzyzwoitą intensywnością. Wstrzymuję oddech w obawie, że upomni się o nią tu i teraz, przed wszystkimi.

– Ależ ty jesteś ładna! – stwierdza. Oczy mu błyszczą, być może z emocji; pod każdym względem przypomina dumnego ojca.

Millie się czerwieni i zamiast jakoś mu odpowiedzieć, zwraca się ponad jego ramieniem do Luke'a:

– Co będzie na deser?

Daryll odszukuje mnie spojrzeniem i uradowany rzuca:

– Naprawdę jest śliczna.

– Ma to po matce. – Ta uwaga pada z ust Lucy.

Podrywam na nią spojrzenie. Wpatruje się we mnie z natężeniem, jakiego jeszcze u niej nie widziałam. Czyżby obserwowała mnie przez cały

wieczór? Rzucona przez nią uwaga nie pasuje do niej; Lucy bardzo rzadko prawi komplementy innym.

Zerkam na zegarek.

– Och, to już ta godzina! Millie, chodź, musimy się zbierać. Jutro trzeba będzie wcześniej wstać.

– Tak? – dziwi się moja córka. – Dlaczego?

Jestem jak otępiała. Powinnam była przewidzieć, że o to zapyta. Naprędce staram się coś wymyślić.

– Pomagam przy szkolnym kiermaszu – wyrzucam z siebie w końcu.

– Ale wasz kiermasz był trzy tygodnie temu. – Connie włącza się do rozmowy.

Przeklinam jej drobiazgowość; kto by pomyślał, że w ogóle mnie słucha, kiedy do niej mówię. Na szczęście przypominam sobie zaproszenie, które wystosowała Rose.

– Nie chodzi o nasz kiermasz, tylko ten w szkole Craiga. – Zwracając się do Jess i Kyle'a, wyjaśniam: – Mąż mojej siostry jest dyrektorem szkoły tu niedaleko. Fran i Flora tam uczęszczały, a Sophie nadal się w niej uczy.

– Będziesz na naszym kiermaszu? – dopytuje Connie, najwyraźniej zaskoczona, że nie wspomniałam o tym wcześniej.

– Tak. W tych sprawach w naszej rodzinie panuje dyscyplina partyjna. Rose wychodzi z założenia, że przyda się każda para rąk. – Mam nadzieję, że wzmianka o Rose zwarzy humory Peterowi i Lucy, co pomogłoby mi się ulotnić. Tymczasem wpadam we własne sidła.

– W takim razie przenocuj u nas – proponuje Luke. – Jaki jest sens wracać taki kawał drogi, skoro jutro rano i tak będziesz musiała tu przyjechać? Posiedź z nami, napij się...

– Nie, nie mogę. Nie mam nic ze sobą. Żadnych ubrań na zmianę. – Szczęście w nieszczęściu, że różnimy się z Connie figurą; nie muszę się

bać, iż zaoferuje mi coś ze swoich rzeczy. Dla pewności dodaję jeszcze: – Obiecałam, że pożyczę im swój zestaw do zabawy w łowienie kaczek. – Oczywiście nie jest to prawda, ale na tym polega problem z kłamstwami: jedno prowadzi do drugiego i tak dalej. – Właśnie dlatego wychodzę wcześniej. Aby się upewnić, że zestaw jest czysty i gotowy do użycia. Dalej, Millie, biegnij po swoją kurtkę.

– Przynajmniej Millie mogłaby zostać – nalega Connie, zawsze idealna gospodyni.

– Tak, tak! – wykrzykuje moja córka.

– Odbierzesz ją, ciociu, jutro w drodze na kiermasz – wtrąca swoje trzy grosze rozradowana Sophie.

– Wszyscy moglibyśmy pójść – dodaje Luke. – Co ty na to, Sophie?

Po prawdzie Sophie jest zbyt wyrafinowanym dzieckiem jak na szkolne kiermasze, lecz z drugiej strony uwielbia moją córkę.

– Dobrze, pod warunkiem że Millie zostanie na noc.

– Zostanę! – oświadcza z mocą Millie.

I co ja mam teraz zrobić? Wiodę spojrzeniem od niej do drzwi i z powrotem. Musimy znaleźć się jak najdalej stąd. Jak najdalej od Darylla.

– Sam nie mam nic przeciwko zakończeniu tego wieczoru – oznajmia nieoczekiwanie Daryll. – Za mną ciężki tydzień w nowej pracy. Daisy, co powiesz na to, byśmy wrócili razem uberem do naszej dzielnicy?

Mam związane ręce. Sama się wpakowałam w tę sytuację. Gorączkowo próbuję znaleźć najlepsze rozwiązanie. Skoro zrobiłam takie halo z zabierania tych nieszczęsnych kaczek na kiermasz, nie mam wyjścia i muszę opuścić przyjęcie. Millie zabrać ze sobą nie mogę, bo zaproponowano jej nocleg. Zdecydowanie nie chcę, aby została z Daryllem pod jednym dachem. Nie twierdzę, że by ją porwał czy coś w tym stylu, ale... Lepiej dmuchać na zimne. Niczego nie da się wykluczyć. Nie mam

pojęcia, co temu człowiekowi chodzi po głowie. Nie wiem, do czego jest zdolny. Dochodzę do wniosku, że powinnam przyjąć ofertę Darylla i odciągnąć go jak najdalej od Millie. Moja córka będzie bezpieczniejsza tutaj, z Lukiem. I z Connie oczywiście. Rzecz jednak w tym, że Luke jest taki opanowany i kompetentny. Nigdy by nie pozwolił, aby Millie stała się krzywda. Nie uśmiecha mi się towarzystwo Darylla, ale cóż, będę musiała jakoś to zdzierżyć. I tak muszę się z nim rozmówić.

– Zgoda. – Kiwam głową.

Daryll sprawdza coś w komórce.

– Nasz rydwan stoi tuż za rogiem. Idziemy.

Widzę, że Connie jest uszczęśliwiona. Z pewnością myśli, że sprawdziła się w roli swatki. Łapię Millie, przytulam ją mocno, ku jej wielkiemu zażenowaniu, i obsypuję całusami.

– Wystarczy, mamó. To tylko nocleg w Notting Hill, nie wyprawa do Mongolii – zbywa mnie niecierpliwie. Wyrażonko podłapała u mojej matki, co tylko sprawia, że chcę ją uściskać jeszcze mocniej.

– Zmykaj na górę. Ale już!

Millie i Sophie łapią garście słodyczy i znikają. Przynajmniej ocaliłam ją przed Daryllem. Już się bałam, że i on przyłączy się do czułego pożegnania. Myśl o tym, że znów by jej dotknął, jest mi wyjątkowo niemiła. Connie i Luke żegnają się ze mną ciepło. Jess i Kyle rzucają chłodne „do widzenia”, mając gdzieś, czy wyjdę, czy zostanę, tak im się śpieszy do deseru i kolejnego kieliszka wina. Peter macha mi ręką, ale nie wstaje, za to Lucy, dobrze wychowana Lucy, podnosi się od stołu i obcmokuje powietrze obok moich uszu. Mruczy przy tym:

– Uważaj na siebie. Do zobaczenia jutro punkt dziewięta. Jeśli się nie zjawisz, wyślemy ekipę poszukiwawczą.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Też idziesz na kiermasz? – pytam zdumiona.

– Auriol chodziła do tej szkoły. Czuję się w obowiązku. A poza tym ktoś przecież musi cię pilnować.

Czy mi się wydaje, czy mówiąc to, faktycznie strzela oczami w stronę Darylla? O co jej może chodzić? Te wszystkie aluzje i insynuacje wprawiają mnie w zażenowanie.

Wreszcie, o wiele za szybko, stoję na chodniku – sam na sam z Daryllem.

35

SIMON

SOBOTA, 15 CZERWCA 2019

Przy pierwszej wizycie Connie robiła na wszystko wielkie oczy. Była trochę wstrząśnięta, a trochę podniecona dziwnością więzienia. Obserwował jej zmieszanie i zastanawiał się w duchu, czy zechce tu wrócić. A może jedna wizyta jej wystarczy? I to z naddatkiem? Tym bardziej był więc pod wrażeniem, że nie tylko przyszła ponownie, lecz wracała do niego regularnie, także długo po tym, jak początkowa atrakcja dawno zbladła. Wprawdzie na wolności przez większość czasu był pijany, zanurzony po dziurki w nosie w alkoholu, lecz zapamiętał dostatecznie dużo, aby wiedzieć, że soboty są bezcenne dla każdego, kto ma rodzinę. A Connie miała troje dzieci. Zatem te wizyty wiele ją kosztowały.

Obecnie, po dwóch latach cotygodniowych widzeń, nie było już miejsca na zdumienie ani strach, ani na szukanie podniet. Connie zachowywała się jak w biurze, szkole czy pubie – gdzie bądź. Nigdzie w szczególności. Niebawem, do czego człowiek jest w stanie się przyzwyczaić. Zresztą sala widzeń wyglądała normalnie. Niewielkie stoły stały w jednym rzędzie; pod blatem każdego zamontowano przegrodę, aby zapobiec przekazywaniu

przedmiotów z rąk do rąk. Po stronie odwiedzającego stało jedno plastikowe krzeselko – albo dwa, gdy gości miało być więcej. W przypadku Simona liczba ta nigdy się nie zmieniała. W rogu pomieszczenia znajdował się sklepik, w którym odwiedzający mogli kupić herbatę i przekąski, co stanowiło jaśniejszy punkt dnia w życiu każdego więźnia.

Dziś Connie usiadła i jak zawsze zaczęła opowiadać o swoim tygodniu. Zrobiła sobie koloryzację, ale nie była pewna, czy wybrała dobry odcień. Owszem, taił siwiznę w jej włosach, ale czy ten blond nie wygląda zbyt sztucznie, nieodpowiednio jak na jej wiek? Co Simon myśli na ten temat? Simon nie miał zdania, ale wymamrotał, że Connie jak zwykle prezentuje się wspaniale. Posłała mu wdzięczny szybki uśmiech i przeszła do tej części wizyty, którą lubił najbardziej. Zaczęła mówić o Millie, która – jak się okazało – w minionym tygodniu na zbiórce zuchów otrzymała sprawność artysty. Nadal marzyła o własnym kocie. Prawie o niczym innym nie myślała. Dziś poszła na szkolny kiermasz. Nie w swojej podstawówce, tylko tej, w której uczy Craig. Właściwie to wybrali się wszyscy razem.

– Przykro mi, że przeze mnie ominęła cię ta przyjemność.

Connie wzruszyła ramionami.

– Wpadłam na krótko, ale tak się składa, że dzem i kiepskie wyroby jubilerskie wytwarzane przez znudzone matki jakoś niespecjalnie mnie interesują. – Uśmiechnęła się. – Millie jednak była bardzo podekscytowana.

– W jej wieku? Nie powinna już z tego wyrosnąć? – zapytał Simon. Bynajmniej nie chciał, aby tak się stało. Wolał, by się nie zmieniła pod jego nieobecność, był jednak realistą.

– Cóż, kiermasz oferuje tanie słodczyce i zaplatanie warkoczyków. Która dziewięciolatka się temu oprze?

Chłonał nowiny całym sobą. I był wdzięczny Connie, że ryzykując gniew Daisy, przekazywała mu choć te strzępki z życia ich dwu. Przy

jakiejś okazji Connie stwierdziła, że czuje się jak szpieg, jak zdrajca. Mimo to nadal przychodziła i przynosiła wieści. Nie brała jego strony; po prostu robiła to, co uważała za stosowne. Za właściwe. Była bardziej skomplikowana, subtelna i głęboka, niż myślała większość ludzi. Simon wolał nie rozważać tego, co zdaniem Connie byłoby właściwe względem Daisy, co chciałyby zrobić dla niej.

– Wiadomo już coś w sprawie twojego zwolnienia warunkowego? – zapytała go teraz. – Kiedy zapadnie ostateczna decyzja?

Simon się spodziewał, że z początkiem przyszłego miesiąca. Gdyby wszystko poszło dobrze, mógłby wyjść na wolność w ciągu trzydziestu dni. W przeciwnym razie pozostanie za kratkami przez kolejne trzy lata. Trudno mu było znieść optymizm Connie.

– Nie wiem – skłamał.

– Na pewno już niedługo – powiedziała niewzruszona. Wyznawała zasadę, że gdy się czegoś pragnie wystarczająco mocno, dostaje się to. Doświadczenie życiowe Simona mówiło co innego. – Zastanawiałeś się już, co zrobisz potem?

Connie wpatrywała się w niego, ale on nie chciał spojrzeć jej w oczy. Udawał, że zafascynowała go faktura blatu.

– Potem?

– Gdzie zamieszkaasz? Gdzie się zatrudnisz?

Pokręcił głową.

– Są specjalne programy dla byłych więźniów – zapewnił.

Zrobiła powątpiewającą minę. I słusznie.

– Zawsze możesz zatrzymać się u nas.

Wiedział, że to propozycja rzucona pod wpływem chwili, będąca konsekwencją litości i rozpacz, lecz i tak chwycił się jej niczym tonący brzytwy.

- Naprawdę?
- Tak, na jakiś czas, dopóki nie staniesz na własnych nogach.
- Uzgodniłaś to z Lukiem?
- Nie. Ale nie będzie miał nic przeciwko temu – odparła lekceważąco.

Simon jej nie wierzył. Niegdyś uważał Luke'a za swojego przyjaciela – najlepszego przyjaciela – ale teraz wiedział, kim ten jest w rzeczywistości. Ni mniej, ni więcej, tylko jego największym wrogiem. Simon miał mnóstwo czasu, aby rozważyć kwestię rodzicielstwa Millie. Zastanowić się na trzeźwo, z kim Daisy poczęła ich dziecko. Nadal myślał o Millie jak o „ich dziecku”, nie potrafił inaczej, mimo że wcale nie była jego. Po upływie trzech lat nie zmienił zdania. Nadal uważał, że biologicznym ojcem Millie jest Luke. Wszystkie klocki do siebie pasowały. Okazał się durniem, nie pojmując tego wcześniej. Millie była wysoką szczupłą blondynką – oczywiście po Luke'u. Właściwie przypominała wszystkie trzy córki Bakerów. Miała tę samą budowę ciała. Była tak samo ładna. Nie chodziło jednak wyłącznie o jej atrybuty fizyczne; równie ważne było to, co wiedział o Daisy, a przecież znał ją bardzo dobrze. Z jakimi osobami się zadawała w czasie, gdy doszło do poczęcia. Stanowili zgraną paczkę. Od zawsze. Poza sobą nie potrzebowali nikogo innego. Skład był stały: Daisy, Connie, Rose i ich mężowie. Sporadycznie, gdy Daisy nie mogła tego uniknąć, zamiast Rose pojawiała się Lucy z Peterem. Często spotykali się tylko we czwórkę: Daisy, Simon, Connie i Luke. Tylko że Connie miała nienormowany czas pracy i nierzadko nie mogła się pojawić mimo wcześniejszych planów. Stawiała ich przed faktem dokonanym, w ostatniej chwili mówiła, że dotrze później, niech zaczynają bez niej. Prawie nigdy nie dotrzymywała słowa. A Simon? Najczęściej był pijany, leżał gdzieś w kącie nieprzytomny. To sprawiało, że Daisy i Luke zostawali sami. Razem.

Wyobrażał sobie, jak przebiegł ich romans. Rozwijał się powoli, w tragicznych okolicznościach. Nie przyszedł im łatwo. Z pewnością oboje mieli ogromne poczucie winy. A jednak zbliżali się do siebie z każdą okazją. Pewnego wieczoru wypili o kieliszek wina za dużo, niechcący musnęli się dłońmi, przetrzymali dłużej spojrzenie. Jakie pobudki kierowały Daisy? Samotność? Desperacja? Tylko się oszukiwał. Luke był niezłym kłaskiem. Daisy zawsze miała do niego słabość. Gdy nadarzyła się sposobność, po prostu z niej skorzystała. A Luke? Musiał się czuć źle traktowany w domu. Pełen urazy. Co rusz dostawał od Connie esemesa z informacją o spóźnieniu, o odwołaniu tego, co mieli zrobić wspólnie. Być może podejrzewał ją o stare sztuczki. W końcu Connie miała pewne skłonności... To bez wątpienia martwiło jej męża. Wzajemne zaufanie zostało nadwerężone. Może pomyślał, że też mu się coś od życia należy. A Daisy była akurat pod ręką. Taka łagodna, spolegliwa, wyrozumiała. Nie w typie Luke'a, choć może postrzegał ją jako miłą odmianę po Connie. Simon nie mógł sobie wybaczyć, że podał mu żonę na talerzu.

Nie wyobrażał sobie, aby Daisy wyszła na miasto i zaczepiła w barze nieznanego, wdając się w ten sposób w romans. Była bardzo nieśmiała, latami trwało, zanim komuś zaufała na tyle, by nazwać go przyjacielem. Jakoś tego nie widział, by ściągnęła na siebie uwagę obcego mężczyzny i zaraz zdjęła majtki. W pracy nie miała szans poznać potencjalnego kochanka. Ucząc w podstawówce, miała praktycznie same koleżanki. Tych nielicznych nauczycieli, których mu przedstawiła, prześwietlił i z miejsca wykluczył. Jeden był gejem, drugi miał o dwadzieścia lat więcej od niej, trzeci był o piętnaście lat młodszy. Daisy zaszła w ciążę, mając pod czterdziestkę – Simon nie sądził, aby były jej wtedy w głowie igraszki z jakimś gołowąsem. Właściwie w ogóle jej nie widział w takiej sytuacji. Nieustannie wracał myślą do czasu, gdy Millie została poczęta. Godzinami

przeglądał fragmentaryczne wspomnienia. Czy Daisy dziwnie się zachowywała? Wychodziła sama częściej? Robiła jakiś kurs wieczorowy albo ćwiczyła regularnie na siłowni przed snem? W jakich okolicznościach mogła nawiązać gorący romans? Nie potrafił tego stwierdzić. Był pewien, że wszystko rozegrało się tuż pod jego nosem. Ale tak to właśnie się działo. Niemal każdy osadzony mógł się podzielić podobną historią: jakaś suka przyprawiła mu rogi, ledwie się odwrócił. Oczywiście Simon nie wierzył we wszystko, co usłyszał w więzieniu, niemniej dostrzegał pewien wzorzec. Mnóstwo kobiet wdawało się w romanse z najlepszym kumplem męża.

Były bezwstydyne. Żyły dalej jakby nigdy nic. Daisy się uparła, aby rodzicami chrzestnymi Millie zostali Bakerowie, mimo że Rose bardzo źle to odebrała. Myśląc teraz o tym, miał ochotę stuknąć się w głowę. Jedyne, czego nie wiedział, to czy później też się spotykali. Raczej nie. Na przestrzeni tylu lat na pewno ktoś by ich przyłapał. Czyżby? Kto? Connie była przenikliwą kobietą, ale wiecznie zajęta i przesadnie ufną. Czy w ogóle przyszłoby jej do głowy, że jej święty mąż może mieć romans? Mało prawdopodobne – wierzyła, że Luke wielbi ziemię, po której ona stąpa. Nie wynikało to z próżności, prędzej z silnego przeświadczenia. Mylnego, jak się okazało. A Simon był zwykle zbyt napruty, aby zauważyć, czy jego żona jest z nim w jednym pokoju, o jej wymykaniu się na schadzki nawet nie wspominając. Zatem jednak mogli się nadal spotykać. Albo dali sobie spokój. Simon nie wiedział. Równie dobrze mógł się nigdy nie dowiedzieć.

Ale miał jasność co do jednego: Luke na pewno nie zechce go widzieć w roli współlokatora. Tak więc Simon wyląduje najprawdopodobniej w zapyziałej kawalerce nad jakimś sklepem czy pralnią. W lokalu, gdzie grzyb wspina się po ścianach zamiast murali i gdzie woń ociekających tłuszczem kebabów zmieszana z autobusowymi spalinami wdziera się do

środka z powodu niedomykającego się okna. Nawet zimą. Nie mając pracy, nie mógł liczyć na nic lepszego. A kto chciałby go zatrudnić? Jego życie zamieniło się w katastrofę. Nie tak to miało być...

– A co z Daisy? – Głos Connie wyrwał go z zamyślenia.

Simon nie był pewien, czego wcześniej nie dosłyszał.

– Daisy? – powtórzył, żeby zyskać na czasie.

– I Millie – doprecyzowała Connie. – Nie było cię przez długi czas. Życie biegnie swoim trybem.

Wzruszył ramionami. Connie miała taką minę, jakby chciała powiedzieć coś ważnego, nie zrobiła tego jednak, ponieważ właśnie rozległ się dzwonek zawiadamiający, że widzenia dobiegły końca.

Uścisnęła mu dłoń.

– Trzymaj się, Simon.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Co innego mógłbym robić?

– Nic – zgodziła się z nim.

Zawsze podziwiał jej szczerłość.

36

DAISY

Gdy budzik dzwoni, sięgam, aby go wyłączyć. Nie obudził mnie, ponieważ nie spałam. Nawet nie zmrużyłam oka. Cała jestem obolała z braku odpoczynku. Powolnym ruchem prostuję się z kłębka, w który byłam zwinięta, i przerzucam nogi na krawędź łóżka. Ledwie usiądę, ukrywam twarz w dłoniach. Jak mogłam na to znowu pozwolić? Tak mi wstyd. Moja słabość jest żenująca.

Wlekę się do łazienki. Dostrzegam zagrzybioną fugę, resztki pasty do zębów w umywalce, kamień z wody na drzwiach prysznic. Wesołe kolorowe mydełka i gąbki, które z Millie tak lubimy, nie pomagają na ogólny bałagan i brud. Odkręcam kurki pod prysznicem i ustawiam najwyższą temperaturę, jaką jestem w stanie znieść, a potem jeszcze ją podnoszę. Chcę zmyć z siebie wszystko, lecz woda zbiera się u moich stóp, tam gdzie odpływ zablokowały długie jasne włosy Millie. Obrzydza mnie ich bezustanne wyciąganie, kto jednak to robi, jak nie ja?

Cieszę się, że idę na ten kiermasz. Mam coś, na czym mogę się skoncentrować, coś, co nie pozwala mi wrócić do łóżka, nakryć się po samą głowę i schować przed całym światem. Lubię szkolne kiermasze. Zawsze jest na nich co robić, dzięki czemu nie będę myślała o tym, co zaszło, ani o tym, co może nastąpić.

Wkładam pierwszą rzecz, jaka mi wpadnie w ręce. Letnia sukienka. Mimo że dzień zapowiada się ciepły, mam gęsią skórkę, narzucam więc na ramiona dżinsową kurteczkę. Wyglądam dzięki temu bardziej trendy, a przede wszystkim nie jest mi tak zimno. Zapinam się po samą szyję.

Rose cieszy się na mój widok. Craig jest zajęty; tkwi zamknięty w dybach, gdzie dzieci za trzydzieści pensów mogą rzucić w niego mokrą gąbką. Ponieważ mój szwagier ma duży dystans do własnej osoby, a kolejka uczniów jest długa, nie sędzę, abym miała okazję z nim dzisiaj porozmawiać. Rose, która uważa się za Pierwszą Damę szkoły, biega od stoiska do stoiska, „tylko się upewniając, czy wszystko jest jak trzeba”. Gdy już potwierdzi, że rodzice spisują się należycie, łapie koszyk z losami i proponuje, abyśmy sprzedały, ile się da, na ostatnią chwilę. Kiwam głową, choć nie jestem w nastroju.

– Dobrze się czujesz? – pyta mnie siostra, spostrzegłszy, że nie sprzedałam ani jednego losu.

– Tak. – Zmuszam się do uśmiechu. Gdyby na mnie patrzyła, zorientowałaby się, że uśmiech nie jest szczery, ale ona rozgląda się po boisku, szukając naiwnych, którzy są gotowi zamienić funta na wynoszącą jeden do pięciuset szansę wygrania pudełka czekoladek.

– Zasiedziałaś się wczoraj u Connie? – pyta Rose.

– Nie, wyszłam wcześniej, ale niewiele spałam. – Rumienię się i odwracam od niej głowę, na wypadek gdyby jednak chciała spojrzeć mi w twarz. Kocham swoją siostrę, ale w żadnym razie nie opowiem jej, co się wydarzyło, a już na pewno nie tutaj, na nawierzchni szkolnego boiska, pośród straganów z watą cukrową i punktów malowania twarzy.

– Spójrz, są nasi!

Zmierzają ku nam Connie, Luke i Lucy. Nieobecność Petera mnie nie dziwi, jak zawsze w sobotę gra w golfa. Czasami miałam mu to za złe,

wierność hobby traktując jako egoizm, lecz dziś na myśl o jego konsekwencji robi mi się cieplej na sercu. W życiu powinno być więcej rzeczy stałych, a nie tylko chaos i niespodzianki. Nie sądziłam, że Lucy dotrzyma obietnicy i przyjdzie, myślałam raczej, że zaofiarowała się po kieliszku czy dwóch wina, a rano zrobi wszystko, aby uniknąć wczesnego wstawania. A tu proszę.

Rozglądam się za Millie i Sophie i dostrzegam je przy stoisku, gdzie trzeba zgadnąć, ile cukierków jest w słoiku. Obie chichotki wydają się takie niezależne, samodzielne. Zazwyczaj czekam, aż Millie sama mnie znajdzie, gdyż nie chcę być nadopiekuńcza, lecz dziś nie umiem się powstrzymać; podbiegam do córki i przytulam ją mocno. Pozwala na to, ale tylko dlatego, że nie znajdujemy się na terenie jej szkoły i nie zna tu nikogo oprócz Sophie. Gdybym spróbowała czegoś podobnego w naszej szkole, nie odzywałaby się do mnie przez miesiąc. Wciągam głęboko powietrze, aby poczuć jej zapach, mojej cudnej dziewczynki, mojego cudu. Wyczuwam nieznaną mi woń cytrusów, z pewnością szamponu albo żelu do ciała, do tego ma na sobie ciuszki Sophie w efekcie nieplanowanej nocy poza domem. Choć mogłaby się wydawać obca, rozpoznaję ją bez wątplenia. Jest moja. Jest domem, dobrocią, wszystkim, co ważne na tym świecie. Od samego patrzenia na nią już mi lepiej. Bycie rodzicem to coś wspaniałego. Miłość do dziecka nie przypomina żadnego innego rodzaju miłości. Jest bardziej intensywna, wszechogarniająca, trudniejsza. A przy tym uzdrawiająca. Przyjaciele i partnerzy wiążą się z warunkami, rodzice z odpowiedzialnością, miłość własna graniczy z nienawiścią do samej siebie – tak przynajmniej podpowiada mi doświadczenie. A miłość do Millie jest czysta i absolutna. Dająca siłę.

Niechętnie wypuszczam córkę z objęć i witam się z resztą paczki. Connie praktycznie podskakuje na palcach, pełna podniecenia jeszcze

bardziej niż zwykle.

– No więc? Jak poszło wczoraj? – Daje mi sójkę w bok.

Utyskując, rozcieram sobie żebra. Powinnam była się tego spodziewać.

– O czym mówisz? – dopytuje moja siostra, świadoma, że Connie stara się ze mnie wyciągnąć ploteczki, i gotowa nadstawić ucha.

– Daisy wyszła wczoraj wcześniej. Z Daryllem.

Nienawidzę się za ten rumieniec, ale nigdy nie umiałam panować nad emocjami. Moja reakcja sprawia, że Connie wydaje z siebie pisk, a Rose się uśmiecha. Lucy tylko nam się przygląda, nie zniżając się do dołączenia do nas.

– Z boskim Daryllem? – upewnia się Rose. Nie znamy żadnego innego.

– Tak – potwierdza Connie. – Wysłał wszystkie właściwe sygnały, prawda, Lucy?

– Poświęcał jej mnóstwo uwagi – potakuje chłodno Lucy.

– No więc? Opowiadaj! Do czego doszło? – Rose przechodzi do sedna.

– Musisz od razu zakładać, że do czegoś doszło? – Gram na zwłokę.

– Sama powiedziałaś, że niewiele spałaś! – Rose przykładła dłoń do ust; jej szok i ekscytacja są namacalne.

– Nie! – sapie Connie. – Zasiedzieliście się, rozmawiając, czy...

– Dziewczynki – wtrąca stanowczo Luke, rzucając znaczące spojrzenia w stronę Millie i Sophie, które otwarcie przysłuchują się naszej rozmowie, kompletnie straciwszy zainteresowanie liczbą cukierków w słoju. Connie wygląda, jakby miała wyskoczyć ze skóry z ciekawości, ale posłusznie zamyka buzię. Nawet ona zna granice.

– Zgadamy się później – rzuca. – Muszę już iść.

Nie pytam dokąd. Domyślam się, że do Simona, którego odwiedza chyba każdej soboty. Gdy zaczęła chodzić na widzenia z nim, byłam na nią

zła, zagniewana. Uważałam, że to z jej strony nielojalne. Nawet mnie nie zapytała, czy może go widywać, po prostu podjęła decyzję i poinformowała mnie o niej po fakcie. Nie powiem, aby było to dla mnie całkowite zaskoczenie; znam ją nie od dziś i wiem, że Connie nigdy nie opowiada się po żadnej ze stron. Ani nie osądza. W ciągu następnych dwóch lat jej wizyty wzbudzały we mnie różne emocje – od zazdrości do poczucia wykluczenia. Z czasem zaczęłam czuć ulgę, a nawet wdzięczność. Jakaś częścią siebie jestem zadowolona, że Connie widuje Simona. Ja nadal nie mogę się na to zdobyć. Nie mogę mu wybaczyć, że omal zabił moją córkę, ale też jest mi przykro, że pozostaje całkiem odcięty od świata. Kto inny by go odwiedzał? Jego matka nie jest władna, jego siostra mieszka w Kanadzie, z mnóstwem osób się pokłócił jeszcze przed tym, zanim trafił za kratki. Jest sam, zdany tylko na siebie. Jaki sens ma wściekanie się, że Connie robi coś, na co sama nie mam ochoty? Owszem, to dziwne, że jest mu teraz bliższa niż ja, jego żona. Że wie o nim więcej ode mnie. Nie powinno tak być.

Ale tak jest.

Connie się pochyła, aby mnie uścisnąć. Przy okazji szepcze mi na ucho:

– Brawo, dziewczyno. Zadzwoń wieczorem. Chcę poznać wszystkie szczegóły.

Wzdrygam się. Nie chcę się dzielić szczegółami na temat Darylla – ani z nią, ani z nikim innym. Oswobadzam się z jej uścisku. Connie oddala się szybkim krokiem. Odprowadzam ją spojrzeniem, lecz oczy wszystkich skierowane są na mnie.

– Eee, czy ktoś ma ochotę na kawę? – pytam, próbując zmienić temat.

Kiermasz nie jest duży, ale udaje nam się rozproszyć. Dziewczynki wyblagują po piątku i odbiegają podniecone z zamiarem ich wydania. Na myśl przychodzi mi Elsie, mama Simona. Miała na to swoje powiedzenie:

„Pieniądze wypalają dziurę w kieszeni”. Brakuje mi jej. Nadal regularnie ją odwiedzam, dwa razy w tygodniu, lecz Elsie coraz rzadziej jest „obecna”. Nie wydaje mi się, aby wiedziała, kim jestem, ani żeby rozpoznawała Millie, nawet gdy ta stoi tuż przed nią. Nigdy też nie pyta o Simona; w ogóle o nim nie mówi. Nie sędzę, aby chodziło o gniew czy wstyd, raczej po prostu o nim zapomniała. Opuścił jej umysł na dobre. Gdy zdiagnozowano u niej alzheimera, pomyślałam, iż najokrutniejsze w tej chorobie jest to, że chory powoli zapomina o wszystkich, których znał. Teraz czuję wdzięczność. Elsie cierpiałyby, wiedząc, że jej syn trafił do więzienia. Wystarczająco trudne jest karmienie jej, zmienianie pieluch, odpowiadanie w kółko na te same pytania. Nie wiem, czybym wytrzymała, gdyby zadawane przez nią pytania dotyczyły Simona.

Rose stwierdza, że musi się udać do stoiska z loterią, aby rozmienić nieco pieniędzy, pozostajemy więc tylko we troje: Lucy, Luke i ja. Podchodzimy do cukierkowo niebieskiej budki, z której sprzedawana jest kawa. U nas w szkole grupka rodziców (no dobrze, bądźmy szczerzy: głównie matek) podawała letnią lurę z wielkiego zbiornika, najprawdopodobniej rozpuszczalną. Tu można zamówić przeróżne kawy na bazie rasowego espresso, przygotowywane przez (samozwańczych) baristów, którzy przed przyjęciem zamówienia upierają się wyrecytować całe dostępne menu. Każdego innego dnia poczułabym nutkę rywalizacji i zanotowała sobie w głowie, aby przy okazji spytać Rose, jaki jest koszt takiej usługi, dziś jednak mi się nie chce. Choć ostentacyjnie wysłuchuję recytowanego menu, nie rozpoznaję więcej niż połowy nazw. Koniec końców proszę o americano. Barista wygląda na mocno rozczarowanego. Wkrótce wszyscy troje popijamy wybrane napoje, obserwując ludzi kręcących się między stoiskami.

– Niezła – stwierdza Luke.

Uśmiecham się blado i kiwam głową. Lucy wyrywa się z własną oceną, mówiąc:

– Przyzwójta, wzięwszy pod uwagę wszystkie okoliczności.

– No więc? Zamierzasz podzielić się z nami nowinami? Między tobą i Daryllem naprawdę zaiskrzyło?

Nie wiem, ile wyjawić. Nabranie wody w usta nie wchodzi w grę. Wcześniej w interesie Darylla leżało milczenie, dzięki czemu mogłam się czuć w miarę bezpiecznie pod tym względem i też trzymać buzię na kłódkę. Tymczasem w Daryllu coś się zmieniło, wczorajszego wieczoru zaczął opowiadać, jak to chce się ustatkować, upomnieć o swoje. To mnie przeraża. Nie moglibyśmy być sobie bardziej obcy. A teraz wszystko się wyda. W naszej paczce żadna tajemnica nie uchowała się długo. To prawdziwy cud, że mój sekret pozostał sekretem aż do tej pory. Pewnie dlatego, że nikt nie drążył tematu. Nie byłam na celowniku. Wszyscy mieliśmy masę roboty z pracą, domem, dziećmi. Przyjmowaliśmy na wiarę to, co usłyszeliśmy, nie mając czasu ani energii na śledztwa. Jak tu teraz wyprowadzić ich z błędu na mój temat, w którym trwają?

Gdy uber zatrzymał się pod moim domem, wiedziałam, że Daryll również wysiadzie. Ponieważ mieszkam w szeregowcu, nie ma ścieżki wiodącej do drzwi; będąc na chodniku, stoi się praktycznie w progu. Zabrał mi torebkę i przetrząsał ją, dopóki nie znalazł kluczy. Nie powstrzymałam go. Daryll otworzył drzwi jakby nigdy nic i wszedł do środka, z miejsca czując się jak u siebie. Podążyłam za nim.

– Przygotować nam po drinku? – zapytał, przejmując dowodzenie.

Pokręciłam głową.

– Nie. – Chwila ciszy, po której dodałam: – Dziękuję.

– A ja się napiję. Co tam masz dobrego?

– Niewiele. W lodówce stoi zaczęta butelka białego wina.

To u mnie normalne. Potrafię się kontrolować i tygodniami nie wziąć do ust ani kropli. Często zanim przyjdzie mi na myśl dopić wino, zdąży całkiem wywietrzeć, tak że nie mam wyjścia i muszę je wylać. Daryll jednak pomaszerował prosto do kuchni, gdzie otworzył lodówkę na oścież. Światło z wnętrza zalało go, jakby był aktorem stojącym w blasku reflektorów. Wysoki, postawny, przystojny. Wyjął butelkę i przyjrzał się nalepce. Nie wyglądał na ucieszonego, czemu się nie dziwiłam, bo wino kosztowało cztery funty. Podskórnie czułam, że ocenia mnie na tej podstawie. Mimo wszystko wzruszył ramionami i bąknął coś na temat tego, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Potem jął szybko otwierać i zamykać drzwiczki szafek, szukając tej, w której trzymam kieliszki. Wybrał największy, nalał sobie do pełna, po czym z miejsca wypił połowę paroma haustami. Później oparł się o ladę kuchenną. Można było odnieść wrażenie, że jest tu panem. Dotąd żaden mężczyzna – nie licząc najbliższych krewnych i Luke’a, który praktycznie zalicza się do rodziny – nie stał w mojej kuchni.

– A więc nasi przyjaciele zdają się uważać, że stanowilibyśmy uroczą parę – powiedział z uśmiechem Daryll. – Dzisiejsza kolacja była tego dowodem. Miło wiedzieć, że mamy ich błogosławieństwo. Zdaję sobie sprawę, jak ważni są w twoim życiu. – Nie miałam pojęcia, jak zareagować, zamilczałam więc. – Chyba nadeszła na mnie pora, Daisy. Chcę się ustatkować – oznajmił, uśmiechając się jeszcze szerzej. Zęby ma równe, bielusieńkie, a mimo to nie był to ładny uśmiech. Jego słowa odebrałam jako groźbę. – Millie to nie lada gratka. Piękna i utalentowana. Idealna.

– Nie możesz wpakować się w jej życie ot tak. Nie możesz zakładać... – Chciałam się odezwać stanowczo, z mocą, ale z moich ust dobył się ledwie szept.

– Z całą pewnością mogę – przerwał mi władczo. Mógł robić, co mu się żywnie podobało. Zawsze taki był.

Rozejrzał się po kuchni, wciąż ciemnej, gdyż nie włączyliśmy żadnego oświetlenia. Nie wiem czemu. On tego nie uczynił, zatem ja też nie. Pozwalałam mu rządzić, choć za wszelką cenę chciałam przejąć kontrolę. Daryll jakimś sposobem odbierał mi wolę. Blask księżycy i latarni ulicznych wpadał przez okno, wydobywając z mroku nasze twarze i zarysy mebli. Miałam świadomość, że w kuchni panuje nieporządek jak zawsze. Nigdy nie stawiałam prac domowych na pierwszym miejscu, w tej chwili jednak żałowałam, że nie jestem bardziej jak Rose – gdyby ktoś chciał, mógłby jeść wprost z jej podłogi. Mój dom wygląda na zaniedbany, zapuszczony wręcz. Zupełnie jakby mieszkańcy nagle przestali dbać o wszystko. Szybko znalazłam się przy lampie na bocznym stoliku; w jej świetle wewnątrz zawsze wydawało się przytulne. Miałam swoje sposoby na ożywienie poszczególnych pomieszczeń. Pod obecność Millie zawsze zapalam świeczuszki zapachowe, włączam cicho radio i pozwalam, aby wszelakie lampki rozjaśniały naszą przestrzeń życiową. Staram się i to działa. Gdy Millie tu jest, obce ściany zamieniają się w prawdziwy dom – pomimo wszystko. Gdy jej nie ma, można tylko załamywać ręce. Ale i tak byłam wdzięczna, że Millie została u Bakerów.

Pomarańczowe światło zalało kuchnię.

– Wyłącz ją – rozkazał Daryll. Usłuchałam i natychmiast pstryknęłam przełącznikiem. – Spójrz tylko – mruknął. – Ona zasługuje na coś lepszego. – To akurat prawda, ale... Tymczasem Daryll kontynuował: – Mogę jej zapewnić lepsze życie. Moja córka nie powinna mieszkać w takiej klitce.

Nie śmiałam głębiej odetchnąć. O co mu chodziło? Co miał na myśli, mówiąc, że może jej zapewnić lepsze życie? Czyżby chciał mi ją odebrać?

Czy to w ogóle było możliwe? Nie. Nie można odebrać dziecka matce... Zresztą nie pozwolę, by nas rozdzielił. Tyle że Daryll znajdował się jakby ponad prawem. Robił, co mu w duszy zagrało. Na pewno nie przejmie się wyrokiem sądu. Co będzie, jeśli porwie Millie? Ucieknie z nią dokądś? Słyszy się o takich przypadkach. Zgoda, to dość ekstremalne, ale jednak się zdarza. Jak bardzo się na mnie gniewał? Czy naprawdę żałował odcięcia od niej przez tyle lat? Czy miał w ogóle jakieś prawa do niej? Musiałam stąpać bardzo ostrożnie. Musiałam dobrze to przemyśleć.

Potrzebowałam całej swojej siły woli, aby wymamrotać:

– Już późno. Jutro muszę wcześniej wstać. Powinieneś sobie pójść.

Pokręcił głową – niemal ze współczuciem.

– Donikąd się nie wybieram. Pozwól, Daisy, że powiem ci, jak wygląda sytuacja. Millie jest moją córką. Badanie DNA to potwierdzi. Dotąd za jej ojca robił ten nieudacznik, alkoholik, który obecnie gnije w więzieniu za to, że prawie ją zabił. Tymczasem ja chcę się ustatkować. Wszyscy moi znajomi założyli rodziny. Jakoś tak się stało, że pozostałem kawalerem. – Zrobił zdziwioną minę, jakby nie pojmował, że mogło do tego dojść. – Wspaniale jest odkryć, że czeka na mnie gotowa rodzina i że nareszcie mogę się wykazać jako ojciec rodzonej córki.

– Millie jest moja! – odparłam, potrząsając zaciekle głową. – To ja ją urodziłam!

– Nie da się ukryć. – Wydawał się zadowolony, że poruszyłam ten temat. – Jeśli rozegrasz wszystko jak należy, uwzględnię cię w swoich planach. Jesteś niebrzydka. Należysz do tych kobiet, które potrzebują czasu, by rozkwitnąć. I choć nic tutaj nie wskazuje na twoje talenty – rozejrzył się po wnętrzu, nie tając pogardy – wiem, że mogłabyś być dobrą pani domu. Dobrą żoną. Byłaby z nas rodzina jak się patrzy. – Zaczął rozpinać pasek, rozporek.

Podszedł do mnie szybkim krokiem.

– Mam męża – mruknęłam, kręcąc głową.

– Wcześniej jakoś nam to nie przeszkadzało.

– Ziemia do Daisy, Ziemia do Daisy – żartuje Luke, sprowadzając mnie z powrotem na boisko szkolne, wyciągając z odmętów wspomnień o minionym wieczorze. Dla pewności macha mi jeszcze ręką przed oczami. – Ej, marzycielko. – Lucy nie wygląda na rozbawioną, nigdy nie przepadała za osobami śniącymi na jawie. – No dalej, powiedz wujkowi Luke'owi. Czy coś zaszło pomiędzy tobą i oszalamiającym Daryllem? – Kiwam głową. – Och, Connie mnie zabije, że poznałem tajemnicę pierwszy! – Luke wybucha śmiechem. – A więc? Zobaczycie się jeszcze? Jesteście oficjalnie parą?

– Czymś na pewno – odpowiadam ze wzruszeniem ramion. – Sama jednak nie wiem, czym dokładnie.

Luke obejmuje mnie ramieniem i ściska. Nie mam ochoty na wysłuchiwanie gratulacji z tego powodu.

Ani na dotyk.

– Powodzenia, Daisy. Zaslugujesz na odrobinę szczęścia. Nigdy o tym nie zapominaj. Na razie za wcześnie, by cokolwiek przesądzać, mam rację?

Potakuję skinieniem i rozglądam się po boisku w poszukiwaniu Millie.

– Jest tam... – Lucy wskazuje ręką, jakby czytała w moich myślach. – Przy furgonetce z lodami. Nic jej nie grozi.

37

SIMON

WTOREK, 25 CZERWCA 2019

Simon nigdy nie był w biurze naczelnika więzienia, ale czasem o nim słyszał, głównie jak mówiono o tym gabinecie z szacunkiem i strachem, stąd miejsce to w jego wyobrażeniu nabrało wręcz mitycznego charakteru. Nie oczekiwał wystawności gabinetu doktora Martella, spodziewał się jednak, że zastanie za drzwiami jakieś udogodnienia życia codziennego, których nie widział od lat – fotografie w ramkach na biurku, kubki z zabawnymi napisami, może nawet obrazki na ścianach. Przekonał się, że ekscytuje go ich widok; widok czegoś mniej siermiężnego, mniej skromnego, mniej prozaicznego, mniej byle jakiego niż to, do czego przyzwyczały go ostatnie lata. Przez to, że na co dzień otaczała go brzydota, coraz trudniej było mu uwierzyć, że kiedyś zarabiał na życie, upiększając mieszkania i biura.

Gabinet naczelnika okazał się jednym wielkim rozczarowaniem. Nie był wspaniały ani nawet wygodny. Simona wprowadzono do ciasnego, nieatrakcyjnego pomieszczenia, gdzie było akurat tyle miejsca, by zmieściło się biurko, fotel i para krzeseł. Fotel stojący za biurkiem zaliczał

się do tych ergonomicznych, co – w połączeniu ze wzrostem i wagą naczelnika – świadczyło o problemach z kręgosłupem gospodarza. Po przeciwnej stronie biurka stały dwa plastikowe krzesła. Simon i jego prawniczka zajęli je w milczeniu. Solidne biurko ginęło pod schludnie ułożonymi, ale wysokimi stertami raportów więziennych, sądowych i psychiatrycznych. Na blacie pyszniła się styropianowa filiżanka z resztką kawy, nigdzie jednak nie było widać kubków z dowcipnymi napisami. Simon się zastanowił, jaki napis mógłby zdobić kubek naczelnika więzienia. Myślał o tym przez chwilę, aż wymyślił: „Nie muszę się obawiać kradzieży tożsamości. Nikt nie chce być mną”. Zaśmiał się z własnego żartu, lecz nie opowiedział go na głos, nawet gdy prawniczka rzuciła mu nieco zaniepokojone spojrzenie.

Gdy wskazano im miejsca, naczelnika nie było za biurkiem. W każdym biurze na świecie toczy się przepychanka o to, kto jest górą, obecna także w najbardziej chyba zhierarchizowanym środowisku, jakim jest więzienie z jego specyficznym porządkiem dziobania. Kazano im czekać, aby nie mieli wątpliwości co do tego, kto tu sprawuje kontrolę. Strażnik tymczasem stanął przy drzwiach. Simonowi towarzyszyła inna prawniczka niż ta, która broniła go podczas procesu. Kobieta siedząca obok niego teraz wyglądała na zmęczoną, znudzoną wręcz. W ogóle się nie odzywała i tylko bez końca przeglądała dotyczące go akta, jakby chciała utrwalić sobie w pamięci najważniejsze szczegóły. Przynajmniej taką nadzieję miał Simon – wolał nie dopuszczać do siebie myśli, że prawniczka idzie na żywioł i zapoznaje się z dokumentacją w ostatniej chwili.

Współwięźniowie Simona mieli wyrobioną opinię na temat tego, czym jest spotkanie w sprawie zwolnienia warunkowego w biurze naczelnika. Jedni mówili mu, że to czysta formalność i na pewno uzyska zwolnienie, ponieważ problem zagęszczenia w więzieniach był poważniejszy niż

niebezpieczeństwo, które sprawiał, kierując samochodem po pijanemu. Drudzy twierdzili, że to jeszcze jeden chory sposób na dręczenie osadzonych przez system i że nie ma najmniejszych szans na przedwczesne wyjście. Że zwolnienie warunkowe traktowano jak marchewkę, którą tylko machano im przed nosem. Simon nie wiedział, komu wierzyć. Czuł się trochę jak na początku, zaraz po aresztowaniu, gdy nagle znalazł się w dziwnym, nieznanym mu świecie, w którym rzeczy się działy, lecz on nie miał nad nimi najmniejszej kontroli.

Jego rozważania przerwało pojawienie się naczelnika w gabinecie. Mężczyzna uścisnął dłoń prawniczce, ale jemu już nie. Simon poczuł się urażony tym drobnym afrontem, który odniósł skutek zgodny z zamierzeniem: zdeprecjonował go w jego i tak nieznaczącej roli; dobitnie pokazał, gdzie jego miejsce.

Naczelnik opadł ciężko na fotel i sięgnął po jeden ze skoroszytów leżących na wierzchu. Przebiegł wzrokiem wniosek i opinie. Skończywszy czytać, podniósł spojrzenie na Simona, który pomyślał, że dostrzega w oczach tamtego... współczucie?

– Sprawa wygląda na prostą. Czy przedstawiła pani swojemu klientowi warunki? – Pytanie było skierowane do prawniczki.

– Jako osadzony z wyrokiem kary pozbawienia wolności bez możliwości przedterminowego zwolnienia może pan skorzystać z opcji zwolnienia warunkowego. Oznacza to, że resztę kary odbędzie pan przy ograniczeniu wolności na łonie społeczeństwa. Zostanie panu przydzielony kurator i będzie pan musiał spełnić określone warunki...

– Takie jak?

Prawniczka zrobiła zdumioną minę, gdy jej przerwał. Przesunęła po blacie kartkę, a Simon, wyginając szyję, doczytał się, że „ma obowiązek dobrego sprawowania i zakaz robienia czegokolwiek, co by postawiło pod

znakiem zapytania celowość zwolnienia warunkowego”. To niejasne ogólne określenie przywiodło mu na myśl czasy, gdy jako mały chłopiec słyszał od matki „sprawuj się dobrze”, co było mniej konkretne niż „baw się grzecznie”, „bądź cicho” czy „przestań zaczepiać siostrę”. Nie lubił polecenia „sprawuj się dobrze”, gdyż rzadko kiedy wiedział, co jest niedobre, dopóki nie zjadł ostatniego herbatnika z puszki czy nie zostawił roweru na ulicy – po czym dopiero nacierano mu uszu. Teraz się zastanawiał, czyby nie poprosić o szczegółowszą wykładnię, ale bał się, że wyjdzie na bezczelnego, a może nawet złamie warunek sam w sobie. Drugi był bardziej zrozumiały: miał się powstrzymać przed dalszym łamaniem prawa w jakikolwiek sposób. Trzeci nakazywał mu regularny kontakt z przydzielonym kuratorem.

Prawniczka zwróciła się do naczelnika. Simon poczuł się nieswojo, jakby jego obecność tutaj była zbędna. Na tym polegał główny problem z byciem więźniem: ludzie zakładali, że człowiek nie ma nic do zaoferowania ani powiedzenia, a jeśli nawet coś powiedział, zwykle nie chcieli tego słuchać.

– Sugeruję, aby pan Barnes na początek spotykał się ze swoim kuratorem dwa razy w tygodniu. Warunki zwolnienia nie powinny być karą samą w sobie. Jak panu wiadomo, panie naczelniku, służą one ograniczeniu ryzyka i ochronie społeczeństwa. Pan Barnes, wcześniej niekarany, nie tylko przyznał się do winy, ale też okazał skruchę i zachowywał się wzorowo przez cały czas odbywania kary pozbawienia wolności, na podstawie czego można stwierdzić, że nie stanowi zagrożenia dla współobywateli.

Naczelnik skinął głową.

– Zgoda.

– Trzeba potwierdzić adres stałego zamieszkania, gdyż musi on zostać odgórnie zaaprobowany. – Prawniczka zwróciła się nieoczekiwanie do Simona, którego poczucie niższości dodatkowo się pogłębiło. Pragnął odzyskać kontrolę nad swoim życiem, tymczasem nie znał nawet odpowiedzi na pierwsze pytanie, które mu zadali.

Prawniczka i naczelnik spoglądali na niego wyczekująco.

– Jest pan żonaty? – zapytał w końcu naczelnik. Gdy Simon skinął głową, dodał: – Zatem wróci pan do domu, w którym mieszka pańska żona?

– Przeprowadziła się. – Simon odkaszlnął. – Moja żona. My... Ona... Nie było jej stać na dalsze spłacanie hipoteki.

– Wprowadzi się pan do żony? – indagował naczelnik. Simon wzruszył tylko ramionami, co wyraźnie rozczarowało pytającego. – Zanim sprawa zwolnienia warunkowego ruszy z miejsca, potrzebny będzie adres. Może być motel, cokolwiek.

– Zdobęde ten adres – zapewnił Simon. Aczkolwiek nie był pewien, jak to zrobi.

Prawniczkę najwyraźniej gonił czas, gdyż podjęła:

– Nie wolno panu podejmować żadnej pracy bez uzgodnienia z kuratorem. Sam taki zamiar musi pan zgłosić kuratorowi ze stosownym wyprzedzeniem. Nawet gdyby chodziło o wolontariat. – To skonfundowało Simona. Czy nie powinni raczej zachęcać byłych więźniów do podejmowania pracy? Na wszelki wypadek zachował milczenie. – W razie gdyby doszło do rozmów o pracę, proszę nie ukrywać faktu, że przebywa pan na zwolnieniu warunkowym. Zresztą w większości przypadków jest to wymóg prawny. – Simon wolał nie myśleć, jaką w tych okolicznościach posadę znajdzie. – Nie wolno panu podróżować poza Wyspy Brytyjskie, chyba że uzyska pan zgodę kuratora. Czy wszystko jest dla pana jasne?

Simon potaknął skinieniem.

– Co mam podpisać?

Czasami warunków bywało więcej. Byli więźniowie nie mogli się kontaktować z określonymi osobami albo mieszkać w pobliżu dzieci. Niejednokrotnie musieli się zgłaszać na obowiązkowe badania moczu pod kątem narkotyków. W przypadku alkoholu nic z tych rzeczy nie wchodziło w grę, ponieważ alkohol jest legalny, nawet jeśli prowadzi do zaników pamięci, kłamstw, przemocy i zbrodni.

Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby chodziło o przedterminowe zwolnienie. Simon musiałby wtedy przedstawić swoją sprawę w sądzie, tłumaczyć się i zabiegać o pozytywną decyzję. A tak otrzymał tylko zestaw warunków i reguł, których miał się trzymać, by zapracować na swoją wolność. Takie było prawo. Mimo to czuł potrzebę złożenia wyjaśnień, zaoferowania czegoś więcej. Chciał zostać wysłuchany.

– Będę chodził na spotkania Anonimowych Alkoholików. Nie będę pił. Udowodnię jej, że nie jestem stracony, nie jestem przypadkiem beznadziejnym. Zadośćuczynię im za wszystko, za ten czas spędzony tutaj i tamten, przedtem, który roztrwoiłem. Stanę się lepszym człowiekiem.

Naczelnik zakasłał z zażenowaniem.

– Świetnie. Podpisz tutaj, że przeczytałeś i zrozumiałeś warunki zwolnienia. I podaj mi ten adres, jak tylko go zdobędziesz. Simon...

– Tak?

– Powodzenia. Sprawuj się dobrze.

38

DAISY

CZWARTEK, 4 LIPCA 2019

Daryll nigdy się nie zapowiada, dzwoniąc czy wysyłając esemesa, ale najzwyczajniej w świecie stawia mnie przed faktem dokonanym. Po tamtej kolacji u Connie zapukał do moich drzwi dwukrotnie, zawsze późnym wieczorem, gdy Millie już głęboko spała. Za każdym razem wpuściłam go do środka. Jak na mężczyznę, któremu tak zależy na rodzinie, okazuje wyjątkowo mało zainteresowania Millie. Za to akurat jestem wdzięczna. Drzę na myśl, że pewnego dnia oznajmi, iż chce poznać moją córkę lepiej. Na tę chwilę zadowala się mną. Jestem gotowa być ludzką tarczą dla Millie – jak długo będzie trzeba. Dotychczas nie wspomniałam jej o nim, nie wiem, jak zacząć tę rozmowę.

I właśnie ze względu na przyzwyczajenia Darylla jestem zdziwiona, kiedy otrzymuję od niego esemesa.

„Zabieram Cię na kolację. Mam coś do obgadania. Ubierz się ładnie. D. X”.

Nie zaproszenie, tylko rozkaz, który muszę wykonać. Niektóre kobiety lubią, gdy mężczyzna dominuje w związku, przynajmniej od czasu do czasu. Kręci je to. Mnie nie. Szczególnie w przypadku Darylla, który trzyma wszystkie karty. Jest biologicznym ojcem mojej ukochanej córki. Jeśli nie uczynię, czego ode mnie żąda, jeśli go nie posłucham – sama nie wiem, jakie mogą być tego konsekwencje.

Korzystam z agencji opiekunek, gdyż nie chcę prosić nikogo znajomego – to sprowokowałyby tylko mnóstwo pytań; z oczywistych względów nie pozwalam też Millie nocować u koleżanek (Sophie ostatnio była wyjątkiem). Postępuję zgodnie z instrukcją i ładnie się ubieram. Bynajmniej nie chcę się przypodobać Daryllowi; wolę go jednak nie rozwścieczać. Sytuacja jest wystarczająco niefortunna. Decyduję się na klasykę i wkładam czarną szyfonową sukienkę z długim rękawem – przy czym przeżywam zdziwienie, gdyż sukienka okazuje się za luźna. A pamiętam, że była dość obcisła. Na co dzień nie przeglądam się w lustrze zbyt uważnie, ale kiedy teraz to robię, widzę, że straciłam sporo na wadze. Całe życie marzyłam, by być szczupłą, a jeśli nie, to przynajmniej szczuplejsza, no i proszę, osiągnęłam swój cel. Tyle że wyglądam raczej na wymizerowaną, słabowitą. Jakbym zniknęła. Co tylko dowodzi prawdziwości powiedzenia, że jeśli Bóg chce kogoś pokarać, spełnia jego marzenia.

Mimo że opiekunka już jest i czeka na dole, Millie przysiadła na brzeжку mojego łóżka i obserwuje mnie, gdy przygotowuję się do wyjścia. Jest zaciekawiona, ponieważ rzadko wychodzę bez niej, chyba że akurat idę na jakąś imprezę nauczycielską albo na spotkanie klubu książki.

– Masz randkę? – pyta w pewnym momencie, przechwytyjąc w lustrze moje spojrzenie, gdy nakładam szminkę.

– A co byś powiedziała, gdyby tak było?

Wzrusza ramionami.

– Nie przeszkadzałoby mi to.

– Idę na kolację ze znajomym ze studiów.

– Tym panem, który był ostatnio u cioci Connie? Daryllem?

– Tak.

Rozważa coś przez chwilę, po czym pyta:

– Myślisz, że tacie by to przeszkadzało?

Nie mam pojęcia, jak odpowiedzieć. Jestem zdumiona, że w ogóle zadała to pytanie. Prawie nigdy nie wspomina Simona. Z opresji wybawia mnie dzwonek do drzwi; Daryll przybył jak zwykle punktualnie.

Millie odprowadza mnie na dół, mocno utykając, co świadczy o tym, że jest albo zmęczona, albo zdenerwowana. Wolałabym, aby nie pokazywała się Daryllowi, nie wiedziałam jednak, jak jej to zasugerować, nie wzbudzając podejrzeń.

Opiekunka zdążyła wpuścić Darylla do środka. Zastaję ich w kuchni, gdzie rozmawiają ze sobą przyjaźnie. Znam June. Jest grubo po pięćdziesiątce, uczyłam obu jej synów. Zauważyłam, że młodszy ma dysleksję, i skierowałam go do specjalisty. Wiem, że mnie lubi oraz że – jak większość osób z sąsiedztwa – wie na mój temat więcej, niżbym chciała. Rozpromienia się na mój widok, rzucając mało taktownie:

– Cudownie widzieć, że gdzieś wychodzisz.

Staje za plecami Darylla i unosi oba kciuki. Cóż, Daryll należy do mężczyzn, którzy robią świetne pierwsze wrażenie.

– Oho! Już są! Moje damy, na które tyle czekałem! – wykrzykuje. Uśmiecham się uprzejmie, lecz Millie wygląda na skonfundowaną. Nie rozumie, czemu ten obcy jej przecież człowiek miałby na nią czekać. Tym bardziej nie pojmuje, dlaczego nazywa ją „swoją damą”. Jest dziewczynką, a kobietą dopiero będzie. Całej jej pokolenie zdaje sobie sprawę

z ograniczeń dotyczących dam, jak również z oczekiwań względem nich. – Mam coś dla was obu. – Daryll wręcza mi ogromny bukiet kwiatów, głównie różowych. Dawno temu Simon kupował mi żółte, czerwone albo pomarańczowe, wiedząc, że są to moje ulubione kolory.

– Są piękne, zaraz włożę je do wazonu – mówię automatycznie. Kwiaty faktycznie są piękne, które nie są? Mimo to mam ochotę wyrzucić je do kubła.

– A to dla ciebie, Millie. – Pochyla się i podnosi z podłogi wielki karton. Następnie kładzie go na stoliku, przy którym jadamy śniadania.

Momentalnie dostrzegam, że w kartonie są dziurki, i w tej samej chwili, gdy myślę: Nie, nie zrobiłby tego – Millie unosi wieczko, odsłaniając...

– Kotek! – piszczy z uciechy i porywa ze środka szarą futrzastą kulkę. – Ja nie mogę! Jaki cudowny!

– Cudowna – poprawia ją Daryll ze śmiechem.

– Jaka cudowna! – Millie zaczyna obsypywać kociaka całusami. – Jest moja, naprawdę?

– Tak.

– Och, dziękuję, dziękuję! Jest idealna!

Koteczka wije się w jej dłoniach, dlatego Millie ostrożnie umieszcza ją na podłodze, po czym wszyscy przez chwilę wpatrujemy się z zachwytem w puchate maleństwo.

W środku aż się gotuję. Nie robi się prezentów z żywych zwierząt, zwłaszcza dziecku. Wzięcie zwierzaka do domu to poważna decyzja. Skąd mu przyszło do głowy, że może ją podjąć arbitralnie? Powinien był najpierw przedyskutować sprawę ze mną.

– Skąd pan wiedział, że zawsze chciałam mieć kotka? – pyta z entuzjazmem moja córka.

– Czuję, że potrzebujesz czegoś, co mogłabyś kochać, a nie ma przecież osoby, która by nie kochała kociąt, prawda?

June przykładła dłoń do serca, wyglądając przy tym, jakby miała pęknąć ze szczęścia; najwyraźniej uważa gest Darylla za wspaniały i romantyczny. Millie niewątpliwie też jest zachwycona. A ja myślę, że to pułapka. Mógł dać Millie w prezencie słodycze, byłoby to absolutnie właściwe przy pierwszym spotkaniu, lecz oczywiście nie wywarłoby na niej aż takiego wrażenia i nie zapadłoby jej tak mocno w pamięć. Słodycze nie są na zawsze.

– W samochodzie mam parę rzeczy – podejmuje Daryll po chwili milczenia. – Koszyk, kuwetę, kilka zabawek. Zaraz po nie pójde – rzuca, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Och, pomyślał o wszystkim! – June jest pełna aprobaty.

– Jakżeby inaczej – mruczę pod nosem.

Daryll wraca z trzema wielkimi reklamówkami z sieci sklepów zoologicznych. Chyba rzeczywiście pomyślał o wszystkim. Ustawia kuwetę w jednym kącie kuchni, miseczkę na jedzenie i wodę w drugim. Millie nie zwraca uwagi na nic poza kociakiem. Zdaję sobie sprawę, że całe to wyposażenie musiało kosztować majątek i że Daryll z każdą kolejną pierzastą myszką na wstążce mocniej zaznacza terytorium. Nie ma mowy, abym mogła go poprosić o zabranie tego wszystkiego. Odebranie kotka Millie nie wchodzi w rachubę.

– Jak ją nazwiesz? – pytam, akceptując to, czego nie mogę zmienić.

– Och, jeszcze nie wiem. Może Chmurka? Jest taka puchata i jasnoszara. Wygląda zupełnie jak chmurka, z której może spaść lekki deszcz.

– Nie, to nie jest dobre imię – oznajmia Daryll nieoczekiwanie.

Millie spogląda na niego zdumiona. Zwykle wszystkie jej propozycje spotykają się z aprobatą, ponieważ jesteśmy tylko we dwie, a jeśli nie liczyć kwestii jedzenia warzyw i pory na sen, na ogół jestem otwarta na jej sugestie i opinie.

– A jakie będzie dobre? – pyta Darylla.

– Nadałbym jej prawdziwe imię, jak Stefania czy Alina. Celina. Nazwiemy ją Celina.

Millie nie wydaje się przekonana, ale zbyt dobrze ją wychowałam, by zakwestionowała zdanie dorosłego. Biegnie do mnie spojrzeniem po wsparcie.

– A ty co myślisz, mammo?

– Uważam, że Chmurka to bardzo ładne imię – odpowiadam dzielnie.

– Nazwiemy kotkę Celina – zarządza Daryll. – Koniec dyskusji.

Niedługo potem wychodzimy z domu. Nie chcę zostawiać Millie samej, pragnę patrzeć, jak bawi się z kotką, lecz z drugiej strony nie mam zamiaru pozwolić, aby Daryll spędził ten wieczór z moją córką. W dalszym ciągu usiłuję zaciągnąć hamulec, cokolwiek tu się wyprawia. Wciąż mam nadzieję, że uda mi się odzyskać nieco kontroli. Fakt, jak mało jej mam, podkreśliły tylko słowa Darylla, który patrząc na zegarek, powiedział:

– Musimy już iść, Daisy. Mamy rezerwację. Samochód zostawię tutaj. Pojedziemy metrem. Mam ochotę się napić, a z całą pewnością nie siądę za kółkiem po alkoholu.

Udajemy się do serca Londynu. Po drodze Daryll milczy, jakby wszystko zostawiał sobie na potem, gdy już będziemy na miejscu. Odpowiada mi to. Nie mam mu nic do powiedzenia. Wsiadamy na stacji Temple, skąd Daryll prowadzi mnie jakimś zaułkiem do knajpki, której nie

znalazłby żaden turysta i która musi być pomyślana jako miejsce tylko dla wtajemniczonych. Nigdy się nie uważałam za taką osobę, w przeciwieństwie do Darylla. Jest coś w jego postawie, sposobie ubierania i mówienia, co sugeruje, że w każdej sekundzie chce robić wrażenie na innych; zależy mu, aby ludzie go zauważali. W młodości imponowało mi jego nadęcie, byłam dla niego pełna podziwu. Ale w miarę jak poznawałam go lepiej – i siebie samą też – zaczęłam myśleć, że jego wyniosłość ma maskować butę lub brak pewności siebie, a może jedno i drugie. Są ludzie bezczelni i niepewni równocześnie, choć taka kombinacja bywa toksyczna. Obecnie sądzę, że rezerwa Darylla jest symptomatyczna; stanowi maskę dla jego prawdziwego „ja”. Daryll to człowiek, który nie dba ani trochę o uczucia innych, ich pragnienia ani troski. Jak każdy psychopata.

Wybrał restaurację, która jest tak nowoczesna, że aż mnie to przeraża. Całe wnętrze jest białe. Ściany, sufit i podłoga, obrusy, serwetki i krzesła. Mimo że ubrałam się elegancko, czuję się jak kleks na nieskazitelnej poza tym kartce. Siadamy na krzesłach wyposażonych w proste oparcia, tyleż wysmakowanych, co niewygodnych. Daryll uśmiecha się do mnie.

– Czy to nie wspaniałe? Nasza pierwsza randka.

Potakuję głupawo, tak nierealnie się czuję. Jacy ludzie umawiają się na pierwszą randkę dziewięć lat po tym, jak urodziło się ich dziecko?

Przy naszym stoliku wyrasta kelnerka. Jest bardzo młoda, góra dwudziestoletnia. Z pewnością tylko czeka, by zmienić tę pracę na modeling, taka jest śliczna. Daryll obdarza ją całym swoim urokiem i uwagą. Dziewczyna jednak pozostaje głucha na jego zabiegi. Daryll chyba to zauważa, ponieważ robi zirytowaną minę, ale się nie poddaje, tylko przypuszcza dalsze ataki. Cały w uśmiechach.

– Mam nadzieję, że jedzenie będzie równie wspaniałe jak ty – rzuca.

Kelnerka zerka na mnie i zdaje mi się, że dostrzegam w jej oczach współczucie. Rumienię się. Obserwując Darylla poza sypialnią, widzę go w nowym świetle. Postrzegam tak jak inni. Patrząc na niego, dwudziestoletnia kelnerka widzi w nim mężczyznę zbliżającego się do wieku średniego, który nie pogodził się z bliskim przekroczeniem smugi cienia. Mógłby być jej ojcem. Niegdyś był taki przystojny, przez wielu uważany za nie do odparcia. Zaczynam rozumieć, dlaczego się uparł uczynić mnie częścią swojego życia. Pamiętam go takiego, jaki był kiedyś. Wciąż widzę w nim tamtego przystojniaka, czarusia. Podsyłam jego próżność. Kobiety, które spotyka obecnie, myślą o nim jako o mężczyźnie urodziwym... jak na swój wiek. Starsze, takie jak June, mogą dostrzegać w nim galanta i mdleć na jego widok, lecz Daryll w życiu nie zainteresowałby się kobietą starszą od siebie, a te młodsze najwyraźniej nie są zainteresowane nim. Kobiety w moim wieku dźwigają zwykle bagaż, a tak się składa, że akurat mój bagaż jest jego bagażem.

Daryll zamawia dla nas obojga dżin z tonikiem.

- Podają tu szwedzki Hernö. Musisz spróbować.
- Właściwie nie piję mocniejszych alkoholi.
- Przypadnie ci do gustu.

Piękna, a przy tym – jak chcę myśleć – odważna kelnerka wraca z naszymi drinkami i miseczką oliwek. Nie ruszam ani jednego, ani drugiego, ale Daryll sobie nie żałuje. Zamawia dla nas z menu degustacyjnego. Tylko główne danie, ponieważ „na taki wygląd trzeba sobie zapracować”. Mówi to ze śmiechem, lecz chyba chce przyciągnąć uwagę do swej szczupłej sylwetki. Przypuszczam, że utrzymanie jej kosztuje go wiele wysiłku i ćwiczeń. Brak mi energii, aby zaprotestować, że wolę stek dobrze wypieczony w miejsce krwistego. Wiem, że to nie w modzie, ale po prostu nie lubię, jak po talerzu przelewa się krew. Zresztą

to bez różnicy, i tak nie mam apetytu. Ledwie kelnerka odejdzie, Daryll przystępuje do ataku.

– Złożyłem ofertę na pewien dom i została ona przyjęta. Ponieważ płacę gotówką, transakcja będzie sfinalizowana za pięć, sześć tygodni.

– Och. Cóż, moje gratulacje. – Oczywiście wiem, że to nie była tylko sucha informacja.

– Teraz ty musisz natychmiast wystawić swój dom na sprzedaż. Nie pójdzie od ręki, ale jak go odmalujemy i trochę odświeżymy, i na niego znajdzie się kupiec.

Tracę kontrolę nad własnym ciałem. Dosłownie kamienieję. Następnie mam takie wrażenie, jakby kamień zamieniał się w piasek, który w końcu przesypuje się wąską strużką, aż kompletnie znikam. Nic ze mnie nie zostaje.

– Dlaczego miałabym wystawić swój dom na sprzedaż?

– Nie bądź niemądra, Daisy. Uzgodniliśmy już, że Millie zasługuje na coś więcej, niż możesz jej dać. Obie zamieszkacie ze mną. Zapisalem ją już do prywatnej szkoły w pobliżu. To dobra szkoła, zajmuje szczytowe miejsca w rankingach, nie chodzi więc tylko o wygodę. Uczą się w niej same dziewczynki.

– Nie chcę, żeby Millie do takiej chodziła. – Mało powiedziane; nie chcę żadnej z rzeczy, o których opowiada Daryll.

– Dzięki temu będzie miała szanse na lepszy start w dorosłe życie. – Na stoliku pojawia się wino, które zamówił. Ujmuje butelkę i długo studiuje nalepkę. Dostrzegam, że cofa lekko głowę, jakby przyniesiono nie ten rodzaj co trzeba. Nie śpieszy się z degustacją, zakręca krwistoczerwonym płynem w kieliszku, wciąga w nozdrza bukiet, po czym z namaszczeniem upija łyk i przetrzymuje go w ustach. Ciężko to znieść. Oboje z kelnerem trzymamy wzrok wbity w butelkę. – Tak, doskonale – oznajmia w końcu

Daryll i kelner może rozlać wino do dwóch kieliszków. Muszę się napić, ale zdaję sobie sprawę, iż ważniejsze jest, abym zachowała jasność myślenia. – Za nowy początek.

Trącam się z nim kieliszkiem i upijam łyżeczek. Ręka mi przy tym drży; mogę tylko mieć nadzieję, że Daryll niczego nie zauważył.

– Millie lubi swoją szkołę. Ma tam przyjaciół – mówię.

– Pozna nowych – pada riposta. – To trochę chore, że chodzi do szkoły, w której ty uczysz. Oczywiście mogłabyś zrezygnować z pracy, jednak uważam, że szkoła prywatna to najlepsze rozwiązanie.

A ja nie. Biorę głęboki oddech.

– To wszystko dzieje się jak dla mnie zbyt szybko.

Daryll robi zdziwioną minę.

– Daisy, właśnie spełniają się twoje marzenia. Oboje wiemy, że kochasz się we mnie od zawsze. Od czasów, zanim spotkałaś Simona Barnes. Chcę ci dać piękny dom, chcę być ojcem dla twojej córki. Zamiast zestarzeć się sama, będziesz żyła ze mną jako moja partnerka. Może nawet żona. – Puszczam do mnie oko i ponownie upija haust wina.

Czy on naprawdę myśli, że ten plan ma sens, że może mnie w ten sposób przymusić? Nie tylko mnie, Millie także? Nie ma pojęcia, co to znaczy być rodzicem. Nie mogę ot tak zabrać córki ze szkoły, z domu, powiedzieć jej, że za półtora miesiąca będzie miała nowego tatę!

Tak, Daryll jest pewien, że mnie przymusi, ponieważ nigdy jeszcze mu się nie postawiłam. Ale tym razem jest inaczej – nie chodzi tylko o mnie, ale przede wszystkim o Millie. Cokolwiek robiłam, robiłam dla niej, nie pozwolę więc, aby ktoś taki jak Daryll wszedł z buciarami w nasze życie.

Oddycham głęboko raz, drugi, po czym zbieram się na odwagę.

– Dwa steki dla państwa. – Kelner stawia przed nami talerze.

Rozglądam się, ale nigdzie nie widzę ślicznej kelnerki. Prawdopodobnie poprosiła kolegę, żeby ją zastąpił. Powiedziała, że woli nie obsługiwać tego koszmarnego mężczyzny, który chce wszystkich kontrolować. Kelner robi trochę zamieszania, jak to w modnym lokalu. Proponuje różne przyprawy, których zastosowanie Daryll rozważa przez chwilę, po czym odrzuca. Prosi za to o coś, czego nie mają. Zdaje się, że o jakiś szczególny sos, nie wiem jaki, bo nie słucham uważnie, wpada mi tylko w uszy nazwa Nowy Jork. Kelner wraca do kuchni, zapewniając, że zrobi co w jego mocy.

Daryll ujmuje mnie za dłoń, wolno ją odwraca, po czym unosi do swoich ust i składa pocałunek na wewnętrznej stronie nadgarstka. Każdy, kto to widzi, dostrzeże czułość w jego geście. Mnie przechodzą ciarki. Tymczasem Daryll pochyła się ku mnie bliżej i szepcze:

– Oto, jak będzie, Daisy. Odwiedzisz Simona i powiesz mu, że żądasz rozwodu. Jemu, Millie, wszystkim swoim krewnym i znajomym wyznasz prawdę o tym, czyją córką jest Millie.

– Ale...

– Powiesz, że mieliśmy romans i że wróciliśmy do siebie. Przyjaciele ci przebaczą. Zrozumieją. Życie z Simonem nie było dla ciebie łatwe, poszukałaś więc pociechy w moich ramionach. Connie wszyscy wybaczyli. Tak samo Lucy. Ty jedna żywisz urazę. Ty szafujesz sądami. Inni zobaczą tylko wspaniałą historię miłosną. – Puszczą moją rękę i sięga po nóż i widelec. Obserwuję, jak odcina kawałek soczystego mięsa. – Musisz pamiętać, Daisy, że będę dla Millie ojcem bez względu na to, czy mój plan ci się podoba, czy nie. Już rozmawiałem z prawnikiem. Będzie ze mną mieszkać w nowym domu przez co najmniej jeden tydzień z każdych dwóch. Jest tak samo moja jak twoja.

– Nie. To ja z nią jestem od...

Daryll potrząsa głową.

– Jest – ucina.

– Nie pojmujesz, że to zburzy porządek jej świata? Takich zmian nie wprowadza się z dnia na dzień. Musimy mieć na względzie przede wszystkim jej dobro.

Uśmiecha się do mnie.

– Wspólna opieka nad Millie. To już przesądzone. Rozumiesz, Daisy?

Wkłada kawałek mięsa do ust i zaczyna przeżuwać. Odsuwam talerz, po czym wbijam wzrok w ząbkowany nóż do steków. Nie ma we mnie za grosz agresji, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, a jednak mam ochotę wbić mu to ostrze prosto w serce. Jedyne problem jest taki, że najpierw musiałabym je znaleźć.

39

SIMON

SOBOTA, 6 LIPCA 2019

Simon siedział na sali widzeń, niepewny, czy ona przyjdzie. Po takim czasie był pełen wątpliwości. Uderzyło go jak obuchem, że – właśnie gdy przyznano mu zwolnienie warunkowe i miał wyjść na wolność za jakiś tydzień, o ile tylko dalej będzie się dobrze sprawował – Daisy łaskawie postanowiła go odwiedzić. Ale nie stroił fochów. Nie zamierzał roztrząsać żalów. Patrzył w przyszłość, nie w przeszłość. Zdecydował więc, że potraktuje odwiedziny żony jako okazję, coś pozytywnego. Było to wiele lepsze niż pojawienie się zniecka w progu jej domu. Czekałąc ich trudną rozmowę mogli przeprowadzić tutaj, w warunkach kontrolowanych. Udowodni jej, że się zmienił. Rozmowa na pewno będzie bolesna; zdawał sobie sprawę, że ma wiele do wyjaśnienia, a ona – wiele do przebaczenia. I na odwrót. Daisy nie była świadoma, co on o niej wie. Co jest jej gotów przebaczyć. Skoro mieli być znów razem, musiał z nią pomówić o ojcostwie Millie. Myślał o tym godzinami i uznał, że zamiecenie sprawy pod dywan nie stanowi opcji w tym przypadku. Sekret byłby niczym brzydki zapach przenikający nieustannie ich związek. Musieli szczerze

porozmawiać. Aby móc dalej żyć normalnie. Miał nadzieję, że to możliwe, choć nie był pewien, czy ich na to stać mentalnie. Czy zdołają pozostawić zło i smutek za sobą, najlepiej w tym miejscu?

Czy zdołają podjąć wspólne życie, zrehabilitowani, przywróceniu do swoich dawnych ról?

Bacznie obserwował drzwi, przez które wchodzili odwiedzający. Głównie były to kobiety; mężczyźni przychodzący do synów, braci czy przyjaciół należeli do rzadkości. Troszczenie, pocieszenie, kojenie pozostawiono kobietom. Jak one się przygotowywały do wkroczenia w ten świat rozpacz i hańby? Niektóre teraz przeczesywały salę w poszukiwaniu swoich bliskich. Na ich twarzach malowała się cała gama emocji: frustracja, nadzieja, niepokój, wyczerpanie. Inne zachowywały się jak wytresowane zwierzęta albo roboty; z kamiennymi maskami w miejsce twarzy, niezdolne lub niechętnie do zdradzania swoich uczuć. Jak automaty zmierzały w stronę upatrzonych stolików. Wiedziały, że zastaną przy nich swoich mężczyzn, którzy zajmowali co tydzień te same miejsca, po prostu znacząc teren albo wybierając stolik pod oknem dla większej ilości naturalnego światła czy też obok kącika zabaw dla dzieci, gdzie potomstwo miałoby się czym zająć. W więzieniu liczy się każda przewaga, jaką można zdobyć. Mimo trzech lat za kratkami Simon nadal nie miał przypisanego sobie stolika. W więziennej hierarchii nie znajdował się dość wysoko, aby porządek dziobania mu to umożliwił. Siadał tam, gdzie było wolne, i starał się nie wyglądać jak człowiek pokonany przez życie.

Zanim te wszystkie kobiety dotarły do głównego budynku więzienia, zdążyły przejść różnorakie kontrole. Trzeba było wypełnić formularze, zdać dowód tożsamości, poddać się prześwietleniu na bramce, rewizji podobnej do tej na lotnisku, odpowiedzieć na pytania, dać się zarejestrować wszędobylskim kamerom. Później trafiały do szeregu poczekalni i kolejek.

Żony, matki, narzeczone i dzieci permanentnie stały w ogonkach pod ciągłym nadzorem, traktowane z najwyższą podejrzliwością. Wiedział o tym od Connie. Stwierdziła, że kobiety tutaj zachowują się inaczej niż w jakiejkolwiek innej kolejce; nie gawędzą między sobą, nie wymieniają uprzejmości, nie starają się zabić czasu. Trzymają głowy spuszczone, unikają jakichkolwiek rozmów. Te, które przyprowały dzieci, syczały i warczały na pociechy, przywołując je do porządku.

Wszystkie zżerał wstyd. Każda wolałaby być gdzie indziej.

Zanim zostały wpuszczone na salę widzeń, musiały zdjąć buty i paski, a wszystkie drobiazgi umieścić na specjalnej tacy, którą następnie prześwietlał rentgen. Przypominało to wstęp do wakacji czy wycieczkę na taras widokowy najwyższego budynku w Londynie, aczkolwiek bez szans na atrakcję. Później czekało je jeszcze więcej bramek z wykrywaczami metalu, a w końcu rewizja – staranniejsza niż na lotnisku. Sprawdzone podszewkę ich ubrania, podeszwy stóp, a nawet wnętrze ust. Tyle dobrego, że obmacywała je kobieta.

Gdy już włożyły z powrotem buty i opuściły główne pomieszczenie, przechodziły korytarzem w stronę zamkniętych na wszystkie spusty drzwi. Minięcie ich wiązało się z kolejnym oczekiwaniem, ponieważ zamek był zwalniany przez uprawnionych pracowników zakładu karnego po uprzednim ponownym sprawdzeniu dokumentów. Nigdy nie zdarzyło się tak, aby dwoje drzwi było otwartych w tym samym czasie. Można to nazwać hymnem odwiedzających: zgrzyt zamka, trzask drzwi, szczęk zamka, huk drzwi.

Simon się zastanawiał, jak w tym wszystkim odnajdzie się Daisy. Czy Connie ją ostrzegła?

Nareszcie weszła. Daisy, jego żona. Wciąż, po tylu latach. Rozejrzała się wkoło. Zmusił się, aby usiąść prościej. Był to dla niego spory wysiłek,

psychiczny i fizyczny. Przechwyciła jego spojrzenie, ale nie uśmiechnęła się na powitanie. Włosy miała krótsze, tylko do ramion. Gdy widział ją ostatnio, spływały jej na plecy; wydała mu się też chudsza, niż zapamiętał. Wiedział, że w głębi ducha cieszy się z tego, choć straciła na wadze w wyniku cierpienia. Nie mógł powiedzieć, że wygląda korzystniej. Sprawiała raczej wrażenie zmęczonej.

Zastanowił się, jakim ona go widzi. Miał na sobie więzienny strój, jak wszyscy osadzeni. Źle dopasowany, ale czysty szary dres, który unicestwiał jego tożsamość, co było celem samym w sobie. Czuł, że włosy ma przetłuszczone. Nie dopchał się dzisiaj do prysznicza. Doszło tam do jakiejś przepychanki, ktoś wylądował w ambulatorium. Dwa złamane żebra, jeden złamany nos. Simon również schudł w czasie odsiadki. Jedzenie było do bani, no i nie mógł pić. Może trafił tu z lekką nadwagą, ale obecnie nie dało się powiedzieć, że wygląda zdrowo. Jeśli już, zdawał się wymizerowany. Głodny. Nie spędzał wiele czasu przed lustrem. Oczywiście nie mieli tutaj prawdziwych lusterek, na wypadek gdyby ktoś zechciał jedno potłuc i ułomek szkła wykorzystać jako broń przeciwko innym albo samemu sobie, Simon wiedział jednak, jak wygląda, dzięki zastępnikowi z metalu. Oczy miał zapadnięte w głąb czaszki, tak że trzeba było ich szukać. Policzki przecinały mu popękane naczynka, poruszał się w ślimaczym tempie, niezdarnie. Zastanawiał się, czy odstrasza swoim wyglądem. Czy jest jak bestia, czy tylko odczłowieczony.

Tydzień. Tyle dzieliło go od wolności. Był już prawie na zewnątrz.

Daisy wysunęła sobie krzesła naprzeciwko niego i usiadła w milczeniu. Ta cisza była znacząca, mimo że wokół rozlegały się różne odgłosy. A być może właśnie z tego powodu. W porze widzeń robiło się gwarno. Ludzie przyprawiali dzieci. Nie pozwoliliby, aby Millie zobaczyła to miejsce – oczywiście gdyby miał cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie. Millie...

Jak bardzo się zmieniła? Connie przynosiła mu zdjęcia w ciągu tych lat, rozpoznaliby więc dziewczynkę na ulicy. Ale nie miałyby to nic wspólnego z faktycznym znaniem jej. Zerknął na żonę. Ukradkiem i zaraz uciekł znów spojrzeniem. Żadne z nich nie było gotowe na dłuższy kontakt wzrokowy. Wyczekiwał jej wizyty z ekscytacją czy czymś podobnym, ale teraz czuł wyłącznie strach. Czego od niego chce? Dlaczego pojawiła się nieoczekiwanie? W końcu minęło tyle czasu. Była zarazem nieznaną, jak i osobą, którą znał najlepiej na świecie. Co to mówiło o jego życiu?

Nie spodziewał się, że rozmowa przebiegnie płynnie. Jakżeby mogła? Po trzech latach milczenia i wcześniejszych sześciu, podczas których Daisy go oszukiwała, celowo zatajając przed nim informacje. Co mogła powiedzieć, aby zasypać dzielącą ich przepaść? Przypuszczał, że usłyszy od niej strzępki nowin, nie nastawiał się na prawdziwą ucztę. Może powie mu, co robiła w ubiegłym tygodniu. Czy jej obecni uczniowie chętnie współpracują, czy są weseli albo skupieni na poprawianiu ocen przed rozdaniem świadectw. Rok szkolny zbliżał się do końca. Czy w ogóle wspomni o Millie? Dziewczynka nie była jego.

Cisza się przeciągała. Simon nie wiedział, jak ją przerwać. Od czego zacząć. Nie chciał mówić o swojej rozpacz, o swoim smutku. Znienacka nieśmiały, stwierdził, że Daisy najprawdopodobniej nie obchodzą jego uczucia. Za dużo sobie wyobrażał. Mówienie o cierpieniu byłoby uczciwe, ale przygnębiające, o nadziejach zaś – przedwczesne. Zresztą już dawno przestali się dzielić swoimi myślami, czymkolwiek, co im przyszło do głowy. Bezpieczniej było unikać kontrowersyjnych tematów. Szczególnie że byli pełni wzajemnych oskarżeń. Milczących, lecz o wielkiej sile. Przedłużająca się cisza była jak najwymyślniejsza tortura. Z irytacji Simon poczuł swędzenie na całym ciele.

Zaraz po ślubie Daisy opowiadała mu praktycznie wszystko, co jej się przydarzyło, gdy nie byli razem; przekazywała każdą myśl, którą pomyślała pod jego nieobecność. A on rewanzował się tym samym. Mówiła o sprzeczkach w pokoju nauczycielskim, co zjadła na lunch, ile czekała na powrotny autobus do domu. On przytaczał opinie klientów na temat jego projektów, śmiał się, że nie umiał obsłużyć ekspresu do kawy w sali narad, utyskiwał, że na autostradzie był korek i dla zabicia czasu słuchał radia. W tamtym okresie wiecznie ze sobą rozmawiali, nigdy nie brakowało im spraw do omówienia. Pamiętał, że chcieli wiedzieć o sobie wszystko, żalowali czasu spędzonego osobno, starali się go nadrobić pytaniami i odpowiedziami. Bywało, że chrypli od ciągłego mówienia, że wstawali nieprzytomni po całonocnej sesji zwierzeń. Także w weekendy, których każdą chwilę spędzali razem, mieli o czym mówić: wymieniali opinie o programach obejrzanych w telewizji, starali się zgadnąć, w którą stronę potoczy się fabuła, i pastwili się nad nielubianymi postaciami; rozważali, co zjeść na kolację, a po spotkaniach z przyjaciółmi brali ich na tapet. Kto wydawał się szczęśliwy, kto nieszczęśliwy? Cisza im nie groziła.

Później to się zmieniło. Przez jego picie. Przez wspólne pragnienie dziecka. Przez jej niewierność. Przez...

Dzięki terapii grupowej zaczął sobie przypominać różne rzeczy. Przeżywać je od nowa. Akceptować. Cierpiał, ponieważ – teraz, gdy nie pił – pamiętał tak wiele, nie mógł mieć jednak pewności, że i ona pamięta. Wydawało mu się, że zapomniała, jak kiedyś się potrzebowali, pragnęli, jacy byli sobie bliscy.

Okłamała go. Zdradziła. Z tym też musiał żyć. Musiał to zaakceptować.

– Co w szkole? – zapytał. Początek dobry jak każdy inny.

Spoglądała na niego zimno, krnąbrnie.

– W porządku. – Wzruszyła ramionami.

Dzielnie brnął dalej:

– Nadal uczysz w tym samym miejscu?

– Tak – odparła z westchnieniem.

Nie miał pojęcia, co ono oznacza. Już wcześniej się zastanawiał, jak wyglądało jej życie po wypadku. Jak długo matki uczniów o niej plotkowały, spotykając się przy szkolnej bramie? Czy niektóre zagarniały swoje dziecko ramieniem, by chronić je przed przechodzącą obok panią Barnes? Ferowały na jej temat sądy za to, że pozostała żoną pijaka, który omal nie przejechał ich dziecka? W niektórych branżach trzy lata to długi czas – na przykład w reklamie czy telewizji to wręcz cała epoka – lecz z tego, co wiedział Simon, pracownicy szkoły mają pamięć słonia: nigdy nie zapominają. Niewątpliwie więc Daisy nadal nosiła piętno jego hańby. Może nawet dyrektorka szkoły sugerowała nie tak znów dyskretnie, że lepiej dla Daisy – dla wszystkich właściwie – byłoby, gdyby poszukała nowego miejsca zatrudnienia, nowego początku. Simon nie potrafił ocenić, w jakim stopniu Daisy może być nadal narażona na ostracyzm. Czy cierpiała z tego powodu? Czy była samotna?

Tak jak on tutaj?

Chciał wierzyć, że nie.

Dzieci na pewno nie traktowały jej podejrzliwie. Nawet jeśli słyszały plotkujących rodziców, nie miało to dla nich znaczenia. Dzieciaki dbały tylko o to, czy nauczyciel jest sprawiedliwy, czy postępuje konsekwentnie. Czy pamięta o cukierkach z okazji Bożego Narodzenia i czekoladowych jajkach z okazji Wielkanocy. Simon wiedział, że Daisy bardzo tego pilnuje. Nieraz biegli do supermarketu na ostatnią chwilę, żeby kupić słodyczne zwiastujące nadejście ferii.

Przyglądał się żonie i zastanawiał się nad jej życiem – tym, które niegdyś z nią dzielił, a które teraz wydawało mu się tak odległe. Daisy

sprawiła wrażenie smutnej. Pograżonej w głębokiej melancholii. Było też coś jeszcze. Wydawała się jakby rozgniona. Podenerwowana? Wystraszona? Tak, to ostatnie. Poznawał to po jej oczach, które przybrały odrobinę ciemniejszy odcień. To zrozumiałe, że się bała. Znajdowała się w więzieniu, na sali widzeń; trudno w takich warunkach spodziewać się po kimś entuzjazmu i radości. Rozejrzała się znów po pomieszczeniu... szukając tematu? Po chwili poinformowała go:

– W dalszym ciągu odwiedzam Elsie.

– O, to dobrze. Dziękuję. – Głos bez wyrazu przeczył słowom. Simon chciał okazać zadowolenie. Chciał udowodnić, że dba o matkę i że jest wdzięczny żonie, nie miał jednak w sobie tyle energii. Nic dziwnego, że odezwał się głucho, jakby nic go nie obchodziło. Niemal w ogóle. – Poznaje cię jeszcze? – Nie robił sobie większych nadziei.

– Raczej nie.

– No tak.

– Ale miewa się dobrze. Pod innymi względami – dodała Daisy równie sucho. – Zważywszy na okoliczności.

Od dłuższej chwili Simon czuł, że poci się pod pachami. Miał takie wrażenie, jakby jego ciało się skurczyło i chciały je przebić kości. Czuł się stłamszony, napięty, było mu niewygodnie we własnej skórze. Wyobrażał sobie, że jest ładunkiem wybuchowym. Tik-tak. Skupił się mocno na swoim oddechu. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech. Woolno, powooli. Zaczął odliczać w głowie. Westchnął, wydobył coś z odmętów umysłu. Z szacunku dla ich przeszłości? W nadziei na jakąś przyszłość?

– Jakie okoliczności? – zapytał. – Jej stan czy mój?

– Nie wszystko kręci się wokół ciebie, wyobraź sobie – powiedziała.

– To była próba żartu – rzucił obronnie.

– Nie ma się z czego śmiać.

Nie. Nie było. O tym akurat wiedział najlepiej. Skinął głową – napomniany, smutny, bezradny. Czy mógł powiedzieć coś, co by ją zadowoliło? Nie. Na terapii grupowej zalecano komunikację werbalną. Wypowiadanie się na głos, zamiast duszenia wszystkiego w sobie. Kąciki jego ust lekko drgnęły. Co za wyrażenie – „dusić wszystko w sobie”. Terapeuci powinni uważniej dobrać słowa.

– Często wracam myślami do naszej pierwszej randki – oznajmił nagle. Daisy gapiła się w jakiś punkt ponad jego ramieniem, wiedział jednak, że go słucha; nie miała wyjścia. – Jak nazywała się ta włoska knajpka, do której tak lubiliśmy chodzić? Ta, gdzie siedzieliśmy na ławach przy długich stołach, razem z innymi gośćmi, i wszyscy napychali sobie brzuchy. Pamiętasz? Można tam było przynieść własne wino, płaciło się tylko parę funtów korkowego. Prowadził ją... Luigi?

– Nie. Carlo – odmruknęła z wyraźną niechęcią. Jej drobiazgowość tymczasowo przeważała złość na niego.

– Carlo. – Potaknął usatysfakcjonowany Simon. Wiedział to oczywiście, popełnił błąd celowo, pragnąc wciągnąć Daisy w rozmowę. Pozostał sprytny, jeśli chodzi o takie rzeczy. – Tuliliśmy się do siebie, a jacyś nieznajomi siadali obok. Nieznajomi w jednej chwili, znajomi w drugiej, bo zawsze ich zagadywaliśmy, prawda?

– Często – potwierdziła, gdyż rzeczywiście tak było. Simon był kiedyś bardzo towarzyski, nagabywał przyjacielsko każdego, kogo spotkał.

– Tu, w stołówce, też jemy przy długich stołach. Ale niewiele rozmawiamy – poinformował ją.

Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. Nie starał się w niej wzbudzić współczucia. Po prostu stwierdził fakt. Na jego oczach znów się przed nim zatrzasnęła. Zraniona? Zagniewana? Jakaś. Nie powinien był tego mówić. Daisy nie była gotowa poznać tego miejsca lepiej. Podążył

więc myślami do Carla i jego lokalu, który był hałaśliwy, zadymiony; istna spelunka. Uwielbiali tam chodzić! Simon poczuł, jak wzbiera w nim tęsknota. Takie spacerowanie ścieżkami pamięci zaliczały się do strategii przetrwania. Nie chciał być tutaj. Kto by chciał? Daisy uciekła wzrokiem, wbiła spojrzenie w plastikowy blat. Wyraźnie odmawiała wspólnej przechadzki. Niezdolna – bądź niechętna – dać mu to, czego potrzebował. Mimo to ciągnął:

– Wieczór był ciepły. Po tamtej kolacji długo spacerowaliśmy ulicami. – Sama rozkosz. Wolność i beztroska. Takie włóczenie się bez celu. – Wszędzie było pełno ludzi, turystów i miejscowych, wytaczali się z pubów i barów. Poszliśmy do parku. Którego? – Był to Regent's Park, o czym Daisy z pewnością wiedziała, lecz nie odezwała się ani słowem. – Akurat wystawiali przedstawienie. Aktorzy już schodzili ze sceny, kierowali się do wyjść. Nadal w kostiumach. – Jego twarz, zwykle bardzo napięta, rozluźniła się. – Grali Szekspira, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam. – W rzeczywistości wiedziała, że wystawiano wtedy *Sen nocy letniej*. Simon był niemal pewien, że Daisy to wie.

Być może sprawiły to dwie butelki białego wina, a może raczej surrealistyczne poczucie, że kroczą przez Londyn pełen wrózek i skrzatów, w każdym razie Daisy kiedyś przyznała, że była to najdoskonalsza i najbardziej obiecująca pierwsza randka, jaką może sobie wymarzyć kobieta. W powietrzu czuło się miłość, delikatną jak babie lato. Simon zdjął buty i skarpetki i wszedł do fontanny, Daisy wkrótce do niego dołączyła. Nie przejmowali się czystością – czy raczej brudem – wody. Daisy miała na sobie lniane spodnie, on drelichowe, oboje podwinęli je do pół łydki. Przywarli do siebie udami, ramionami, spoceni i klejący. W miarę

pustoszenia parku Daisy się zaniepokoiła, o której zamykają bramy, czy zostaną tu uwięzieni na noc.

Skończyło się na seksie w cieniu fontanny.

Nie do wiary. Inne życie. Inny świat.

Simon się zastanawiał, czy Daisy też o tym rozmyśla. Miał nadzieję, że tak.

– Pamiętasz czasy, kiedy mogliśmy się całować godzinami?

– Przestań.

– Skupiałem się na jednej krągłości albo jednym piegu. Jakby to był cud. Nadzwyczajne przeżycie.

– Simon, przestań – powtórzyła.

– Próbuję cię przeprosić, Daisy.

– Nie jesteś w stanie. Nie da się przeprosić za to, że omal nie zabiłeś dziecka. Że uśmierciłeś nasze małżeństwo. Nie masz prawa przeproszać, bo to nigdy nie wystarczy.

– Wiem. Naprawdę to wiem. Ale jak mógłbym naprawić te krzywdy?

– Nie mam pojęcia. Zdarza się, iż coś jest zepsute tak, że nie sposób tego naprawić.

– Nie wierzę w to.

– Spędziła w szpitalu wiele tygodni. Pojawiły się komplikacje. O mały nie umarła i nigdy nie zostanie tancerką.

– Zostanie kimś innym. Kimś równie wspaniałym. Mając sześć lat, dzieci myślą o konkretnych zawodach, ale później tracą zainteresowanie nimi.

– Jak możesz być tak bezduszny?

Mówił sfrustrowanym, obojętnym tonem. Nie był taki jednak. W rzeczywistości czuł się zagubiony. Starał się doszukiwać dobrych stron,

ale nie miał pojęcia, czego Daisy od niego chce.

– Dlaczego przyszedłeś, Daisy?

40

DAISY

Cisza rozpiera się pomiędzy nami. Napiera na wszystkie lata, które spędziliśmy razem, te dobre i te złe, i je dławi. Niegdyś mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. Tak to zwykle bywa. Z początku.

Chodziliśmy po restauracjach. Nie tych modnych, nigdy ich nie lubiłam. Najczęściej wybieraliśmy jakiś zaciszny lokal, gdzie serwowali pyszny makaron i gdzie kelnerzy tarli parmezan bezpośrednio nad podanym daniem, nie szczędząc wiórków. Odkąd pamiętam, uwielbiam węglowodany. Czasami tyle rozmawialiśmy – zaśmiewając się z żartów o tym czy o tamtym – że umykało naszej uwadze wykruszenie się innych klientów, którzy postanowili spasować tego wieczoru i wrócić do domu. Nieraz zmęczeni kelnerzy zaczęli zamiatać podłogę wokół nas, dosłownie wypychając nas za drzwi. W ramach przeprosin zostawialiśmy gigantyczne napiwki, łapaliśmy nasze okrycia i wypadaliśmy na zewnątrz. „Tylko żebyś sobie nóg nie połamala!”, rzucał za mną Simon. Kiedyś się tak mówiło. Simon zrobił z tego nasze powiedzonko i używał go zawsze, ilekroć skądś wychodziliśmy: czy to z domu rodziców po niedzielnym obiedzie, czy to z terenu szkoły, po tym jak skończyłam pracę. Potrafił nawet zajrzeć do pokoju nauczycielskiego i powiedzieć to, nie bacząc, że dyrektorka siedzi u szczytu stołu i pije herbatę, rozmaczając w niej herbatniki. W takich sytuacjach nie umiałam powstrzymać chichotu.

Już od pierwszej randki wiecznie trzymaliśmy się za ręce. Ta mała rzecz sprawiła, że mu zaufałam. Miałam za sobą szereg związków z podejrzanymi typami, którzy umawiali się z wieloma kobietami naraz i nie mogli ryzykować przyłapania na okazywaniu uczuć. Przy Simonie czułam się bezpieczna. Pokładałam w nim wiarę. Teraz duchy tamtej szczęśliwej pary zdają się tańczyć wokół naszego stolika. Nawiedzają nas. W więzieniu nie można się trzymać za ręce; taka instrukcja znalazła się w broszurze, którą dostałam. Przeczytałam ją tak samo uważnie, jak kiedyś listę reguł obowiązujących na występach Millie. Nie lubię łamać zasad. Nie twierdzę, że chciałabym ująć Simona za dłoń. Mówię tylko, że gdybym pragnęła to zrobić, nie mogłabym. Bo co by było, jakbym mu coś podała? Ostrze na przykład. Czy żona by to zrobiła? Podała ostrze mężowi? Przypuszczam, że to możliwe. Gdyby mąż był wystarczająco zdesperowany. Gdyby ona była wystarczająco zdesperowana. Ale nie wiem, jak coś takiego jak ostrze umknęłoby starannej kontroli na bramkach. Musi raczej chodzić o narkotyki. Z pewnością są żony, które by je dostarczyły swoim mężom. Chętnie zapewnić im dobre samopoczucie mimo wszystko.

Nie jestem w stanie pocieszyć Simona. Nie po to tutaj przyjechałam (aczkolwiek on może myśleć, że tak właśnie jest). Nie wiem, co mu powiedzieć, a on nie wie, co powiedzieć mnie. Zbyt wiele między nami niewypowiedzianych słów. Nie podoba mi się tutaj. Jestem zła, że muszę siedzieć wśród tych przestępców: złodziei, gwałcicieli, morderców. Zdaję sobie sprawę, że przemoc i okrucieństwo są wszędzie, lecz tu występują w skupieniu, od którego aż mnie mdli. Co za plugawe miejsce. Przerazające miejsce. Oczywiście jestem zła na Simona, że przez niego muszę tu być. To bolesna wizyta, nabrzmiała ciszą, przemilczanymi oskarżeniami, niewyartykułowanymi przeprosinami. Towarzyszy jej fala sprzecznych emocji, która grozi, że oboje utoniemy.

– Wybacz, Daisy. To dla mnie trudne – wyrzuca z siebie nagle Simon. Trudne dla niego?! Odwracam wzrok, mrugam szybko, tłumię łzy. – O Boże, przepraszam. Teraz się na mnie gniewasz. – Potrząsam gwałtownie głową. Simon podbija stawkę. – Jesteś wściekła?

Być może. A może tylko wstrząśnięta, smutna. Sama nie wiem, co czuję. Serce łomocze mi o żebra. Oddech więźnie w gardle. Emocje mnie przytłaczają. Poczucie straty, żalu, strachu, bólu. Wszystkie negatywne. Szukam słów. Chcę opowiedzieć mu o Daryllu. Wszystko, od początku do końca. Nie wmanewrowałam go w rolę ojca Millie celowo. Po prostu nie wiedziałam, jak wyznaczyć prawdę. A teraz znaleźliśmy się w tym punkcie i nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa na żaden temat. Już dawno staliśmy się sobie obcy. Przestaliśmy siebie znać.

Simon nachyla się ku mnie i cichym, ledwie słyszalnym głosem szepcze:

– Nie lubię, kiedy ludzie mnie odwiedzają.

Podrywam na niego zszokowane spojrzenie.

– Nie lubisz? Myślałam, że wręcz przeciwnie. Connie poświęca ci swój czas. Nie doceniasz tego? – Nawet w moich uszach te słowa brzmią, jakby mówiła nakręcona dewotka. I jest mi z tego powodu głupio. Bo przecież jej wizyty to sprawa między nim i nią. A mówiąc, że nie lubi odwiedzin, obraził mnie. To ja tutaj jestem i to mnie powiedział, że nie lubi, kiedy ludzie go odwiedzają. Chociaż... jakie mam prawo czuć się urażona? Po tak długim czasie?

Wyraźnie żałując swego wyznania, które wyrosło między nami niczym bariera, Simon wyrzuca z siebie:

– To znaczy... lubię, oczywiście... Ale... To skomplikowane. Z jednej strony wyczekuję wizyt Connie, z drugiej strasznie się ich boję. – Przeczesuje włosy palcami obu rąk. Rozważnym, stanowczym gestem. – Po

jej wyjściu długo nie mogę się pozbierać. Czasem trwa to kilka dni. To dwa różne światy. Ten, w którym żyłem na zewnątrz, i ten w zamknięciu, gdzie jestem obecnie. Wymaga się ode mnie, abym był dwiema kompletnie różnymi osobami naraz. Każda wizyta to jak potężne zderzenie obu tych światów. – Simon się wzdyga, z pewnością chciałby cofnąć to, co powiedział o zderzeniu, chciałby wymazać to słowo. Kiedyś niewinne, teraz naładowane znaczeniem niczym fatum. Mój mąż poprawia się na swoim miejscu, jakby było mu niewygodnie. – Ty zaś... Wyczekiwałem twojej wizyty, ale też okrutnie się jej obawiałem.

Patrzę na niego, lecz nic nie mówię. Na pewno myśli, że go oceniam. Że wierzę, iż nie ma prawa się skarżyć. W końcu trafił tu w ramach kary. A kara musi być dotkliwa, ciężka do zniesienia. Nie osądzam go jednak. Czuję się zagubiona. Przerazona. Nie przyszłam tutaj, by usłyszeć, że za mną tęsknił. Między nami wszystko skończone. Nie ma „nas”. „My” to nieprawdopodobieństwo. Tylko że...

– Po dzisiejszym dniu – podejmuje Simon – przez tydzień będę się zastanawiał, jak twoim zdaniem poszło. Jak się czujesz. I będę się zamartwiał.

– Nic mi nie będzie – kłamię z zimną krwią.

– Na pewno? Na pewno?! – Wpatruje się w moje oczy desperacko, jakby chciał wyczytać w nich odpowiedź. Gdy wciąż się nie odzywam, dodaje cicho: – Tu wszystko jest inaczej. Co ja gadam, przecież to oczywiste. – Głos mu drży. Wiele go kosztuje to wyznanie, powiedzenie czegokolwiek właściwie. – Musiałem zbudować wokół siebie mur, rozumiesz? Bariery, która zapewniłaby mi bezpieczeństwo i chroniła moje zdrowe zmysły.

Kiwam wolno głową. Wiem coś o barierach. Murach. Nie mam jednak pojęcia, jak daleko powinnam się posunąć we współczuciu dla Simona.

– Przedtem też byłeś odgradzony – przypominam. – Bariere stanowił alkohol.

– Już nie piję, Daisy.

– Tutaj to niemożliwe. Nie masz dostępu do alkoholu.

– Na wolności też nie będę pił.

Byłam świadkiem, jak się zaklina „nigdy więcej” w południe, po tym jak się obudził na kacu po całonocnej jeździe, a następnie o siedemnastej pytał: „Czy to za wcześnie? W końcu gdzieś już zaszło słońce. Muszę tylko strzelić sobie klina”. Na pewno widzi z wątpienie malujące się na mojej twarzy; musi pamiętać składane mi próżne obietnice.

Simon wzdycha. To musi być dla niego wyczerpujące emocjonalnie.

– Tak. Tak, wiem, że wszystko to już słyszałaś. – Coś w nim pęka. – Po prostu staram ci się wyjaśnić, że usiłuję zburzyć ten mur i stać się znów człowiekiem, którym byłem przedtem, na wolności.

Czuję, jak usta wyginają mi się w odruchu obrzydzenia.

– Nie chcę znać tamtego Simona – szepczę gniewnie.

– Rozumiem, oczywiście, że nie chcesz. Ale nie chodziło mi o czas bezpośrednio przed wypadkiem. – Wpatruję się w niego z natężeniem, nieprzychylnie. – Ja... Próbuję odnaleźć dawnego siebie. Usiłuję być dawnym sobą, Daisy. Tym sprzed picia. Przepraszam, że nim nie jestem. Chciałbym nim znowu być. – Milknie. Wbija wzrok w podłogę. Gdy po czasie zdającym się wiecznością podnosi oczy, aby spojrzeć na mnie ponownie, czyni to z wielkim wysiłkiem, jakby ciągnął pod górę wóz wypełniony cegłami. – A ty? Nie chciałabyś znów ujrzeć tamtego Simona?

To pytanie jest jak cios. Czuję się, jakby ktoś mnie kopnął w brzuch i zostawił zgiętą wpół z bólu. Jego mina, jego postawa, jego słowa wywołują w mojej pamięci obraz Simona Barnesesa z czasów, gdy go poznałam. Kiedy unosiliśmy się na fali nadziei, nieśmiałości,

prawdopodobieństwa. Kiedy staraliśmy się przekazywać sobie nasze ulotne intymne myśli, wierząc, że zrozumienie i komunikacja liczą się najbardziej ze wszystkiego. Dociera do mnie, że Simon rzucił alkohol, że jest pełnowartościowym człowiekiem. W jego sercu i umyśle zapanowała jasność. Dostrzegam jego piękno.

– Simon... Chcę się z tobą rozwieść.

41

SIMON

Simon ledwie pamiętał, jak wrócił do celi. Po drodze mijał garbiących się mężczyzn przygnębionych faktem, że pora widzeń minęła, a następna będzie dopiero w kolejnym tygodniu. Stawiał na przemian stopy. Zaczerwieniony z upokorzenia i rozczarowania. Rozpalony frustracją. Pot ciekł mu po plecach, wewnątrz rozdzierało cierpienie. Daisy chciała się z nim rozwieść. Po takim długim czasie. To prawda, że nie odwiedzała go przez całe trzy lata, gdy pozostawał w zamknięciu, ale poczytywał to za dobry znak. Wmawiał sobie, że nie chce go widzieć w więzieniu, aby mieli szansę na kontynuowanie normalnego życia na zewnątrz. Oczami wyobraźni widział swoje pozbawienie wolności jako pauzę raczej niż kropkę w historii ich związku. Nie był głupcem, wiedział, że tracą czas, że on traci czas. Sądził jednak, że gdy wyjdzie, trzeźwy i lepszy, Daisy przyjmie go z powrotem. Wierzył w to aż do tej pory.

A przynajmniej miał na to nadzieję. Była to jedna z rzeczy, które sobie powtarzał, aby przeżyć.

Być może był zwykłym idiotą.

Rozgorzała w nim iskra gniewu. Przełknął ciężko, próbując ją zdławić. Nie chciał pozwolić, by wybuchnęła wysokim płomieniem. Wiedział, że ból, żal, wściekłość potrafią zamienić człowieka w proch.

Tak wiele tu przeszedł. Przymusowy odwyk był katorgą, z którą się jednak pogodził; którą nawet powitał z otwartymi ramionami. W chwili gdy się zbudził w policyjnym areszcie po tamtej strasznej nocy, rozumiał już, że nigdy, przenigdy nie zdoła rzucić alkoholu na wolności. Być może uświadomił to sobie moment wcześniej, gdy ciało Millie uderzyło w maskę samochodu, wyleciało w górę, po czym plask, chrzęst wylądowało na ziemi. Odczuł to całym sobą, pojął, że osiągnął najgłębsze dno, że niżej nie ma już nic. Nie miało to nic wspólnego z logiką ani myśleniem. Był to czysty instynkt. Instynkt ojca i męża. Zrozumiał, że jego ocaleniem jest więzienie. Ich ocaleniem. Nie mogli liczyć na nic innego. Przypuszczał, że wtedy do głosu doszedł jego instynkt przetrwania.

Odwyk był dla niego procesem, w którym zaakceptował i wchłonął ból. Ten fizyczny i psychiczny. Wymiotował tak długo i tak mocno, że w końcu jego żołądek zaczął wyrzucać z siebie krew. Trząśł się i pocił, serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, ciśnienie krwi poszybowało niebotycznie. Ból głowy był tak silny, że nie umiał powstrzymać krzyku. Właściwie to wrzeszczał. Na wolności podano by mu elenium, za kratkami dostał plastikową miskę na rzygi.

Po paru dniach bez alkoholu zaczął doświadczać splątania i dezorientacji. Przeróżające były próby rozróżnienia, co dzieje się naprawdę, a co tylko w jego głowie. Sam pobyt w celi, status więźnia, przestępca, był dla niego wystarczająco trudny. Bez drinka nie potrafił się odnaleźć w tej całkowicie nowej dla niego sytuacji. Potem zaczęły się omamy. Z gatunku tych makabrycznych. Widział, jak jego córka wkracza do celi, następnie przez ścianę przejeżdża samochód, kosi ją, rozpłaszcza. Krew i flaki tryskały na wszystkie strony, brudząc mu ubranie, twarz. Okropieństwo. Zwinął się w kłębek i błagał, aby to się skończyło. Stracił rozeznanie, co jest rzeczywiste, a co pozostaje w domenie koszmarów –

zwłaszcza że sam żył w koszmarze i coraz głębiej pograżał się w paranoi, wstydzie, żalu.

Później doszło życie więzienne. Na każdym kroku doświadczał upokorzeń. Musiał załatwiać potrzeby fizjologiczne w obecności gapiącego się współlokatora, występować z wnioskiem o skorzystanie z telefonu, prosić o mydło, wytwarzać pieprzone siateczki na włosy. I te rzeczy, których się naoglądał, nasłuchał. Które przeżył. Robił, co mógł, aby nie rzucać się w oczy, pozostać niezauważonym przez zasiedziały więźniów. Zniknąć. Mimo to dalej był świadkiem rzeczy zatrważających, kaleczących psychikę, rzeczy, których nigdy nie zdoła wyrzucić z pamięci.

Wytrzymał jakoś monotonię i podłe jedzenie. Pogodził się z tym, że marnuje najlepsze lata swojego życia. Wszystko to robił dla niej. A teraz ona zażądała rozwodu.

Uderzył pięścią w ścianę. Kurwa, zabolalo. Pewnie połamał sobie kości dłoni, ale to nic, gdyż poczuł się lepiej. Ulżyło mu. Zaczął więc grzmocić raz po raz.

– Ej, przestań. Przestań, człowieku!

Leon zerwał się na nogi i odciągnął go od ściany. Był chudszy od Simona, ale przewyższał go wzrostem. Na ogół pozostawał bierny, opanowany; niewiele zdradzał. A jednak wybuch współwięźnia wyprowadził go z równowagi.

– Nie chcemy kłopotów. Nie możesz niszczyć celi – wypluł z siebie.

Simon wcale nie zniszczył ściany, zrobił sobie tylko krzywdę w rękę, która teraz aż pulsowała. Nie był w stanie się skupić na słowach Leona. Miał gdzieś, czy spadną na niego kłopoty. I czy przysporzy kłopotów Leonowi. Było mu już wszystko jedno.

– Muszę się napić! – ryknął.

– Co? Nie. Nie, człowieku, nie.

Odkąd się tutaj pojawił, słyszał o więźniach gromadzących sok pomarańczowy i cukier, ekstrakt z drożdży i warzyw, który dostawali tu do smarowania pieczywa, kawałki z rzadka wydzielanych owoców. Robili z tego samogon. W uszach Simona brzmiało to dobrze. Przestrzeżono go, że to najlepsza wersja bimbru, ponieważ w użytku był też ketchup, chleb, mleko, galaretka owocowa i lukier, cokolwiek wpadło pędzącym w ręce. Taka paćka pęczniała w plastikowych workach trzymany pod pryczą, roztaczając woń, której nie dawały rady ukryć brudne ręczniki ani przepocone ciuchy. Zdarzało się, że zaczyn atakował jakiś grzyb. Mimo to znajdowali się chętni, którzy pili to obrzydlistwo w przejawie desperacji. Który uzależniony nie jest desperatem? Simona nic nie obchodziło, czuł przemożne pragnienie.

– Pogadam z braćmi Dale. Pędzą księżycówkę, a ja muszę się napić.

– Nie, nie, nawet o tym nie myśl. Nie chcesz wchodzić z nimi w konszachty. To dranie. Niebezpieczne dranie. Siadaj, mów, co się stało. – Leon praktycznie popchnął Simona na małe plastikowe krzesło, po czym sam usiadł naprzeciwko, na dolnej pryczy, z braku innego miejsca. – Opowiadaj! – Simon odwrócił głowę. – Będę musiał ci wystarczyć, nie znajdziesz tu wielu współczujących osób – przekonywał Leon.

Uważał się za przyjaciela Simona bądź za kogoś, kogo można uznać za przyjaciela w miejscu takim jak to. A Simon musiał się komuś zwierzyć. Nie mogąc spojrzeć Leonowi w oczy, trzymał wzrok wbity w podłogę, kiedy wymamrotał:

– Daisy żąda rozwodu.

– Przykro słyszeć. – Leon nie wydawał się szczególnie zdziwiony. Simona to zdenerwowało, obraziło. Poderwał głowę i spojrzał na współlokatora palącym wzrokiem, lecz Leon skwitował jego gniew wzruszeniem ramion. – Prawie zawsze tak jest. W przypadku tych co

porządniejszych. Po co miałyby się trzymać facetów takich jak my? Tylko zdziry i te, co nie mają wyjścia, czekają na tych, co siedzą w kiciu.

– Nieprawda – zaprzeczył Simon. – Niejedna porządna kobieta stała murem za swoim mężczyzną.

Ubierając w słowa swoją opinię, Simon zdał sobie sprawę, jak jest nieadekwatna. Dotyczyła skorumpowanych polityków i piosenkarzy country z lat sześćdziesiątych.

Leon zrobił zamyśloną minę. Na wolności uznano by go za osobę o wysokiej inteligencji emocjonalnej.

– Chciałbyś tego, naprawdę? Jeśli ją kochasz, pozwól jej odejść. Skoro jest porządna, zasługuje na porządnego faceta, nie na skazańca.

To o to chodziło? O innego faceta? Simon pomyślał, że nie da się tego wykluczyć. W końcu już raz go zdradziła. Jednak nie tak to sobie wyobrażał. Przewidywał całkiem inne zakończenie.

– Ale dlaczego chce rozwodu właśnie teraz?

– Niedługo stąd wyjdiesz – odparł Leon. – Postaw się na jej miejscu. Osobiście nic do ciebie nie mam, zachowywałeś się wobec mnie okej. Ale niemal zabiłeś swojego dzieciaka, bo lubisz się napić, a gdy znów znajdziesz się na wolności, będziesz mógł pić do woli. I przestaniesz być okej. Spójrz tylko. Ledwie napotkałeś problem, musisz się napić. To pomyśl, co będzie, jak wyjdiesz.

Simon gapił się na Leona półprzytomnie. Nie umiał się skupić. Potrafił myśleć wyłącznie o tym, aby się napić. Zakończyć tę rozmowę i napić się, pić, dopóki o wszystkim nie zapomni.

Tymczasem Leon się uparł być realistą.

– Na wolności będziesz napotykał problemy co rusz. Nie znajdziesz pracy. Ktoś coś powie. Nadepnie ci na odcisk. A ty momentalnie sięgniesz

po butelkę. Jeśli kochasz swoją żonę, powinieneś dać jej ten rozwód, pozwolić, by żyła dalej własnym życiem. Jesteś jej to winien.

– Wcale nie.

– A właśnie że tak. W pewnym sensie.

– Nie. Nie! – powtórzył Simon z mocą, po czym z nutką groźby w głosie dodał: – To ona ma dług wdzięczności względem mnie.

Leon zmrużył oczy.

– Jak to?

– To nie ja prawie zabiłem naszą córkę, tylko ona.

– Co?

– Wziąłem winę na siebie. – Od rewelacji Simona powietrze aż się naelektryzowało.

– Co ty, kurwa, opowiadasz?

– To Daisy siedziała za kierownicą. Nie ja. – Wyznanie Simona padło piskliwym, drżącym tonem. To była wielka sprawa. Okropna.

Leon popatrywał na niego spod zmrużonych powiek. Chwilę mu zabrało, zanim zdał sobie sprawę z tego, co usłyszał. Zanim zrozumiał.

– Ona kierowała? Twoja żona?

– Tak. – Simon umilkł na chwilę. – Nie twierdzę, że jestem bez winy. Wiem, że zawiniłem. Kłóciliśmy się. Rozpraszałem ją. Bez przerwy sięgałem do radia. Chciałem puścić muzykę głośniej. Śpiewałem na całe gardło, a ona się martwiła, co sąsiedzi powiedzą, ściszała dźwięk. W tym celu odrywała wzrok od jezdni.

– Cholera. – Leon otarł usta, potrząsnął głową, ale nie przestał się wpatrywać we współlokatora.

Simon wiedział, co to oznacza. Leon się zastanawiał. Oceniał sytuację. Próbował zdecydować, czy mu uwierzyć, czy nie. Simon robił, co mógł,

aby się odkryć, pokazać drugiemu człowiekowi prawdziwą twarz. Było to trudne po tylu latach ukrywania się, kłamstw i chowania prawdy przed światem. Wrócił ostrożnie myślami do tamtych chwil – znów coś, czego od dawna nie robił. To go przerastało. Wspomnienia były bezlitosne, okrutne.

– Nie zapięła pasa – zaczął mamrotać. – To było do niej niepodobne. Normalnie zawsze stawia bezpieczeństwo na pierwszym miejscu, ale wcześniej próbowałem usiąść za kierownicą. Zatrzymaliśmy się na stacji po wodę i takie tam. Byłem pijany, wyłośliwiałem się. Powiedziałem, że chcę prowadzić. Chyba. Sam nie wiem. Na pewno byłem upierdliwy. Musiała mnie odepchnąć, po czym odjechała w nerwach, zapominając o pasie.

Słowa wibrowały w celi. Uwięzione jak obaj mężczyźni. Atakowały umysł. Leon wyglądał na przestraszonego, zaniepokojonego. Nadal nie wiedział, co o tym myśleć. Wszyscy więźniowie twierdzili, że są niewinni, że zamknięto ich niesłusznie. Simon też mógł wciskać kit. A jednak coś w sposobie, w jaki dzielił się tą historią, jakiś smutek, jakaś beznadzieja, kazało Leonowi uwierzyć, a przynajmniej chcieć usłyszeć coś więcej.

– Byliśmy już prawie na miejscu. Braliśmy ostatni zakręt, w naszą ulicę. Muzyka ryczała, jak już mówiłem. Daisy była o to zła, rozkojarzona. A Millie wbiegła na jezdnię tuż przed maską. Szybka jak błyskawica. Ułamek sekundy i było po wszystkim. Daisy skręciła ostro, ale uderzyła w drzewo.

– O kurwa...

– Szarpnęło nami potężnie. Daisy wyrznęła głową w przednią szybę. Straciła przytomność. Potem się okazało, że doznała wstrząśnienia mózgu. – Simon odetchnął głęboko, powoli. Od tak dawna tłumił te wspomnienia, setki razy przełykał cisnące mu się na usta słowa, że teraz, gdy czynił tę spowiedź, dając prawdzie nowe życie, czuł, jak drapią go w gardle. – Wyskoczyłem z samochodu. Najpierw sprawdziłem stan Millie.

Na szczęście nie byłem aż tak pijany, żeby nie wiedzieć, co robić. – Ze smutkiem pokręcił głową. – Przedtem niemal zawsze urywał mi się film, łatwo więc było udawać, że i tym razem tak się stało, choć to nieprawda. Od tamtej pory wspomnienie bez przerwy czało się w moim umyśle. Obijało pod czaszką. Katowało. Wezwałem karetkę. Zdawałem sobie sprawę, że jest niedobrze. Bałem się, że ona nie żyje.

– Jednego nie rozumiem. Czemu policja myślała, że ty prowadziłeś? – zapytał sceptycznie Leon.

– Znasz to uczucie jasności, które czasem człowieka dopada, gdy jest pijany? Skupienie na tym, co w danej chwili najważniejsze? – Leon wzruszył ramionami; nigdy nie przepadał za alkoholem. – Miewałem je już wcześniej, choć zwykle chodziło o jakąś bzdurę. Potrafiłem mieć taką ochotę na kebaba, że byłem gotów kręcić się taksówką przez pół godziny, byle go w końcu kupić. Ale tamtego wieczoru moje zafiksowanie obróciło się na dobre. Po prostu wiedziałem. Instynktownie, natychmiast wiedziałem.

– Ale co?

– Że Daisy nie dałaby rady z tym żyć. Ze świadomością, że zabiła córkę. I uświadomiłem sobie, że wcale nie musi. Mogłem ją przed tym uchronić. Chciałem ją uchronić. Musiałem. Postanowiłem wziąć winę na siebie. Przeciągnąłem ją więc na fotel pasażera, ale właśnie wtedy zaczęła odzyskiwać przytomność.

– Nic z tego nie pamięta? Przez to uderzenie w głowę? Bo nie zapięła pasów?

– Zgadza się. Od początku zakładałem, że w którymś momencie może sobie przypomnieć, co naprawdę się wtedy wydarzyło, ale czas pokazał, że do tego nie doszło.

– Robisz mnie w konia. Zmyślasz.

– Nie, skądże – odparł spokojnie Simon.

– O ja cię... O ja cię... – Leonowi opadła szczęka. Potrząsnął głową, jakby chciał odzyskać jasność myślenia. – Odsiedziałeś trzy lata za swoją żonę?

– Mieliliśmy szczęście, że Millie przeżyła. Przypuszczam, że gdybym wiedział, że tak będzie, postąpiłbym inaczej. Ale nie wiem. To nie było coś, nad czym się zastanawiałem, tylko czysta reakcja. Impuls. Mam świadomość, że przy tym rozwoju zdarzeń, gdzie Millie zdrowieje, Daisy raczej by nie została skazana, ponieważ nie piła, na pewno nie tyle, by złamać prawo. – Simon westchnął. – Ale gdyby doszło do najgorszego, gdyby Millie zginęła, Daisy nie umiałaby dalej żyć. Utraciłbym ją tak czy inaczej. Wtedy, na bieżąco, uznałem, że to nasza jedyna szansa. Że to ja muszę pójść do więzienia.

– Decyzję podjąłeś po pijaku. Później, jak już wytrzeźwiałeś, mogłeś zmienić zdanie. Jeszcze przed procesem. Czemu tego nie zrobiłeś?

– Millie długo nie opuszczała szpitala. Zanim zrozumiałem, że nic jej nie będzie, było za późno, aby zmienić zeznania. Zresztą nawet gdybym to zrobił, nikt by mi nie uwierzył.

Choć tyle wyznał Leonowi, nie chciał – nie mógł – powiedzieć jednego. Tego, że jego szlachetny instynkt pozostał niezmienny. Simon ani przez moment nie rozważał zmiany zeznań. Daisy była szanowaną nauczycielką, wydobywała ze swoich uczniów to, co najlepsze, kiedy przygotowywała ich do egzaminu gimnazjalnego i kierowała na ścieżkę edukacji, która mogła doprowadzić te dzieci do Bóg wie jakich osiągnięć. On zaś... Wyrzucony z pracy projektant wnętrz, alkoholik przynoszący wszystkim hańbę. Daisy nalegała na wizyty u jego matki, rozmawiała z lekarzami i pielęgniarkami, chcąc zapewnić Elsie najlepszą opiekę, podczas gdy on podkradał staruszce dzin z szafki nocnej. Daisy była matką Millie. A on... Sam nie wiedział,

czym jest, u diabła. Decyzja była łatwiejsza, niż można by przypuszczać. Jego żona nie nadawała się do więzienia.

Leon gwizdnął cicho.

– Ty musisz ją naprawdę kochać.

– O, tak – potwierdził z prostotą Simon.

Ta deklaracja, tak ważna i zdecydowana, odbiła się od ścian celi echem, które choć na chwilę zneutralizowało odór czarnej rozpacz. Kochał Daisy. Uczynił to, co należało. Mimo że go zdradziła. Mimo że był alkohikiem. Pomimo wszystko. Znalazł sposób na to, aby stać się lepszym człowiekiem.

Simona ogarnęła dziwna lekkość. Dotąd, od trzech lat, ta historia bardzo mu ciążyła. Podczas terapii grupowej uwalniał nieco bólu, żalu i poczucia winy, lecz nigdy nie był w stanie rozstać się z tą opowieścią. Jedyńą, tak naprawdę, która mogła go uleczyć. Uwolnić. Pozwolić na przekroczenie tych ścian, tych krat, pokonanie muru i drutu kolczastego. Nie zamierzał się nią dzielić. Z nikim. Podzielił się z Leonem, gdyż nagle zapragnął szacunku, choćby na krótko, choćby w oczach innego osadzonego.

– Ale ona żąda rozwodu – mruknął Leon, wreszcie rozumiejąc, z czego brała się rozpacz Simona.

– Otóż to. A ja muszę się napić.

42

DAISY

Wybiegam przez więzienną bramę. Inni odwiedzający także wydają się dokądś śpieszyć; więzienie wyrzuca nas ze swoich wielkich ust niczym wymiociny. Dzień nie jest ładny; po ciągu upałów zanoszą się na burzę. Już nawet popada grubymi, tłustymi kroplami. Wzdrygam się, opatulam szczelniej kurtkę, lecz nadal mi zimno. Po przeciwnej stronie ulicy stoi Daryll, czeka na mnie przy samochodzie. Dostrzegam go pierwsza. Widzę więc, jak przeczesuje wzrokiem tłumek ludzi. Przez moment chcę się odwrócić i oddalić, ale natychmiast przeganiam tę głupią myśl. Kieruję się prosto ku autu. Nieoczekiwanie deszcz przybiera na sile, rozpętuje się ulewa. Po twarzy cieką mi strugi wody; to dobrze, Daryll nie zauważy moich łez.

Na mój widok się rozpromienia i rozkłada szeroko ramiona, abym mogła w nie wpaść. Cóż za obrazek byśmy stanowili, jakie wzruszające tableau. Kątem oka widzę, że parę kobiet spogląda w naszą stronę z uśmiechem. Daryll sprawia wrażenie partnera idealnego, czułego i pomocnego mężczyzny. Zamiast dać mu się objąć, biegnę prosto do drzwi pasażera.

– Otwórz, zanim całkiem przemoknę!

– Jak poszło? – pyta. Kiwam głową. Nie jest to odpowiedź, tylko potwierdzenie, że usłyszałam jego pytanie. Nie stać mnie na ignorowanie go. Otwiera zamek automatyczny. Ledwie zajmujemy miejsca w środku, podkręca ogrzewanie. – Ten deszcz wziął się znikąd – komentuje miłym tonem.

Potakuję w nadziei, że nie każe mi mówić o przebiegu wizyty. Tak byłoby najlepiej. Pewnie i tak zakłada, że wypełniłam jego instrukcje co do joty, w związku z czym nie ma o czym rozmawiać. Z Daryllem nigdy nie wiadomo – co powie albo co zrobi, jest dla mnie tajemnicą. Nie mam pojęcia, co jest według niego normalne. Teraz patrzy w boczne lusterko, uruchamia migacz i ostrożnie włącza się do ruchu. Na każdym kroku podkreśla, jak ważnym jest kierowcą. Powinnam to doceniać.

– Co u niego?

Serce podchodzi mi do gardła. Zatem jednak będziemy rozmawiać o Simonie. Nie jestem pewna, czy znajdę słowa, aby opisać to, co właśnie oboje przeszliśmy. Sama nie wiem, czego się spodziewałam; ujrzenie Simona po tylu latach nie mogło być łatwe. Powinnam była się spodziewać, że w swoim towarzystwie pocujemy się obco, że milczenie między nami będzie się przeciągać, pełne napięcia. I rzeczywiście tak się stało. Ale nie przewidziałam przyływu współczucia, siły przyzwyczajenia. Tego, że nie przestałam go znać na wylot. Momentalnie przypomniałam sobie, jak poruszają mu się uszy, gdy unosi brwi; jak nadymają się nozdrza, kiedy chce coś powiedzieć. Nie uświadamiałam sobie nawet, że to cechy typowe tylko dla niego, wyryte w moim mózgu na stałe. Zerkam na Darylla, którego znam od początku studiów, a który mimo to pozostaje dla mnie obcym człowiekiem. Jemy razem, byłam przy tym, jak myje zęby i jak kładzie nogi na moim stoliku do kawy, gdy wyciąga się przed telewizorem. Śpimy ze sobą, na Boga, a jednak jest jak pierwszy lepszy nieznajomy.

- No więc? Co u Simona? – powtarza nieco kąśliwiej. – Jak wygląda?
- Zeszczupłał, zbladł...

Daryll strzela oczami w stronę lusterka wstecznego. Błyskawicznie, tak że trudno to uchwycić zmysłami, ale ja wiem, że chciał sprawdzić swoją opaleniznę. Upewnić się, że ma przyjemny koloryt, jest zdrowy, postawny. Totalne przeciwieństwo mojego męża.

– Powiedziałaś, że chcesz rozwodu?

– Tak. – Usatysfakcjonowany Daryll kiwa głową. – Był w szoku – dodaję ciszej.

– Poważnie? A nie powinien.

– Wydawał się smutny...

Odwracam głowę, żeby wyrzeć przez szybę, i natychmiast tego żałuję. Napotykam przygnębiający widok. Deszcz latem wszystko rujnuje. Ludzie biegają w różne strony, nakrywając głowy gazetami, które dawno już zdążyły przemoknąć i nie są żadną osłoną; ślizgają się w klapkach, niezdarni i poirytowani. Ale są na zewnątrz, mogą przebiec jezdnię, wpaść do narożnego sklepiku po czasopismo, karton mleka, dietetyczną colę. Kiedy tylko chcą. Tymczasem dla więźniów zwykłe zmoknięcie to przywilej, o którym mogą co najwyżej marzyć.

Zastanawiam się, o czym marzy Simon. Nie śmiem myśleć, że o mnie. Albo o Millie.

Zastanawiam się też, czy dręczą go koszmary na temat wypadku, tego wszystkiego, co wydarzyło się wcześniej. Jak się czuje w tym dokładnie momencie? Nawet przyznanie przed kimś, że rozczarowanie zabiło większość radości z wizyty, musi być dla niego czymś nieosiągalnym.

Choć nie twierdzę, że akurat moja wizyta przysporzyła mu wiele radości. Znienacka ogarnia mnie wstyd, że w ten sposób wyskoczyłam z tą prośbą o rozwód. Nie chciałam być taka oschła. Ale czy w ogóle jest dobry

sposób na zażądanie rozwodu? Przed oczami mam jego opuszki. Nieruchome. Splecione palce dłoni, łokcie na blacie. Wciąż w tej samej pozycji, nachylony ku mnie tak blisko, jak tylko pozwala regulamin. Byłam zdumiona jego bezruchem. Niegdyś nieustannie się wiercił. Bębnił palcami o każdą powierzchnię. Doprowadzało mnie to do szału. Przypuszczam, że powodem był alkohol. Teraz Simon ani drgnie.

– Cóż, może winić tylko siebie – rzuca z wielką dozą pewności Daryll. Zatrzymujemy się na czerwonym świetle. Kładzie mi rękę na kolanie i ściska; zbyt mocno. Ma wielkie dłonie, istne łapska. Jak niedźwiedź. Nie jestem kobietą filigranową, ale przy nim czuję się drobna. Krucha. – Powiedziałaś mu o nas?

Kręcę przecząco głową. Daryll wzdycha z rozczarowaniem.

– Nie chciałam go zranić – wyznaję. – Nie umiem sobie wyobrazić, co poczuje, gdy się dowie, że Millie nie jest jego biologicznym dzieckiem.

Jak mam mu to powiedzieć? Nie chcę mu tego mówić. Nigdy nie chciałam, ale teraz Daryll nalega, abym to zrobiła. Żebym powiedziała wszystkim. Odparłam, że potrzebuję więcej czasu. Zaproponowałam, abyśmy urządzili przyjęcie i ogłosili to oficjalnie. Wytłumaczyłam, że tak należy – po wcześniejszych kłamstwach, oszukiwaniu i zatajaniu wszystkiego. Pomysł spodobał się Daryllowi, który jednak natychmiast zauważył, że mój dom jest za mały na przyjęcie z prawdziwego zdarzenia. W rzeczywistości urządziłam kilka proszonych kolacji dla najbliższych przyjaciół i siostry z rodziną, ale wiem, że takie swojskie podejście nie znalazłoby aprobaty Darylla. Zasugerowałam więc, abyśmy z tym poczekali, aż dostanie klucze do swojego nowego domu.

– Naszego nowego domu – poprawił mnie.

– Tak, oczywiście.

Kupiłam sobie cztery tygodnie.

Światło zmienia się na zielone, Daryll ostrożnie wrzuca bieg i przejeżdża metr czy dwa. Ruch odbywa się w żółtym tempie. Cały świat spowolniał z powodu ulewy.

– Wiesz, myślałem o Simonie i mam przeczucie, że on nie uważa się za ojca Millie.

– Tak? – Szokuje mnie to stwierdzenie. – Na jakiej podstawie tak mówisz?

– Och, nie wiem. Po prostu wracam myślą do tamtego dnia. Gdy doszło do kolizji. – Daryll w odróżnieniu od reszty nigdy nie mówi o wypadku. W sumie powinnam być mu za to wdzięczna. – Zachowywał się dziwnie u Connie. Był agresywny. Zagniewany. Zgodzisz się ze mną? Jakby nie był sobą. Też to zauważyłaś?

Naprawdę nie pamiętam. Simon był w awanturnicznym nastroju w tamto lato – i we wcześniejsze, jeśli mam być szczerą.

– Wtedy sama już nie wiedziałam, jak wygląda jego normalne zachowanie – przyznaję z westchnieniem.

– Pił jak wariat.

– Tak, ale byliśmy na imprezie. – Nie mam pojęcia, dlaczego bronię Simona w tej sprawie, i to akurat przed Daryllem. Powinnam się zamknąć.

– Odnosiłem wrażenie, że jest pełen goryczy. Urazy. Jak ktoś, z kogo zrobiono głupca.

Podrywam spojrzenie na Darylla. Zanim zdołam się powstrzymać, wyrzucam z siebie:

– Nie zrobiłam z niego głupca!

– Owszem, zrobiłaś – wyprowadza mnie gładko z błędu Daryll. Oblewam się rumieńcem, ale nie wiem, jak zareagować. Daryll często ma ostatnie słowo. Nie baczy na niuanse. – Często się zastanawiam, czy nie zrobił tego celowo.

– Czego? Co masz na myśli? – pytam wstrząśnięta.

– Mówię o tym, że skoro znał prawdę, był wściekły, upokorzony. Nie twierdzę, że próbowałby ją zabić na trzeźwo, ale nie był trzeźwy, prawda? Może do głosu doszła jego podświadomość. Może chciał sprawić, żeby zniknęła.

Daryll wzrusza ramionami, a uczyniona przez niego straszliwa sugestia zawisa w powietrzu między nami. Nie. Nie. Niemożliwe. Simon nie skrzywdziłby Millie celowo. Nigdy. Nie wierzę w słowa Darylla. Nie mam zamiaru w nie wierzyć. Simon popełnił wiele błędów, zgoda. Wtedy, gdy zostawił ją samą w łazience, a ona się poślizgnęła i rozbiła sobie głowę, albo wtedy, gdy nie odebrał jej ze szkoły czy od koleżanki, a do mnie wydzwaniał udręczony nauczyciel czy zaniepokojony rodzic, pytając, kiedy przyjadę. To wszystko przykłady zaniedbań. Efekt picia. Ale sama myśl, że mógłby zrobić krzywdę Millie celowo, jest po prostu nedorzeczna.

Coś jednak zaskakuje w moim mózgu. Podczas jazdy tamtego wieczoru Simon zapytał mnie o romans z Lukiem. Gwoli ścisłości zapytał: „Czy ty i Luke się pieprzycie?”. Spada na mnie fala przerażenia i paniki. Domyślił się. Simon wiedział, że Millie nie jest jego dzieckiem. Daryll ma co do tego rację. Ale na tym koniec. Nigdy nie uwierzę, że Simon chciał się pozbyć Millie.

Ponownie odwracam się od Darylla i wtedy dostrzegam przebiegającego przez ulicę ojca z córką. Trzymają się za ręce. Stopa dziewczynki wymsknęła się z sandałka, lecz ona dzielnie pędzi dalej, mimo że bucik dynda jej na kostce, trzymając się tylko na pasku. Po kroku czy dwóch mężczyzna zdaje sobie sprawę z tego, co się stało. Zatrzymuje się, klęka na mokrym asfalcie, odpina sandałek, wkłada go jak należy na nóżkę dziewczynki i starannie zapina na właściwą dziurkę, żeby mogła biec

bezpiecznie. W tym czasie koszula ciemnieje mu na plecach od hektolitrów wody lejącej się z nieba.

Przed oczami staje mi Millie na schodach naszego dawnego domu i pochylony nad nią Simon, opanowujący sztukę wiązania jej baletek. Z czułością, precyzją, zdeterminowany, by niczego nie pomylić.

Wtem myślę, że moja córka już nigdy nie zatańczy.

Myślę o Simonie, który układał jedzenie na jej talerzu w obrazek – najczęściej w uśmiechniętą twarz. Kurczak robił za włosy, marchewki za brwi, pomidorki za usta, a groszek za oczy. Millie zanosiła się śmiechem na każde z jego arcydzieł, po czym zmiatała wszystko z talerza, choć w innym razie grymasiłaby i wybrzydzała.

Zaraz jednak przychodzi myśl o miesiącach spędzonych w szpitalu, kiedy w ogóle nie miała apetytu.

Widzę, jak Simon puszcza z nią bańki w ogrodzie za domem; widzę, jak chodzi na czworakach po salonie, podczas gdy Millie siedzi na jego plecach i pogania go: „Hej, wiśta, tatokoni!” Widzę, jak rozmawia z jej nauczycielami o lekturach, przyjaźniach, zgubionym piórnikiem. Widzę, jak trzyma maleńką Millie na ręku i mówi: „To najpiękniejsze dziecko na świecie, Daisy”. Próbowałam się uśmiechnąć, ale przestałam rodzić zaledwie kilka minut wcześniej. Byłam dezorientowana, obolała, wycieńczona. Głównie jednak przerażona. Dostrzegłszy niepokój w moich oczach, starał się mnie pocieszyć. „Zrobię wszystko, by ją chronić. Będę się nią opiekował. Zobaczysz, wychowam córuchną tatusia. Obiecuję”. Ja nigdy nie byłam córuchną tatusia, lecz te, które nimi były, zawsze miałam za tak pewne siebie, będące górą. Pamiętam, jak Simon śpiewał malutkiej Millie, że jest słońcem jego życia, tuląc ją do piersi i kołysząc, drepcząc w kółko po pokoju. Mam to przed oczami.

Nie skrzywdziłby jej.

Ukradkiem ocieram łzy, które lecą mi z oczu coraz gęściej. Daryll cmoka, niezadowolony z mojej reakcji. Chce, abym patrzyła w przyszłość. Nie w przeszłość.

– Dobrze zrobiłaś, domagając się rozwodu – stwierdza stanowczo. Uśmiecha się do mnie. Wyciąga rękę i znów ściska mnie za kolano. – Skoro to mamy już za sobą, uważam, że powinniśmy się rozmówić z Millie i wyprostować sprawy na tym froncie.

Ogarnia mnie panika.

– Na to jeszcze za wcześnie – mamroczę.

Biedna Millie. Tak wiele przeszła, choć ma dopiero dziewięć lat. Jak, u licha, ma sobie poradzić z informacją, że jej tata nie jest jej tatą? Że rozwodzę się z nim i że odtąd ten człowiek – ten nieznajomy – będzie jej ojcem? Że był nim od samego początku?

– Nie, Daisy. Najwyższa pora – ucina ostro Daryll.

– Proszę, nie zmuszaj mnie do tego. Jeszcze nie. Błagam.

Powinnam była to wiedzieć – łzy i prośby nigdy nie działały na Darylla.

43

DAISY

Co za ulga, że Daryll nie chce wejść do środka, kiedy podrzuca mnie pod dom Connie.

– Muszę gdzieś wpaść – oznajmia tajemniczo. Utrzymuje swoje życie w sekrecie przede mną. Prawie nigdy nie mówi mi o tym, co robi ani kogo widuje, kiedy nie jesteśmy razem. A ja nigdy nie wypytuję. Nie obchodzi mnie to. Powinno? Daryll najwyraźniej uważa, że tak, gdyż dodaje: – Nie jesteś ciekawa, z kim się zadaję, kiedy cię zostawiam samą? Nie jesteś zazdrosna?

Głodzi mnie po policzku, ja jednak szybko się odsuwam.

– Ktoś może nas zobaczyć.

– Nie musimy się już przed wszystkimi ukrywać – odpowiada ze śmiechem.

– Nie psujmy efektu zaskoczenia – mamroczę, szukając klamki i gramoląc się z auta.

– Może wpadnę. Jeśli rozegrasz wszystko jak trzeba. Późno, gdy Millie będzie już spała.

Zamiast odpowiedzieć, biegnę ścieżką do drzwi.

Connie otwiera mi błyskawicznie, co sugeruje, że nas podglądała.

– To był Daryll? – pyta.

– Tak. – Zerkam ponad jej ramieniem, rozpaczliwie wypatrując Millie.

– Powinnaś była go zaprosić. – Connie jest ciekawa mojej nowej relacji i niezmiernie by chciała, abym była z nią bardziej szczera. Z pewnością się zastanawia, dlaczego jeszcze nie wyjawiałam jej co pikantniejszych szczegółów. Ja jednak nie wiem, od czego zacząć. Cokolwiek powiem, skończy się na kłamstwie, lepiej więc, abym nie mówiła nic. W tej chwili najbardziej ze wszystkiego potrzebuję Millie. Jest dla mnie lekarstwem. Tylko ona może mnie uleczyć. Connie, która przyłapuje mnie na myszkowaniu wzrokiem po wnętrzu domu, natychmiast się domyśla, o co chodzi. – Millie i Sophie są na górze z Fran i Auriol. Bawią się z Celiną.

Millie przepada za swoją kotką i nie chciała nawet słyszeć, że miałyby ją zostawić na tyle godzin. Musiałam więc wlec to biedne stworzenie przez pół Londynu w specjalnym transporterku.

– Grzeczne dziewczynki.

– To prawda. Napijesz się herbaty?

Tak naprawdę wolałabym wbiec na górę i sprawdzić, co u Millie. Zobaczyć ją, jak siedzi w gronie koleżanek. Bezpieczna. Zadowolona. Nie mogę tego jednak zrobić, dziwnie by to wyglądało. Neurotycznie wręcz. Tylko bym niepotrzebnie zawstydziła córkę przy starszych dziewczynkach. Zamiast więc ulec swoim instynktom, przyjmuję zaproszenie na herbatę i tylko wołam w górę schodów: „Cześć, dziewczyny!”, by po chwili z chóru odpowiedzi wychwycić powitalny okrzyk Millie: „Cześć, mammo!”. To mi wystarcza.

Ruszam za Connie do kuchni, gdzie zastaję Lucy siedzącą przy kontuarze na stołku barowym i przeglądającą jakieś specjalistyczne pismo o architekturze, które prenumeruje Luke. Na jej widok podupadam na duchu, jak zawsze. Pogodziłam się już z tym, że pozostanie częścią mojego życia, dopóki przyjaźnię się z Connie. Nie oznacza to jednak, że muszę się

z tego cieszyć. Jestem wdzięczna Connie, że zgodziła się dzisiaj przypilnować Millie – Rose akurat nie mogła, gdyż razem z Craigiem jest na urlopie – obawiam się jednak, że cena, jaką przyjdzie mi za to zapłacić, będzie zbyt wysoka.

Szybko staje się jasne, że nie mylę się ani trochę. Podawszy mi ręcznik do wysuszenia włosów, Connie od razu przechodzi do rzeczy:

– No i jak poszło?

Nie potrafię uwierzyć, że oczekuje ode mnie zwierzeń w obecności Lucy. Właściwie nie powinno mnie to dziwić, gdyż Connie pozostaje nieświadoma faktu, że nadal darzę Lucy niechęcią. Chyba wychodzi z założenia, że skoro Rose ma wszystko gdzieś, ja też powinnam. Tak, Connie jest zdania, że wszyscy stanowimy zgraną paczkę starych przyjaciół. I że bliźny tylko uczyniły nas bardziej gruboskórnymi.

– Było ciężko – odpowiadam. – Simon się zmienił. – Obydwie kiwają głowami. – Gdzie Luke?

Próbuję skierować rozmowę na inne tory, choć nie mam wielkiej nadziei, że to zadziała.

– Na jakiejś wystawie. Mówił jakiej, ale zapomniałam – odpowiada lekceważąco Connie i bezzwłocznie wraca do interesującego ją tematu: – To o czym rozmawialiście?

Wzdycham i postanawiam zjeść tę żabę.

– Poprosiłam go o rozwód.

– Co?! – Connie niemal wylewa na siebie wrzątek, którym właśnie zalewa herbatę. – Dlaczego?

– Dlatego, że niemal zabił naszą córkę.

– Ale dlaczego teraz? Przecież wiesz o tym od trzech lat.

– Simon niedługo wyjdzie z więzienia. Musimy uporządkować nasze sprawy. Nie powinno to być dla ciebie takim szokiem. – Rozmawiam

z Connie; Lucy się nie odzywa, choć wpatruje się we mnie z uwagą. Chłonie wszystko jak gąbka. – W końcu sama mnie namawiałaś, żebym pomyślała o przyszłości – dodaję z urazą. – To właśnie robię.

– Myślałam o przyszłości z Simonem... Sądziłam, że dacie sobie trochę czasu. Że spróbujecie jeszcze raz...

Gapię się na nią osłupiała.

– Na tym ci zależało? To dlaczego swatałaś mnie z Daryllem podczas tamtej kolacji?

– Uważasz, że to robiłam? W ciągu ostatnich trzech lat nieraz zapraszałam cię na kolację, na której byli też wolni mężczyźni. Po prostu zapełniałam nimi puste miejsca przy stole.

Przyglądam się Connie uważnie. Z jej oczu bije szczerść. Dociera do mnie, że mówi prawdę. Faktycznie przedstawiła mnie dentyście, projektantowi ogrodów, bankierowi i lesbijce ze związków zawodowych. Nigdy z żadną z tych osób nie opuściłam przyjęcia i nikt też po mnie tego nie oczekiwał – ani nie był rozczarowany, że tak się nie stało. Dlaczego więc uznałam, że obecność Darylla w kuchni oznacza coś innego? Czyżbym przelała na Connie własne pragnienia? Czyżbym nadinterpretowała jej zachowanie z uwagi na łączącą mnie z Daryllem przeszłość? Usiłuję sobie przypomnieć, z jakiego powodu byłam taka pewna, że swata mnie z Daryllem, że chce uczynić z nas parę. Poza tym jakie miałyoby dla mnie znaczenie, czego chce Connie? Pocieram skroń. Czuję się zmęczona. Zbyt wiele się dzieje. Pamiętam, że gdy Daryll odwiózł mnie do domu, powiedział coś w rodzaju „Nasi przyjaciele uważają, że byłaby z nas urocza para”. Może to wtedy zakiełkował w mojej głowie ten pomysł? Nie mogę zwać wszystkiego na Connie.

Nadal na nią patrzę. Wydaje się zaskoczona. Zdumiona.

– Po prawdzie, trochę się dziwiłam, że wtedy wyszłaś razem z nim. Wcześniej nigdy tak nie robiłaś. Oczywiście nie osądzam cię w żaden sposób – dodaje szybko. Ma szeroko otwarte oczy, widzę, że desperacko stara się utrafić we właściwy ton, nie ma tylko pojęcia, jaki on miałby być. – Wiedziałam, że się z nim spotykasz, ale sądziłam, że to tylko zwykły flirt. No wiesz, dla poprawy samopoczucia. Chodzi mi o to, że minęło zaledwie parę tygodni, a ty nigdy z niczym się nie śpieszyłaś.

Connie chce w ten oględny sposób powiedzieć mi, że była przekonana, iż w sprawę nie był zamieszany seks. Myślała pewnie, że Daryll zabiera mnie na pouczające spacerunki albo że odwiedzamy kino studyjne, by oglądać zagraniczne filmy. Wyobrażała sobie, że każda relacja, jaką bym teraz nawiązała, będzie podobna do tych, które miałam w czasach studenckich, przed poznaniem Simona. Connie myśli, że mnie zna. To prawda, że nie licząc Simona, z którym uprawiałam seks już na pierwszej randce, zwykle miesiącami zwlekałam z nawiązaniem intymnej relacji. Ale w tamtych czasach byłam młoda, niedoświadczona. Wszystko było wtedy inne.

– Ale żeby rozwód? Tak nieoczekiwanie? – Wydaje się oszołomiona, smutna. Opada na taboret.

– Myślałaś, że będzie jak kiedyś? Że znów zamieszkamy razem?

– Myślałam, że dacie sobie szansę. Odwiedzam go od dwóch lat, Daisy, i wierzę, że wciąż coś do ciebie czuje. Jeśli mam być całkowicie szczerą, sądziłam, że i ty do niego coś czujesz.

– Nie mam pojęcia, skąd u ciebie ten pomysł! Simon jest alkoholikiem.

– Alkoholika też można kochać! – wybucha. – Dlaczego wieszcznie musisz wszystkich oceniać? Sama nigdy nie popełniłaś błędu? – Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Wpatrujemy się w siebie; gniewny mat, zmięczony przez lata przyjaźni i wzajemnej troski. Po długiej chwili Connie rzuca: – Poza tym Simon się zmienił.

– Tacy jak on się nie zmieniają.

– Chcecie mleka do herbaty? – Pytanie zadaje Lucy.

Obie z Connie odwracamy się do niej, mrugając, jakby wyrwano nas ze snu. Lucy nalewa mleka do trzech kubków, po czym przesuwa dwa po blacie. Gdyby chodziło o kogoś innego, uznałabym, że chce złagodzić napięcie, ale chodzi o Lucy. A ona najpewniej zwyczajnie się nudzi.

Connie nie daje się zbić z tropu.

– Nie miałam pojęcia, że to z Daryllem to na poważnie. Nic nie mówiłaś...

– Nie jesteśmy już dziećmi. Nie muszę zdawać ci dokładnych relacji ze wszystkiego!

Connie wydaje się urażona; rzeczywiście odezwałam się ostrzej, niż zamierałam, ale muszę się przed nią bronić.

– Chcesz o nim porozmawiać teraz? – wtrąca Lucy.

Podskakuję zaskoczona. Gorąca herbata przelewa się przez krawędź kubka.

– Nie, nie chcę. Skoro już musisz wiedzieć. Nie sądzę, aby mój związek z Daryllem czy jakimkolwiek innym mężczyzną był tematem publicznym. To wyłącznie moja sprawa!

Connie przygląda mi się wstrząśnięta. Wiem, że zachowuję się jak suka. Odpycham ją od siebie. Ale tak ma być.

Lucy mówi po prostu:

– Rozumiem.

– Właściwie to muszę już iść. Przypomniałam sobie, że mam coś do załatwienia.

– Co? – pyta Connie.

Nie potrafię zdecydować, czy okazuje zainteresowanie przez grzeczność, czy raczej zachowuje się impertynencko i otwarcie podaje w wątpliwość to, że mogłabym mieć coś lepszego do roboty, niż siedzieć tu z nią i plotkować. Naprawdę mam wiele do zrobienia, a poza tym jeśli zostanę tu dłużej, mogę się załamać. Mogę powiedzieć więcej, niż powinnam.

– Coś – odpowiadam wymijająco, a potem wstaję, przechodzę do podnóża schodów i wołam do córki: – Millie, idziemy! Musimy zaraz wyjść!

– Nie dopijesz nawet herbaty? – pyta Connie.

– Nie – odpowiadam stanowczo.

Całe eony zajmuje, nim Millie zejdzie na dół, zbierze swoje rzeczy, umieści Celinę w transporterku i w końcu skieruje się do drzwi. Ewidentnie nie chce wychodzić i wykorzystuje każdą okazję, aby zamienić jeszcze słowo z Sophie. Jakby dla kontrastu Connie, Lucy i ja trwamy w milczeniu. Gapię się w podłogę, lecz czuję na sobie ich spojrzenia. Przenikliwe, badawcze. Co za ulga, gdy wychodzimy na zewnątrz i drzwi się za nami zatrzasują.

44

SIMON

Przez całe popołudnie Leon zaklinał Simona, aby nie zbliżał się do braci Dale.

– Tak niewiele ci zostało. Jedną nogą jesteś już na zewnątrz. Nie spieprz tego.

Ale Simon go nie słuchał; nie słyszał, co się do niego mówi.

– Za murami nic na mnie nie czeka. Nic już nie ma znaczenia.

– Bracia Dale oznaczają kłopoty. Chyba to wiesz, co?

Simon wiedział, ale się nie przejmował. Dale'owie nie produkowali bimbru sami – głównie z tego względu, że smrodliwy proces oznaczał niewygody, a oni nie chcieli bałaganu w swojej celi ani tym bardziej dobywającego się z niej odoru. Jednak to oni decydowali, kto może pędzić samogon, po czym odbierali sobie swoją działkę od frajera za to, że wydali mu zgodę. Od nich też zależało, kto będzie pił nielegalny alkohol. „Gorzelnicy” nie sprzedawali go byle komu; każdy potencjalny klient musiał zostać zaaprobowany przez braci Dale. Odkąd Rick wyprowadził się z celi Simona, ten unikał go jak ognia. Nie zapuszczał się w pobliże ich celi, szerokim łukiem omijał ich stół, a gdy będąc na siłowni, zobaczył, że się pojawiają razem ze swoimi sierżantami, starał się jak najszybciej opuścić pomieszczenie. Większość czasu spędzał w bibliotece, gdzie żaden

z braci Dale nawet nie zaglądał. Tego wieczora jednak, w porze socjalizacji, zapukał do ich drzwi i przestąpił próg jaskini lwa. Niczym jagnię.

– Cześć, Simon – przywitał go Rick. – Kopę lat...

Simonowi zrobiło się nieswojo, że Rick pamięta jego imię, ale w sumie powinien był się tego spodziewać. Braciom Dale nic nie umykało. Wiedzieli o wszystkim, ponieważ wiedza to władza. Simon pomyślał, że dostał właśnie kolejny dowód na to, czym stało się jego życie: był po imieniu z brutalnym, bezwzględnym mordercą. Nie chciał o tym pamiętać – ani o niczym innym. Pragnął zapomnieć.

– Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? – dopytywał Rick.

– Chcę się napić. – Simon zastanawiał się, czy w jego głosie słycać strach. A może desperacja krzyczała w nim najdonośniej?

– Naprawdę?

Simon potaknął skinieniem.

– Muszę się napić.

Tak właśnie było. Musiał. Pragnął alkoholu całym sobą. Potrafił myśleć tylko o nim. Kiedy był trzeźwy, wszystko było wyraźniejsze, widoczniejsze i lepiej słyszalne, tymczasem od wizyty Daisy łaknął szumu w głowie, rozmytych konturów rzeczywistości. Bez względu na konsekwencje. Brakowało mu musującej beztroski, spadania na cztery łapy, które pijacy mają w pakiecie. Przesiedział w pudle trzy lata za tę kobietę, a ona żądała od niego rozwodu. No dobra, nie miała pojęcia, że wziął na siebie karę. A może jednak? Ta ostatnia myśl rozdarła mu serce.

Może Daisy przypomniała sobie wydarzenia tamtej nocy i mimo to porzuciła go na pastwę?

Nie był w stanie tego znieść. Nie mógł być jej pewien. Okłamywała go. Zdradzała.

Nieraz wypytywał Connie o to, co Daisy pamięta z wypadku, i zawsze otrzymywał tę samą odpowiedź: „Kompletnie nic. A tak się stara coś sobie przypomnieć”. Czyżby kłamała? Znowu? Co on najlepszego zrobił? Dla kogo się poświęcił? Podejmując decyzję, że weźmie winę na siebie, widział w niej jakiś sens, jakieś dostojeństwo, rycerskość wręcz. Millie leżąca w deszczu, krew i nadzieja spływające z wodą do ścieku, przez to wszystko poczuł, że musi wytrzeźwieć. Doskonale zdawał sobie jednak sprawę, że na wolności nigdy mu się to nie uda.

Teraz do niego dotarło, że przez cały ten czas tylko się oszukiwał. Alkohol był jego najlepszym kumplem; potrzebował go. Wyłącznie na niego mógł liczyć. Trzeźwość? Nigdy nie będzie w stu procentach trzeźwy. Na wolności czy za kratkami pozostanie alkoholikiem. I co z tego?

– Macie coś do picia? – zapytał agresywnie. Agresywniej, niżby należało, ale co tam. Było mu wszystko jedno. Wielkolud, który wszędzie towarzyszył braciom Dale, wysoki na prawie dwa metry i szeroki niemal na metr, podniósł się wolno i postąpił krok w stronę Simona. Sama jego postawa mówiła, że nie spodobał mu się ton, jakim gość zadał pytanie. Simon ani myślał oddać pola bez walki. Podeszedł bliżej z groźną miną i rzucił tamtemu wyzywające spojrzenie.

– Spoko wodza – mruknął Pete Dale, starszy z braci.

Simon nie był pewien, do kogo są te słowa kierowane. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że wielkolud się cofa.

– Pytam, czy macie coś, czego mógłbym się napić – sprecyzował, postanowiwszy zignorować patową sytuację. W żadnym razie nie był nieustraszony, jeśli już, to nierozważny. Alkohol, zdobywanie go i picie, zawsze czynił go nieostrożnym, obecnie nawet bardziej niż kiedyś.

– Wszystko ma swoją cenę – oznajmił Pete.

Nie chodziło mu o pieniądze, a przynajmniej nie tylko o pieniądze. Tyle Simon wiedział po trzech latach w kiciu. Zostanie zmuszony do zapłaty na milion różnych sposobów: wyświadczać przysługi, kryjąc, kłamiąc.

- Zapłacę.
- Wychodzisz na warunkowe.
- Tak – potwierdził Simon.
- Możesz być przydatny.
- Będę potrzebował roboty.

Pete i Rick wymienili spojrzenia. Po chwili Pete, który podejmował wszystkie decyzje, skinął głową. Rick sięgnął pod materac dolnej pryczy i wyjął piersiówkę whisky.

Whisky!

To było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Simon się spodziewał, że dostanie trochę ohydneho samogonu. Czegoś, co przepali mu wnętrzności, ale stępi ból choć odrobinę.

Rick wyciągnął przed siebie rękę z niewielką butelką.

- Bierz – rzucił rozkazującym głosem Pete.
- Wszystko? – zdziwił się Simon, zarazem pełen strachu i podniecenia. Już czuł, jak bursztynowy płyn rozgrzewa mu przełyk.

– Taaa.

Simon się zawahał. Ćwiartka whisky to sporo. Jeśli ją weźmie, zaciągnie znaczący dług. W więzieniu nic nie jest proporcjonalne. Simon znał więźniów, którzy zostali niewolnikami seksualnymi za to, że zamienili się z kimś na szychty w pracy. Ale nawet gdyby odrzucił ofertę, i tak miałby dług, ponieważ poprosił ich o coś, a oni zgodzili się spełnić jego prośbę. Poza tym naprawdę musiał się napić. Byłby głupi, gdyby nie

skorzystał z okazji. Rick delikatnie potrząsnął butelką. Simon złapał ją błyskawicznie.

– Chłopaki, sorki, że przeszkadzam. – W progu celi pojawił się Leon. Wyglądał na podenerwowanego. – Klawisze przetrząsają cele. Zdaje się, że zbliżają się do was. Chciałem tylko dać wam znać – rzucił pod adresem braci Dale, choć głowę miał spuszczoną.

– Nie było ostrzeżenia – powiedział Rick, zdradzając, że zwykle ktoś ich uprzedzał o nalocie.

Wszyscy obecni przechylili głowy i zaczęli nasłuchiwać; odgłosy, które ich doleciały – poirytowane krzyki, stąpanie ciężkich butów, bezczelne uwagi pod adresem klawiszy i ostre przywoływanie osadzonych do porządku – zdawały się potwierdzać, że Leon mówi prawdę. Robiono kipisz.

Pobudzony Simon cisnął pierśiówkę na pryczę i pośpiesznie opuścił celę, zgarniając po drodze Leona. Nie widział, co Pete i Rick zrobili z kontrabandą, ale był niemal pewien, że zabrał ją wielkolud, aby ukryć we własnej celi bądź podrzucić komuś, kto weźmie na siebie ryzyko. Kto był winien przysługę braciom Dale.

– Kurwa – zaklął Simon, gdy wraz z Leonem znalazł się w bezpiecznym zaciszu własnego bloku. Ich celę już przeszukano; okazała się czysta. – To była oferta stulecia. Nigdy więcej nie zaproponują mi whisky.

– To świetna wiadomość – skomentował Leon. – Nie wzięłeś kropli do ust. Wytrzymałeś jeden dzień dłużej w trzeźwości.

– Pierdolić trzeźwość – warknął Simon. Przepęłniał go żal. Z początku żałował, że dał Daisy powód do cichych dni albo że zarobił guza sam nie wiedział gdzie. Z czasem powody do żalu stawały się coraz poważniejsze. Stracił pracę, Millie, Daisy, wolność. W tej chwili jednak było mu szkoda

tylko tego, że nie zabrał ze sobą whisky. Co mógłby zrobić, aby ją odzyskać? Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Zwrócił się do Leona: – Ej, wyświadczyłeś im dzisiaj przysługę. Może mógłbyś poprosić ich teraz o coś do picia?

– Wal się – odparł Leon ze znużeniem. Następnie wspiął się na swoją pryczę, obrócił twarzą do ściany i zamilkł kompletnie.

45

DAISY

Millie nie jest zachwycona, że przerwałam jej zabawę z Sophie; bez wątplenia liczyła na wspólny wieczór w domu Connie. Nie dziwi mnie więc, kiedy tuż po kolacji, wciąż lekko nadąsana, bierze Celinę na ręce i mówi, że idzie do swojego pokoju odpocząć. Nie sądzę, aby miała się położyć spać; jeśli już, będzie się bawić z kotką, a pomiędzy figlami wysyłać przez WhatsAppa pełne oburzenia wiadomości do Sophie, wyrzekając na ogólną niesprawiedliwość i skarżąc się na mnie. A niech tam. Może nie wspina się na wyżyny rodzicielstwa, pozwalając Millie na siedzenie z nosem w telefonie do nocy, ale tylko taką drogę widzę przed sobą, jeśli nie chcę wywołać strajku, na który naprawdę nie mam w tej chwili sił. Najtrudniejsza rzecz w byciu samotną matką polega na tym, że gdy jesteś wyczerpana – fizycznie albo psychicznie – nie masz komu przekazać pałeczki. Nie byłabym w stanie udobruchać Millie ani polepszyć jej nastroju, proponując wieczór filmowy z popcornem. Poza tym mam kilka spraw do ogarnięcia.

Zamykam drzwi na klucz i dodatkowo zabezpieczam łańcuchem. Zaciągam zasłony. Skoro Millie jest w swoim pokoju na górze, udając, że śpi, nie zapalam światła, nawet gdy na zewnątrz robi się ciemno. Najlepiej, aby dom wyglądał na pusty. Daryll zapowiedział, że może wpaść. Często się zapowiada, a potem nie przychodzi. Celowo trzyma mnie

w niepewności, lubi, kiedy siedzę jak na szpilkach. Gdyby się pojawił, niech pomyśli, że zostałam u Connie. Nie jestem w stanie zmierzyć się z nim dzisiaj. Po prostu nie mogę.

Nalewam sobie duży kieliszek białego wina. Rzadko piję alkohol w pojedynkę. Z oczywistych powodów. Dziś jednak jestem wdzięczna za zwietrzałe wino w lodówce. Chcę szybko osiągnąć ten stan, w którym przestaję myśleć, czuć i pamiętać ze zwykłą ostrością. Włączam telewizor, choć nie sądzę, aby którykolwiek z wieczornych sobotnich programów przykuł moją uwagę. Wszystkie są zbyt pogodne, zbyt głośne jak na mój gust. Mając dość agresywnego optymizmu, uruchamiam odtwarzacz DVD. Jestem chyba ostatnią osobą w Anglii, która wciąż posiada kolekcję płyt z filmami, ale naprawdę wolę wsunąć srebrny dysk do urządzenia, niż walczyć z trzema pilotami i wybierać spośród dwóch milionów kanałów. Tym razem mój wybór pada na *Rzymskie wakacje*. Klasyka romantyzmu. Mój od zawsze ulubiony obraz. Odkryłam go, zanim poznałam Simona, co w tych okolicznościach ma znaczenie. Z innymi pozycjami wiąże się zbyt wiele nieprzyjemnych wspomnień. Nawet komedie, takie jak *Strażnicy Galaktyki*, są dla mnie trudne, ponieważ wspólną wyprawę do kina przyćmił jego apetyt na alkohol i niemożność usiedzenia w fotelu o suchym pysku przez dwie godziny. Ilekroć przypominam sobie Simona takiego, cierpię. Szybko jednak pojawia mi się w głowie Simon z roziskrzonymi oczami i twarzą pełną zmarszczek od śmiechu, gdy wreszcie skupił się na zabawnych perypetiach bohaterów. I wtedy jest jeszcze gorzej – wspomnienie Simona, który zachowywał się jak zwykły mąż, dosłownie mnie zabija.

Wyciszam głos i pozwalam filmowi lecieć niemo w tle. W razie gdyby Millie jednak próbowała spać, nie chcę jej przeszkadzać. Nasz nowy dom ma cienkie ściany, dźwięk podróżuje w nim bez przeszkód. Przysporzyło

mi to ostatnio powodów do niepokoju. Zastanawiam się, ile właściwie moja córka słyszała. Bardzo się pilnuję, żeby jej nie przeszkadzać. Teraz też radzę sobie świetnie bez głosu – i tak nie zamierzałam oglądać filmu. Mam zbyt wiele do zrobienia. Poza tym znam go tak dobrze, że kwestie dialogowe mogę recytować z pamięci. Po prostu potrzebuję jakiegoś towarzystwa, by stępić poczucie samotności. Aczkolwiek ta rzadko traci na ostrości, wiecznie raniąc.

Dosyć tego. Takie myśli w niczym nie pomagają. Popadam w sentymentalizm. Staję się bezbronna. To przez alkohol. Na pewno. Nie wolno mi zapomnieć, że przy Simonie również czułam się opuszczona, przynajmniej częściowo. To nie było małżeństwo doskonałe.

Powinnam brać się do pracy. Nie zdołamy spakować ze sobą wszystkiego. Każda z nas może wziąć walizkę i plecak, nic więcej. Cokolwiek innego stanowiłoby zbyt duże obciążenie. Nie wiem jeszcze, dokąd się udamy, gdzie będziemy mieszkać. Możliwe, że przez jakiś czas będziemy się przenosić z miejsca na miejsce, nie da rady więc wlec ze sobą wiele bagażu. Dlatego muszę zastosować drakoński rygor. Spakuję tylko to, co najważniejsze. Z początku myślałam o przeprowadzce do Kanady – gdzieś w pobliże siostry Simona. Przelotnie wyobrażałam sobie nawet, że Simon do nas dołączy w swoim czasie. Ale to szaleństwo. Jak mogłabym się zdać na szwagierkę, która przecież w każdej chwili może odkryć powód mojej ucieczki? Co do Simona zaś – będzie na zwolnieniu warunkowym, bez możliwości opuszczenia kraju przez kolejne trzy lata. Zresztą potrącił naszą córkę, nie jest to coś, o czym mogłabym zapomnieć. Przestaliśmy być rodziną. Oznaką mojej słabości jest śnienie na jawie o szczęśliwym zakończeniu. W drugiej kolejności rozważałam Australię. Mam tam przyjaciółkę z dawnych lat, Sam, z mężem i dziećmi. Mieszkają niedaleko Melbourne. Profil Sam na Facebooku pełen jest zdjęć jej pociech

dokazujących w tym czy innym basenie: opalonych, zdrowych i szczęśliwych. Dobrze byłoby wyjechać dokądś, gdzie kogoś znam, gdzie miałabym się o co zaczepić. Przeraza mnie perspektywa zaczynania wszystkiego od nowa. Australia jednak odpada z tej prostej przyczyny, że Sam jest kumpelą Connie z dawnej pracy – tak się poznałyśmy. Jak miałabym przekonać Sam, że Connie nie może się dowiedzieć o aktualnym miejscu mojego pobytu? Zatem nie mam wyboru. Muszę postawić wszystko na jedną kartę. Aby zapewnić Millie bezpieczeństwo, muszę odciąć się od każdego, kto coś znaczył w moim życiu. Od przyjaciół, od krewnych. Trudno mi się jednak pogodzić z tym, że to na zawsze. Nie będę więc o tym na razie myśleć. Może po jakimś czasie skontaktuję się z siostrą i rodzicami, poproszę ich o dochowanie tajemnicy. Powinnam też być realistką, jeśli chodzi o to, do jakiego kraju mogę wyemigrować. Będę musiała sprzedać dom i swoją połowę pieniędzy przelać na zagraniczne konto, gdyż – z tego, co wiem – większość państw wymaga od imigrantów wykazania niezależności finansowej. Umówiłam się już z agencją nieruchomości, ktoś ma przyjść i dokonać wyceny w poniedziałek. Jutro czekają mnie gruntowne porządki. Będę miała ręce pełne roboty.

Nalewam sobie drugi kieliszek wina. Pierwszy pochłonęłam zaskakująco szybko, zważywszy na to, jak tanie było i jak dawno otwarte. Przenika mnie lekka obawa. Jestem aż nadto świadoma niebezpieczeństwa wiążącego się z piciem alkoholu dla odprężenia, zwalczania stresu, zapomnienia. Zaraz jednak mówię sobie, że spożywanie przeze mnie napojów wysokowych mieści się w granicach normy, że mam do picia zdrowy stosunek.

Przetrząsam szufladę, w której trzymam nasze paszporty, świadectwa, dane medyczne i inne ważne dokumenty. Wyjmuję wszystko, co nam się przyda, ale po chwili namysłu odkładam kartę pływacką Millie i jej dyplom

wzorowego ucznia. Spojrzeniem biegnę do albumów ze starymi fotografiami, upchniętych w tej samej szufladzie. Millie przyszła na świat już w dobie cyfrowej, zatem wszystkie jej zdjęcia z dzieciństwa znajdują się w moim komputerze bądź komórce; albumy zawierają zdjęcia dokumentujące czas sprzed jej narodzin. Ja na uczelni. Ja w swoim pierwszym mieszkaniu. Ja i Simon na pierwszych randkach. Album ślubny. Zdjęcia z urlopów i wycieczek. Waham się, wiedząc, że przeglądanie ich sprawi mi tyleż radości, co smutku. Nie ma mowy, abym je ze sobą zabrała, zresztą dlaczego miałabym chcieć to zrobić? Skoro czeka mnie nowy początek, po co oglądać się za siebie? Mimo to zastanawiam się, czy mam czas je zeskanować i przenieść do chmury, tak abym miała do nich dostęp nawet na drugim końcu świata. Skanowanie trwa wieki. Może lepiej sfotografuję je komórką. Jakość nie będzie dobra, ale lepszy rydz niż nic.

Ostrożnie sięgam po album leżący na szczycie i otwieram go. Śliska bibułka umieszczona pomiędzy czarnymi kartonowymi stronami szeleści pod palcami, przepełnia mój umysł echem luksusu i obietnicy. No i proszę. Tak dobrze znane, a takie obce. Ujmuję telefon w dłoń i zaczynam pstrykać fotki zdjęciom. Mówię sobie, że robię to dla Millie. Na jakimś etapie życie zapyta o swojego tatę, wiem, że to zrobi, i wtedy będę mogła pokazać jej te fotografie; nie mam na razie pojęcia, jak wytłumaczę jej rozstanie z Simonem, naszą ucieczkę. Ale zobaczy zdjęcia mamy i taty, takich zakochanych, mających świat u stóp. Pstrykam przez dłuższy czas, co trochę robiąc przerwy, oglądając zdjęcia uważniej niż to konieczne. W pewnym momencie na któreś upada kropla wody. Podrywam spojrzenie na sufit, szukając przecieku. Dopiero potem uświadamiam sobie, że płaczę. Dzisiejsza wizyta u Simona była dla mnie trudniejsza, niż się spodziewałam. Oczekiwałam, że znajdę się w atmosferze przemocy, że będę się bać, że Simon wyda się w moich oczach innym człowiekiem, że ja

sama pozostanę zdystansowana. Do głowy mi nie przyszło, że ujrzę w nim tak dobrze znanego mi człowieka. Znanego na tym głębokim, intymnym poziomie możliwym tylko w przypadku kogoś, z kim spędziło się naprawdę wiele lat. Znanego w najdrobniejszych szczegółach, takich jak zapach, gesty, ruch głową czy charakterystyczne wzruszenie ramion. Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że tak dobrze go pamiętam. Trzeźwego, sprzed czasów, gdy zaczął pić. Z prehistorii.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Podskakuję, lecz zaraz zamieram. Nie otworzę. Nie mogę. Nie dzisiejszej nocy. Nie chcę dziś widzieć Darylla. Chyba nie zacznie się dobijać? Nie będzie chciał obudzić Millie? Jak dotąd był równie troskliwy jak ja, lecz nie wiem, czy to z uczucia czy dla dreszczyku towarzyszącego temu całemu udawaniu. Daryll jest nieprzewidywalny. Moja komórka pika. Znowu skaczę w miejscu. Ostrożnie po nią sięgam, martwiąc się, jaka wiadomość na mnie czeka. Z piersi wyrywa mi się westchnienie ulgi. To Lucy.

„Jesteś w domu? Stoję przed drzwiami. Wydaje mi się, że jesteś w środku”.

Tak się cieszę, iż to nie Daryll, że ani przez moment się nie zastanawiam, co Lucy może ode mnie chcieć. Wstaję i otwieram. W progu faktycznie stoi Lucy, ściskając w dłoni butelkę drogiego wina.

– Mogę wejść? – pyta. Fakt, że przyszła tu sama, nieproszona, jest bez precedensu, zdobywam się więc tylko na skinienie głową. Starannie zamykam za nią drzwi. Lucy stoi w ciasnym holu i przygląda się, jak zakładam łańcuch. – Napijesz się? – Unosi butelkę.

– Tak. Jasne. Masz dobre wycucie czasu, właśnie skończyłam wino, które tygodniami stało otwarte w lodówce.

Jeśli nawet Lucy nie pochwała picia do lustra, co jest mało prawdopodobne, okazuje na tyle taktu, by nie powiedzieć tego głośno.

Spodziewam się, że wkroczy do kuchni i zacznie szukać kieliszków, jak kiedyś Daryll, lecz ona nie robi niczego podobnego. Ze spuszczonej wzdłuż ciała rękami czeka, aż wprowadzę ją głębiej. Otwieram wino w milczeniu, nalewam każdej z nas duży kieliszek. Za późno na umiar – przynajmniej w moim przypadku.

– Mam też przekąski – dodaje Lucy, nurkując do wielkiej skórzanej torby, którą nosi luzacko przewieszoną przez ramię, jakby należała do bohemy czy coś.

Wydobywa z niej chipsy ziemniaczane Pringles, te klasyczne, moją ulubioną przekąską wszech czasów pomimo wynalezienia innych smaków. Wyciąga też tabliczkę czekolady mlecznej, takiej z orzechami laskowymi. Zachłystuję się. Nie będę się oszukiwać. Tego rodzaju smakołyki nie przeszłyby Lucy przez gardło. To wszystko prezenty kupione z myślą o mnie.

Zerkam na nią podejrzliwie.

– Uznałam, że dziś między nami było niezręcznie – wyjaśnia.

– Między nami zawsze jest niezręcznie – odpowiadam śmiało. Po czym gapię się oskarżycielsko na swój kieliszek. Bywam taka bezpośrednia wyłącznie dzięki pijackiej odwadze.

Ku mojemu zdziwieniu Lucy wybucha śmiechem.

– Uwielbiam to w tobie, Daisy. Nazywasz rzeczy po imieniu. Jesteś szczerą do bólu. – Milknie i spogląda mi prosto w oczy. – Na ogół.

Rumienię się. Spojrzenie Lucy jest tak przenikliwe, iż boję się, że potrafi czytać w moich myślach.

– Przejdziemy do salonu?

Siadamy na przeciwnych krańcach kanapy. Czekam, aż Lucy powie, z czym tu przyszła. Ewidentnie coś ją uwiera. Rzuca okiem na ekran telewizora i komentuje:

– O, Audrey Hepburn. Zawsze za nią przepadałaś, prawda?

– Tak – mruczę zdumiona, że pamięta taki drobiazg na mój temat.

– Pamiętasz, jak szukałyśmy sukni ślubnej dla ciebie? Chciałaś taką, jaką ma na sobie Hepburn podczas balu w *My Fair Lady*. Czy też raczej chciałaś się przepoczwarzyć tak jak ona. Nie całkiem ulicznica w księżną. Ale Daisy w Audrey.

Kiwam głową. Czy pamiętam? Oczywiście! Chyba każda kobieta pamięta, jak szukała sukni ślubnej. Nieważne, ile lat upłynęło od tamtej pory. Początkowo, myśląc o kroju, patrzyłam na swoją krągłą figurę mało realistycznie. Można by wręcz powiedzieć, że nader optymistycznie – przy założeniu, iż optymizm równa się urojeniom. Towarzyszyły mi Connie, Rose, Lucy i Sam. Pamiętam, jak wyszłam z przymierzalni w absolutnie niepasującym mi fasonie. Suknia była tak obcisła, że ledwie mogłam się w niej poruszać. Kiedy spojrzałam w lustro, myślałam, że się popłaczę z rozczarowania. Byłam równie powabna jak słońca. Upokorzona i sfrustrowana tylko czekałam, aż Lucy rzuci jakąś kąśliwą uwagę. Tymczasem ona mnie zaskoczyła. Zauważyła, że Simon uwielbia moje krągłości. I że się ze mną żeni. Ze mną, z kobietą, którą widział w ocieplanych majtkach i z tłustymi włosami. I choć to oczywiste, że każdy chce wyglądać jak najlepiej w dzień swojego ślubu, nikt raczej nie oczekuje przemiany w kogoś zupełnie innego. Muszę przyznać, że to było bardzo miłe z jej strony. Uratowała tamten dzień. Była wspaniałą przyjaciółką.

Dopóki nie zaczęła sypiać z mężem mojej siostry.

Nadal mam w pamięci jej słowa. Uderzyła mnie ich mądrość: „Ślub to coś więcej niż dzień, w którym dwoje ludzi się pobiera, coś więcej niż suknia i smoking; w małżeństwie chodzi o nią i o niego”. Następnie zachęciła mnie, abym zdecydowała się na suknię odpowiednią dla moich kształtów, zamiast wciskać się w nierealistyczny ideał. Chciałabym móc

zlekceważyć zachowanie Lucy tamtego dnia, złożyć je na karb jej modowej poprawności, lecz naprawdę nie sędzę, aby o to chodziło. Doradziła mi sięgnięcie po inny fason, ponieważ chyba zawsze jej zależało, aby ludzie pozostawali wierni sami sobie. Chciała, abym kupiła suknię podkreślającą figurę klepsydry – ponieważ taką właśnie miałam.

Jakby śledząc moje myśli, Lucy zaczyna się cytować:

– Ile razy ci mówił, że uwielbia twoje biodra, twoją pupę, twoje wielkie cycki?

Dokładnie tak powiedziała, kiedy stałam na podwyższeniu w salonie sukien ślubnych, przyglądając się żałośnie własnemu odbiciu w o wiele za ciasnej, kompletnie niepasującej do mnie kiecce. Teraz puentuje swoją wypowiedź głośnym śmiechem. Nie mogąc się powstrzymać, śmieję się razem z nią.

– Byłam zszokowana, że użyłaś słowa „cycki” w sklepie!

– Wiem! – Lucy wciąż rechocze. – Musiałam ci obiecać, że nie powiem nic wulgarne w kościele. Do którego nie dotarłam – dodaje, smutniejąc. – Ponieważ mnie „odzaprośiłaś”.

– Wszystko przez to, że uwiodłaś męża mojej siostry – reaguję ostro, momentalnie zapominając o chwili wspólnej radości.

Lucy także przestaje się uśmiechać i przewracając oczami, pyta:

– Czy ty kiedykolwiek odpuszczisz?

– Pewnie nie – odpowiadam mrukliwie.

Mimo że obecnie – osiemnaście lat później i po trzech ogromnych kieliszkach wina – jej zdrada nie ma już chyba znaczenia. Rose jest szczęśliwa. Dziś wieczorem zadzwoniła do mnie z Grecji. „Tylko się melduję”, powiedziała. Miała oczywiście na myśli: „Tylko sprawdzam, co u ciebie”. Po tym krótkim wstępie przeszła do opisów turkusowych wód u podnóży niebosiężnych urwisk i bielonych domków w wioskach,

w których czekały na turystów kulinarne cuda. Wyznała, że oboje z Craigiem większość czasu spędzają na piaszczystych plażach, czytając książki i rozmawiając ze sobą. Sprawiała wrażenie przeszczęśliwej, zupełnie jak przez całą ostatnią dekadę. Może faktycznie pora odpuścić, przestać wyrzucać Lucy i Peterowi ich zdradę. W końcu nie brakuje mi rzeczy, o które mogę czuć oburzenie i wściekać się.

Lucy podwija nogi pod siebie. Wtula się w róg kanapy, jakby miała zamiar zostać na noc.

– Zatem poprosiłaś Simona o rozwód?

– Tak. Ze wszystkich osób ty powinnaś mieć z tym najmniejszy problem.

– Ja? Oczywiście – odpowiada ze wzruszeniem ramion. – O ile tego właśnie chcesz.

– Dlaczego miałabym tego nie chcieć, zważywszy na okoliczności?

Lucy ponownie wzrusza ramionami, ale nie daje się zwieść. Tylko udaje brak zainteresowania.

– Nie wiem. Zawsze uważałam cię za osobę, która jest w małżeństwie na dobre i na złe. No wiesz, za kogoś, kto nie rezygnuje w połowie. Bez względu na wszystko.

– Cóż, myliłaś się w takim razie. Każdy ma jakiś próg wytrzymałości.

– Chcesz tego rozwodu, aby kontynuować znajomość z Daryllem Lainbridge'em, zgadza się? – Potakuję skinieniem, niezdolna wypowiedzieć ani słowa. – Tego właśnie nie rozumiem. Gdy ostatnio o nim rozmawialiśmy, nazwałam go zarozumiałym kutasem.

Krew odpływa mi z twarzy. Muszę się zmobilizować do ataku.

– Ludzie się zmieniają.

Przez kilka chwil Lucy siedzi w milczeniu. Mnie jednak zdaje się to całą wiecznością. Wreszcie pyta:

– Co się dzieje, Daisy? To się nie trzyma kupy.

Przełykam kolejny haust wina. Znajduję się w tej fazie upojenia alkoholowego, w której człowiek robi się nierozważny i nabiera poczucia niezwyciężoności. Dolewam sobie, a potem Lucy, mimo że ledwie zdążyła upić. Wraz z nowym kieliszkiem przychodzi pozwolenie. Zapominam o ostrożności. Prędzej czy później i tak wszystko wyjdzie na jaw, dlaczego więc nie teraz?

– Umiesz dochować tajemnicy?

– To jedna z moich podstawowych kompetencji, które wymieniam w CV.

– Mówię poważnie, Lucy.

– W porządku. – Uśmiecha się, lecz spojrzenie ma nadal czujne.

– Nie możesz powiedzieć nikomu tego, co zaraz ode mnie usłyszysz. Nikomu – powtarzam z naciskiem. – Nigdy. Ani Peterowi, ani Connie. Naprawdę nikomu. Rozumiesz?

– Tak.

– Obiecujesz? Przysięgasz?

– Na co, na Biblię? – Przemawia przez nią sceptycyzm.

– Na życie Auriol.

– Serio? Czy to konieczne?

– Tak. No więc? Przysięgasz?

– Przysięgam.

– Na życie Auriol?

– Tak.

Wiem, że stawiam ją w niezręcznym położeniu. Przez chwilę się nie odzywam. Waham się, aż w końcu nie mogę już dusić tego w sobie dłużej.

– Millie jest dzieckiem Darylla.

– Co? Mieliście romans?

Powinam potaknąć. To właśnie zamierzałam jej powiedzieć. Wszystkim powiedzieć. Daryll ma rację – coś takiego byłoby zrozumiałe dla każdego. Nie mogę jednak. Ponieważ to nieprawda. Nigdy nie zdradziłam Simona.

– Nie o to chodzi – mamroczę.

– Zatem o co? Był dawcą nasienia?

– Tak o tym zawsze myślałam.

– Nie rozumiem? Wyrażaj się jaśniej. – Patrzy na mnie w taki sposób, jakby wiedziała, co zaraz powiem. Jakby jednak rozumiała.

– Daryll wywarł na mnie gwałt.

– Chcesz powiedzieć, że cię zgwałcił?

Nie potrafię wypowiedzieć tych słów. Nawet teraz. Nawet po takim czasie. Jeśli je wypowiem, to stanie się prawdą. Moja Millie, mój mały cud, urodziła się w wyniku brutalnej przemocy.

– Daisy?

Gdyby Lucy zareagowała złością, oburzeniem albo szokiem, byłabym się pewnie zamknęła z powrotem w swojej skorupie. Jakoś bym się wycofała, zaprzeczyła wszystkiemu, co przed chwilą wyznałam. W jej głosie jednak słychać troskę.

– On nadal to robi... – szepczę.

– Daisy. – Choć na nią nie patrzę, wiem, że jest przerażona. – Twierdzisz, że Daryll nadal regularnie cię gwałci?

Lucy nie przebiera w słowach. Nazywa rzeczy po imieniu. Tak jak i ja powinam. Stara się ustalić fakty. Podczas gdy ja latami brodziłam w trzęsawisku sprzecznych emocji. Sama.

Kiwam głową.

– Och, moja ty biedna...

Nie słyszałam nigdy, aby Lucy tak się do kogoś zwracała, ale nawet ona musi używać czułych słówek w kontaktach z Peterem i Auriol. Nie przysuwa się do mnie. Nie stara się mnie objąć, jak bez wątpienia uczyniłaby Rose albo Connie, gdybym im wyznała coś równie okropnego. Cieszy mnie to. Nie chcę niczyjego dotyku, choćby dłoni na ramieniu, choćby delikatnego uścisku ręki. Jakikolwiek kontakt fizyczny napawa mnie odrazą. W ciągu ostatnich paru tygodni unikałam nawet dotyku Millie. Gdybym mogła zrzucić skórę, uczyniłabym to. Gdybym mogła się odcieleśnić, zamienić w czysty umysł, zrobiłabym to. Tak właściwie to gdyby nie Millie, najchętniej w ogóle przestałabym istnieć. Skończyłabym z tym. Skończyłabym ze sobą. Rozważałam takie wyjście. Nocami, leżąc na wznak i gapiąc się w sufit. Zastanawiałam się, czy to jedyny sposób na ucieczkę. Lecz nie zostawię jej. Nigdy.

Zmuszam się, aby spojrzeć na Lucy. To ważne, abym widziała jej twarz, słuchając wypowiedzianych przez nią słów. Od dawna nie wierzę w to, co ludzie mówią; liczy się to, co robią.

– Wierzysz mi, prawda?

– Oczywiście, że ci wierzę – zapewnia z mocą, przybierając w stu procentach autentyczny wyraz twarzy.

O Boże. Ulga, co za ulga. Wolnym ruchem zaczynam podwijać rękawy. Pokazuję jej siniaki na ramionach. Rozpinam bluzkę i zsuwam ją z siebie, staję na trzęsące się nogi i odwracam, aby pokazać jej ślady na barkach i plecach. Siniaki w miejscach, w których mnie przytrzymał, gdy milcząco z nim walczyłam.

– Idziemy na policję – decyduje.

– Nie. Nie, nie mogę. Obiecałaś, że nikomu nie powiesz – przypominam, podnosząc lekko głos. Poprawiam na sobie bluzkę, szybko,

jakbym w ten sposób mogła wymazać z pamięci Lucy to, co zobaczyła.

– Nie miałam pojęcia, co usłyszę. Że usłyszę... to.

– Przysięgłaś na życie Auriol! – Nie mogę pójść na policję. Czy ona tego nie widzi? Opowiedzenie wszystkiego ludziom mi nie pomoże. – Nie chcę, aby Millie wiedziała, że jest owocem gwałtu. Nie możesz nikomu powiedzieć. Obiecałaś.

Lucy usilnie przeszukuje myśli, aby powiedzieć to, co wypada w takiej sytuacji. Chciałabym, żeby już sobie poszła. Nie powinnam była jej nic mówić. Dochowywałam tajemnicy od tak dawna. Powinnam po prostu trzymać buzię na kłódkę przez jeszcze kilka tygodni. Miałam przecież plan. Lucy nie musiała o niczym wiedzieć. Nikt nie musiał. Co jest ze mną nie tak? Za późno, aby ktokolwiek mógł mi pomóc, po co więc się odzywałam, i to teraz?

– Powinnaś już iść – mówię. Pragnę wyłącznie jednego: zwinąć się w kłębek i otoczyć własną bezradnością.

– To musi się skończyć – upiera się Lucy.

– Raczej nie ma na to szans, szczególnie że Daryll popycha sprawy do przodu. Chce, żebym z nim zamieszkała. Chce być jej ojcem.

– Ale on jest gwałcicielem!

– Dopóki mu się opieram. Jeśli dam swoją zgodę, będzie kimś innym.

– Nie wolno ci postawić siebie i Millie w takiej sytuacji. – Lucy patrzy na mnie z mieszaniną emocji. Jest wśród nich przerażenie i współczucie, frustracja i żar.

– Wiem – przyznaję.

– Co w takim razie zamierzasz, Daisy?

– Ucieknę. Mam zamiar uciec.

46

SIMON

NIEDZIELA, 7 LIPCA 2019

Następnego wieczoru do Simona trafiła paczka. Nie spodziewał się, że wszystko się potoczy aż tak szybko, choć z drugiej strony kipisz na blokach musiał oznaczać, że rzeczy krążą, szukając nowego domu. Wędrująca kontrabanda. A może tylko bracia Dale chcieli mu przypomnieć, że ma wobec nich dług, że nie wywinie się tak łatwo. Stał w kolejce na stołówce. Liczył na kartonik z sokiem pomarańczowym, który mógłby ukradkiem zatrzymać, by zmajstrować własny bimber. Zanim ten pomysł nabrał wyraźniejszych kształtów w jego umyśle, Simon pojął, jak głupie by to było zachowanie, jak ryzykowne, i zdziwił się, że w ogóle coś takiego rozważa. Mimo to myśl o pędzeniu własnego bimbru nie dawała mu spokoju. Uzależnienie podnosiło głowę, dusiło go za szyję. Ponownie czyniło bezradnym, bezwolnym. A jednak gdy więzień mający dyżur w okienku do wydawania posiłków postawił na jego plastikowej tacy kartonik, Simon od razu wiedział, że to nie sok. Dyżurny zbytnio się starał udawać niefrasobliwego; ze wszystkich rzeczy, jakie mógł robić – gwizdał. Nie pasowało też coś w ciężarze kartonika, był za lekki. Simon wrócił

prosto do celi, usiadł na swojej pryczy i ostrożnie otworzył kartonik. W środku była trawka.

Kurwa.

Nie interesowała go trawka, a zresztą nawet gdyby tak było, doskonale wiedział, że nie jest przeznaczona dla niego. Nie był to prezent ani poczęstunek. Miał po prostu przetrzymać zapasik, schować go przed czujnym wzrokiem strażników. I we właściwym momencie przekazać dalej. Tak rozpoczął się długi ciąg przysług. Zapłata za coś, czego nawet nie skosztował. Pomimo wszystkiego, co Simon zrobił w imię alkoholu – i przez alkohol – narkotyki napawały go strachem. Widział w nich zło, gorący towar, substancję, która niszczyła. Był świadkiem paranoi, przemocy, totalnego armagedonu będących efektem narkotyków w żyłach, sercach i umysłach uzależnionych; naoglądał się ludzi przedzierzgniętych w kłamców, złodziei i brutali. Miał świadomość, że picie wywołuje podobne skutki. Nigdy jednak nie słyszał o kartelu alkoholowym ani popełnianych w imieniu tej używki morderstwach, podczas gdy w świecie narkotyków była to norma.

Ta różnica miała dla niego znaczenie.

Ta różnica napawała go strachem.

To nic, że chodziło tylko o trawkę, wszystko się od czegoś zaczyna. Tyle Simon wiedział. Nie miał pojęcia, co zrobić z tym fantem. W celi było wiecznie albo za ciepło, albo za zimno; nigdy do tego nie przywykł. Ukrył trawkę w jednej ze swoich skarpet, którą następnie wsunął pod materac. Leonowi o niczym nie wspomniał. Tak było bezpieczniej. Gdy przyszła pora terapii grupowej, udał się na spotkanie jak zawsze. Tylko tam czuł, że nic mu nie grozi.

Billy wydawał się szczerze ucieszony z jego obecności, pełen nadziei wręcz. Uśmiechnął się i pomachał do niego, ale nic nie powiedział,

ponieważ jeden z więźniów był w samym środku opowieści. Mówił akurat o tym, że każdy alkoholik musi się poddać samoanalizie i zanim będzie mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za proces trzeźwienia, najpierw powinien sam przed sobą przyznać, że ma problem z alkoholem.

– Można zrobić dziesiątki testów z internetu, pójść do lekarza, ale koniec końców liczy się tylko to, co podpowiada ci instynkt. Czy już przekroczyłeś tę granicę. Jesteś czy nie jesteś.

W innych okolicznościach Simon pewnie by się włączył do dyskusji, uwaga była interesująca i całkiem sensowna, a on potrzebował stymulacji intelektualnej. Nie tego wieczoru jednak. Teraz potrafił myśleć wyłącznie o trawce ukrytej pod materacem. Wyobrażał ją sobie nie jako niepozorną kupkę, lecz wyjąca syrenę albo migający neon. Coś, co może stać się zapalnikiem. Dosłownie żarzącego się, zdolnego podpalić pościel, cały ten bajzel. Jak długo będzie musiał przetrzymać ten zapas? Komu każą go przekazać? Co dostanie potem? Bo że będzie następnym razem, Simon nie miał wątpliwości. Jeśli się przy tej okazji spisze, bracia Dale zaczną mieć względem niego inne wymagania. Jeśli zakabluje albo spieprzy sprawę w inny sposób, zrobią mu krzywdę. Zadawać się z nimi to tak, jakby oblać się benzyną i potrzebować główką zapalki o draskę.

Wprawdzie tylko kilka dni dzieliło go od wyjścia na zewnątrz, ale dobrze wiedział, że wszechmocne, przesiąknięte złem macki Dale'ów sięgają za więzienne mury. Typy spod ciemnej gwiazdy wytropią go, złapią za szyję, zduszą czekające go możliwości. Będzie mrówką, człowiekiem od najgorszych zadań. Trafi na listę płac tego czy innego gangu, ale nie będzie to dobrowolna posada wiążąca się z dodatkowymi świadczeniami, takimi jak pokrywanie kosztów działalności, ubezpieczenie zdrowotne i służbowe auto. Choć przypuszczał, że może dostawać jakieś wynagrodzenie, że to tu, to tam wpadnie mu parę funtów, by mógł się utrzymać przy życiu. Może

dostanie dach nad głową, wąskie łóżko w mieszkaniu innego popychadła. A polisa ubezpieczeniowa będzie oznaczać tyle, że wykonując zlecenia, uniknie pobicia ze skutkiem śmiertelnym. Być może dadzą mu samochód, jeśli będzie musiał wozić ludzi albo przedmioty. Jednym słowem: wisiał nad nim wyrok. Mimo że wyjdzie z więzienia, dalej będzie odbębniał karę, tyle że o innym charakterze. Przestanie być panem samego siebie. Simon miał ochotę się kopnąć. Nie potrafił uwierzyć, że wdepnął w coś takiego. I to czemu? Bo nagle zachciało mu się napić!

Ach, picie! Czego by teraz nie zrobił, byle poczuć w ustach smak alkoholu.

Daisy zażądała rozwodu.

Bracia Dale upomną się o swoje.

A jemu chciało się pić.

W pomieszczeniu zrobiło się cicho, więzień gadający o samoanalizie wreszcie zamilkł. Simon siedział odchyłony na oparcie krzesła, gapił się w sufit. Szukając odpowiedzi, próbując znaleźć wyjście. Jak oni wszyscy przez cały czas.

– A więc, Simon, niedługo wychodzisz – rzucił Billy radosnym tonem. Simon skinął głową. – Jakie to uczucie?

– Boję się – odparł Simon. – Boję się jak cholera.

47

DAISY

Ludzie myślą, że gwałt to zamaskowany nieznajomy, który napada cię w nocy, od tyłu, ciągnie w stronę bocznej uliczki i tam, grożąc ci nożem, bierze cię siłą wśród kontenerów na śmieci. To prawda.

Albo nielicencjonowany taksówkarz, który zamyka wszystkie drzwi i wywozi cię gdzieś daleko, zamiast pod wskazany adres, w miejsce, gdzie nikt nie usłyszy twoich krzyków. Nawet gdybyś odważyła się krzyżeć.

Albo mężczyzna, którego wypatrzyłaś na parkiecie klubu nocnego, ten, który od razu ci się spodobał, z którym tańczyłaś, flirtowałaś, któremu dałaś swój numer telefonu. A kiedy chciałaś zakończyć zabawę i wrócić z przyjaciółmi do domu, jemu się to nie spodobało.

Albo twój chłopak, mąż, krewny. Na ulicy, w samochodzie, w klubie nocnym, pod namiotem, w składziku, w parku, w pociągu, w biurze, w hotelu. W twoim własnym łóżku. Możesz mieć na sobie krótką spódniczkę, długą spódnicę, kombinezon roboczy, seksowną bieliznę, ogrodniczki, burkę, piżamę, nie mieć nic. Ktokolwiek, gdziekolwiek, jakkolwiek. Jedyne wspólne mianownik jest taki, że tego nie chcesz. W przeciwieństwie do niego.

Po raz pierwszy zostałam zgwałcona podczas jednego ze wspaniałych, eleganckich, wyczekiwanych przyjęć. Miałam na sobie nową ładną

sukienkę w kwiaty. Fryzurę prosto od fryzjera, makijaż mocniejszy niż zwykle. Chcecie wiedzieć dlaczego? W sądzie by chcieli. Gdyby toczył się proces w tej sprawie, mogliby mnie spytać nawet o to, dlaczego wydepilowałam nogi. I czy wydepilowałam się jeszcze gdzie indziej. Dlaczego pomalowałam na szkarłatno paznokcie u rąk i nóg. Przeszliby do porządku dziennego nad tym, że włożyłam sukienkę przepasaną tylko paskiem, ponieważ w takiej najlepiej wyglądam, lub przeciwnie – adwokat oskarżonego dowodziłby, że celowo ubrałam się w coś, co da się łatwo zdjąć.

A makijaż? Pytaliby, dlaczego „mocniejszy niż zwykle”. Doszukiwaliby się drugiego dna. Podczas gdy prawda była taka, że Simon wypił trochę za dużo do obiadu i po południu drzemał, dzięki czemu miałam więcej czasu dla siebie i mogłam się bardziej przyłożyć.

A może umalowałam się mocniej, gdyż wszystkie moje przyjaciółki są ładniejsze ode mnie, a ja od zawsze czuję potrzebę wypadania jak najlepiej.

Mogło też chodzić o to, że przechodziliśmy z mężem trudny czas. Oboje pragnęliśmy dziecka, którego nie udawało nam się począć. Powoli nas to niszczyło. Prawdopodobnie chciałam coś znów w nas rozbudzić.

Albo też najzwyczajniej w świecie umalowałam się dla poprawy nastroju.

Bądź ze wszystkich wymienionych wyżej powodów.

Obrona pewnie by argumentowała, że zadbałam o siebie szczególnie, ponieważ wiedziałam, że na przyjęciu będzie Daryll Lainbridge, w którym kochałam się dawno, dawno temu. Na studiach mnie ignorował, ale ostatnio jakby zaczął zwracać na mnie uwagę, co było bardzo pochlebające, prawda?

Wychowanie sprawia, że pragniemy dobrze wyglądać. My, kobiety. Od małości słyszymy, że wygląd się liczy. Chcemy więc być dostrzegane.

To chore.

Czy jestem pod pręgierzem? Skoro tak, równie dobrze mogę przyznać, że miałam na nogach szpilki. Srebrne, z odkrytymi palcami. Buty były nowe i frywolne, z lubością przyglądałam się szkarłatnym paznokciom, które z nich wyzierały.

Tamtego wieczoru, po tym jak Simon w końcu odespał, wziął długi prysznic i zszedł na dół pachnący, pełen optymizmu. Zapewne cieszyła go perspektywa napitku, ale ja wmawiałam sobie, że cieszy się na przyjęcie, na to, iż pójdzie na nie ze mną. Przez moment nawet w to wierzyłam. Gdy ogarnął mnie całą wzrokiem i wymruczał lekko chrypliwie: „Ładnie wyglądasz. Apetycznie”.

„Wystarczająco apetycznie, abyś chciał mnie zjeść?”, zapytałam, puszczając do niego oko. Był to jeden z naszych starych żarcików. Niewinne powiedzonko matki Simona, komplement, którym szafowała na lewo i prawo. Nadaliśmy mu inne znaczenie lata temu, kiedy byliśmy bardzo młodzi. „Tak – odparł z uśmiechem. – Wystarczająco apetycznie, abym chciał cię zjeść”.

Wyszliśmy z domu, trzymając się za ręce. Jeszcze pod drzwiami Connie mieliśmy splecione palce, lecz gdy nam otworzyła, Simon udał się prosto do kuchni, do baru. Zostawił mnie samą. Poczułam rozczarowanie. Ja też poczęstowałam się dżinem z tonikiem. I drugim. Krążyłam, zamieniając słowo z różnymi osobami, o tym i owym. Connie jak zwykle bardzo się postarała. Był nawet magik robiący sztuczki z balonami i kartami do gry. Dwaj kelnerzy roznosili tace ze snobistycznymi przekąskami, trzeci zaś nieustannie oferował drinki. Mimo to nie bawiłam się specjalnie dobrze. To dla mnie typowe. Przygotowania do wyjścia i szykowanie się sprawiają mi więcej frajdy niż sama impreza. Zapewne dlatego, że jestem nieśmiała i lepiej się czuję w wąskim gronie. Nie zrozumcie mnie źle, nie miałam

żadnych konkretnych zastrzeżeń. Przyjęcie było jak najbardziej w porządku.

Ale później pojawił się Daryll.

I sprawy weszły na wyższy poziom.

Daryll już od kilku miesięcy starał się przeniknąć do naszego kręgu towarzyskiego. Nie podobało mi się to. Starałam się chronić naszą paczkę przed outsiderami, ponieważ zagrażali oni delikatnej równowadze. Obawiałam się, że grupa nie zdoła wchłonąć dodatkowej osoby, a zamiast tego wypluje kogoś ze starych członków, aby zrobić miejsce nowemu. Co będzie, jeśli na aut trafię ja albo Simon? Wiem, wiem, moje poczucie własnej wartości jest zaburzone, ale Simon był wtedy naprawdę niezmiernie upierdliwy. Jego picie denerwowało innych. W każdym razie Daryll był zdeterminowany. Wydawało mu się, że ma prawo zinfiltrować naszą paczkę, ponieważ kiedyś z nami studiował. Pojawiał się na imprezach i proszonych kolacjach, wycieczkach do kina i na kręgle.

Zauroczenie nim zdążyło mi minąć. To prawda, że jako studentka straciłam dla niego głowę, ale tamten czas miałam już dawno za sobą. Byłam żoną Simona. Kochałam go pomimo wszystkiego, przez co przechodziliśmy. Jeśli już, obecność Darylla mnie krępowała, gdyż on najwyraźniej wierzył, że nadal na niego leczę. Przekręcał moje słowa, interpretując je dziwnie, wbrew moim intencjom. Na przykład jeśli rzuciłam nonszalancką uwagę, że mężczyźni są – bo ja wiem – bałaganiarzami czy coś równie niewinnego, przechwytywał moje spojrzenie i mówił z naciskiem: „Nie wszyscy jesteśmy niechlujami, Daisy. Wolałbym, żebyś nie wrzucała nas do jednego worka”. Owszem, zastanowiło mnie, dlaczego tak się reklamuje. Czyżby nie umiał znieść myśli, że choć kiedyś darzyłam go uczuciem, stał mi się obojętny? Na tym polegał problem? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że cokolwiek wtedy powiedziałam, odczytywał

to jako próbę flirtu, wyrzut lub nostalgię. Relacja między nami niepotrzebnie się skomplikowała. Miałam do niego żal, że mąci wody. Stawałam na głowie, by nasze stosunki znormalniały, ale oczywiście nie przyniosło to zamierzonego efektu. Dlatego mówiąc o sprawach wchodzących na wyższy poziom, bynajmniej nie mam na myśli tego, że widok Darylla mnie ucieszył. Raczej to, że pojawił się jeszcze jeden problem.

O dziwo, przyszedł sam, bez partnerki. Wielka szkoda. Nudził się i jak na złość upatrzył sobie akurat mnie. Gdyby był z dziewczyną, nie miałby szans mnie zauważyć, zbytnio by go rozpraszała.

– Przyglądałem się, jak tańczysz – oświadczył.

– Och – odparłam zaskoczona. Wyglądałam się na parkiecie z Rose, telepałyśmy się i robiłyśmy pantomimę do słów Y.M.C.A. Coś takiego wychodziło mi tylko z siostrą. Uwaga rzucona przez Darylla zażenowała mnie, poczułam się nieswojo na myśl, że ktoś mnie obserwował.

– Niezła jesteś – dodał.

– Czy to takie dziwne?

– Zatańczymy? – Znad brzegu kieliszka popatrzył mi prosto w oczy. Znałam to spojrzenie. Nie trafiało mi się często, ale nie byłam zakonnica, narandkowałam się w swoim życiu. W jego wzroku było coś więcej niż przyjacielskie zaproszenie. Kryła się w nim sugestia, intencja. Nie dałam się jednak omotać. Czarujące w zamierzeniu spojrzenie wydało mi się zbyt wyćwiczone, zbyt gładkie. Zamiast mu się poddać, miałam ochotę wybuchnąć śmiechem. Zresztą byłam mężatką.

– Wiesz co, muszę się napić wody. Przetąpiłam ostatnie pół godziny, jestem cała zgrzana i spocona – wypaliłam, mając nadzieję, że to go odstraszy, ostudzi.

– Nie owijasz w bawełnę, Daisy.

– Cóż to? Czujesz się urażony?

– Bynajmniej. Raczej podniecony.

Była to taka dziwaczna odpowiedź, że zaniemówiłam. Nie wiedząc, jak mogłabym zareagować, udałam, że nie dosłyszałam.

– Gdzie zgubiłeś swoją ślicznotkę? – zapytałam, żeby coś powiedzieć. Próbowałam tylko zmienić temat rozmowy, oddalić go od siebie, lecz zastanawiając się nad tym później, doszłam do wniosku, że może zabrzmiałam jak flirciara. Bezwiednie wyolbrzymiłam kwestię poszukiwań, rozglądania się za oszałamiającą kobietą, która mogłaby zawisnąć u jego ramienia.

Daryll zrobił smutną minę – czy też raczej przyoblekł twarz w wyraz mający przypominać smutek.

– Chyba jest mi pisane zostać wiecznym kawalerem – powiedział, kręcąc głową. – Po prostu nie pojmuję kobiet.

Chciałam mu dać do zrozumienia, że nie nabrał mnie.

– Daj spokój. Przy tej liczbie, z jaką się zadawałeś, nie możesz twierdzić czegoś takiego.

– Pewnie nie spotkałem jeszcze tej właściwej. A jeśli spotkałem, pozwoliłem jej odejść. – Mówiąc to, przyszpilał mnie spojrzeniem. Poczułam się niezręcznie. Gdyby moim rozmówcą był ktoś inny, pomyślałabym, że ta kwestia podszyta jest żalem, nostalgią. W przypadku Darylla jednak było to niemożliwe. On bawił się kosztem innych. Tylko dlaczego obrał mnie na obiekt swojej zabawy? Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie jest pijany. Zachowywał się naprawdę dziwnie. – Możemy porozmawiać, Daisy?

Zanim zdążyłam zauważyć, że od dłuższej chwili nie robimy nic innego, tylko rozmawiamy, złapał mnie za rękę i wyprowadził z kuchni do salonu, gdzie znajdowało się mniej ludzi. Obecni stali w grupkach, nikt nie

zajmował miejsca na żadnej z dwu kanap, ale Daryll klapnął na jedną z nich i pociągnął mnie za sobą. Wylądowałam blisko niego, udo w udo, jednak zadbałam o to, aby powstał między nami pewien dystans. Wstanie i odejście wydawało mi się niegrzeczne w tamtym momencie. Poza tym, jeśli mam być szczerą... perspektywa spędzenia wieczoru na rozmowie z Daryllem nie była wcale taka straszna. W moim osobistym rankingu plasowało się to na nieco wyższym miejscu niż próby włączenia się do rozmów prowadzonych przez nieznanymi mi gości Connie. Tymczasem Daryll zaczął mi opowiadać o swoim ostatnim rozstaniu.

– Już myślałem, że to ta jedyna – wyznał. Nim zaczęłam mu współczuć, nazwał ją suką. Takie skrajne opinie na temat byłego partnera to nic nowego, wiele osób tak ma, lecz nie znajduję dla nich usprawiedliwienia. Jak można kogoś kochać w jednej chwili, a w drugiej nienawidzić? Wydaje się to niedojrzałe, nieprzekonujące. Przyjęłam kieliszek wina od usłużnego kelnera, po czym pozwoliłam, aby słowa Darylla mnie omywały. Zwłaszcza że nie oczekiwał ode mnie istotniejszej reakcji. Widać było, że musi upuścić sobie pary. Wyrzekał na strony randkowe. Zdziwiło mnie, że szuka miłości przez internet. Sama nie wiem czemu, ale zakładałam, że po staroświecku przedziera się przez gąszcz znajomych i znajomych znajomych. Był przystojny i inteligentny, miał dobrą pracę. Wyobrażałam sobie, że wiele osób próbuje go swatać ze swoimi samotnymi przyjaciółkami. To tylko pokazywało, w jakim oderwaniu od świata żyję. W czasach, gdy poznałam Simona, nikt nie znajdował drugiej połówki online. Mało kto szukał w ten sposób pralki. Wychodziło na to, że Daryll ma bardzo zawężone kryteria dotyczące potencjalnych partnerek. Skarżył się, że kobiety, które poznaje, „leczą tylko na kasę”, „są oziębłe” i „wyrachowane”. Narzekał, że to „nudziary”, „kokietki” albo

„kłamczuchy”. W obliczu jego gniewu i frustracji zaczęło mi być nieswojo. Aż w końcu przyznał, że jego ostatnia kochanka była mężatką.

– Mężatką? – Niedostatecznie ukryłam szok.

– Na początku nic nie wiedziałam – pośpieszył z zapewnieniem. Po czym dodał: – Ale kiedy odkryłem prawdę, byłem już w niej do połowy zakochany.

Poprawiłam się na swoim miejscu niespokojnie. Dziesiątki razy słyszałam takie wyznania z ust kobiet mówiących o facetach, ale nie miałam pojęcia, co powiedziec mężczyźnie, który zakochał się w kobiecie zamężnej.

– Z pewnością się domyśliłeś, że na dłuższą metę nic z tego nie będzie?

– Dlaczego? – Wydawał się skonfundowany. – Niektórzy odchodzą od swoich stałych partnerów, wiesz, Daisy. Ludzie miewają romanse – dodał z uśmiechem, który odebrałam jako nieco protekcyjny.

– To prawda, ale jak zaufać komuś takiemu?

Rozmowa ciągnęła się od co najmniej godziny. Chciałam zostawić Darylla i odszukać męża, siostrę albo któreś z gospodarzy. Raport ze sceny randkowej przygnębił mnie, ale też sprawił, że poczułam wdzięczność za własny związek. Simon i ja mieliśmy swoje problemy, można nawet powiedzieć, że musieliśmy ratować małżeństwo, lecz byliśmy wierni sobie nawzajem. Daryll chyba myślał o czymś podobnym, gdyż rzucił:

– Z Simona jest wielki szczęściarz. Mam nadzieję, że o tym wie.

– Oboje jesteśmy szczęściarzami – zauważyłam.

– To, co macie, to ideał – dodał Daryll z czymś w rodzaju rozmarzenia.

– Nie ma rzeczy idealnych – skomentowałam po części, by go pocieszyć, a po części dlatego, że to prawda. Rozejrzałam się po salonie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Dość się nasłuchiwałam. Wykazałam dość cierpliwości. Nietaktem by jednak było, gdybym po tym, jak się przede

mną otworzył i wywnętrzył, poinformowała, że idę znaleźć Simona. – Mogę cię na chwilkę przeprosić? Skorzystam tylko z łazienki.

Właśnie tam to zrobił.

Weszłam na ostatnie piętro domu. Rok wcześniej Luke i Connie zaadaptowali poddasze na dużą sypialnię z łazienką. Na dole stała kolejka zarówno do ubikacji wielkości komórki, jak i do obszernej rodzinnej łazienki. Zdawałam sobie sprawę, że tylko nieliczni wiedzą o toalecie na samej górze, poza tym miałam dość dusznej atmosfery przyjęcia i emocjonalnie drenującego mnie Darylla. Potrzebowałam paru chwil, aby odzyskać panowanie nad sobą, wspięłam się więc po schodach aż na szczyt domu, z dala od ludzi.

Wysikałam się, umyłam ręce, sprawdziłam makijaż. Tusz do rzęs zaczął się lekko rozmazywać, co było do przewidzenia. Jak inne kobiety to robią, że do samego końca imprezy pozostają nieskazitelne? Zwilżyłam nieco skórę pod oczami i potarłam palcem. Będzie musiało wystarczyć. Na koniec przesunęłam zasuwkę w drzwiach, mając zamiar wrócić na dół, odnaleźć Simona, może skłonić go, aby ze mną zatańczył.

Daryll już na mnie czekał. Blokował przejście. Wkroczył do łazienki, zatrzaskał drzwi nogą i użył zasuwki.

– Daryll, co ty wy...

Brutalnie zakrył mi usta i popchnął mnie do tyłu. Uderzyłam plecami w krawędź umywalki, aż ból przeszył mnie na całej długości kręgosłupa. Ledwie zdałam sobie z tego sprawę, Daryll obrócił mnie i zgiął w pół. Wciąż zakrywał mi dłonią usta, drugą ręką gmerając przy rozporku i zadzierając mi sukienkę. Opierałam się. Tak mi się przynajmniej zdaje. Byłam w szoku. Nie wiedziałam, jak zareagować. Każda kobieta myśli, że wie, jak by postąpiła w takiej sytuacji. Że krzyczałaby, gryzła i kopała. Tymczasem gdy przychodzi co do czego, nie masz pojęcia, co zrobić. Nie

mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. Dopiero gdy poczułam jego rękę w majtkach, ugryzłam jeden z palców dłoni zasłaniającej mi usta. Już miałam wrzasnąć. Już miałam krzyknąć „nie!”. Ale wtedy on wyrzwał moją głowę w lustro wiszące nad umywalką. Rozpłakałam się. Musiałam coś mówić, prosić go, by przestał, błagać, ponieważ w pewnym momencie powiedział: „Zamknij się, Daisy, bo ktoś nas usłyszy. Nie chcesz tego”.

Wszystko odbyło się tak sprawnie. Czułam pchnięcie za pchnięciem. Brutalne, bolesne sztychy. Czułam, jak w Daryllu pulsują gniew i nienawiść; jak mi je przekazuje. Trwało to wieki. Było po wszystkim w okamgnieniu. Tak naprawdę nie wiem, ile się nade mną znęcał. W końcu zostawił mnie w spokoju, a ja momentalnie opadłam na kolana. Nie mam pojęcia, czy wciąż płakałam. Na pewno cała się trzęsłam. Tymczasem Daryll doprowadzał się do porządku. Nie patrzył na mnie, tylko w lustro. Poprawił palcami włosy i powiedział:

– Dzięki, Daisy. Wiem, że oboje od dawna tego pragnęliśmy. Nie martw się, jestem uosobieniem dyskrecji. Simon nie musi się dowiedzieć, co właśnie zrobiłaś.

48

SIMON

CZWARTEK, 11 LIPCA 2019

Simon trafił do więzienia jako alkoholik, nie przestępca. Starał się nie wychylać, nie zwracać na siebie uwagi, trzymać z dala od kłopotów. Podpowiadał mu to instynkt samozachowawczy. Ostatnio jednak sam się prosił o kłopoty, sam je stwarzał. Pogryzał się coraz głębiej w rozpacz i frustracji. Żałował, że Daisy w ogóle go odwiedziła. Żałował, że nie posłuchał Leona i mimo ostrzeżeń zwrócił się do braci Dale. Najbardziej ze wszystkiego jednak – ku swemu wielkiemu wstydowi i przerażeniu – żałował, że nie wziął wtedy whisky i nie wypił jej. Do tej pory tęsknił do uczucia, które przychodzi w miarę picia, tego przypominającego znajdowanie się pod wodą, z dala od jakichkolwiek bodźców.

Tego właśnie najbardziej brakowało Simonowi.

O ile przerwy w życiorysie, których doświadczał, napędzały mu strachu, o tyle wzięcie odpowiedzialności za własne czyny było jeszcze gorsze. Lepiej dla niego byłoby, gdyby leżał spity w trupa, wtedy przynajmniej bracia Dale nie mogliby zobaczyć przerażenia wyzierającego

z jego oczu. Marzenia ściętej głowy... Tak teraz wyglądało jego życie. Jak sobie pościelił, tak się wyśpi.

Nie pomylił się w swoich przypuszczeniach. Jedna przysługa pociągnęła następną. Musiał przekazać trawkę innemu więźniowi. Nikt jednak nie powiedział mu jak. „Bystrzak jesteś, użyj szarych komórek”, poinstruował go posłaniec. Ostatecznie Simon postanowił zanieść książkę do ćpuna. Przy okazji przekazał jedno i drugie. Tyle że książkę będzie musiał niebawem odebrać. Była z biblioteki, wkrótce wypadał termin jej zwrotu. Bał się jednak pokazać ćpunowi znów na oczy. Wolał nie zacieśniać tej znajomości. Kazano mu także spuścić w kiblu skarpetkę, wysrać się i zgłosić klawiszowi, że odpływ jest zatkany. Ewidentnie chodziło o odwrócenie uwagi – od czego jednak, o to Simon nie zamierzał pytać. Trzymano go w nieświadomości i to mu odpowiadało. Im mniej wiedział, tym lepiej.

Oba zadania zrujnowały mu nerwy. Zapychając odpływ, mógł utracić przywileje takie jak spaceriak czy terapia grupowa; dając się przyłapać z trawką, ryzykował, że będzie musiał się pożegnać ze zwolnieniem warunkowym. Chociaż jeśli chodzi o to ostatnie, zastanawiał się od pewnego czasu, czy rzeczywiście byłoby to takie straszne. Co takiego czekało na niego na wolności, skoro Daisy go nie chciała? Za to bracia Dale przeciwnie. Może tu, za murami, był bezpieczniejszy? Sama ta myśl, która tylko przemknęła mu przez głowę, przyprawiła go o mdłości, zdawał sobie bowiem sprawę, że woląc pozostać za kratkami, znajdował się na najlepszej drodze do tego, by stać się pełnoetatowym więźniem, do końca życia na garnuszku państwa. Słyszał o takich; staruszkowie po wyjściu natychmiast łamali prawo, ponieważ umieli sobie radzić wyłącznie w więzieniu. Gdy się o tym dowiedział, pomyślał, że to najbardziej przygnębiająca rzecz na świecie, porażka na całego, kolosalne marnotrawstwo niedające się

objąć rozumem. To, że podobna perspektywa teraz go nęciła, wzbudziło w nim nudności. Swoją czas na spacerunku wykorzystał na zwalczanie niezrozumiałej pokusy. Skupiał się na słabym słońcu grzejącym jego skórę, na ptakach przecinających niebo i owadach pod stopami. Z trudem wywoływał w sobie tęsknotę za wolnością.

W zamian za przysługi otrzymywał różne rzeczy. Stosunek więźniów do niego się zmienił; przestali go popychać, stojąc w kolejce, zostawiali mu przestrzeń. Jego nowy status człowieka braci Dale budził respekt, a może strach. Simonowi bardziej się podobało, gdy współsąsiedzi traktowali go z obojętnością. Raz na jego pryczy pojawiła się tabliczka czekolady. Mlecznej, z orzechami. Ulubiony rodzaj Daisy. Ten zbieg okoliczności wprowadził Simona w niepokój. Gapił się na czekoladę, jakby to była żmija. Jak się tu znalazła? Kto ją podrzucił? Jakiś inny człowiek Dale'ów czy skorumpowany klawisz? Jeśli klawisze wiedzieli, że spoufala się z braćmi Dale, miał przechłapanie. Znikąd ratunku w razie czego. Powstrzymał się od zjedzenia smakołyku.

– Co tam masz?

Simon podskoczył na dźwięk głosu Leona, który właśnie wrócił spod prysznic – wciąż miał mokre włosy, woda kapała mu na ramiona. Ablucje były cenione nie tylko przez tego, kto ich dokonywał, ale też przez współlokatora. W takiej ciasnocie liczyły się drobiazgi. Należały do nich mniej cuchnące pachy i stopy.

– Czekoladę. – Simon czekał, aż Leon poprosi o trochę.

Leon jednak nic podobnego nie zrobił. Zamiast tego zapytał:

– Skąd?

Simon wzruszył ramionami.

– Leżała tu, jak przyszedłem.

– Szlag. – Oczy Leona się powiększyły, mignęła w nich panika. Tak samo jak Simon rozumiał implikacje tego faktu. – Nie chcę wiedzieć, za co ci dziękują – wymamrotał ponuro.

– Sam nie jestem pewien.

– Że co?

– Może to być podziękowanie za wyświadczone dotąd przysługi, ale... Co będzie, jeśli podrzucili mi coś, o czym nie wiem?

Simon rozejrzał się nerwowo po celi. Z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak ten, co przyniósł czekoladę, zostawił również coś innego. Czekolada była tylko wiadomością, a oni siedzieli na kontrabandzie, nawet o tym nie wiedząc. Może chodziło o komórkę albo kokainę. Leon zdał sobie z tego sprawę w mgnieniu oka. Od zawsze był pesymistą. Na każdym kroku oczekiwał pecha, trudności, ślepych uliczek i przemocy. Całe życie zbierał po dupie. Dzielenie celi z kimś takim jak Simon jeszcze do niedawna wydawało mu się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

– Kurde, człowieku. W coś ty nas wpakował?

– Tobie nic nie grozi. Jeśli coś tu jest i ktoś to znajdzie, wezmę wszystko na siebie.

– Co możemy zrobić? – zapytał Leon, udowadniając, że wbrew faktom uważa Simona za kogoś, kto może ich z tego wyplątać.

– Na razie nic. Będziemy się zachowywać normalnie. Rób to, co zawsze. Daj mi się zastanowić.

Przetrwali jakiś apel, a gdy zamek w drzwiach celi szcęknął metalicznie, poczuli coś w rodzaju ulgi, że pozostaną zamknięci do rana. Oni w środku, cała reszta na zewnątrz.

– Zaczynamy szukać czy lepiej nic nie wiedzieć? Pewnie to drugie. Jeśli będzie kłopot i klawisze coś znajdą, nasze zdziwienie wypadnie bardziej

szczerze – kombinował Simon. Leon tylko jęknął i zaraz wspiął się na swoją pryczę. – Słuchaj, naprawdę nic ci nie grozi – powtórzył Simon.

Jasne było, że Leon mu nie wierzy. Ludzie obiecywali Leonowi przeróżne rzeczy, po czym łamali dane słowo. Bycie współlokatorem kogoś, kto siedzi na zapasach jak smok na złocie, wiązało się z pewnym ryzykiem. Pomijając, że ostry kipisz wywróci ich życie do góry nogami, istniało niebezpieczeństwo rewizji osobistej obu osadzonych, a tej Leon naprawdę wolałby uniknąć. W milczeniu równocześnie przerabiali możliwe scenariusze wydarzeń, do których doprowadzi współpraca Simona z braćmi Dale. Klawisze, nawet z psami tropiącymi, nie muszą od razu czegoś znaleźć. W razie najgorszego jednak obydwaj więźniowie będą mieli postawione zarzuty, po czym trafią przed oblicze naczelnika. Wachlarz kar był szeroki: utrata przywilejów, przepadek wynagrodzenia albo zamknięcie w karczerze. W zależności od znaleziska karą mogło być też wydłużenie wyroku Leona i cofnięcie zgody na zwolnienie warunkowe Simona, co by oznaczało, że resztę zasądzonego pierwotnie wyroku musiałyby odsiedzieć w całości za kratkami. Spędziłyby w więzieniu kolejne trzy lata.

– Szukamy – rzucił Simon znienacka.

– Czemu?

– Jeśli kontrabanda znajdzie się w mojej szafce albo pod moim materacem, tylko ja oberwę. Jeśli jednak schowali coś we wspólnej części, bekniemy obaj.

Leon zeskoczył z pryczy i zgromił go wzrokiem.

– Powiedziałem, że wezmę wszystko na siebie, i to zrobię – zapewnił pośpiesznie Barnes. – Ale różnie bywa. Mogą zechcieć dać przykład pozostałym. Nie możemy więc ryzykować. Musimy sprawdzić za kiblem, pod umywalką. Czy cokolwiek zmieściłoby się w szparach między ramą okna i skrzydłem?

Leon przewrócił oczami.

– A jeśli coś znajdziemy? Co wtedy? Zaniesiesz to Dale’om i powiesz: „Dzięki, ale wolałbym nie”? Nie zgrywaj twardszego, niż jesteś w rzeczywistości.

Obydwaj wiedzieli, że parę dni i nocy w karczerze to pestka w porównaniu z tym, co mogą wykroić bracia Dale. Słyszeli o celowych poparzeniach, pobiciach do nieprzytomności, tatuażach wyciętych ostrzem noża. Zdarzało się, że przyskrzyniali jakiegoś byłego ćpuna i na siłę szprycowali go heroiną, aby „dać mu nauczkę”. Mieli świadomość, że funkcjonują w miejscu, gdzie niejeden zginął za złamanie skomplikowanych, bezwzględnych zasad grypsery.

– Jesteś ich człowiekiem – stwierdził Leon z poczuciem przegranej. – Jedyne, co możemy, to czekać.

– Przepraszam – szepnął Simon w mrok.

49

DAISY

Lucy ma mnóstwo pracy i choć oferuje, że weźmie wolne, nie bardzo wiem, jak miałyby to zrobić. Zresztą jak to wyjaśnię? Tę nagłą bliskość z nią? Wszyscy poczytają to za oznakę nadciągającej apokalipsy, końca świata, kiedy to najważniejsze prawdy zostaną objawione. Connie oczywiście będzie najbardziej podejrzliwa, zacznie dopytywać, co się dzieje. Mówię więc Lucy, że dam sobie radę, gdyż Daryll też dużo pracuje i nigdy nie zagląda do mnie w ciągu dnia. Nie wydaje się przekonana.

– Powinniśmy pójść na policję. Jeżeli uciekniesz, on zwycięży – argumentuje.

– Wcale nie. Ja mam Millie.

– Ale jakim kosztem? Skończy się to rezygnacją z rodziny i przyjaciół. Ty dodatkowo stracisz pracę, Millie szkołę, obydwie straciecie dom. Daisy, nie daj się do tego zmusić. Nie zrobiłaś nic złego. To on powinien zostać ukarany.

– Nie twoja sprawa, Lucy.

– Właśnie że moja. Odkąd mi powiedziałaś.

– Nie. Nie możesz wtrącać się w moje życie.

– Ależ nie robię tego – tłumaczy cierpliwie. – Staram się tylko cię chronić.

– To nie jest twoje zadanie.

– W pewnym sensie moje. Od czego są przyjaciele?

Serce podchodzi mi do gardła. Lucy uważa się za moją przyjaciółkę. Po tych wszystkich latach, w czasie których wyzłośliwiałam się na nią i traktowałam ją grubiańsko, to nie lada wyczyn. Tylko... Lucy uważa, że rozwiąże tę sprawę, ponieważ jest ładna i ma wspaniałe życie. Nie zdaje sobie nawet sprawy, jak parszywe bywa życie innych ludzi. Że można się znaleźć w pułapce bez wyjścia. Nie mieć wyboru. Moja sytuacja nie należy do tych, które można poprawić dzięki rozmowie albo urokowi osobistemu.

– Jeśli naprawdę jesteś po mojej stronie, wysłuchaj mnie, proszę. Nie rozkazuj mi tak jak on. – Wydaje się wstrząśnięta, ale zaciska wargi w wąską kreskę i kiwa głową na znak, że będzie słuchać. – Pomyśl, co się stanie, jeśli pójdziemy na policję. Daryll wszystkiemu zaprzeczy. A potrafi być bardzo przekonujący. Nawet gdyby uwierzyli mi na policji i sprawa trafiła do sądu, Daryll znowu się wyprze, a ja będę musiała się wić, aby przeciągnąć na swoją stronę jeszcze więcej osób, tym razem wszystkich przysięgłych. To byłby dla mnie horror. – Wzdycham. – Nie mam na nic siły. Po prostu nie mam. Zbyt dużo przeszłam do tej pory. I Millie też. Proszę, Lucy, jeśli nie umiesz dotrzymać tajemnicy dla mnie, zrób to dla Millie. Pomyśl, jaki to wywrze na nią wpływ. Będzie dorastać ze świadomością, że jej ojciec jest gwałcicielem. W porównaniu z tym alkoholik, który niemal ją przejechał, wydaje się całkiem przyzwoitą alternatywą.

Lucy milczy jeszcze przez chwilę, wyraźnie coś rozważając.

– Rozumiem, co mówisz, ale on cię nadal krzywdzi. Jak chcesz z tym żyć? Mnie jest trudno z tym żyć!

– On chyba nie postrzega tego, co robi, jako gwałtu. W jego mniemaniu jesteśmy w czymś w rodzaju związku.

– Nigdy w to nie uwierzę! – woła zapalczywie Lucy.

– W dysfunkcyjnym związku, zgoda, ale przecież takich nie brakuje. Daryll sugeruje, że to, w jaki sposób uprawia ze mną seks, jest swego rodzaju grą.

– Brutalną grą, sądząc po twoich siniakach.

– Owszem, ale niektórzy lubią bawić się ostro. On wypacza rzeczywistość, przedstawia to tak, jakbym tego chciała, ale mam problem z seksem i jestem zbyt nieśmiała, by mówić o swoich potrzebach na głos.

– To chore.

– Daryll jest sprytny.

Lucy wygląda na wściekłą.

– Daryll jest tym, kim jest. Gwałticielem, nikim więcej. Powiedziałaś mu, że nie chcesz seksu z nim?

– Za każdym razem mu to mówię.

– Zatem wie, czym jest to, co ci robi. I ty też wiesz.

– Prosiłam go, żeby dał mi spokój. Powtarzałam, że nie chcę go widzieć. Nie chcę, żeby przychodził do mojego domu. Ale on grozi, że odbierze mi Millie. Że przeprowadzi test DNA, udowodni, iż jest jego córką, i wystąpi o wyłączną opiekę. W kółko gada o tym, jakie życie może jej zapewnić, w przeciwieństwie do mnie. Ma świetną pracę, kupuje wielki dom, chce posłać Millie do prywatnej szkoły. Jest w stanie zamydlić oczy sędziemu.

Daryll to prawdziwa bestia. Lucy ma rację, musi sobie zdawać sprawę, że gwałt to gwałt, a nie żadna forma związku między dwojgiem ludzi. Nigdy się nawet nie pocałowaliśmy. Niekiedy konieczne są więzy. Często

bardzo mnie boli. Zawsze płaczę. Nie akceptuję tego ani na poziomie fizycznym, ani mentalnym. Nienawidzę Darylla całą sobą.

50

SIMON

Simon i Leon nie musieli długo czekać. Około dwudziestej trzeciej rozległ się sygnał alarmu, tego uruchamianego przez strażnika, w razie gdy potrzebuje wsparcia. Mogło to oznaczać bijatykę lub że ktoś – najczęściej strażnik – został zaatakowany. Aczkolwiek obie możliwości były mało prawdopodobne o tej porze, gdyż wszyscy więźniowie siedzieli zamknięci w swoich celach. Powód mógł więc być tylko jeden. Strażnicy coś znaleźli.

Następne godziny były pełne niepokoju. W korytarzach niosły się echem odgłosy ciężkiego stąpania po metalowych schodach. Słysząc było krzyki, choć nie dało się zrozumieć poszczególnych słów, których ton wskazywał raczej na irytację i stanowczość niż na gniew czy przemoc. Nie chodziło więc o bunt, tylko o... o coś.

Nazajutrz zwykła więzienna rutyna została złamana już przy śniadaniu. Z kilku sąsiednich cel wypuszczano sześciu osadzonych, prowadzono ich na stołówkę, tam zaopatrywano w podstawowe produkty, takie jak płatki zbożowe i sok, po czym z powrotem wiedziono do cel, aby po chwili wypuścić kolejną sześciuosobową grupę. Trwało to wieki, osadzeni zaczęli więc tracić cierpliwość. I tak nieustannie się skarżyli, przynajmniej zapewniało im to jakieś zajęcie. Teraz także narzekali na głód

i zapowiadali, że doniosą na klawiszy wyżej. Okrzyki odbijały się od ścian, coraz bardziej przybierając na sile.

Pomimo ograniczenia swobód i częstszych kontroli wśród więźniów zaczęły krążyć pogłoski – jeśli bowiem było coś, co pensjonariusze zakładów karnych lubili bardziej niż narzekania, to właśnie plotki. Ktoś trafił na oddział intensywnej terapii. Znalaziono go w celi po zgaszeniu światła. Przedawkowanie kokainy. Stan krytyczny. Nikt nie rozumiał, jak coś takiego mogło umknąć klawiszom podczas wieczornego liczenia. Facet leżał zakopany pod kocem. Strażnik sprawdzający tamten blok ewidentnie się śpieszył, uznał, że więzień śpi. O kogo chodziło? Padały różne nazwiska. Nikt nie wiedział nic na pewno.

Zanosiło się na to, że spędzą w celi cały dzień, może nawet najbliższe dwadzieścia trzy godziny. Strażników zawsze brakowało, a że był okres urlopowy, ten i ów udał się na wakacje. Trudno było sobie wyobrazić klawisza na plaży, jak buduje z dzieckiem zamek z piasku albo popija wino z żoną, ale takie rzeczy się zdarzały. W konsekwencji czego więźniowie coraz więcej czasu spędzali w zamknięciu. To w połączeniu z bieżącym kryzysem oznaczało zero socjalizacji, jak również terapii grupowej. Simon żałował, że pozbył się książki. Po raz drugi przeczytał brukowiec Leona, mimo że był sprzed czterech dni. Nie miał nic innego do roboty, a nie sądził, żeby jego współlokator był w nastroju do rozmowy. Na zmianę spacerowali po celi i siedzieli przy stoliku, po czym mając wszystkiego dość, polegiwali na swoich pryczach. Leon stawiał pasjansa. Zwykle grali ze sobą w karty, przy tej okazji jednak żaden tego nie zaproponował. Dlatego Simon bardzo się zdziwił, gdy Leon nieoczekiwanie przerwał milczenie, pytając:

- To, co opowiedziałeś mi o swojej żonie... Czy to prawda?
- Że prowadziła wtedy auto? Tak.

Leon westchnął, pokręcił głową.

– Musisz ją naprawdę kochać, skoro dałeś się przymknąć za nią. – Simon nie zareagował. Nigdy nie lubił mówić o miłości, lecz w tej sytuacji, przy niepewnym ojcostwie Millie i żądaniu rozwodu przez Daisy, czułby się jak wyjątkowy głupiec. Powietrze napierało na nich ze wszystkich stron, ciężkie i zatęchłe. – Nie rozumiem tego. Zrezygnowałeś dla niej ze wszystkiego. Z wolności, reputacji, możliwości spacerowania ulicą i zajrzenia do sklepu po gumę do żucia. Dlaczego?

– Po prostu było lepiej, że to ona została na zewnątrz. No wiesz, lepiej dla Millie, mojej matki, dla każdego. Daisy miała pracę i obowiązki. Ludzie na niej polegali. Podczas gdy ja... – Simon urwał. Nie musiał powtarzać, jakim był nieudacznikiem, ponieważ Leon już to wiedział.

Jakby dla zobrazowania tego faktu do celi wpadli dwaj strażnicy. Postawili Simona na nogi, obrócili twarzą do ściany i skuli kajdankami.

– Stań tam! – wydarł się na Leona jeden z nich. – Ręce za głowę i ani mru-mru, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre!

Strażnicy zaczęli robić kipisz w ich celi. W mniej niż minutę wyciągnęli coś spod materaca Simona. Byłoby to pierwsze miejsce, w które by zajrzał, gdyby jednak wczoraj zdecydował się przeszukać pomieszczenie. Teraz się cieszył, że tego nie zrobił. Mógł bowiem stuprocentowo szczerze powiedzieć:

– W życiu tego nie widziałem.

Strażnik schował kokainę do kieszeni.

– Wszyscy tak mówią, przyjacielu. W tych murach siedzą sami niewinni. Tylko że Carter miał książkę z biblioteki.

– Carter? – powtórzył Simon, zgrywając naiwnego, chociaż wszystkiego zdążył się domyślić. Ćpun, któremu złożył wizytę z trawką, tak się nazywał. I zapewne był przyczyną nocnego zamieszania.

Klawisz przewrócił oczami.

– Po nitce do kłębka książka doprowadziła nas do ciebie, a na twoje nieszczęście Carter przeżył i zapytany, czy cię zna, szybko potwierdził, że tak. Ponoć zawiadujesz tym interesem – dodał, lustrując Simona ze zdziwieniem w oczach. Simon nie wydawał mu się człowiekiem, który mógłby zawiadywać czymkolwiek. Sprawiał wrażenie znużonego, wypłutego. Strażnik brutalnie wyprowadził go z celi. – Najpierw karcer, a potem na dywanik do naczelnika – poinformował. – Możesz zapomnieć o zwolnieniu warunkowym. Za swoje czyny trzeba płacić.

– Chwila. Carter wskazał go palcem? – zainteresował się Leon.

– Taaa. – Strażnik skinął głową i wzruszył ramionami. Było to dość niezwykle. Sprawki więźniów owiewała na ogół tajemnica, tymczasem Carter ochoczo uczeplił się podsuniętego mu nazwiska Barnes'a. – Żeby wykluczyć nieporozumienie, pokazaliśmy mu kilka zdjęć.

– Carter kłamie. Ten towar nie jest Simona, tylko mój. Simon nic nie dał Carterowi. Ja to zrobiłem.

– Serio? – Strażnicy wymienili sceptyczne spojrzenia.

– Nieprawda – zaprzeczył Simon.

– Ja to zrobiłem – powtórzył stanowczo Leon. – Nie możecie go winić, skoro się przyznaję.

Klawisze byli wykończeni. Mieli za sobą długą noc. Czekają ich dochodzenie. Rozejdzie się smród. Jak towar w ogóle tu trafił? Wyższy stopniem strażnik dokonał w głowie szybkiej kalkulacji. Fakt, że ten alkoholik, mający wyjść na warunkowe za parę dni, babrał się w narkotykach, wzbudzi wiele pytań. Śledztwo się przeciągnie. Może nawet włączy się w nie ktoś spoza więzienia. Przepadnie mnóstwo roboczogodzin, których ciągle im brakowało. Jeśli winny był ten drugi, wsadzą go do karceru. Przydzielą najgorsze zadania, jak już stamtąd

wyjdzie. Może przytną zarobki albo wstrzymają widzenia. Sprawę da się załatwić po cichu.

Po namyśle uwolnił Simona i zaobrączkował Leona.

– Nie, nie, człowieku – sprzeciwił się Simon, próbując się wepchnąć między klawiszy i współlokatora.

Leon potrząsnął głową.

– Weź się w garść, co? Tym razem lepiej, żebyś to ty został na zewnątrz. Kapujesz? Uwierz w siebie.

51

DAISY

PIĄTEK, 12 LIPCA 2019

Sądziłam, że Lucy będzie na mnie bardziej naciskać, abym jednak zgłosiła sprawę policji. Byłam niemal pewna, że nie dotrzyma obietnicy – ani nawet przysięgi na życie córki. Tymczasem jak dotąd respektuje moją wolę, choć niechętnie. Skupiła się na zapewnieniu mi bezpieczeństwa. Uparła, aby zostać u mnie na noc z soboty na niedzielę i cały kolejny dzień. Czułam się niezręcznie. Tak długo nie lubię Lucy i unikam jej, że czułam się przytłoczona tą nagłą obecnością. Proponowała, żebyśmy gdzieś wyszły, na zakupy albo do muzeum, jednak Millie nie chciała zostawiać Celiny samej. Ciekawa byłam, czy leżało to w zamiarach Darylla. Zamknąć mnie w czterech ścianach na kilka tygodni, dopóki kotka nie zostanie zaszczepiona i wysterylizowana. Sprytny sposób na przywiązanie mnie do domu tego lata czy – jak ujęła to Lucy – zamienienie w łatwy cel. Ponieważ koniec końców nigdzie nie poszłyśmy, Lucy mogła tylko snuć się po ciasnym wnętrzu, parząc bez przerwy kawę i paląc papierosa za papierosem.

Teraz wygląda na to, że sporządziła grafik, dzięki któremu ktoś zawsze mi towarzyszy, nie mając pojęcia, że to dla mojej ochrony. Rok szkolny kończy się dopiero za tydzień, nadal więc pracuję i w pełni bezbronna jestem tylko wieczorami. W poniedziałek Peter przyszedł, by się przyjrzeć przeciekowi pod zlewem. Propozycja żony zdumiała go nie mniej niż mnie.

– Żadna ze mnie złota rączka – wyznał przeproszającym tonem, po tym jak oznajmił, że nie znalazł miejsca przecieku. – Mogę wezwać hydraulika... A skoro już tu jestem, co powiesz na to, żebyśmy zamówili pizzę?

We wtorek zjawił się hydraulik. W środę Connie z dziewczynkami próbowała nas wyciągnąć na zakupy do galerii Westfield, ale że moja córka znowu nie chciała rozstawać się z Celiną, ostatecznie przyszły do nas. Millie i jej przyjaciółki zostały w domu z kotką, a Connie i ja rozsiadłyśmy się w ogródku, gdzie czytałyśmy każda swoją książkę, obserwowaliśmy zachód słońca i rozmawiałyśmy o tym, co akurat wpadło nam do głowy. Tematem mógł być przelatujący owad, rozszczekany pies sąsiadów albo to, jaką jest szczęściarą jako wolny strzelec i pani własnego czasu i jaką szczęściarą jestem ja, pracując w szkole i mając co roku długie letnie wakacje. Od lat oddawałyśmy się wspólnej lekturze. Niektóre kobiety chodzą razem na zakupy albo do eleganckich restauracji, inne dyskutują o polityce bądź uczęszczają do teatru. My też robiłyśmy te rzeczy na jednym czy drugim etapie życia, lecz tak naprawdę łączy nas wspólne czytanie. Tym razem także spłynął na mnie spokój. Czułam zadowolenie, a zarazem smutek, ponieważ wiedziałam, że to koniec. Będę musiała zostawić wszystko, co kocham.

W czwartek po pracy wpadł do mnie Luke. Przyszedł z Sophie, dla której kotka wciąż stanowi wielki magnes. Przyniósł wzorniki barw i tkanin.

– Nie miałem pojęcia, że zamierzasz zmienić wystrój – stwierdził wyraźnie zdziwiony. – Dopiero Lucy mi powiedziała. Uparła się też, że te rzeczy są ci niezbędne jeszcze dziś.

Oczywiście nie potrzebowałam ich, nie miałam zamiaru niczego zmieniać w tym krótkim czasie, jaki mi tu pozostał. Jestem pewna, że Lucy doskonale o tym wie, po prostu knuje swoje spiski, aby mieć pewność, że ktoś jest zawsze ze mną. Codziennie późnym wieczorem, gdy już wróci z pracy w biurze, dzwoni do mnie i opowiada o tym, co robiła, o pogodzie, o działającym jej na nerwy szefie, a nawet o tym, jaki fason okularów słonecznych pasuje do jakiego kształtu twarzy. Nie przestaje trajkotać, często przez dwie, trzy, cztery godziny. Gdy jej mówię, że chce mi się spać, pyta, czy nie zapomniałam założyć łańcucha.

Wszystko to przywodzi mi na myśl tamten czas, gdy Millie leżała w szpitalu, a moi przyjaciele stanęli przy mnie murem. Mam wspaniałych przyjaciół. No dobrze, czasami się nie zgadzamy ze sobą albo działamy sobie na nerwy, ale zawsze mogę na nich polegać, na ich lojalności. Uświadamiam sobie teraz – być może za późno – że Lucy jest prawdziwą przyjaciółką. Niefortunnie się zakochała, zgoda, nie powinnam jednak była mieć do niej o to żalu tak długo. Sama nie wiem, dlaczego tak było, zwłaszcza że moja siostra jej odpuściła. Przypuszczam, że chciałam, aby świat pozostał czarno-biały, prosty i sprawiedliwy. Z podziałem na tych dobrych i tych złych. Sądzę też, że było mi łatwiej czuć urazę o coś, co spotkało Rose, niż przyznać, z iloma szarymi strefami się mierzę w swoim życiu. Czy też raczej – nie mierzę. Wygląda na to, że robiłam zwykłe uniki. Łatwiej było się skupić na niewierności Petera, zdradzie Lucy, krzywdzie Rose, niż pogodzić się z tym, że Simon pije, czy ze sposobem, w jaki poczęłam. Jeśli mam być całkowicie szczerą, Lucy napawała mnie lekką obawą. I byłam o nią trochę zazdrosna. Może więc mnie ucieszyło, że coś

jest z nią nie tak. Dla świata piękna, inteligentna, zamożna, pewna siebie Lucy. Żyło mi się łatwiej ze świadomością, że nie jest najmilszą osobą.

Nakłaniając moich przyjaciół, aby nade mną czuwali, Lucy – być może chcący, a być może niechcący – nie tylko chroni mnie przed Daryllem, ale też daje mi szansę na zrobienie tego, co muszę zrobić. Na pożegnanie się z nimi. Nie wiedzą, że już się nie zobaczymy, ja jednak nie mam cienia wątpliwości, zamykając za każdym z nich drzwi w tym tygodniu. Wydaje mi się, że Lucy powoli godzi się z myślą o mojej ucieczce. To wielka ulga, że dodatkowo nie muszę walczyć jeszcze z nią, ale też powód do przygnębienia, skoro nawet żywiołowa Lucy nie widzi innego wyjścia z mojej sytuacji.

Simon wychodzi w najbliższą sobotę. Connie mi powiedziała. W obliczu jego zwolnienia wolałabym wyjechać wcześniej, ale muszę zobaczyć siostrę ten jeden, ostatni raz. A Rose i Craig wracają z urlopu właśnie w sobotę. Wybieram się do nich z Millie na lunch. Bliźniacy także będą na miejscu. Wyściskam wszystkich, stworzę miłe wspomnienia. Tego samego wieczoru odleciemy do Hamburga. Zdawałam niemiecki na maturze i choć nie jestem pewna, czy akurat tam osiadziemy, był to mój pierwszy pomysł na kryjówkę poza granicami Anglii. Z początku prawdopodobnie będziemy się często przenosić, aby zatrzeć za sobą ślady, na wypadek gdyby ktoś nas szukał. Daryll albo Simon.

Dziś ostatni dzień szkoły. Wracam do domu, uginając się pod ciężarem czekoladek, kwiatów i kartek okolicznościowych. Pożegnanie z klasą to dla mnie zawsze bardzo emocjonalne przeżycie; niełatwo się rozstać z dziećmi, które uczyło się przez pięć dni w tygodniu przez okrągły rok. Tym razem wiem, że żegnam się także z moim dotychczasowym miejscem pracy, i to na dobre. Ponieważ jest piątek, Lucy zakłada, że wraz z Millie udam się prosto do Connie, tymczasem oboje z Lukiem jadą się dzisiaj zobaczyć

z jego rodzicami. Connie bardzo mnie przepraszała, że musi odwołać nasze cotygodniowe spotkanie, ale ojciec Luke'a przeszedł właśnie operację kolana i został wypisany do domu, gdzie jego żona nie poradzi sobie z nim sama. Wizyta u teściów nie pasuje mojej przyjaciółce również dlatego, że pragnęła być obecna, gdy Simon wyjdzie z więzienia. Nie dopytuję o niego, co jak wiem, martwi Connie.

– Zatem sprawa rozwodu jest aktualna? – sonduje.

– Tak.

– Porozmawiamy dłużej po moim powrocie – rzuca, najwyraźniej przekonana, że zdoła mnie odwieść od tego pomysłu. – Mamy przed sobą całe wakacje. – W jej głosie pobrzmiewa optymizm. Connie nadal ma nadzieję na happy end. Ignorancja jest błogosławieństwem... – Wrócimy za parę dni. W następny piątek widzimy się jak zawsze?

– Pewnie. – Mam nadzieję, że nie przejrzy mojego kłamstwa. Jeszcze sama nie wiem, gdzie będę w przyszły piątek.

Nie wspomniałam Lucy, że dzisiejszy wieczór spędzę sama, ponieważ gdybym to zrobiła, zwałaby mi się na głowę, a chcę przeczytać wszystkie kartki, które dostałam od uczniów, zanim spakuję walizki i uporządkuję wszystkie sprawy. Daryll nie odezwał się przez cały tydzień. Każdy kolejny dzień bez niego napawa mnie szczęściem, zarazem jednak czuję się jak na łożu tortur. Im dłużej go nie ma, tym większe szanse, że znów się pojawi.

Pakuję dwie walizki na kółkach: jedną dużą i jedną małą, do tego dwa plecaki. Powinnyśmy dać im radę. Powiedziałam Millie, że wyjeżdżamy na wakacje, czym nie jest zachwycona.

– Ale co będzie z Celiną?

– Zaniesiemy ją do cioci Rose i poprosimy, aby się nią zaopiekowała pod naszą nieobecność.

Kotka jak zwykle tkwi w ramionach Millie, która głaszcze ją po grzbiecie. Celina to cierpliwe zwierzątko; nie przeszkadza jej ciągle tarmoszenie przez dziewięciolatkę.

– Och, spójrzcie tylko, co za urocza scena. Uosobienie słodkości. – Podskakuję, słysząc głos Darylla tuż obok. – Wszedłem od tyłu – wyjaśnia. – Drzwi były otwarte. Powinnaś być ostrożniejsza, Daisy.

Dlaczego mnie dręczy? Przecież wie, że jedyną osobą, przed którą muszę się pilnować, jest on sam. Jest dopiero szósta, do zachodu pozostało kilka godzin, zresztą Millie i ja często wychodzimy do ogródka wieczorami. Nie przyszło mi do głowy, aby zamknąć tylne drzwi na klucz. Teraz jestem o to na siebie wściekła.

Daryll podchodzi do Millie i muska palcem kotkę w jej ramionach.

– No więc, Millie. Jak się dogadujecie z Celiną?

– Kocham ją! – wypala moja córka bez cienia dystansu.

– Dałem ci najlepszy prezent w życiu? – draży Daryll.

– Najlepszejszy! – Millie uśmiecha się promiennie.

– Mogę ją przez chwilę potrzymać? – Daryll wyciąga ręce.

Millie przekazuje mu kotkę z bolącym sercem, tak grzecznym dzieckiem jest. Ma to po mnie; martwię się, ile ta grzeczność będzie ją kosztowała w przyszłości. Czy w świecie, który nas otacza, grzeczność i uprzejmość zapewniają porządek czy tylko czynią człowieka jeszcze bardziej bezbronnym? Daryll rozsiada się na fotelu z kociakiem na kolanach. Drapie za uszkami Celinę, która ma zaledwie siedem tygodni i wydaje się maleńka w dłoniach Millie, a co dopiero w jego łapskach.

– Zrób mi drinka, Daisy, dobrze? – Właściwie nie jest to pytanie.

Przyrządzam dzin z tonikiem i podaję mu, jakbym była idealną panią domu z lat pięćdziesiątych. Millie, która przycupnęła przy stopach Darylla, z tęsknotą patrzy na kocię, lecz on nie zwraca na to uwagi i dalej gładzi

stworzenie. Nie lubię, gdy moja córka jest w jednym pomieszczeniu z tym mężczyzną. Wprawdzie jak dotąd jej obecność czyniła mnie bezpieczniejszą, co jednak nie znaczy, że i ona jest bezpieczna.

– Zdaje się, że miałaś coś zrobić na górze? – zwracam się do niej.

Moja uwaga trafia w próżnię. Millie jest za mała, aby odczytać aluzję; wciąż wymaga jasnych instrukcji. Ponieważ rok szkolny się skończył, nie mogę jej zasugerować, by odrobiła pracę domową, a póki Daryll trzyma Celinę, Millie raczej nie zechce opuścić salonu. Okazuje się, że dałam plamę.

– Przecież już nas spakowałaś! – odpowiada moja córka.

Kamienieję. Jak mogłam być tak nieostrożna? Dlaczego nie powiedziałam jej zawczasu, że nasz wyjazd to tajemnica? Daryll dalej głaszcze kotkę, pozornie niewzruszony, nieprzejęty. Nagle jednak pyta:

– Po co się pakujecie, Millie?

Głos ma spokojny, lecz mnie i tak przebiega lodowaty dreszcz.

– Wyjeżdżamy na wakacje – odpowiada rezolutnie dziewięciolatka.

– Naprawdę? Dokąd?

– Do Hamburgera. Nie, do Hamburga. Potrafię zapamiętać nazwę tylko dlatego, że myślę o burgerach – wyjaśnia niewinnie.

Och, nie! Po co jej mówiłam, dokąd się wybieramy? Teraz Daryll będzie miał punkt zaczepienia, gdy się dowie, że wyjechałyśmy z kraju. Ujawniłam cel naszej podróży tylko dlatego, że Millie wyciągała z szafy stroje kąpielowe i neonowe bluzeczki, upierając się, aby je także zapakować. Powiedziałam więc, że tam, dokąd jedziemy, niekoniecznie będzie ciepło. Nic dziwnego, że to ją zaciekawiło.

– Co czeka na was w Hamburgu? – pyta Daryll, tym razem patrząc prosto na mnie.

– Galerie i muzea – odpowiada Millie, przewracając oczami. – Nie rozumiem, czemu nie możemy pojechać dokądś, gdzie jest ciepło i słonecznie, na przykład do Hiszpanii czy Kalifornii. Tam właśnie wybiera się India. Do Kali Fornii, tak to wymawia... – Podczas gdy Millie papie, Daryll nie spuszcza ze mnie oka.

– Nie mówiłaś o żadnym wyjeździe.

– To tylko parę dni, wrócimy, zanim się obejrzysz.

Biegnie spojrzeniem do walizek, które ustawiłam obok stołu. Po co je zniosłam na dół? Powinnam była je ukryć. Przecież istniało ryzyko, że Daryll się pojawi, jakkolwiek mocno trzymałam kciuki.

– Dużo zabieracie jak na parę dni. Nie podoba mi się, Daisy, że podejmujesz takie decyzje bez pytania mnie o zdanie – wybucha. – Ja też miałem plany na weekend. Stanowimy teraz rodzinę. Powinniśmy pojechać na rodzinne wakacje.

Millie wodzi wzrokiem od niego do mnie i z powrotem. Daryll nie należy do rodziny i moja córka o tym wie, nie potrafi się dopatrzeć sensu w jego słowach. Wyczuwa jednak jego napięcie, gniew, groźbę. Widzi, że zaniemówiłam, i dla wypełnienia ciszy – grzeczna dziewczynka – chce powiedzieć coś, co zadowoli Darylla.

– Ja nie chciałam jechać. Martwiłam się, kto zaopiekuje się Celiną.

Potem wszystko dzieje się błyskawicznie. Słyszę to, zanim pojmę czy nawet zobaczę, co się stało. Kociak roztrzaskuje się o ścianę. Najpierw uderzenie i niemal równoczesny skowyt. Kotka osuwa się po ścianie i pada na podłogę, pozostawiając rozdzierający serce krwawy ślad. Millie wrzeszczy.

– Uciekaj, Millie! – wołam.

Ale Daryll już jest na nogach. Poderwał się, żeby cisnąć kocięciem. Teraz maszeruje do tylnych drzwi, zamyka je na klucz, ten zaś chowa do

kieszoni. Pokazuje wszystkie zęby w zimnym uśmiechu. Drzwi frontowe także są zamknięte, zabezpieczone łańcuchem. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

– Łazienka na górze! Zabarykaduj się! – krzyczę. Millie wypada z salonu zapłakana, rzucając Celinie niedowierzające spojrzenie. Kotka leży wygięta pod nienaturalnym kątem, nieruchoma. – Biegnij! – krzyczę ponownie.

Daryll rzuca się w naszą stronę. Staję w drzwiach, odcinając mu drogę do Millie, która biegnie ku schodom tak szybko, jak pozwala jej nie w pełni sprawne biodro. Jego palce chwytają za koniuszki jej włosów, lecz Millie udaje się wymknąć. Daryll odwraca się do mnie i grzmoci mnie w twarz. Ból jest nie do opisania; cierpienie i przerażenie zalewają mój umysł. Daryll odpycha mnie z taką siłą, że tracę równowagę i padam na podłogę.

– Na wszystkich wakacyjnych zdjęciach będziesz miała limo. Co za wstyd – szydzi, łapiąc mnie za włosy i ciągnąc na kanapę.

52

SIMON

SOBOTA, 13 LIPCA 2019

Wypuszczono go o ósmej rano. Niepotrzebnie tak wcześnie – z całym dniem rozciągającym się przed nim i szydzącym z niego. Czy nie powinien raczej być zachwycony? Zacerpnął głęboko powietrza, w którym unosiła się wilgoć i woń spalin. Taki smak miała jego wolność. Padało. Wyobrażał sobie, że kiedy wyjdzie, będzie świeciło słońce. Przez cały tydzień panował upał. Osadzeni śmierdzieli gorzej niż normalnie. Simon wiedział, że zaczęły się wakacje; widział nawet, jak Daisy się podśmiewa, że pogoda natychmiast się pogorszyła, jak tylko dzieci opuściły szkołę. Powtarzała to wielokrotnie na przestrzeni lat.

Stał przed więzieniem z rękami w kieszeniach. Nie miał ze sobą kartonu z rzeczami. Nie było nic, co chciałby zabrać. Te kilka nędznych przedmiotów, które zgromadził przez trzy lata, zostawił Leonowi. Blok z papierem do pisania, kilka znaczków, parę książek – niewiele tego było, ale to wszystko, co miał. Nie mógł nawet pożegnać się z Leonem, który posiedzi w karczerze jeszcze dwa dni. Nie miał szans go odwiedzić. Jednym z warunków jego zwolnienia było to, że nie wróci za mury na widzenie

z żadnym osadzonym. Ale mógł napisać do niego list. I będzie mu przesyłał przekazy pieniężne, żeby Leon mógł sobie kupować gazety i czekoladę. Tyle przynajmniej mógł zrobić dla współlokatora.

Lucy zatrąbiła i zamachała do niego. Pełen wdzięczności pobiegł w stronę samochodu. Był luksusowy – jak wszystko, co posiadała; tyle Simon zapamiętał. Teraz jednak, gdy się wślizgnął na skórzane siedzenie, poczuł się przytłoczony tym luksusem, tą czystością. Miał wrażenie, że jest brudniejszy niż w rzeczywistości, nie na miejscu, osądzany. Sięgnął po pas bezpieczeństwa. Taśma stawiała opór. Żenujące. Wolałby, żeby wszystko przebiegło gładko. Musiał kilkakrotnie pociągnąć za pas, żeby w końcu puścił.

– Witaj, kopę lat – powiedziała Lucy z szerokim uśmiechem.

Simon spróbował się też uśmiechnąć. Po krótkiej walce z mechanizmem udało mu się wreszcie zapiąć. Przynajmniej tyle. Ogarnęła go ulga. Lucy uruchomiła silnik. Początkowo bardzo się rozczarował, że Connie nie będzie mogła go odebrać, choć zupełnie go nie zdziwiła informacja o tym, że Luke się nie zgadza, by zatrzymał się pod ich dachem. Nawet do głowy mu nie przyszło, że ze wszystkich osób właśnie Lucy zaproponuje mu podwózkę oraz pokój, dzięki któremu będzie mógł podać adres odpowiednim służbom. Bał się, że nie znajdzie się nikt chętny do takiej pomocy. Był oczywiście bardzo wdzięczny, tyle że nie miał pojęcia, jak to okazać. Przez trzy lata tłumił w sobie wszelkie uczucia: wdzięczność, strach, szczęście, nadzieję – okazywanie emocji w więzieniu czyniło człowieka bezbronnym. Poza więzieniem też, pomyślał ponuro.

– To bardzo miłe z twojej strony, że po mnie przyjechałaś – wymamrotał.

Było to niedopowiedzenie roku. Wdzięczność dosłownie go zalewała, tak samo jak wstyd. Wolałby, aby upokorzenie dłużnika go ominęło, nie

miał jednak na to większych szans; uczucie to będzie mu jeszcze długo towarzyszyło, o ile Lucy się nie wycofa rzecz jasna. Jaką miał alternatywę? Rozczarowanie, gniew. Tak czy owak był na przegranej pozycji. Skazany na życie bądź w ciągłym wstydzie, bądź we wściekłości na świat. Tym właśnie była wolność po odsiadce? Niemożnością zdobycia wygranej na loterii życia?

– Żaden problem – odparła Lucy lekkim tonem, a on chciał móc w to uwierzyć. – Connie powiedziała mi, że potrzebujesz stałego adresu, zanim cię wypuszczą. Peter i ja stanowimy przykładowych obywateli – dodała sucho.

– Nie będę wam długo siedział na karku. Postaram się jak najszybciej stanąć na własnych nogach.

Lucy uniosła wyskubaną brew w wyrazie sceptycyzmu. Niby dokąd się przeniesiesz? Nie zadała tego pytania na głos, powiedziała tylko:

– Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Twój pokój stałby pusty.

– U Connie też – zauważył ponuro.

– Tak, ale my mamy trzy wolne pokoje.

– Mnie potrzebny jest tylko jeden.

Lucy spojrzała na niego.

– Ej, bo się obrażę. Dlaczego nie podoba ci się perspektywa zamieszkania z nami? Nasz dom jest ładniejszy niż Bakerów. Chodzi ci o minimalistyczny styl? Faktycznie, nie każdy w takim gustuje... – zażartowała.

Simon uśmiechnął się z przymusem.

– Wybacz. Oczywiście jestem wam wdzięczny.

– Nie w tym rzecz.

– Naprawdę jest mi bez różnicy, gdzie zamieszkam.

– Popatrz na to z innej strony: oni mają troje dzieci, my jedno. Ojciec Luke’a dopiero co przeszedł operację. Mają sporo na głowie.

– Taaa, jasne.

– Co znaczy: „Taaa, jasne”?

Przez całą rozmowę Simon gapił się za okno. Niespecjalnie było na czym oko zawiesić. Miasto powoli budziło się do życia. Ruch gęstniał z każdą chwilą, ludzie pędzili do pracy lub na wycieczki. Furgonetki dostawcze powodowały korki, prowokując chór klaksonów i ordynarne gesty. Sklepikarze podnosili żaluzje, a właściciele kafejek stali w progach swoich lokali, paląc papierosy i zastanawiając się, czy pogoda pozwoli na wystawienie metalowych stolików i krzeseł na zewnątrz. Pieszycy przybywało; jedni wyprowadzali psy na spacer, drudzy podążali dokądś z dziećmi. Śmigały motorowery, mijali się rolkarze i deskorolkowcy, rowerzyści jak zawsze trzymali się swoich tras. Wszyscy się śpieszyli. Dziś tak samo jak przez ostatnie trzy lata.

Simon westchnął, zanim odpowiedział:

– Connie odwiedzała mnie przez cały ten czas i to ona pierwsza zaproponowała, abym się do nich wprowadził, dlatego nastawiłem się na to, choć rozumiem, czemu to niemożliwe, i właśnie z tego powodu jestem wkurzony.

– Pogubiłam się.

Nie miał zamiaru dłużej chować tego przed światem – nawet by chronić Connie. Brakowało mu na to energii.

– Bo Luke miał romans z Daisy. To on jest ojcem Millie. Nie jest moim przyjacielem. I z pewnością nie chce, abym u niego mieszkał. Boi się, że prawda mogłaby wyjść na jaw.

– Co?! – Ktoś inny mógłby w tej sytuacji wcisnąć pedał hamulca, i to ostro. Lucy nie odezwała się słowem więcej, dopóki nie znalazła wolnego

miejsca parkingowego i płynnie go nie zajęła. Dopiero wtedy odwróciła się do Simona. – O czym ty mówisz?

– Wiem, że trudno w to uwierzyć. Nieskazitelnym Luke i Daisy, świętsza od Matki Teresy, romansujący za plecami nas wszystkich. Ale tak właśnie było. Wiem to.

– Nic nie wiesz, Simon.

– Wiedziałem, zanim poszedłem do więzienia. Nie jestem ojcem Millie. Pogodziłem się z tym. Wkurza mnie tylko, że Luke'owi zdrada uszła na sucho. Connie nie ma o niczym pojęcia, co jest oburzające. – Lucy wpatrywała się w niego zdumiona. – Och, nie martw się, nic jej nie powiem. Nie chcę jej zranić. Miałem dość czasu, by dobrze to sobie przemyśleć.

– I do takich wniosków doszedłeś? – Lucy wyglądała na sfrustrowaną. – Luke szaleje na punkcie Connie. Nigdy nie miał żadnego romansu. Nadal jest twoim najlepszym przyjacielem.

– Ani razu nie przyszedł na widzenie.

– Omal nie przejechałeś jego chrzeńnicy. Gniewa się na ciebie. Ale wcześniej znalazł ci pracę, bez przerwy ratował cię z oparów. Był twoim najlepszym przyjacielem.

– Czy na pewno? Ty miałaś romans z mężem Rose. Takie rzeczy się zdarzają. Musisz o tym wiedzieć lepiej niż wszyscy.

– Z nami to całkiem inna sprawa.

– Jak to?

Lucy miała taką minę, jakby chciała nawrzeszczyć na Simona.

– Peter i ja w niczym nie przypominamy Luke'a i Daisy. Mamy słabe kręgosłupy moralne. – Widząc, że Simon nie rozumie, wyjaśniła: – Jesteśmy egoistami. Uff, wyrzuciłam to z siebie. Czy ty w ogóle znasz własną żonę? Zapomniałeś, że przez ten mój romans traktowała mnie per

noga przez ponad piętnaście lat? Gdyby mogła, wypaliłaby mi na czole piętno cudzołożnicy. Nie ma mowy, żeby ktoś taki wdał się w romans. To po prostu nie byłoby w jej stylu.

– Sprytna przykrywka – stwierdził Simon z wielką pewnością siebie. – Zgrywała przed nami kogoś, kto ma surowe zasady moralne. Co za hipokrytka.

– Znam Daisy niemal od zawsze. I wiem, że wiele można o niej powiedzieć. Szafuje ocenami, zachowuje się pasywno-agresywnie, bywa nudna, ale w żadnym razie nie jest hipokrytką. Zastanów się, Simon! Zastanów!

Lucy włączyła ponownie silnik i podjęła podróż. Przesiedzieli w milczeniu pół godziny, aż Simon się zorientował, że nie jadą do Notting Hill.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytał.

– Do domu.

53

SIMON

Lucy zatrzymała się przed skromnym szeregowcem Daisy.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał Simon.

– Tu teraz mieszkają Daisy i Millie.

– A co my tu robimy?

– Cóż, to zależy od ciebie.

Simon popatrzył na drzwi wejściowe i zastanowił się, czy kiedykolwiek się przed nim otworzą, jeśli w nie zapuka. Chciałby zobaczyć Millie. Nie, to za mało powiedziane. Pragnął ją zobaczyć. Z biologicznego punktu widzenia nie była jego córką, ale tak naprawdę była. Przez całe trzy lata nosił ją w pamięci, w sercu. Myślał o nich obu. Dlatego właśnie, gdy Daisy zażądała rozwodu, przeżył taki szok.

– Wśród warunków twojego zwolnienia nie ma nic o zakazie zbliżania się do Daisy i Millie? – rzuciła mu wyzwanie Lucy.

– Nie.

– Przyjadę po ciebie później. Masz się zgłosić u swojego kuratora o szesnastej, zgadza się?

– Tak. – Czuł się jak uczeń.

– A może wolisz skorzystać z metra? – Simon się zaczerwienił. Nawet gdyby chciał, nie byłby w stanie. Lucy sięgnęła po torebkę i wyjęła portfel.

Moment później wręczyła Simonowi banknot dwudziestofuntowy. – Proszę. Oddasz mi, jak znajdziesz pracę. – Nie chciał przyjąć pieniędzy, lecz gdyby tego nie zrobił, Lucy musiałyby ponownie przemierzyć cały Londyn, aby go odebrać. Nie miał więc wyboru. – Powodzenia.

Odprawdzał ją spojrzeniem, gdy odjeżdżała. Pożałował, że rzucił palenie. W takiej chwili najlepiej byłoby zapalić papierosa. Albo się napić. Tak, alkohol bardzo by mu pomógł w tej sytuacji. Zerknął na wciąż trzymany w ręce banknot, po czym z westchnieniem schował go do kieszeni. Stojąc pod domem, przyjrzał się oknom. Zasłony były zaciągnięte. Za wcześnie, by zapukać? Było wpół do dziesiątej rano. Kiedy jeszcze mieszkali razem, Millie urządzała im pobudkę przed siódmą, teraz jednak z wnętrza nie dochodziły żadne oznaki życia. Simon nie słyszał dźwięków kreskówki włączonej na cały regulator ani trzaskania garnków, jego nozdrzy nie dolatywał zapach podsmażanego bekonu. Przyłożył ucho do drzwi, lecz nawet wtedy nie dosłyszał dziecięcego szczebiotu ani radia. W środku panowała głucha cisza.

Uznał, że albo zdążyły gdzieś wyjść, albo jeszcze śpią. Po namyśle postawił na tę drugą możliwość, ponieważ Daisy nigdy nie wyszłaby z domu, nie odciągawszy wcześniej zasłon. A może do tego stopnia zmieniła nawyki? Czyżby przestała się przejmować tym, co pomyślą sąsiedzi? A jeśli Millie przestała być żywym srebrem i jak każda wkraczająca w wiek nastoletni panna lubiła się wylegiwać w łóżku w wolne dni? W jakim wieku mała dziewczynka przeistacza się w nastoletnią pannicę? Nie wiedział tego, co tylko bardziej go speszyło. Chciał wiedzieć. Był ciekaw, jak wygląda wnętrze domu, życie ich obu. Tyle z niego przegapił... Myśl, że może przegapić choćby moment więcej, nagle stała się nieznośna. Postanowił okrążyć budynek i zajrzeć od tyłu, może tam zasłony będą odciągnięte, dzięki czemu uda mu się coś zobaczyć. Skręcając

z bocznej uliczki w zadomowe ogródki, pomyślał, że powinna tu być furtka zamykana na klucz. Odkąd trafił do więzienia, był boleśnie świadom natury świata i zamieszkujących go ludzi. Daisy i Millie najwyraźniej nie zwracały sobie głowy środkami bezpieczeństwa, co na swój sposób było urocze, on jednak i tak nastawałby na furtkę i zamek.

Tylne drzwi były otwarte na oścież, chybowały się na zawiasach. Na podłodze kuchni zdążyła się zebrać spora kałuża wody. Simon zrozumiał, że coś jest nie tak, ledwie zobaczył tę scenę. Tym bardziej że wewnątrz wciąż panowała absolutna cisza. Drzwi nie otwarto, aby wypuścić swąd spalenizny czy wpuścić trochę świeżego powietrza... Nie namyślając się dłużej, wparował do środka. W paru krokach minął kuchnię i znalazł się w salonie. Nie od razu pojął, na co patrzy. Meble leżały poprzewracane, walizka stała otwarta, ubrania zaścielały całą podłogę. Potłuczone bibeloty, krew na ścianie... Krew? Simon zastygł w bezruchu. Ogarnął go dziki strach.

– Daisy! Millie!

54

DAISY

Gdy po raz pierwszy usłyszałyśmy swoje imiona, przytuliłyśmy się mocniej. Pomyślałyśmy, że to wraca Daryll. Millie drżała, łyżeczki leciały jej po policzkach, ale nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Jej bezgłośny szloch sprawiał, że czułam się jeszcze dziwniej, mniej rzeczywiście...

– Daisy! Millie!

– To tatuś... – szepcze moja córka, podnosząc na mnie spojrzenie. W jej oczach rozbłyska radość. Przez moment nie rozumiem, co do mnie mówi. W obolałej głowie mam watę, po tym jak Daryll tłukł mną o ścianę. – Tatuś! Tatuś! – zaczyna wołać Millie, zrywając się na nogi. Zaczyna napierać na komodę, którą zabarykadowałyśmy drzwi. – Mamo, pomóż mi! To tatuś!

Do drzwi dobija się Simon. Uderza w nie z całych sił. Podnoszę się szybko i razem z Millie odsuwam ciężki mebel na bok. Drzwi się otwierają i Millie rzuca mu się w ramiona.

– Już dobrze, już wszystko dobrze. Jestem tutaj... – mamrocze.

Jeszcze jedno kłamstwo. Nic nie jest dobrze.

Dziwi mnie, że nie nalega, aby wezwać policję. Zamiast tego znosi Millie na dół i trzymając ją mocno, pochyla się, by postawić fotel prosto;

jest to niezręczny manewr, ale najwidoczniej Simon nie jest gotów wypuścić Millie z objęć, dopóki nie doprowadzi salonu do jakiego takiego porządku. Gdy w końcu sadza ją w fotelu, rozgląda się dokoła i znalazłszy koc, przykrywa nim jej nogi jak wtedy, gdy była mała i dopadła ją taka czy inna dziecięca choroba. Później zabiera się do smażenia naleśników. Chodzę za nim jak cień, w milczeniu. Nie wiem, co robić. Czy powinnam wezwać policję? Tyle tu dowodów na ewidentną przemoc, policjanci nie będą mogli powiedzieć, że to sprawa rodzinna, jej słowo przeciwko jego słowu. Coś takiego jest jednoznaczne. Tylko że nie mam telefonu. Zeszłego wieczoru Daryll wsadził moją komórkę pod kran, a potem na domiar złego rozbił ją o ścianę. Było to po tym, jak zmusił mnie, abym mu pokazała rezerwację lotu do Hamburga, i przekonał się, że bilety są tylko w jedną stronę. Trzymał pod kranem także moją głowę i walił nią o ścianę. Gdy rzuciłam się w stronę telefonu stacjonarnego, wyszarpnął wtyczkę z gniazdka w ścianie i dla pewności przeciął kabel. Następnie cisnął we mnie aparatem. To ebonitowa replika, ciężka, kanciasta. Zrobiłam unik, co dało mi tyle, że oberwałam nie w głowę, tylko w ramię. Myślę, że Daryll mierzył w moją twarz.

– Masz komórkę? – pytam Simona.

– Przykro mi, ale nie. Nie miałem jej przy sobie, kiedy mnie aresztowano, więc... – urywa i rzuca spojrzenie w kierunku Millie.

Kiwam głową na znak, że rozumiem. Mój mąż nie ma nic poza tym co na sobie.

Żeby zadzwonić na policję, muszę udać się do sąsiadów i skorzystać z ich aparatu, tyle że nikogo tu nie znam. Nie wskazałabym nikogo, nawet na okazaniu. W domu obok mieszkają jacyś młodzi ludzie, kolejni w długim szeregu najemców, którzy się przewinęli, odkąd się tu wprowadziłyśmy. Nie jestem pewna, czy choćby się przywitałam

z obecnymi lokatorami. Czasami słyszę, jak puszcza radio albo śpiewają pod prysznicem. Jeśli wczoraj wieczorem byli u siebie, musieli wszystko słyszeć. I mimo to nie zareagowali. A jeśli byli poza domem, a chyba lepiej myśleć, że to właśnie ten przypadek – pozostawia to jakieś złudzenia co do ludzkości – jeśli więc byli poza domem, to o niczym nie wiedzą, a ja raczej nie jestem gotowa na ich współczucie, ich szok. Przynajmniej na razie. Najpierw muszę się napić kawy. Nie sprzątam, ponieważ jest to miejsce popełnienia przestępstwa. Siedzimy więc pośród chaosu i zniszczenia. Millie co rusz zerka na ścianę. O Boże, Celina.

– Nie patrz – zabraniam córce.

– Przyglądaj się, jak robię naleśniki – mamrocze Simon.

Millie go słucha. Podczas gdy Simon smaży naleśnik w kształcie Myszki Miki, ja wynajduję stary karton po butach, podnoszę z podłogi ciało kociątka i umieszczam je delikatnie w środku, po czym nakrywam wieczkiem. Muszę umyć ręce, ponieważ ubrudziłam się krwią kotki. Całe szczęście, że tylko jej. Co by było, gdyby Daryll skrzywdził Millie? W milczeniu jemy naleśniki i pijemy sok pomarańczowy oraz kawę; choć myślałam, że nie przełknę ani kęsa, nagle odczuwam wielki apetyt i przekonuję się, że jedzenie mi pomaga. Jakimś cudem pozory normalności wszystko ułatwiają. Millie pochłania swoją porcję w okamgnieniu, moment później zauważam, że powieki zaczynają jej się kleić. Żadna z nas nie spała wiele tej nocy. Po tym, jak Daryll ze mną skończył i opuścił dom nad ranem, weszłam z trudem na górę i przekonałam Millie, aby otworzyła drzwi łazienki. Przeniósłszy się do sypialni, zabarykadowaliśmy się od środka, na wypadek gdyby Daryll wrócił, na wypadek gdyby był to tylko jego podstęp, aby położyć łapy na Millie. Większość czasu przesiedzialiśmy sztywno, zbyt przerażone, aby choć zmrużyć oczy. Ja wciąż tak się czuję, lecz Millie jest tylko dzieckiem; bardzo dobrze, że jej

ciało poddaje się zmęczeniu, w ten sposób ukojenie znajdzie również umysł. Musi odespać szok. Simon zanoszą ją na górę, do jej własnego łóżka.

– Nie zostawiaj mnie – błaga Millie, uczepiając się go kurczowo.

– Nigdy cię nie zostawię – kłamie Simon. Przysiada na jej materacu i gładzi ją po włosach, dopóki nie ogarnie jej sen.

Przyglądam się temu od progu, pełna bólu i nienawiści.

Gdy Millie śpi już głęboko, wyślizgujemy się z jej pokoju i wracamy na dół.

55

SIMON

Simon był bliski krzyku. Wszystko przez niego. Bracia Dale nasłali kogoś na jego rodzinę, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Jakiś bandzior tu przyszedł, zmasakrował jego żonę, przeraził na śmierć dziecko, najwyraźniej też zabił ulubionego kotka, a wszystko to, aby mu dowieść, że nie będzie krzyżował im szyków. Skoro chcieli, żeby wziął winę za rozprowadzanie kokainy, tak miało się stać. Nie rozumiał, czemu nagle tyle dla nich znaczy, ale tak było. Nie miał innego wytłumaczenia. Bracia Dale chcieli go znów za murami, nie na zewnątrz. Pokazywali mu, że wzięcie na siebie winy przez Leona nie wchodzi w grę. Daisy musiała mieć tego świadomość, bandyta „wyjaśnił” jej wszystko, w przeciwnym razie już dawno wezwałyby policję.

– Przepraszam – powiedział, ledwie znaleźli się sam na sam. I zaczął płakać. Ból, żal, wstyd wypływały z niego wraz ze łzami. Siniak na twarzy Daisy przybrał purpurowy odcień, musiał ją boleć jak cholera. Miała rozciętą wargę i policzek, oko podbite. Z trudem na nią patrzył. A Millie? Czego się naoglądała? Ile się nasłuchała? To, jak się w niego wczepiła, zaparło mu dech w piersi. Cierpiał bardziej niż kiedykolwiek, zarazem jednak czuł się zaszczycony. Nie potrafił w to uwierzyć: rzuciła mu się w ramiona, bez wahania, ta sama mała dziewczuszka. Rzecz jasna wyższa i jakby bardziej koścista, różniła się pod względem fizycznym, ale poza tym

była tą samą dziewczynką, którą znał. Patrząc na nią, widział niemowlę, którym niegdyś była, i wszystkie jej kolejne wersje. Pamiętał, jak układał ją w kołysce, jak lawirował z nią na ręku pomiędzy meblami, jak ćwiczyła przy drążku. Bał się, że stracił te wcześniejsze Millie, że jej nie pozna, że ona nie pozna jego, ale okazało się, że pamięć jest silniejsza, niż śmiał mieć nadzieję. Znosząc ją na dół, przypomniał sobie, że zawsze lubiła siedzieć mu na prawym biodrze, i choć była już za duża, aby ją nosić, dziś się nie opierała, nie czuła się niezręcznie. Byli jak dwie połówki, idealnie do siebie dopasowani. Jego ciało pamiętało dotyk jej ramienia na szyi, gdy oplatała go niczym liana albo korzeń. Przechowywał też w pamięci jej zapach. Nie szamponu ani płynu do prania, tylko jej skóry, jej oddechu. Millie była jego dzieckiem. Nic się nie zmieniło. Spoglądała na niego z taką nadzieją i pewnością; wierzyła, że ją ocali i ochroni. Zrobił jej naleśniki, ułożył ją do snu, pocałował w czoło. Ale przede wszystkim postawił je w tej sytuacji. Naraził je potwornie. – Przepraszam... – szlochał.

– To akurat nie twoja wina – oznajmiła Daisy z westchnieniem.

Usiadł ciężko na kanapie i ukrył twarz w dłoniach.

– Musisz mi uwierzyć, kiedy powiem, że przed tym właśnie starałem się cię chronić. Za wszelką cenę nie chciałem dopuścić do twojego świata takiej przemocy, brutalności...

Daisy wciąż stała. Patrząc prosto na niego, potrząsnęła głową. Podniósł na nią wzrok, ale nie umiał jej rozczytać. Wyglądała na zrozpaczoną, zde gustowaną. Nie wierzyła mu?

– Nigdy nie byłeś w stanie ochronić mnie przed niczym – powiedziała. Cała emanowała smutkiem i żalem.

– Ale próbowałem.

– Kiedy? Kiedy próbowałeś? Najpierw byłeś zbyt pijany, a potem trafiłeś do więzienia. Jak mogłeś mnie stamtąd chronić? – Głos miała

przesycony goryczą i gniewem, to zrozumiałe.

Zasłużył sobie na to. Nie miał pojęcia, co mógłby uczynić. Chciał ją przytulić, tak jak tulił Millie, wiedział jednak, że to by nie było właściwe. Nie był w stanie jasno myśleć, w nozdrzach wciąż miał zapach krwi. W salonie było za ciepło, za duszno, powinni otworzyć okno. Czuł się przytłoczony. Brzemie, które niósł od tak długiego czasu, zaczęło ciążyć mu niemiłosiernie. Nie był w stanie dalej go dźwigać. Musiał się go pozbyć.

– Próbowałem... Wtedy... Mówiąc, że to ja prowadziłem samochód – wyrzucił z siebie.

Daisy przyjrzała mu się uważniej, zmrużyła oczy.

– Co?

– Próbowałem cię chronić. Wziąłem winę na siebie. To nie ja siedziałem za kierownicą, tylko ty.

56

DAISY

W ciągu tych wszystkich lat Simon okłamał mnie wiele razy. Kłamał w sprawie tego, czy zaszedł na jednego po pracy, ile tak naprawdę wypił, co zrobił z naszymi oszczędnościami. To jednak nie wydaje mi się kłamstwem.

Nękają mnie sny. Liczne, nadzwyczaj żywe, zwłaszcza od ostatnich urodzin Millie, jeszcze częstsze po widzeniu z Simonem w więzieniu. Składałam je na karb sytuacji z Daryllem. Powtarzałam, że moja podświadomość w ten sposób radzi sobie z faktem, że znajduję się w ciągłym niebezpieczeństwie. To zrozumiałe, że nie sypiam za dobrze. Ilekroć się budzę, przekonuję siebie, że to był tylko sen, że nic z tego nie wydarzyło się naprawdę. W głębi ducha jednak wydaje mi się bardzo rzeczywiste. Tak rzeczywiste, że doprowadza mnie do mdłości, do tego, że chcę gryźć ramiona i walić głową w ścianę. Jeżeli to ja ją skrzywdziłam. Jeżeli Simon został niesłusznie skazany. Po obudzeniu wstaję i robię to co zawsze. Idę do łazienki, biorę prysznic, sięgam po szczoteczkę do zębów i jakimś cudem nie wbijam sobie trzonka w oko, co bym zrobiła, gdyby sen był wspomnieniem. Schodzę po stopniach, nie rzucam się z nich, co bym zrobiła, gdyby sen był wspomnieniem. Nie ciskam talerza za talerzem na podłogę, aby zagłuszyć myśli. Ponieważ to nie ja prowadziłam samochód, tylko Simon.

Simon podrywa się z miejsca, staje tuż przede mną.

– Zapomnij, że to powiedziałem. Po prostu zapomnij. Oczywiście, że ja siedziałem za kierownicą.

– Nieprawda... – szepczę.

Zapada się w sobie.

– Chciałem cię zranić, mówiąc to – upiera się.

– Nie, nareszcie powiedziałeś prawdę. Pamiętam wszystko.

Nachylił się i włączył radio. Podkręcił głośność, tak że samochód aż zaczął drżeć. Sięgnęłam, by wyłączyć muzykę, lecz Simon odepchnął moją rękę. Siedziałam na fotelu kierowcy. Uświadomiłam sobie, że bezpieczniej będzie z nim nie walczyć. Musiałam trzymać obie dłonie na kierownicy. Bezmyślny, bezsensowny, dudniący głos huczał mi w głowie, nie dawał się skoncentrować. Simon rzucał pod moim adresem oskarżenia. Szalone, obelżywe oskarżenia. Mówił, że miałam romans z Lukiem. Ponieważ Luke jest blondynem. Tymczasem ja nie mogłam wyrzucić z myśli Darylla. Tego, jak złapał mnie za przegub, wyciągnął z pokoju Sophie i wepchnął do pokoju Fran. Co by mi zrobił, gdyby Luke nam nie przeszkodził? Co jeszcze mi zrobi? Tak bardzo się bałam. Taka zagubiona się czułam. Ulewa była straszliwa. Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody z przedniej szyby. Simon krzyczał na mnie.

Millie? Co Millie robiła na zewnątrz w środku nocy? Po prostu weszła na drogę.

Świat zamarł.

– Zrobiłam to.

Simon jest przerażony.

– Mylisz się, Daisy. Jesteś smutna, rozżalona, pełna poczucia winy, ponieważ pozwoliłaś mi sięść za kółkiem. Umysł płata ci figle. Produkuje fałszywe wspomnienia, mieszając sny i obawy z rzeczywistością.

– Nie myślę się – oświadczam z nagłą determinacją. Simon ma rację, umysł płatał mi figle przez trzy lata. Mieszałam sny i obawy z rzeczywistością. Teraz jednak pustka się zapełnia. – Pamiętam uderzenie, jej ciało na masce...

– To ja ją potrąciłem!

– Przeciągnęłaś mnie na fotel pasażera. Pamiętam, jak szarpałaś mnie za ramiona. Tego nigdy nie rozumiałam, myślałam, że pamiętam, jak ludzie odciągali mnie od niej.

– Nie – mówi, ale już bez przekonania.

– Przestań mnie okłamywać – wyrzucam z siebie ochrypłym szeptem. – Muszę wiedzieć, Simon. Czy to był sen, czy... – Staję nad urwiskiem. Jakaś część siebie pragnę, aby podał niewinne wyjaśnienie. Aby zdjął ze mnie ten ciężar. Wiem jednak, że nie może tego zrobić. Nie ponownie. Było to kolejne kłamstwo, a on musi przestać kłamać. Milczy. Patrzy na stół między nami. – Czy wspomnienie? – dokańczam ledwie słyszalnie, przymykając oczy. By się nie rozpłakać; by na niego nie patrzeć.

– A w co ty wierzysz? – pyta mnie.

Rozwieram powieki. W płucach mnie pali.

– To ja prowadziłam – przyznaję cicho. – Nie skrzywdziłaś Millie, ja ją skrzywdziłam.

Wyznanie zawisa pomiędzy nami. Ciężkie, szokujące, ale stanowcze i szalenie istotne. Czekam, aby się przekonać, co Simon z nim uczyni.

– Wybacz mi. Wybacz. Nie chciałem ci nigdy powiedzieć. Nie miałem takiego zamiaru. Teraz wszystko na nic. Lata, które spędziłem w więzieniu, bo teraz ty i tak...

– Będę się czuła winna – dopowiadam za niego. – Będę nienawidziła samej siebie.

Simon wolno kręci głową. Jest to żaloszny gest, przepełniający mnie współczuciem i podziwem. Od nie pamiętam kiedy gniewałam się tylko na niego, byłam nim rozczarowana. Te emocje niemal podcinają mi nogi. Simon wygląda na zatrwożonego, oszołomionego.

– Ale Daisy, nie powinnaś. Nie możesz. Zrozum, to ja zasługiwałam na więzienie. To ja musiałem trafić za kratki. Dzięki temu wytrzeźwiałem. A ty, Daisy, byłaś potrzebna tutaj tylu osobom. W przeciwieństwie do mnie. Ja nigdy nie byłem nikomu potrzebny.

Tu się myli.

Drzę na całym ciele, kolana mi miękną. Simon pomaga mi usiąść. Staram się nie skrzywić, nie pokazać, że nawet ten ruch jest torturą.

Klęka u moich stóp.

– Nie mogłem pozwolić, aby cię zamknęli, Daisy. Z powodu ludzi takich jak bracia Dale. Czy raczej ich żeńskich odpowiedników. Decyzja należała do mnie. Ja ją podjąłem. Nie chcę, abyś źle się czuła z tego powodu, nawet przez chwilę. Niczego nie żałuję. To znaczy niczego nie żałowałem do tej pory. Bo jednak sprowadziłem ich do ciebie.

– Kim są bracia Dale? – Nie nadażam za tym, co do mnie mówi.

– To oni cię napadli. Bo nie zrobiłem czegoś, czego ode mnie chcieli. Uważają, że jestem ich dłużnikiem. Zresztą to już bez znaczenia. Przykro mi, tak bardzo mi przykro. Wierzysz mi, prawda?

Biorę głęboki oddech.

– Nie mam pojęcia, kim są bracia Dale. Wychodzi na to, że to nieprzyjemni ludzie. Ale mnie napadł Daryll Lainbridge. Nie ktoś, kogo znasz z więzienia.

Simon wydaje się osłupiały.

– Daryll Lainbridge? Ten, z którym studiowałaś?

Potakuję skinieniem i szepczę:

– Krzywdził mnie już wcześniej.

– Ale dlaczego? – Unoszę głowę. Obserwuję, jak zrozumienie odmalowuje się na jego twarzy. Wyczytuje odpowiedź w moich oczach. Odsiewa kłamstwa, które musiałam powiedzieć, od prawdy. – Gdzie on mieszka? Podaj mi adres! Masz samochód? Będę potrzebował twoich kluczyków.

57

SIMON

W całym swoim życiu nie czuł jeszcze takiej wszechogarniającej furii. Wściekłość była tak ogromna, że doszło w nim do przemiany. Przestał być człowiekiem, przeistoczył się w zwierzę, w drapieżcę. Nie było dla niego żadnych barier, żadnych ograniczeń. Zamierzał odnaleźć Darylla Lainbridge'a i zabić go własnymi rękami. Wyobrażał sobie, jak zapuka do jego drzwi, a gdy te się uchylą, wparuje do środka i zacznie bić brutala, dopóki ten się nie przewróci i nie będzie leżał na ziemi jak sflaczały gnojek, którym tak naprawdę był. Żałował tylko, że nie ma pistoletu, bo wtedy mógłby go z miejsca zastrzelić. Z drugiej strony to byłaby szybka śmierć, a Lainbridge nie zasługiwał na łaskę, niemniej Simon wolałby mieć pewność, że załatwił go na dobre. No ale nie miał pistoletu. Nóż. Mógłby się gdzieś zatrzymać i kupić nóż. Potem wbijałby go raz za razem w coraz słabsze ciało Lainbridge'a. Pragnął, żeby krew tryskała na ściany, na sufit.

Nie miało znaczenia, że ten mężczyzna jest biologicznym ojcem Millie. Ani trochę. Simon nie czuł zazdrości ani obrazy. Nie chodziło o jego dumę ani pozycję. Liczyła się tylko Daisy. Wyłącznie Daisy. To, co przeszła. To było nie do pomyślenia. Czegoś takiego nie można puścić płazem. Zwyrodnialca musiała czekać kara.

Lainbridge mieszkał przy spokojnej, zielonej uliczce jakieś półtora kilometra od Daisy. Po obu stronach jezdni stały samochody, ekskluzywne, szerokie, zaparkowane w dużych odstępach, bez troski o wolne miejsca, które można by wygospodarować. Pod numerem trzydziestym drugim także – Simon nie miał gdzie się zatrzymać. Długo wpatrywał się w lśniące, pomalowane na granatowo drzwi, po których obu stronach rosły wawrzyny. Nie wyglądało to na dom gwałciciela. Bez wątplenia Lainbridge korzystał z przykrywki szanowanego, czarującego człowieka, jakim się wydawał. Te drzwi i te drzewa stanowiły tarczę zasłaniającą podłość, okrucieństwo, arogancję i czerń jego serca, siłę pięści, wypaczenie ciała i ducha. Simon zastanawiał się nawet, czyby nie porzucić auta na środku jezdni, blokując ruch całkowicie. Nie dbał o to, że spowoduje korek, chciał tylko dorwać Lainbridge'a. Właśnie miał wyłączyć silnik, gdy granatowe drzwi się otworzyły.

Wyłonił się zza nich Lainbridge. Simon rozpoznał go bez problemu – nie tyle z pamiętnej nocy, ile z wcześniejszych okazji. Wraz z odstawieniem alkoholu poprawiła mu się pamięć. Teraz ogarnął wzrokiem jego postawną sylwetkę, jasne włosy. Lainbridge wydawał się wypoczęty i spokojny, co stanowiło ogromny kontrast z tym, w jakim stanie były Daisy i Millie. Pogwizdywał nawet. To było oburzające. Simon się przyglądał, jak Lainbridge przecina jezdnię i kieruje się do sklepiku na rogu. Wyszedł dopiero po paru minutach, trzymając pod pachą gazetę, w dłoni zaś napój proteinowy. Przechodząc znów na drugą stronę ulicy, zapewne przewidywał leniwe sobotnie przedpołudnie. Zerknął na auto Simona, zdziwiony, że ktoś stoi na środku z włączonym silnikiem. Simon miał nadzieję, że Lainbridge złapał z nim kontakt wzrokowy i w ostatniej chwili go rozpoznał.

Zanim on wcisnął gaz do dechy.

58

DAISY

Po powrocie Simon puka w tylne drzwi. Szybko mu otwieram i wpuszczam go do środka. Wydaje się pobudzony, czujny, zdeterminowany. Nie opowiada, co się wydarzyło, tylko zaczyna zadawać pytania.

– Millie wciąż śpi?

– Tak – odpowiadam szeptem. Nadal zbytnio się boję, aby odezwać się głośniej.

– Jakie miałaś plany na dzisiaj? Gdybym się nie pojawił?

– Wybierałam się do Rose na obiad, a potem... – Urywam na moment, ale uznaję, że mogę mu powiedzieć. Nie ma między nami miejsca na więcej kłamstw. Nie chcę, aby było. – Kupiłam bilety na wieczorny lot do Hamburga.

– Wakacje w Niemczech?

– Bilety są w jedną stronę – wyznaję. Widzę, jak przetrawia tę informację, pojmując jej pełne znaczenie.

Kiwa głową, wbija wzrok w czubki swoich butów.

– Będziesz musiała się ponownie spakować. – Wskazuje wybebeszone walizki i ubrania walające się na podłodze. Efekt szału Darylla. – Najpierw doprowadzimy dom do porządku, później pójdziesz do Rose zgodnie

z planem. Proszę. – Wręcza mi kluczyki. – Zajrzałem na myjnię, samochód lśni jak nowy.

Pracujemy w ciszy, powoli, ale metodycznie. Układam na powrót rzeczy w walizkach, a Simon w tym czasie zmywa krew ze ścian i podłogi, aby nie pozostał nawet ślad. Kątem oka widzę, że gdy zanurza szmatkę w wiadrze, woda różowieje. Im dłużej szoruje, moczy i wyżyma, tym czerwiejsza się staje.

– Trzeba to będzie pomalować – stwierdza. – Zakopię kota, a ty zamieć potłuczone bibeloty. Musi tu wrócić idealny porządek. Później pójde po farbę i przemaluję ścianę, kiedy ty będziesz u Rose. Może tak być?

– Tak. – Jestem mu wdzięczna za skupienie, za jasność. A także za to, że zapytał mnie o zdanie; dużo czasu upłynęło, odkąd ktoś ostatnio to zrobił. Czuję się szanowana, równa.

– U Lucy muszę być na czwartą. Wtedy przyjdzie mnie sprawdzić kurator.

Kiwam głową i zabieram się do zamykania potłuczonej porcelany. Przyglądam się, jak Simon ostrożnie podnosi karton po butach, w którego wnętrzu spoczywa nieszczęsna kotka.

– Jak się nazywała? – pyta mnie miękkim głosem.

– Celina. Celina Chmurka.

Budzę Millie i proszę ją, aby się umyła i ubrała. Gdy salon wygląda mniej więcej normalnie, Simon pozwala jej zejść na dół. Ściska ją mocno i całuje w czubek głowy. Widzę, że nie chce jej wypuszczać z objęć, ale zerka na zegarek i mówi:

– Pora na was. Millie, idź na górę i upewnij się, że nie zostawiłaś czegoś, co chciałabyś mieć ze sobą na wakacjach. – Ledwie mała wyjdzie z pokoju, zwraca się do mnie: – Pojedź do Rose samochodem.

– Zawsze korzystam z metra.

– Zawsze czy zazwyczaj?

Zastanawiam się przez chwilę.

– Zazwyczaj.

– W takim razie weź samochód, skoro czasem jeździsz nim do niej.

I zostaw go tam.

– Dlaczego?

– Lepiej, żeby nie rzucił się w oczy, przynajmniej nie od razu. Na lotnisko udacie się metrem. Siostrze powiedz, że chcesz, aby miała oko na wóz pod twoją nieobecność. Gdy nie wrócisz, pomyśli, że dałaś jej samochód w prezencie.

– A jeśli wrócę?

W oczach Simona pojawia się na chwilę coś, chyba nadzieja.

– Powinnaś zostać za granicą, dopóki nie zejda ci wszystkie siniaki.

– A jak wyjaśnię je Rose?

– Powiedz jej, co chcesz, jest twoją siostrą. Nie możemy jednak pozwolić, aby inni zobaczyli cię w tym stanie. – Kiwam głową, zdając sobie sprawę, jak wielką ufność we mnie pokłada. – Czy będę mógł się z tobą jakoś skontaktować?

– Nie mam komórki.

– W taki razie dzwoń do Rose, a ja postaram się dać ci jakoś znać, że możesz bezpiecznie wracać.

Robię głęboki wdech.

– Istnieje ryzyko, że on znowu mnie skrzywdzi? – pytam, nienawidząc się za drzenie własnego głosu.

Simon potrząsa głową.

– Nie, już nigdy cię nie dosięgnie.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Daisy, myślę, że powinnaś wrócić do Anglii. Może się wydać podejrzanę, że zniknęłaś na stałe tuż po tym, co się stało.

Chcę go zapytać, czy to jedyny powód, dla którego chce, abym wróciła, nie muszę jednak tego robić, ponieważ Simon bardzo powoli i ostrożnie nachyla się ku mnie i całuje mnie w czoło.

– Jeśli wrócisz do domu, będę czekał.

59

SIMON

Zdążyłeś na ostatnią chwilę – powiedziała Lucy, otwierając Simonowi drzwi. – Jest piętnasta pięćdziesiąt dziewięć. Kurator ma przyjść o szesnastej. Dlaczego masz ręce pobrudzone farbą?

Simon przeszedł szybkim krokiem do kuchni, gdzie natychmiast włożył dłonie pod kran i zaczął je szorować drucianym zmywakiem. Lucy stała obok i przyglądała mu się, dopóki nie rozległ się dzwonek do drzwi.

Kurator pojawił się w towarzystwie policjanta. Tego Simon się nie spodziewał. Nie sądził, aby to było normalne. Na szczęście Lucy nie miała pojęcia, czego się spodziewać, i zachowywała się jak zwykle niewzruszenie. Policjant milczał z poważną miną, podczas gdy kurator wyrzucał z siebie żale. Co to za dom i co to za okolica. Co za niesprawiedliwość, że wypuszczony na zwolnienie warunkowe więzień spędzi resztę kary w takich dobrych warunkach. Skazańcy powinni odsłużyć swoje w zamknięciu, za kratami, a jeśli już muszą żyć wśród społeczeństwa, to na pewno nie w takich luksusach. Do tego wszystkiego Lucy zrobiła na nim wrażenie jako kobieta, a że postrzegął upodobanie do kogoś jako słabość – i przejaw braku profesjonalizmu w jego przypadku – pokrył zmieszanie ostrym tonem.

– Oczywiście nie będę się tu wyprawiał codziennie. Od tej pory musisz stawiać się na komisariacie osobiście. Przyszedłem tylko, by sprawdzić, że wszystko jest jak należy – powiedział Simonowi. Dopiero po dłuższych namowach zgodził się na filiżankę herbaty. – Poproszę zwykłą, czarną – uprzedził gburowato, jakby w jego mniemaniu herbaty owocowe były moralnie naganne.

Policjant w dalszym ciągu się nie odzywał, jeśli nie liczyć „tak” w odpowiedzi na pytanie o mleko i „nie” – o cukier. Żaden z mężczyzn nie przyjął kawałka ciasta, choć funkcjonariusz zapytał uprzejmie:

– Sama pani upiekła?

– Ja? Nie. Nie lubię piec. Kupiłam w pobliskiej cukierni – odparła Lucy.

Kurator chciał zobaczyć pokój Simona. Otworzył parę szuflad, zajrzał do szafy. Simon nie miał pojęcia, czego urzędnik szuka. Następnie kurator zapytał go, czy rozumie, na czym polega w jego przypadku godzina policyjna. Simon zapewnił, że rozumie.

Gdy goście zbierali się do odejścia, policjant odwrócił się jeszcze i rzucił:

– Panie Barnes, czy zna pan mężczyznę nazwiskiem Lainbridge? Daryll Lainbridge? – Ton głosu miał pozornie obojętny, ale dało się w nim usłyszeć wyrachowanie.

Simon zmusił się do spokoju i przybrał taką minę, jakby zachodził w głowę. Teraz już wiedział, skąd obecność policjanta. Byli na jego tropie. Poczuł, że dłonie mu się pocą. Oparł je na biodrach, aby niepostrzeżenie wytrzeć o materiał spodni. Niewykluczone, że za moment będzie musiał wymienić z nimi uścisk.

– Coś mi świta...

– Ja znam Darylla Lainbridge’a – wtrąciła Lucy.

– Są państwo bliskimi przyjaciółmi?

Simon zauważył, że Lucy nie odpowiedziała wprost.

– Studiowaliśmy razem.

– Z tego, co mi wiadomo, Daryll Lainbridge jest również przyjacielem pani Barnes – oznajmił policjant, przejrzaawszy notatki.

– Wszyscy studiowaliśmy na tej samej uczelni.

– Pani Barnes figuruje jako jego najbliższa rodzina.

Lucy nie wydawała się tym zdziwiona, ale Simon znał ją nie od dziś i wiedział, że kobieta potrafi zachować spokój w każdej sytuacji. Teraz zauważyła rzeczowo:

– Nie są spokrewnieni.

– „Najbliższa rodzina” to pojęcie potoczne, nie prawne, panno...

– Jestem mężatką – oświadczyła Lucy.

– Proszę?

– Nie jestem panną.

– Och, przepraszam panią bardzo. – Simon widział, ile kosztuje Lucy powstrzymanie się przed przewróceniem oczami na ten ewidentny wyraz potępienia. – Najbliższą rodziną może być ktokolwiek, kogo uważamy za istotnego w swoim życiu. Staramy się skontaktować z panią Barnes, ale jej komórka nie odpowiada.

– Wiem, że miała dziś wyjechać na urlop. Nie jestem pewna o której. Możliwe, że leci już samolotem – wyjaśniła Lucy.

– Rozumiem. – Policjant postukał długopisem w notes. – Wspomniała pani, że także się przyjaźni z Daryllem Lainbridge’em?

– Powiedziała, że razem studiowaliśmy. Dlaczego pan o to pyta?

– Zechce pani usiąść?

– Dziękuję, postoję.

– Przykro mi, proszę pani, ale mam złe nowiny. Pan Lainbridge nie żyje.

Lucy sapnęła. Potarła czoło powolnym gestem.

– Nie rozumiem. Kiedy umarł? Jak to się stało?

– Obawiam się, że na razie nie mogę wyjawić szczegółów. – Policjant odwrócił się do Simona. – Co pan dzisiaj porabiał, panie Barnes?

Pytanie zostało zadane znienacka i w zamiarze miało zbić go z tropu; z całą pewnością tylko ono chodziło po głowie policjantowi od momentu przybycia.

– Byłem tutaj – odparł Simon ze wzruszeniem ramion.

– Cały czas?

Simon niemal się zawahał. Nie był pewien, co powie ani zrobi. Wiedział tylko jedno: chciał się pozbyć Darylla. Co będzie później, nawet się nie zastanawiał. Wolał, żeby mu się upiekło, czy chciał odbyć karę? Jaka kara byłaby adekwatna? Otworzył usta, ale uprzedziła go Lucy:

– Odebrałam Simona z więzienia o ósmej i przywiozłam prosto tutaj. Żadne z nas nie wychodziło aż do tej pory.

– Nawet po ciasto? – zapytał policjant.

– Ciasto kupiłam wczoraj.

EPILOG

Śmierć Darylla Lainbridge'a w wyniku potrącenia przez nieznanego sprawcę opisano w skromnej notatce na łamach lokalnych gazet, jak również na siódmej stronie „The Evening Standard”. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że doszło do tragicznego w skutkach wypadku, w którym kierowca – pozbawiony moralnego kompasu – spanikował i postanowił ratować własną skórę. Tylko jedna policjantka, sierżant Heidi Kent, uważała, że sprawa ma drugie dno. Heidi nie wierzyła w zbiegi okoliczności i uważała za dziwne, że Lainbridge został przejechany tego samego dnia, w którym Simon Barnes wyszedł z więzienia. Sierżant Kent dywagowała, że skoro Daisy Barnes została wskazana jako najbliższa rodzina tragicznie zmarłego, tych dwoje musiała łączyć jakaś relacja. Córka Barnes miała odziedziczyć po Lainbridge'u cały majątek, co wskazywałoby na dłużej trwający związek, a zarazem na motyw zabójstwa.

Niestety nie było żadnych świadków zdarzenia. Tylko jedna kobieta zeznała, że mniej więcej w czasie wypadku widziała, jak uliczkę opuszcza rozpędzony ciemny samochód. Nie okazała się specjalnie pomocna, gdyż absorbował ją przede wszystkim zapłakany wnuczek w wózku. Podniosła wzrok tylko na chwilę.

- Normalnie nie jest marudny – wyjaśniła.
- Czy umie pani powiedzieć, jakiej płci był kierowca?

– Tak. To był mężczyzna – odparła z przekonaniem.

– A czy może pani go opisać?

Pewność potencjalnej świadkini natychmiast zniknęła.

– Oczy mam już nie te co kiedyś. Od jakiegoś czasu noszę się z zamiarem sprawienia sobie nowych okularów. Wydaje mi się, że miał brodę, choć może jednak nie... Tak, musiał ją mieć, obecnie wszyscy mają brody, prawda? Znaczący młodzi mężczyźni. Panuje wśród nich taka moda.

– Zatem był brodaty?

– Chyba. Nie na pewno.

– I był młody?

Staruszka się zaśmiała.

– Dla mnie każdy jest młody, złotko. Mam siedemdziesiąt dwa lata. Ten wnuczek, którym się opiekuję, to mój dziewiąty.

– Może pani podać wiek kierowcy w przybliżeniu?

– Tak. Miał nie więcej niż pięćdziesiątkę.

Detektywi wymienili spojrzenia, staruszka zaś pomyślała, że niepotrzebnie się zgłosiła na policję. Tylko traciła czas, a ci młodzieńcy nie okazywali cienia wdzięczności.

– Kolor włosów?

– Szatyn. Albo brunet. To było tylko mgnienie oka – dodała obrażonym tonem, karząc ich za ukradkowe spojrzenia.

– Kolor skóry?

– Nie jestem pewna. Nie zwracam na to normalnie uwagi – powiedziała, dotknięta tym, że biorą ją za rasistkę, osobę, która zwraca uwagę na kolor skóry. – Mógł być biały albo beżowy. Albo biały, ale z opalenizną. Nie wydaje mi się, żeby był czarny. – Poprawiła się na krześle, jakby nagle zrobiło się jej niewygodnie.

– Co z kolorem samochodu? Zwraca pani uwagę na kolor samochodów?

– Ciemny. Może czarny, może granatowy. Chyba purpurowy.

– A marka? – Detektyw nie robił sobie większych nadziei, co znalazło wyraz w jego tonie.

– Nie znam się na samochodach. Tak sobie myślę... Właściwie to chyba był kolor ciemnoszary.

Żadnego punktu zaczepienia. Ulica nie była monitorowana. Detektywów najbardziej irytowało to, że choć obywatele non stop protestują przeciwko ciągłej inwigilacji i wszechobecnym kamerom, ilekroć dochodziło do przestępstwa i policja chciała skorzystać z nagrań, okazywało się, że akurat ten rejon miasta jest wyłączony spod monitoringu.

Sierżant Kent skrupulatnie sprawdziła Simona Barnes, okazało się jednak że ma on solidne alibi w osobie niejakiej Lucy Hewitt-Jones, poświadczone przez jej męża, Petera Hewitta-Jonesa. Heidi sprawdziła także Daisy Barnes i ustaliła tyle, że w momencie zajścia kobieta przebywała akurat u siostry mieszkającej w innej części Londynu. Potwierdził to jej szwagier oraz obaj siostrzeńcy. Chłopcy nie byli w stanie podać dokładnego czasu pojawienia się Daisy w domu, lecz zgodzili się co do jednego: „Mama z pewnością wie, co mówi. Przykłada zawsze wielką wagę do takich szczegółów”.

Zresztą hipoteza o celowym potrąceniu – przeciwstawna do tej o nieszczęśliwym wypadku – została nadwerężona jeszcze bardziej, gdy zakwestionowano siłę relacji łączącej panią Barnes z panem Lainbridge'em. Otóż test DNA, wymagany w sprawie spadkowej, wykazał, że Millie Barnes nie jest biologicznym dzieckiem Darylla Lainbridge'a. Sierżant Kent otrzymała tę informację od prawnika tego ostatniego, po czym poprosiła o możliwość uczestniczenia w spotkaniu, podczas którego nowina

zostanie przekazana Daisy Barnes. W tym momencie przełożony Heidi kazał jej odpuścić, zająć się czymś innym, ważniejszym. Lecz sierżant Kent była dobrym psychologiem i chciała być obecna na spotkaniu, by na własne oczy się przekonać, jak Daisy Barnes zareaguje na nowinę.

Kobieta okazała się trudniejsza do rozczytania, niż można było się spodziewać. Zachowała pełen spokój i opanowanie. Przez moment coś jakby błysnęło w jej oczach – zdziwienie? – zaraz jednak zniknęło. Wyraz malujący się na jej twarzy był dowodem ulgi, zadowolenia. Zresztą może Heidi tylko to sobie wyobraziła. Nie odkryła nic, co by jej pozwoliło na drażnienie sprawy. Policja straciła zainteresowanie tematem. Dochodzenie zamknięto.

DAISY

Nie chciałam robić Millie testu DNA. Ani trochę. Nawet gdy w grę wchodziło odziedziczenie setek tysięcy funtów, wolałam, aby nic nigdy nie połączyło mojej córki z Daryllem Lainbridge'em. Lucy oczywiście miała na ten temat inne zdanie. Wierciła mi dziurę w brzuchu. Twierdziła, że pieniądze nie przydadzą się już Daryllowi, że zapisał je w testamencie, że chciał je przekazać właśnie jej.

– Nie obchodzi mnie, czego chciał.

– No tak. – Pokiwała głową. – Mówię tylko, że ani ty, ani Simon nie zdołacie zarobić takich pieniędzy dla Millie. Dlaczego nie miałyby skorzystać z tych po Daryllu?

– Ależ Millie nie potrzebuje tylu pieniędzy – zaproponowałam. – Ma wszystko to, co najważniejsze: oboje rodziców i dom.

– Jesteś romantyczką, Daisy. Pieniądze są niezbędne do życia. Gdy Millie dorośnie, ten spadek może ją ustawić na lata.

– Millie będzie zarabiała na swoje utrzymanie, jak każdy. Nie chcę niczego, co należało do Darylla. Nie chcę być zmuszona powiedzieć córce, że pochodzi od tego potwora, a musiałabym to zrobić, gdyby odziedziczyła po nim majątek.

Lucy milczała przez chwilę, zastanawiając się głęboko.

– Nie musisz jej mówić, że był jej ojcem. Wymyśl coś innego.

– Nie. Nigdy więcej! – rzuciłam stanowczo. – Jeśli czegokolwiek się nauczyłam z wydarzeń ostatnich lat, to że kłamstwa tylko mącą i tak już nieprzejrzyste wody.

Nie chcę w naszym domu żadnych więcej kłamstw, tylko prawdę.

Między Simonem i mną bardzo dobrze się układa. Żyjemy z dnia na dzień. Jak dotąd Simon pozostaje trzeźwy, żadne z nas nie okłamuje

drugiego. I tak właśnie ma być: uczciwie.

Minęły miesiące, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy aby na pewno jestem uczciwa. Dlatego w końcu wyznałam Simonowi prawdę. Mimo że tak trudno było mi to powiedzieć, mimo że tak trudno było mu to usłyszeć.

Usiedliśmy w kuchni z dużym dzbankiem mrożonej herbaty na blacie między nami. Z początku z trudem dobierałam słowa. Kłudy mnie w usta niczym drzazgi. Ale Simon w pewnym momencie ujął mnie za rękę, pogładził palcami.

– Nie śpiesz się – szepnął. – Mamy mnóstwo czasu.

Przypomniałam mu o jednym z przyjęć Connie i Luke’a, tym z motywem cyrkowym.

– Byli klauni i magik, zgadza się?

– Tak – potwierdzam. Zdumiewa mnie, że zapamiętał te szczegóły. Opowiadam mu wszystko, co powiedziałam Lucy. O tym, że Daryll mnie zaanektował, zmusił do wysłuchiwania o swoich perypetiach miłosnych. – Na dole stała kolejka do ubikacji, tak samo było przed łazienką rodzinną na piętrze. Wiesz, jak to jest na przyjęciach z dużą liczbą gości. Może pamiętasz, że Connie i Luke właśnie zaadaptowali poddasze na spory pokój z łazienką? Wiedząc, że mało kto o tym wie, wspięłam się na szczyt domu. Na podeście minęłam się z Connie i Lukiem, którzy wychodzili z sypialni.

– Papużki nierozłączki, ehm? – zapytał Simon ze znaczącym uśmiechem.

Na przyjęciach rzadko spędzają czas razem, są gospodarzami doskonałymi, zawsze się troszczą o swoich gości, ale mają jedną tajemnicę.

– Szczerzyli się do siebie, więc tak. Musieli wracać w tłum po szybkim seksie w zaciszu własnej sypialni.

Tacy już są. Odkąd ich znam. Wymykają się w środku imprezy na małe tête-à-tête. Z początku robili to, ponieważ nie umieli utrzymać rąk przy

sobie, później dla dreszczyku, ponieważ coś takiego uznawane jest za brawurę, pokazanie środkowego palca konwenansom, zwłaszcza tym dotyczącym rodziców. Przez moment chciałam przystanąć i zagadać do nich, skorzystać z okazji, by trochę się podroczyć. Znaliśmy się wystarczająco dobrze, żebym mogła to zrobić.

– Nie przestaję się zastanawiać, jak inaczej wszystko by się potoczyło, gdybym się zatrzymała i wdała z nimi w rozmowę. Ale było mi gorąco, duszno, czułam się wyczerpana monologiem Darylla. Chciałam paru chwil tylko dla siebie, żeby ochłonać. Przeprosiłam więc Connie, że skorzystam z ich prywatnej łazienki, wyjaśniłam, że nie mam siły stać w kolejce. Oczywiście nie miała nic przeciwko. Luke ledwie na mnie spojrzał, był zajęty całowaniem jej szyi. Wysiusiałam się i wtedy ją zobaczyłam. Prezerwatywę pełną nasienia, schludnie zawiązaną, leżącą pod umywalką. Naturalnie miała trafić do kubła, ale z jakiegoś powodu Luke zostawił ją na wierzchu. W pierwszym odruchu pomyślałam: „Fuj, błą” – i przewróciłam oczami. Ostrożnie podniosłam kondom, by umieścić go w kubie, tak żeby nikt inny nie musiał go widzieć. Zaraz jednak pomyślałam o nas. – Nieudane próby zapłodnienia in vitro. Rozdzierająca serce nieustanna tęsknota do dziecka. Alkoholizm Simona. – Uznałam, że to może być rozwiązanie wszystkich naszych problemów. Coś, co ktoś wyrzucił. Tylko tyle potrzebowaliśmy.

Odważyłam się spojrzeć na Simona w tym momencie, a on skinął głową. Rozumiał. Ściskając mi delikatnie palce, powiedział:

– Odpowiedź na nasze modlitwy.

– Odpowiedź na wszystko. No i dokonałam sztucznego zapłodnienia. – Nie sądziłam, że to zadziała. Nie tak naprawdę. Miałam jednak nadzieję, że się uda. Leżałam na zimnej łazienkowej posadzce przez pięć minut z nogami zadartymi do góry. – Potem umyłam ręce, poprawiłam makijaż.

Otworzyłam drzwi, zamierzając wrócić na dół, odszukać cię, może z tobą zatańczyć. Ale w progu stał Daryll. Czekał na mnie.

Simon wstał, obszedł stół i objął mnie ramionami. Czule pocałował mnie w czubek głowy, po czym – bez cienia złośliwości, bez cienia bólu, jakby czynił zwykłą uwagę – wymruczał:

- Zatem miałem rację. Millie jest dzieckiem Luke'a.
- Nie, Simon. Mylisz się. Millie jest twoja. Nasza.

PODZIĘKOWANIA

Jestem winna podziękowanie tylu niesamowitym osobom.

W pierwszej kolejności dziękuję Jonny'emu Gellerowi, dzięki któremu spełniłam swoje marzenia, za dwadzieścia niezwykle lat nieustannego wsparcia, doradztwa i prawdziwej przyjaźni. Bez ciebie moje życie zawodowe nie potoczyłoby się tak, jak się potoczyło. I wiesz co? Wcale bym tego nie chciała. Bardzo mi się podoba, że każdy metr tej drogi pokonaliśmy razem.

Dziękuję ci, Kate Mills; jesteś wszystkim, co mogłabym sobie wymarzyć w redaktorce i wydawczyni – praktycznie geniusz z ciebie. Dziękuję, że stanowisz unikalną mieszankę determinacji, oddania, uczciwości i kreatywności. Mam niebywałe szczęście, że pracujemy razem. To samo dotyczy Lisy Milton. Obie jesteście fantastyczne. Prawdziwe z was filary potęgi, jaką jest HarperCollins. Niesłychanie was szanuję.

Dziękuję Charliemu Redmayne'owi za to, że jest takim zaangażowanym, pomocnym i wnikliwym szefem.

Zachwyca mnie współpraca z tyloma genialnymi zespołami w Wielkiej Brytanii i na świecie. Jestem bardzo wdzięczna każdemu – i bardzo doceniam każdego – kto dzięki swoim zdolnościom i obowiązkowości przyczynił się do zaistnienia tej książki. Od zawsze wierzę, że książka ma szansę odnieść sukces wyłącznie za sprawą ogromnej rzeszy ludzi, którzy wykonują swoją pracę wprost niewiarygodnie. Znajdują się wśród nich:

Sophie Calder, JP Hunting, Georgina Green, Eleanor Goymer, Darren Shoffren, Claire Brett, Victoria Moynes, Jack Chalmers i Louise McGrory. Wszystkim wam ogromnie dziękuję za wyjątkowy profesjonalizm i oddanie.

Pragnę również przesłać swoje podziękowania za ocean. Niechaj przyjmą je: James Kellow, Loriana Sacilotto, Margaret Marbury, Leo McDonald, Carina Nunstedt, Celine Hamilton, Pauline Riccius, Anna Hoffmann, Birgitt Salzmann, Eugene Ashton, Olinka Nell i Rahul Dixit. Wielu innych jeszcze nie poznałam, ale zdaję sobie sprawę, jakie to szczęście, że zawodowcy na całym świecie poświęcają moim książkom swoją miłość i uwagę. To bardzo ekscytujące. Dziękuję wam.

Dziękuję swoim czytelnikom, blogerom, recenzentom, księgarzom, bibliotekarzom obu płci, jak również koleżankom i kolegom po piórze, którzy udzielili tej książce wsparcia. Tak bardzo się cieszę, że wciąż namiętnie czytacie, ponieważ w przeciwnym razie nie miałabym po co siedzieć codziennie w gabinecie i wymyślać historii!

Dziękuję swojej mamie, swojemu tacie, siostrze, siostrzenicom i siostrzeńcowi, którzy nieprzerwanie mnie wspierają we wszystkim, co robię, którzy kochają mnie i moje książki bez względu na to, czy sprzedaż szybuje, pikuje czy pozostaje na tym samym poziomie.

Dziękuję, Jimmy, dziękuję, Conradzie – żadna kobieta nie mogłaby marzyć o solidniejszym wsparciu niż to, które dostaję od swego męża i syna. Jestem wam obu niewypowiedzianie, absolutnie wdzięczna.

Na koniec składam podziękowanie wszystkim tym osobom, które pozwoliły mi zrozumieć, jak wyglądają procedury policyjne oraz życie w więzieniu. Clare Henson, Adam Harries, Louise Daniels i Zoe – więzienna bibliotekarka znana mi jako ZoeFruitcake (Zoe Owocowa Babeczka). Byliście niezwykle wspaniałomyślni, jeśli chodzi o wasz czas

i wiedzę. Jestem pełna podziwu dla waszej niesłychanie ważnej pracy i niezmiernie wdzięczna, że poświęciliście mi chwilę. Jeżeli w którymś miejscu przekłamałam wasze słowa, z góry przepraszam. Wina leży wyłącznie po mojej stronie! Michelle Harries, Leigh Fleeman i Michelle Ratcliffe, którzy również mi doradzali bądź pozwalali na to swoim małżonkom, również zasługują na wzmiankę i podziękowanie. Bez was ta książka nigdy nie ujrzałaby światła dziennego.

TEJŻE AUTORKI

Powieści

Game Over

Skok w bok

Larger than Life

Na jej miejscu

Still Thinking of You

Husbands

Opowieści młodych mężatek

Happy Families

Mów do mnie jeszcze

Romantyczne kłamstwa

Mężczyźni, których kochałam

About Last Night

Whatever It Takes

Spotkanie w chmurach

Spare Brides

If You Go Away

The Stranger in My Home

The Image of You

I Invited Her In

Just My Luck // [Takie moje szczęście] (w przygotowaniu)

Zbiory opowiadań


Love Is a Journey



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)

 [wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)

SPIIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Tejże autorki](#)

[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Lies Lies Lies

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Jason / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © Ponomus / Stock.Adobe.com

Lies Lies Lies

Copyright © Adele Parks 2019

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz
Kierus

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2022

ISBN 978-83-67137-56-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek